

PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI

DIABELSKI KRAJ

TAJEMNICE SĄ JAK TRUCIZNA,
KTÓRA SĄCZĄC SIĘ, POWOLI NISZCZY W LUDZIACH DOBRO.



DIABELSKI KRAJ

PRZEMYSŁAW
BORKOWSKI

DIABELSKI KRAJ

Copyright © Przemysław Borkowski, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorka prowadząca: Anna Rychlicka-Karbowska

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Agnieszka Czapczyk, Lidia Kozłowska

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Daniel Rusiłowicz

Fotografie na okładce: © RobertEm / Unsplash

Fotografia autora: © Mikołaj Starzyński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67815-99-4

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Gabie

*W życia wędrówce, na połowie czasu,
Straciwszy z oczu szlak niemyłej drogi,
W głębi ciemnego znalazłem się lasu.
Dante Alighieri, Boska komedia*

*Ale, zaraz, zaraz, co to?!... Ja spadam
w dół! Jaka ta królicza nora głęboka.
Ile pięter i mijanych po drodze korytarzy!
Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów*

ROZDZIAŁ 1

Stała nad pustym jeszcze grobem i myślała o seksie. Nie, nie o swoim, bez przesady; od tego była w tym momencie jak najdalsza. Myślała o stosunku seksualnym, który człowiek mający niedługo tu spocząć musiał kiedyś odbyć z jej matką, by ona mogła tu tkwić i wpatrywać się w tę ciemną dziurę. Trudno jej sobie było to wyobrazić. Zapamiętała ich, gdy byli wobec siebie obojętni, a nawet skrycie wrody. W ostatnie lato ich wspólnego życia przestali już nawet na siebie patrzeć. Rozmawiali ze sobą, nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Jakby mówili do otaczającej ich pustej przestrzeni. A potem ta przestrzeń im odpowiadała.

Lecz przecież kiedyś zapewne łączyła ich namiętność. Choćby przez jedną chwilę. Bez tego jej, Gabrieli Seredyńskiej, by tu nie było. Nie musiałyby stać i czekać na opóźniający się z niewiadomych powodów pogrzeb. Wśród tych wszystkich ubranych na czarno ludzi, patrzących na nią z coraz bardziej natrętą ciekawością. Tak, to ona, córka marnotrawna. Ta, która przypomniła sobie o własnym ojcu dopiero, gdy umarł. A i to niezbyt chętnie. Walcie się, pomyślała. Gównu wiecie.

Zadziwiające, swoją drogą, że dzisiaj był Dzień Dziecka.

Spojrzała ostentacyjnie na zegarek. Dwadzieścia minut opóźnienia to chyba lekka przesada. Zaczynała żałować, że w ogóle tu przyjechała. Do tego zapomnianego przez Boga miasteczka, które dawno temu było jej domem. Przynajmniej dopóki nie nastąpiła tamta katastrofa. Dzień, w którym matka oznajmiła jej, że przeprowadzają się do niedalekiego Olsztyna. Same, bez ojca. Akurat miała pójść do liceum, więc to był według matki doskonały moment. I żadnych innych wyjaśnień. Ani od niej, ani od niego. Jakby to była najzwyczajniejsza, najnormalniejsza rzecz pod słońcem.

Seredyńska powiodła wzrokiem po przybyłych na cmentarz ludziach. Niektórych pamiętała, lecz jak przez mgłę. Innych nie. Oni też zaczynali się niecierpliwic. Pojawiły się rozmowy, z czasem coraz głośniejsze. Jeden z mężczyzn zapalił papierosa. Usłyszała nawet stłumiony śmiech.

Po jaką cholere tu w ogóle przyjeżdżała? Kto powiedział, że trzeba brać udział w tym dziwnym obrzędzie zakopywania martwego ciała w ziemi? Była prokuratorem, widziała zwłoki w najrozmaitszych stanach i stadiach rozkładu. Nie było w tym żadnej metafizyki. Dokładnie wiedziała, jakie procesy zachodzą w tym ciele, na które ciągle jeszcze czekali. Mogła sobie wyobrazić, jak teraz wygląda. I jak będzie wyglądało w kolejnych dniach i miesiącach. Nic ciekawego. Zero wzniosłości. Strupieszenie, mumifikacja i czerwie. W zależności od warunków przechowywania. Na tych terenach dominowała polodowcowa glina, więc powinno się rozłożyć w miarę szybko.

Żałobnicy podzielili się na małe grupki, jak to zwykle bywa na każdej imprezie. Jeszcze chwila, a ktoś wyciągnie alkohol, pomyślała. Tylko ona stała samotnie. Ona i mistrz ceremonii – pompatycznie ubrany zagubiony człowiek, równie tu obcy i równie niepasujący do całej reszty. Jej ojciec zażyczył sobie świeckiego pogrzebu, co potęgowało absurd sytuacji. Ksiądz – cokolwiek by myśleć o tej kaście zadufanych, zniewieściałych hipokrytów – dodawałby temu wszystkiemu jakiejś istotności, trzymałby tę hałastrę w ryzach. Tamten wysoki, śmiesznie ubrany mężczyzna, sprawiający wrażenie, że chciałby już sobie stąd pójść, pogłębiał tylko poczucie, że biorą udział w jakiejś tandetnej, wymyślonej szopce. Ona sama nie była zbyt religijna, mało czego była równie niepewna, jak istnienia Boga, lecz równocześnie niczego bardziej nie była pewna niż tego, że świeckie pogrzeby są absolutnie bez sensu.

Nagle ktoś podbiegł do jednej z tych grupek. Ktoś z zewnątrz, w zwykłym, nie w żałobnym stroju. Usłyszała ożywioną wymianę zdań prowadzoną ściszonymi głosami. Pozostałe rozmowy ucichły. Uszy i szyje wyciągnęły się w tamtą stronę. W centrum grupy stał starszy mężczyzna. Pamiętała go, był dobrym znajomym jej ojca, choć nie miała pojęcia, jak się nazywał. Zobaczyła, jak wykrzywia usta w grymasie

niezadowolenia i półgębkiem mówi coś do kobiety obok, zapewne swojej żony. Po chwili z ociąganiem wyszedł kilka kroków do przodu i stanął przy wciąż niezasypanej dziurze.

– Musimy trochę opóźnić uroczystość – powiedział donośnym głosem. – Zaszło małe nieporozumienie, zakład pogrzebowy pomylił dni i nie są jeszcze gotowi. Mam was wszystkich przeprosić w ich imieniu.

Unióś dłoni, by przerwać narastający szmer oburzenia.

– Spotkamy się tu ponownie za mniej więcej półtorej godziny – oznajmił. – Tymczasem zapraszam wszystkich do restauracji, gdzie przygotowaliśmy mały poczęstunek. Miał się odbyć po pogrzebie, lecz w obecnej sytuacji możemy go chyba nieco przyspieszyć. Jest tylko prośba, byście nie pili zbyt dużo.

Tym razem odpowiedzią były ciche śmiechy.

Gabriela Sereżyńska uniosła brew. Nikt nie powiadomił jej o stypie. Nie wiedziała nawet, kto ją zorganizował. W okolicy nie mieli żadnej rodziny.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Atmosfera wyraźnie się ożywiła. Perspektywa poczęstunku i darmowych drinków pozwalała zapomnieć o wcześniejszej konsternacji. Samoistnie uformowany pochód powoli ruszył w kierunku pobliskiego budynku restauracji.

Ona jednak nie zamierzała tam iść. Nie miała ochoty brać udziału w czymś takim. Wystawiać się znowu na te wszystkie spojrzenia, i to rzucone ze znacznie bliższej odległości. Znosić próby nawiązania z nią rozmowy. Tłumaczyć się i wyjaśniać. Być główną atrakcją w tym cyrku.

Spojrzała znowu na zegarek. Półtorej godziny. Musi przełożyć spotkanie z agentką nieruchomości. I zawiadomić ekipę sprzątającą, że mają przyjechać godzinę później. To jednak zajmie jej najwyżej dwie minuty. Co dalej?

Ruszyła w kierunku rzeki. Gdy była dzieckiem, to było jej ulubione miejsce. Woda wiała się tuż za ostatnimi zabudowaniami. Wrzynała w ziemię głębokim, niemal górskim przełomem. Później wpadała do jeziora, nad którym zbudowano miasteczko. Za nią był las, ciągnący się wiele kilometrów, aż do Olsztyna. Uwielbiała tam chodzić. Wyobrażała sobie, że jest w wielkiej, mrocznej, pełnej dzikich zwierząt puszczy. Jeśli miała gdzieś teraz pójść, to tam.

ROZDZIAŁ 2

Minęła tablicę z nazwą miejscowości i przeszła przez most. Po drugiej stronie weszła w las i odnalazła ścieżkę, która wiodła po skarpie wzdłuż rzeki. Mimo upływu ponad dwudziestu lat nic tu się nie zmieniło. Rzeka po dawnemu płynęła, poprzegradzana pniami zwalonych drzew. Odetchnęła głęboko, wciągając wilgotny zapach wody. Jeśli czegoś jej brakowało w obecnym, warszawskim życiu to tej rzeki i tamtego jeziora. Na pewno nie całej reszty.

Nastawiła alarm w komórce na za trzydzieści minut i ruszyła przed siebie. Pół godziny będzie szła do przodu, pół godziny z powrotem i zostanie jeszcze wystarczający zapas, żeby wrócić na cmentarz. Ten spacer będzie jedyną korzyścią z wizyty tutaj.

Ścieżka była wąska, węższa chyba nawet niż kiedyś. Nie służyła do niedzielnych przechadzek, chodzili nią co najwyżej wędkarze i żyjące w tych lasach zwierzęta: sarny, lisy, dziki i kuny. Czytała gdzieś, że ostatnio w tych okolicach pojawiły się też wilki. Nic w sumie dziwnego, skoro widziano je już nawet pod Warszawą. Na pewno za to były tu bobry. Ślady ich działalności widziała w dole skarpy. Poobgryzane w charakterystyczny sposób młode drzewka i te większe, starsze, po których zostały tylko naostrzone jak ołówki pniaki.

Zwierzę, które pojawiło nagle przed nią na ścieżce, nie było jednak ani wilkiem, ani bobrem. Był to lis. Rudy jak ona sama i podobnie szczupły. Zatrzymała się zaskoczona tym niespodziewanym spotkaniem. Patrzył na nią z zaciekawieniem, zastygły w bezruchu. Wydawał się równie zdziwiony jak ona. Woda huczała wyjątkowo głośno w tym miejscu, pewnie dlatego jej nie usłyszał i dał się tak podejść.

Ona też znieruchomiała, nie chcąc go przepłoszyć. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem lis opuścił głowę, ciągle jednak na nią patrząc. Nie miała pojęcia, co może oznaczać ten gest: agresję, groźbę czy tylko ostrożność.

Jak się jednak za moment okazało, żadną z tych rzeczy. Zwierzak po prostu podniósł coś ze ścieżki. Coś, co najwyraźniej przed chwilą tam położył. Był to jakiś przedmiot, długi i wąski, wielkości mniej więcej tuszu do rzes. Wystawał z pyska lisa tylko z jednej strony. Zapewne było to coś do jedzenia. Biedne zwierzę zatrzymało się tu na posiłek, a ona bezceremonialnie wkroczyła mu do jadalni. Było to nieuprzejme, postanowiła więc się wycofać. Widziała, jak mięśnie lisa napinają się, szykując jego ciało do ucieczki.

Po chwili dostrzegła jednak coś jeszcze. Coś, co spowodowało, że została mimo wszystko na miejscu. Na końcu tego przedmiotu – ściemniałego, brudnego od ziemi, przypominającego zagięty kawałek gałęzi – była charakterystyczna, owalna, jasna plama. Okrągła, matowa przestrzeń sprawiająca, że przedmiot ten już nie wyglądał jak grubszy nieco patyk, tylko coś zupełnie innego. Coś, na co jej prokuratorskie spojrzenie, nawykłe do oglądania rzeczy, których inni ludzie zazwyczaj nie mieli szans zobaczyć, od razu zwróciło uwagę. Zmrużyła oczy, próbując ujrzeć to wyraźniej. Od lisa dzieliło ją parę metrów, zbyt dużo, by widzieć dobrze. Powoli nachyliła ciało w jego stronę, starając się choć w ten sposób zmniejszyć dystans i się upewnić.

Nie na wiele to się jednak zdało. Lis naprężył się jeszcze bardziej. Jeszcze chwila i wystrzeli jak strzała, znikając jej na zawsze z oczu. Zamrugwała kilka razy, by nawilżyć spojówkę. To też nie przyniosło spektakularnych efektów.

Sytuacja była patowa. Człowiek i zwierzę zastygli uwięzieni w tej chwili, która tak nieoczekiwanie ich ze sobą skonfrontowała. Seredyńska spróbowała przemieścić się nieco do przodu. Jeśli wysunie nogę o kilka centymetrów, będzie mogła przenieść na nią ciężar ciała i w ten sposób znaleźć się bliżej obserwowanego przedmiotu. Jeśli nie był on tym, czym się wydawał, wszystko, co właśnie robiła, było kompletnie absurdalne i mogła się tylko cieszyć, że nikt jej w tej chwili nie obserwuje.

Powoli, ostrożnie, niemal niezauważalnie zaczęła przesuwać prawą stopę w kierunku lisa. Potem, gdy uznała, że wyciągnęła ją już wystarczająco daleko, pozwoliła podążyć za nią całą resztę siebie.

Przypominało to jakieś nadzwyczaj powolne tai-chi albo grubo przesadzone *slow motion*. Lis obserwował ją bacznie. Nie wydawał się zaniepokojony, tylko po prostu ostrożny. Może to jej rude włosy sprawiły, że nie odbierał jej jako jednoznacznego zagrożenia? Byli w końcu podobnie umaszczeni.

Miała ochotę zagadać do niego, tak jak się mówi do psa lub kota, powiedzieć: „Spokojnie, lisku, nic się nie bój, nie zrobię ci krzywdy. Co tam masz w pyszczku? Pokaż mi to”. Wiedziała jednak, że ma przed sobą dzikie zwierzę, jej głos prędzej je przepłoszy, niż uspokoi. Może gdyby miała coś do jedzenia, mogłaby zaproponować mu wymianę. W jej torebce jednak prócz gum do żucia nie było nic, co choć przypominałoby posiłek. Chyba że lis połasczyłby się na jej ochronną pomadkę do ust o zapachu malin.

Z braku innych pomysłów kontynuowała więc swoją powolną podróż do przodu. Miała nieodparte wrażenie, że zwierzę patrzy na nią z pewnym rozbawieniem i zainteresowaniem. I że gdyby nie ta ciekawość, już dawno by uciekło. Pomyślała też nagle, że może to wcale nie jest lis, tylko lisica, i że gdyby była Indianka, taką z powieści Szklarskich o Dakotach, które czytała w dzieciństwie, to mogłoby być jej zwierzę totemowe. Jej duch-przewodnik, który właśnie jej się objawił.

Była już nieco bliżej. Jeszcze raz wyczęła wzrok. Przedmiot wydawał się pomarszczony, ale inaczej niż gałąź lub patyk. Skupiła się na owalnej, jasnej przestrzeni na końcu. Na jej brzegu, tym od zewnętrznej strony, była ciemniejsza obwódka. Szkoda, że nie widziała drugiego krańca. Jego zakończenie mogłoby naprawdę sporo wyjaśnić.

Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy, wibrujący dźwięk. Jej napięte do granic możliwości zmysły zareagowały na niego, jakby ktoś polał je wrzątkiem. Dopiero po chwili zrozumiała, że to pieprzona komórka dała właśnie sygnał do powrotu. Gdy ochłonęła nieco, lisa już jednak nie było. Ścieżka przed nią była pusta. Zniknął też dziwny, niepokojący przedmiot.

Seredyńska spojrzała w las, gdzie prawdopodobnie uciekło zwierzę. Nie miałyby szans go dogonić, nawet gdyby spróbowała. Nigdy więc już się nie dowie, co ze sobą zabrało.

Czy był to odcięty ludzki palec? Czy może jej skrzywiony oglądaniem dziesiątków trupów umysł zobaczył coś, czego tam nigdy nie było?

Jedno wiedziała na pewno: musiała wracać.

Trumna już stała nad wykopanym grobem, lecz żałobnicy wciąż jeszcze nie dotarli. Widocznie przyspieszona stypa okazała się zbyt zajmująca i sam pogrzeb nie mógł z nią konkurować. Seredyńska znowu czekała, lecz tym razem miała towarzystwo tego lśniącego czernią, długiego przedmiotu. W jego wnętrzu podobno znajdował się człowiek, który podzielił się z nią połową swojego zestawu chromosomów. Z tego, co wiedziała, zrobił to z dobrej woli, niestety później nieco mu tej dobrej woli zabrakło.

Ludzie wreszcie powoli zaczęli się schodzić. Rozbawione, hałaśliwe grupki pojawiły się przed bramą cmentarza, by niemal natychmiast milknąć po jej przekroczeniu. Jakby znajdowała się tam jakaś niewidzialna, tłumiąca głosy zasłona. Nie całkiem skuteczna zresztą, gdyż pojedyncze ściszone śmiechy słychać było też na cmentarnych alejkach.

W końcu wszyscy stanęli naokoło grobu, a świecki prowadzący rozpoczął swoją żalosną imitację religijnego obrzędu. Jego czerwona twarz i kropelki potu tuż pod krawędzią włosów świadczyły, że ktoś zdołał już tchnąć w jego ciało ducha, którego ewidentnie z kolei brakowało w słowach. Oblicza innych uczestników sprawiały podobne wrażenie. Zamiast bladej smutku kwitły na nich wesołe kolory, przybierające gdzieniegdzie chorobliwe odcienie. Z odsłoniętych głów biły w niebo opary z przerwane go w połowie bankietu. Dosięgło ją nawet w pewnej chwili z tego powodu coś w rodzaju absurda lnego poczucia winy. Pogrzeb jej ojca, za który w końcu sama zapłaciła, więc czuła się za niego w jakiś sposób odpowiedzialna, zepsuł tym ludziom zabawę, oderwał ich od stołu, gdzie na pewno woleliby teraz siedzieć. Było to w jakiś sposób nieuprzejme i w tym momencie zupełnie nie na miejscu.

Jeszcze przed tym wszystkim ktoś podszedł do niej i spytał, czy nie zechciałaby, jako córka, powiedzieć nad trumną kilku słów pożegnania. Odparła, że nie, nie zechciałaby. Gdyby uczciwie chciała spełnić tę prośbę, zapewne nieco zepsułaby atmosferę. Gładkie, okrągłe bzdury równie dobrze mógł wygłosić ktoś inny.

I rzeczywiście ktoś taki się znalazł. Podchmielony mistrz ceremonii, zacinając się i płacząc, zaczął mówić, jaką stratą jest ta śmierć dla rodziny i członków lokalnej społeczności. Próbował też pocieszyć jednych i drugich, co bez perspektywy, złudnej chociażby, życia wiecznego w niebie nie brzmiało ani trochę przekonująco. „Będzie żyć w naszych sercach”, rzucił na koniec, nie dodał tylko, że w niektórych jako zadra.

Musiała skrzywić się nieświadomie na te słowa, bo poczuła na sobie czyjś wzrok. Przyjaciel jej ojca, ten, który zapraszał wszystkich na stypę, stał w pierwszym rzędzie i patrzył na nią, jak jej się wydało, z dezaprobatą. Spojrzała mu hardo w oczy. Nie zamierzała przeproszać za swoją ocenę leżącego między nimi człowieka. Ani za swój stosunek do niego. Mężczyzna spokojnie wytrzymał jej spojrzenie. Potem odwrócił się, dając znak, że on również chciałby powiedzieć kilka słów.

– Człowiek, którego dzisiaj chowamy – zaczął, kiedy już przejął mikrofon – znany był nam od dawna, mimo to nie jest łatwo nam go ocenić. Jak każdy, miał momenty wzniosłości, i jak każdy – ocierał się o upadek. Popępiał błędy, jak my wszyscy. I czynił dobro, też jak czasem każdy. Jaki jest bilans jego życia? Nie wiem. Żył tu z nami i zostawił ślad. Będziemy go pamiętać bardziej niż innych. Z dobrego czy ze złego – to jak zawsze zależy również od pamiętającego, nie tylko od tego, który jest pamiętany. Wiem jedno: zmienił rzeczywistość, w której funkcjonował. To trudne i niewdzięczne zadanie, bo nasze dzieła, tak jak i nasze dzieci – tu spojrzał na Seredyńską – często nas przerastają i odwracają się od nas. Lecz więź, która między nami jest, nigdy nie może zostać przerwana, bo nie tworzy jej tylko uczucie. Jest to związek przyczynowo-skutkowy, najsilniejsze z istniejących powiązań. Ten, kto stworzył, zawsze będzie twórcą, nawet gdy później porzuci swoje dzieło albo gdy dzieło wyrzeknie się go i odtrąci. Musimy o tym pamiętać, cokolwiek byśmy o nim nie myśleli. Dziś, gdy widzieliśmy jego ciało po raz ostatni, prosimy, by przebaczył nam nasze winy – wyrządzenia niektórych nie byliśmy w stanie uniknąć – i przebaczymy mu te, które

uczynił nam, nawet jeśli do dziś odczuwamy ich skutki. Teraz i tak nie ma to żadnego znaczenia. Mamy nadzieję, że w jego pustym, nieistniejącym, ateistycznym niebie odnajdzie spokój, którego my nie zaznajemy tutaj.

Oddał mikrofon, po czym gestem nakazał grabarzom, by zaczęli ostatnią część pogrzebu. Mistrz ceremonii stał z boku – teraz już zupełnie niepotrzebny. Czterech krzepkich, ubranych na czarno mężczyzn w białych rękawiczkach przeciągnęło dwie grube liny pod trumną i uniosło ją na nich. Piąty szybko wyciągnął spod spodu dwie drewniane belki, na których trumna do tej pory spoczywała. Czarne, polakierowane na wysoki połysk pudło zaczęło znikać powoli w ciemnej dziurze. Nie było śpiewów ani muzyki, tylko niezręczna, zakłócana dobiegającymi zza cmentarnego parkanu odgłosami normalnego życia cisza. Żadna modlitwa nie nadała temu, co się dzieje, choćby pozoru sensu. Seredyńska patrzyła na to z pustką w sercu, bez najmniejszego, najsłabszego nawet uczucia. Jakby obserwowała coś, co w żaden sposób jej nie dotyczyło.

Gdy trumna opadła już na dno grobu, liny zostały wyciągnięte, a grabarze dyskretnie usunęli się na bok. Przyjaciel jej ojca pochylił się i nabrał nieco ziemi z usypanego obok kopca. Później obszedł grób i podał łopatkę Seredyńskiej, która w pierwszej chwili nie zrozumiała za bardzo, o co chodzi, potem jednak ujęła ją w swoją dłoń. No tak, pomyślała, jeszcze i to. Jakieś elementy rytuału muszą jednak być. Bez tego nie obejdzie się nawet świecki pogrzeb. Podeszła dwa kroki i sypnęła ziemią na widoczne w dole wieko trumny. Pomyślała z sarkazmem, że dostąpiła właśnie jednej z niewielu korzyści wynikających z bycia córką tego człowieka – mogła to zrobić jako pierwsza.

Oddała łopatkę starszemu mężczyźnie, który po chwili wykonał tę samą czynność. Potem po kolei pozostali uczestnicy pogrzebu podchodzili i powtarzali ich ruchy. Obserwowała z pewnego typu wyabstrahowaną z kontekstu ciekawością, jak lśniący głęboką czernią lakier pokrywa się powoli szarymi grudami gliny. Jeszcze tylko dwa miejsca pozostawały niezasypane. „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, powiedział ktoś półgłosem. „A im szybciej to zrobisz, tym lepiej dla wszystkich”, dodał tuż potem.

Seredyńska podniosła wzrok zaskoczona. Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, nie tylko swoją bezceremonialnością wyróżniał się spośród innych przybyłych. Ubrany był w sposób daleko odbiegający od tradycyjnego, żałobnego *dress code'u*. Zielona, wojskowa kurtka, którą miał na sobie, była brudna i mocno sfatygowana. Zanim ktokolwiek się zorientował, wyjął coś z jej kieszeni i rzucił to w głąb grobu.

Rozległ się głuchy, ale donośny dźwięk. Spojrzenia wszystkich zanurkowały w stronę trumny. Na jej wierzchu leżał kamień. Wystarczająco duży, by pod wpływem impetu uderzenia na czarnym wieku pojawiło się białe, wyraźnie widoczne nawet pod warstwą ziemi pęknięcie.

ROZDZIAŁ 4

Chwila konsternacji nie trwała długo. Czterech grabarzy podeszło do mężczyzny i chwytając go pod ramiona, odciągnęło na bok. Człowiek w wojskowej kurtce nie bronił się ani nie opierał. Nic też nie mówił. Po chwili wszystko było jak przedtem. O tym, że cokolwiek się wydarzyło, świadczył tylko leżący na środku trumny szary, polny głąz.

- Mamy go stamtąd wyciągnąć? - spytał piąty z grabarzy, najstarszy z nich wszystkich. Pytanie skierowane było do przyjaciela jej ojca, nie do niej, mimo że to ona mu zapłaciła. I zabrzmiało trochę, jakby mówił o jej ojcu.

- Nie róbmy już zamieszania - odparł mężczyzna. - Zasypujcie.

Grabarze wrócili i chwycili za łopaty. Jeden z nich, co nie umknęło uwadze Seredyńskiej, miał na białej rękawiczce czerwony, krwawy ślad, świadczący o tym, że nie tylko słowami uspokajali człowieka w wojskowej kurtce.

Powietrze wypełniły dźwięki żelaza trącego o ziemię, świst lecących w powietrzu pryzm gliny i głuche dudnienie, gdy upadały na wieko. Mężczyźni znali się na swojej robocie, pracowali szybko, ich ruchy przypominały balet. Już za moment trumna całkowicie zniknęła pod warstwą gleby.

Zebrani ludzie patrzyli na to z uwagą i w ciszy. Po ich ostatnim rozbawieniu nie było już nawet śladu. Był w tej chwili jakiś majestat, nawet ona go poczuła. Jej ojciec, Wiktor Seredyński, już na zawsze będzie przysypany tą gliną. Wszelkie fazy rozkładu jego ciała pozostaną ukryte. Nikt nie będzie widział, jak rozpada się i gnije. Wiele rzeczy możemy robić wspólnie, lecz ten proces musimy przejść w samotności.

W końcu grób został zasypany, a powstały na górze kopczyk uklepany łopatami. Jeden z grabarzy chwycił trzonek łopaty i odcisnął go w ziemi, chcąc w ten sposób wykonać na wierzchu tradycyjny symbol krzyża, drugi jednak go powstrzymał. Mężczyzna cofnął się, pozostawiając na wzgórku pojedyncze wgłębienie, niedokończony emblemat religii, którą jej ojciec odrzucił. Przypominało to nieco znak minus i było zdaniem Seredyńskiej bardzo na miejscu. Minus idealnie opisywał całą tę sytuację: brak życia w ciele ukrytym już przed ich oczami, brak metafizycznego pocieszenia w tej kalekiej ceremonii i brak jakiegokolwiek więzi, którą czułaby z pochowanym człowiekiem.

Potem złożono wieńce. Ziemiasty kopiec pokryły kwiaty i wstęgi. Nawet nie wiedziała, który jest od niej. To również, tak jak wszystko inne, załatwiła przez internet, nie kłopotząc się nawet, by samej wybrać napis. W odpowiednim polu w zamówieniu wpisała po prostu „coś konwencjonalnego”. Przez długi czas zastanawiała się, czy w ogóle przyjechać.

Dzieło zwieńczyła tabliczka z imieniem i nazwiskiem jej ojca oraz datami jego urodzin i śmierci. Z braku krzyża położono ją wprost na grobie. I to już było chyba tyle. Mogła iść. Mistrz ceremonii wygłaszał właśnie końcowe podziękowania, lecz nie musiała przecież czekać, aż skończy.

- Ładny wieńec - usłyszała nagle, gdy odblokowywała telefon, chcąc sprawdzić, czy w czasie jego wyciszenia nie przyszło do niej coś ważnego.

Uniosła wzrok. Stał przed nią przyjaciel jej ojca, siwy człowiek w czarnym garniturze.

- Dziękuję - odpowiedziała, wbijając z powrotem spojrzenie w ekran komórki.

- Bardzo ciekawy napis. - Mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał dać się zbyć. - Śmiem twierdzić, że bardzo *à propos*.

Obrzuciła wzrokiem grób. Jej wieńec, jakżeby inaczej, stał na samym środku. Poznała go po szarfię, na której czarnymi literami wydrukowano jej słowa: „coś konwencjonalnego”.

- Też tak myślę - odparła, nie dając po sobie poznać zmieszania. - Cały dzień go wybierałam.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Sam bym tego lepiej nie ujął - skomentował. - Nie po to jednak podszedłem, żeby o tym rozmawiać. Mam pytanie: może zachciałyby pani dołączyć do naszego małego pożegnania, które przygotowaliśmy dla pani ojca? Tu, w restauracji naprzeciwko urzędu gminy. Byłoby nam bardzo miło. Zaczęliśmy co prawda, jak pani wie, nieco wcześniej, lecz obiad wydawany będzie dopiero teraz.

Jasne. O niczym innym teraz nie marzyła. Wyobraziła sobie tych wszystkich ludzi pijących wódkę, jedzących flaki albo rosół i gapiących się na nią swoimi coraz bardziej przekrwionymi oczyma.

- Mimo wszystko nie nienawidziłam mojego ojca aż tak, by świętować jego odejście - odparła. - Więc nie, dziękuję.

Przyjaciel ojca nie dał poznać po sobie, czy zdziwiła go jej odpowiedź.

- No cóż, rozumiem. - Skinął głową. - Nie jest łatwo sprostać oczekiwaniom własnych dzieci. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

- I zwłaszcza, gdy ktoś się w ogóle o to nie stara. - Nie potrafiła się powstrzymać przed tym komentarzem. - Poza tym nie mam czasu - dodała, chcąc zakończyć już tę rozmowę. - Jestem umówiona, a pogrzeb dość znacznie się opóźnił.

- Nawet wiem, z kim - odpowiedział. - Z agentką z biura nieruchomości. To ja jestem tym klientem, który chce kupić dom pani ojca. Janusz Zagoński - przedstawił się.

Rzeczywiście, tak nazywał się człowiek, który złożył ofertę kupna domu. I tak samo nazywał się przyjaciel jej ojca, dopiero teraz to sobie przypomniała.

- Dzwoniłem już do niej i przełożyłem nasze spotkanie o godzinę. Sama pani rozumie, że nie mogę zostawić uroczystości, którą sam zorganizowałem. Może więc jednak pani wpadnie?

Świetnie, pomyślała. Stawała na głowie, by zdążyć załatwić wszystkie sprawy związane z domem i pogrzebem w ciągu jednego dnia i móc na wieczór wrócić do Warszawy, a ten gość przekładał sobie ich spotkanie o godzinę. To dlatego zapewne dzwoniła do niej agentka. Miała od niej nieodebrane połączenie.

- Po raz drugi jestem zmuszona odmówić - odparła nieco już oschłym tonem. - Nie tylko z nią jestem umówiona. I bardzo bym prosiła, by nie spóźnił się pan więcej niż godzinę.

ROZDZIAŁ 5

Dziwnie było zobaczyć ten dom po tylu latach. I wiedzieć, że widzi się go prawdopodobnie po raz ostatni. Sprawy spadkowe załatwiła jeszcze w Warszawie. Była jedyną spadkobierczynią, więc wystarczyła zwykła wizyta u notariusza. Jeśli dziś podpisze umowę z Zagońskim, nie będzie miała powodu, by po raz drugi tu przyjeżdżać. I bardzo dobrze, o to jej właśnie chodziło. O szybkie, ostateczne i formalne zamknięcie tego etapu w swoim życiu. Etapu, który tak naprawdę zamknęła przecież już wiele lat temu.

Wysiadła z samochodu. Duży kontener stał już na podjeździe. Zamówiła go, by opróżnić dom ze wszystkich rzeczy, które w nim były – mebli, ubrań i czego tam jeszcze. Mogła to zostawić następnemu właścicielowi, ale chciała to zrobić sama. Chciała symbolicznie wyczyścić swoją przeszłość, odciąć się od niej, a potem wyrzucić. Do niczego już więcej nie była jej potrzebna.

Obok kontenera czekała już ekipa, która miała jej w tym pomóc. Pięciu mężczyzn w ubraniach roboczych, z których dwóch paliło papierosy. Podeszła do nich, przywitała się i otworzyła im drzwi. Zdziwiałe, że jej stary klucz jeszcze pasował.

– Wszystko mamy wyrzucić? – spytał jeden z mężczyzn. – Nic pani nie chce sobie zostawić?

– Wszystko – odpowiedziała. – Do gołych ścian. Co się nie zmieści do kontenera, zostawcie pod garażem i przyjeździe po to jeszcze raz. Jeśli znajdziecie jakieś pieniądze lub biżuterię, są wasze.

Mężczyźni spojrzeli na siebie zdziwieni, lecz z tym większą ochotą wzięli się do pracy. Nie weszła razem z nimi do środka.

Dom był stary, jeszcze poniemiecki. Niezbyt duży, z czerwonej cegły. Dach nigdy nie był zmieniony, tylko naprawiany. Ciemne, bardziej brunatne już niż czerwone dachówki gdzieś porośnięte były mchem. Tylko okna wymieniono na nowe. Brzydki, biały plastik nieprzyjemnie kontrastował z nobliwym wyglądem całości.

Odwróciła się od tego widoku. Jeszcze chwila i pojawią się wspomnienia, a do niczego nie było jej to potrzebne. Wolała patrzeć na jezioro. Rozciągało się w dole, jakieś sto metrów od niej. Tego krajobrazu też jej brakowało w Warszawie.

Seredyńska słyszała za sobą rumor wyrzucanych do kontenera przedmiotów. Meble były wcześniej rąbane na kawałki, by zajmowały mniej miejsca. Większość z nich miała mniej więcej tyle lat, co ona. Coś mimo wszystko ścisnęło ją w dołku, gdy to słyszała. Dziś, gdy wieczorem wróci do domu, do swojego nowego, warszawskiego mieszkania, z którym łączą ją tylko dobre wspomnienia i które kupiła dzięki własnej ciężkiej pracy, napije się wina. Być może nawet opróżni całą butelkę. Jutrzejszy kac będzie ostateczną cezurą oddzielającą ją od tego wszystkiego.

Tak, to był dobry plan.

Na razie z braku lepszego zajęcia wodziła wzrokiem po panoramie, która rozciągała się przed nią, a którą tak dobrze przecież знаła. Za jeziorem, przypominającym stąd bardziej rzekę, wznosiły się morenowe wzgórza porośnięte lasem. Z prawej strony widać było ujście rzeki, tej samej, nad którą dziś spacerowała. Z drugiej strony, na lewo, lecz tego nie dało się już z tego miejsca dostrzec, rzeka wypływała z powrotem z jeziora i zniknęła między lasami. W ogóle znacznie mniej było stąd teraz widać niż kiedyś. Gdy była nastolatką, mogła ogarnąć spojrzeniem ze swojego okna na poddaszu całą okolicę. Dziś byłoby to już niemożliwe. Drzewa, także te, które rosły na skarpie opadającej łagodnie od domu w stronę jeziora, rozrosły się i zasłoniły większość widoku. Poczła nagle złość i chęć wykarczowania tych wybujałych chwastów, lecz po chwili zreflektowała się, że to już nie jest i nigdy nie będzie jej problem.

Hałas dobiegający z tyłu sprawiły, że usłyszała samochód dopiero, gdy podjechał niemal przed dom. Duży terenowy nissan zatrzymał się tuż przy niej. Wysiadł z niego Zagoński.

Wiedziała przecież, że przyjedzie, lecz mimo wszystko zareagowała na jego widok czymś w rodzaju podskórnej niechęci. Ten człowiek irytował ją, choć nie do końca zdawała sobie sprawę dlaczego. Może chodziło po prostu o to, że był przyjacielem jej ojca. To wystarczyło, by go nie lubiła.

– Naprawdę szkoda, że nie zechciała pani uczestniczyć w naszym małym pożegnaniu – zaczął, gdy podszedł do niej. – Było bardzo miło.

– Nie wątpię – odparła. – Lecz zbyt wiele widziałam już w swoim życiu trupów, by czerpać przyjemność ze styp.

Zagoński uniósł brwi.

– Można wiedzieć, gdzie się pani aż tyle tych trupów naoglądała? – spytał.

– Jestem prokuratorem – odparła. – Specjalizuję się w sprawach dotyczących zabójstw. Ojciec panu nie mówił?

Po twarzy Zagońskiego przemknął wyraz zaskoczenia. Odniosła przy tym wrażenie, że nie było to zaskoczenie zbyt przyjemne.

– Nie, nie wspominał o tym – odparł. – Rzadko o pani mówił. Podobnie jak o innych osobistych sprawach – dodał po chwili, jakby zrozumiał, że jego słowa mogły sprawić jej przykrość. Albo jakby chciał ją zranić świadomie i próbował zamaskować potem swoją intencję.

– Ja również nie rozповідаłam o nim na prawo i lewo. – Wzruszyła ramionami. – Jak się pan zapewne zdążył domyślić, relacje między nami nie były nadmiernie rozbudowane. Pan jednak był podobno jego przyjacielem, i to dość bliskim, skoro zorganizował mu pan to pożegnanie w zastępstwie, że się tak wyrażę, mnie. Nie spytał pan go nigdy o to, co porabia jego jedyna córka?

Zagoński uciekł spojrzeniem w kierunku jeziora.

– Mężczyźni nie mają w zwyczaju, tak jak wy, kobiety, plotkować wciąż o rodzinie – odpowiedział z nutą złośliwości. – Poza tym wiedziałem, że to dla niego drażliwy temat, więc wołałem go nie poruszać.

Poczekala, aż znów na nią spojrzy, i uśmiechnęła się chłodno.

– Dobrze, skoro więc jestem kobietą i lubię plotkować, proszę dać ujście mojej plotkarskiej naturze. O czym więc wy, mężczyźni, rozmawiacie, skoro już zostajecie przyjaciółmi?

Popatrzył na nią uważnie. Niemal widziała, jak zmienia się jego nastawienie do niej. Nie on pierwszy dał się nabrać na jej dziewczęcy ciągle wygląd. I zdaje się właśnie zrozumiał, że ta szczupła, młoda kobieta o długich rudych włosach jest przeciwnikiem, w stosunku do którego warto być co najmniej ostrożnym.

– Nie będę ukrywał, że nasza zażyłość nie była już ostatnio tak wielka, jak kiedyś. Odkąd pani ojciec wrócił tu po przejściu na emeryturę, spotykaliśmy się tylko okazjonalnie.

– A jednak zdecydował się pan wyprawić mu stypę. Co więcej, z tego, co wiem, próbował pan wcześniej zorganizować mu też pogrzeb. Z pewnym zdziwieniem dowiedziałam się o tym, gdy sama się tym zajmę. To nieco dziwne, biorąc pod uwagę to, co właśnie mi pan powiedział.

– Och, zrobiłem to przez wzgląd na stare czasy – odparł. – Te, o których, z tego, co ja z kolei wiem, woli pani nie pamiętać.

Ubodły ją jego słowa. I to bardziej, niż mogła się tego spodziewać. Właśnie takie wspomnienia nie były jej do niczego potrzebne.

ROZDZIAŁ 6

Całe szczęście przed dom podjechały właśnie kolejne dwa samochody. Z pierwszego, starego opla astry, wysiadła agentka biura nieruchomości; z drugiego, czarnego lexusa, ubrany w ciemny garnitur mężczyzna po czterdziestce.

– Świetnie, widzę, że wszyscy są już na miejscu. – Agentka przywitała się z nimi uściskiem dłoni. – Możemy więc, po pewnych perturbacjach, przejść w końcu do rzeczy. Może wejdziemy do domu? Będzie nam wygodniej.

– Wolałabym zostać tutaj – odparła Seredyńska. – Podpisać papiery można i na dachu samochodu.

– Jak pani woli – odpowiedziała kobieta. – Tak jak żeśmy ustalali, rezygnujemy z umowy przedwstępnej i od razu podpisujemy akt notarialny. Ściągnięcie tu pana Marka nie było łatwe – wskazała na stojącego obok mężczyznę w garniturze – lecz jak się okazało, nie ma rzeczy niemożliwych.

Mężczyzna skłonił głowę w geście przywitania.

– Z prawnego punktu widzenia nie ma oczywiście przeciwwskazań dla takiej formy podpisania aktu, choć przyznam się, że po raz pierwszy z czymś takim się spotykam – powiedział. – Ale skoro śluby można już brać poza urzędem stanu cywilnego, w hotelu albo nawet na łące... – Uśmiechnął się, wciąż jednak zachowując urzędniczą powagę. – W każdym razie przygotowałem stosowny akt na podstawie dostarczonych przez państwa uprzednio dokumentów. – Wyciągnął ze skórzanej aktówki teczkę opatrzoną godłem państwowym. – Procedura przewiduje odczytanie go w obecności wszystkich zainteresowanych stron. Jeśli nie zgłoszą państwo żadnych zastrzeżeń do jego treści, dokument zostanie podpisany i nabierze mocy prawnej. Po odpisy muszą się już państwo zgłosić do kancelarii, chyba że zlecimy ich wysyłkę pocztą.

– Od razu poproszę o wysyłkę – stwierdziła Seredyńska. Nie miała zamiaru tu przyjeżdżać po raz drugi.

– Oczywiście. – Notariusz ponownie skłonił głowę. – A zatem przystępuję do odczytania aktu...

Wycwiczonym głosem, z nienaganną dykcją zaczął czytać treść dokumentu. Słuchała tego jednym uchem, zwróciła tylko uwagę, czy cena się zgadza. Po chwili jej myśli ukołysane monotonnym potokiem słów odpłynęły. Przypomniała sobie księżyc w pełni krążący nad jeziorem i siebie w oknie swojego pokoju na poddaszu, przyglądającą mu się przez myśliwską lornetkę ojca. Wielka, srebrna, wykrzywiona bólem twarz odbijała się od czarnej tafli wody. Odczuła nagle ogromny żal, że nigdy już nie będzie mogła tego zobaczyć.

Odwróciła się i rzuciła okiem na tamto okno. Cień firanki za szybą przypominał ludzką sylwetkę. Jakby ona sama tam ciągle stała i patrzyła na siebie tutaj.

Kurwa, pomyślała. Zrobiła właśnie dokładnie to, czego tak bardzo starała się uniknąć. Pozwoliła sobie być sentymentalna. Musi wziąć się w garść.

– Przepraszam, że przerywam – usłyszała nagle głos Zagońskiego.

– Coś się nie zgadza? – spytał wybity ze swego rytmu notariusz.

– Nie, nie, w akcie jest wszystko w porządku – odparł Zagoński. – Chodzi mi o to. – Wskazał palcem w stronę kontenera. Mężczyźni wyrzucający śmieci ułożyli właśnie na ich samej górze dwa poroża jeleni przytwierdzone do drewnianych tableau.

– W czym jest problem? – spytała. Usłyszała we własnym głosie wrogość. Napięcie, które odczuwała w związku z tym niechcianym powrotem do przeszłości, naciągnęło ją jak strunę.

– Chciałbym je zatrzymać – odpowiedział Zagoński. – Te trofea myśliwskie. To piękne okazy, szkoda by było je wyrzucać. Pamiętam, jak pani ojciec je upolował. Dwa byki w jedną noc. Jeden z nich to czternastak. Wspaniałe osiągnięcie.

– Nie – odparła stanowczo. – Wszystko z domu ma zostać wywiezione. Kupuje pan tylko ściany. Je też najchętniej by zburzyła.

Spojrzał na nią z rodzajem twardego błysku w oku. Nie wydawał się człowiekiem nawykłym do sprzeciwu.

– Dobrze – odparł po chwili. – Nie ma sprawy. W takim razie podpiszmy wreszcie ten akt.

Wiedziała, o co mu chodzi. Gdy to zrobią, on stanie się właścicielem budynku, działki i wszystkiego, co na niej jest, a kontener ze śmieciami wciąż znajdował się w jej obrębie. Zirykowało ją to. Teraz tym bardziej nie miała zamiaru oddać mu tych poroży.

– Nie – powtórzyła. – Poczekamy, aż to wywozą. Panowie zdaje się niedługo już kończą. – Mężczyźni rzeczywiście uwijali się wyjątkowo szybko. – Ogłaszam pół godziny przerwy.

I nie czekając na ich reakcję, ruszyła w stronę domu.

Zrobiła to, by nie musieć tam z nimi stać, ale też dlatego, że wbrew wszystkiemu, co sobie wcześniej postanowiła, poczuła nagle trudny do opanowania impuls, żeby tam wejść po raz ostatni. Zapewne gdyby Zagoński nie wyskoczył nagle z tymi głupimi porożami, nie byłoby problemu. Wysłuchałaby do końca recytacji, złożyła podpis i odjechała spokojnie do Warszawy. Dałaby radę to powstrzymać. Ale nie, musiał to zrobić. Jakby trącił rękę trzymającą pistolet z palcem zbyt mocno naciskającym na spust. No to sobie teraz poczeka.

Weszła do domu.

W pierwszej chwili pożałowała tego pochopnego gestu. W powietrzu unosił się gruby kurz. Poczowała, że nie może oddychać. Pomieszczenia były puste, przypominały wypatroszone klatki piersiowe gigantycznych zwierząt. Na ścianach widać było cienie po obrazach i meblach, na podłodze wały się śmieci. Jedno było dobre, że nie przypominało to już domu, który zapamiętała z dzieciństwa i młodości. Ledwo rozpoznawała pomieszczenia, zupełnie inne bez wypełniających je wcześniej przedmiotów.

Szła dalej przez kolejne pokoje, czuła się trochę jak we śnie. W domu panował półmrok, jakby nagle zaszło słońce. Szyby były brudne, chyba niemyte od lat.

Jeszcze chwila i spotka tu cienie swojego ojca i matki, odbite na ścianach obok obrysów szaf i regałów. Naprawdę niepotrzebnie tu wchodziła, lecz teraz nie mogła już się cofnąć.

Weszła na poddasze. Drewniane schody pod jej stopami skrzypiały i jęczały; odgłos tego niósł się po pustych pomieszczeniach. Tu, na górze, wszystko było z drewna: podłoga, ściany, belki konstrukcji dachu. Odpadający gdzieś tynk odsłaniał trzciny z pobliskiego jeziora użyte przez budowniczych w charakterze izolacji.

Dotarła wreszcie do swojego pokoju. On też był już pusty. W tej odsłonie przypominał bardziej celę lub klatkę. Nawet nie mogła sprawdzić, czy ojciec zachował jej stare meble, czy jej łóżko, jej regał na książki, jej biurko dosunięte aż pod samo okno, wciąż tu dziś rano jeszcze stały, zanim rozprawiła się z nimi wynajęta przez nią ekipa.

Podeszła do okna. Szyby były tu brudniejsze nawet niż na dole. Sięgnęła do klamki i rozchyliła jego skrzydła na oścież, rozrywając oblepiające je pajęczyny. Do środka wtargnęło świeże, ciepłe, wiosenne powietrze. Odetchnęła nim głęboko.

Widok był, tak jak się tego spodziewała, nie tak spektakularny jak kiedyś. Większość jeziora zasłaniały korony drzew. Spojrzała w dół, na ogród. Nigdy nie był specjalnie zadbany, lecz teraz zarósł jeszcze bardziej. Soczysta, czerwcową zielenią buchała z każdego jego kąta. Zagoński będzie musiał włożyć sporo pracy w uporządkowanie tego szaleństwa.

Nagle jej wzrok spoczął na skrawku wolnej od krzewów ziemi niedaleko płotu. Zieleni zdziczałego trawnika była w tym miejscu wyraźnie inna, jakby o odcień jaśniejsza. Przyjrzała się temu uważniej. Ten fragment ogrodu znajdował się w samym rogu posesji. Od strony drogi zasłaniał go dawno nieprzycinany żywopłot, a od sąsiedniej działki oddzielał duży i rozrośnięty krzak leszczyny. Zaciszne miejsce ukryte

przed wzrokiem postronnych. Plama innego koloru była długa i wąska, przypominała kształtem coś, co niedawno widziała.

Zeszła na dół i ruszyła do ogrodu, zatrzymując po drodze gestem dłoni próbującą do niej podejść agentkę biura nieruchomości. Odnalazła miejsce, które widziała z okna na poddaszu. Odwróciła się i rozejrzała. Stojąc tu, była zupełnie niewidoczna dla ludzi patrzących z zewnątrz. Można ją było dostrzec tylko od strony domu. Podeszła bliżej. Jaśniejszy kolor trawy był nieco gorzej widoczny, lecz wciąż można go było zobaczyć. Obejmował obszar o długości około dwóch metrów. Po chwili zrozumiała, dlaczego różnica odcieni była stąd słabiej rozpoznawalna. Brała się ona nie tylko z odmiennego nasycenia żółteń zieleń, lecz też z innego kąta padania na nie promieni słonecznych. Trawa o jaśniejszym kolorze rosła bowiem w płytkim zagłębieniu.

Niemal wstrzymała oddech, gdy to sobie uświadomiła. Była prokuratorem, wiedziała, co to jest.

Zapadnięty, stary grób.

ROZDZIAŁ 7

Do stojących już na poboczu samochodów dołączył radiowóz. Policjant, któremu pokazała miejsce w rogu działki, wydawał się sceptyczny.

– Jest pani pewna? – spytał. – Może to po prostu zwykłe wgłębienie? Ludzie w ogródkach różne rzeczy robią.

– Kształt i rozmiar odpowiadają wymiarom ludzkiego ciała – wytłumaczyła. – Inny odcień roślinności świadczy o tym, że warstwy gleby zostały przemieszane i ta trawa rośnie teraz na innym podłożu niż ta obok. Musi pan wezwać prokuratora i ekipę techniczną.

Jezu, jak żałowała, że jest poza swoim rejonem i nie może sama tym pokierować...

– Naprawdę jest inny? – Policjant przekrzywił głowę, jakby chciał lepiej się przyjrzeć.

– Jest. – Sreedyńską zaczynała już ogarniać irytacja. – Z góry to widać jeszcze wyraźniej.

– Miała już pani kiedyś z czymś takim do czynienia? – spytał.

– Nie, nie miałam – musiała przyznać. Coś takiego o dziwo ją dotychczas ominęło. – Lecz literatura kryminalistyczna pełna jest opisów i zdjęć tego typu miejsc.

– Może ktoś, nie wiem, zakopał tu psa? – Policjant wciąż nie był przekonany.

– Musiałby to być wyjątkowo ogromny pies – odpowiedziała już niemal przez zęby. – Nie sądzę, by żyły gdzieś na świecie takie. Ale być może ma pan rację. Nie dowiemy się jednak tego, jeśli tego nie sprawdzimy.

– Przepraszam... – usłyszała głos agentki biura nieruchomości. Odwróciła się. Kobieta stała w bezpiecznej odległości kilku metrów od nich.

– Słucham? – prawie warknęła.

– Pan Marek musi już jechać. Ma umówione kolejne spotkania. Moglibyśmy dokończyć to, co zaczęliśmy? Zostało już bardzo niewiele...

Przymknęła powieki. Bardzo nie chciała powiedzieć tego, co za chwilę powie, lecz chyba nie miała wyjścia. Cały jej plan załatwienia wszystkiego szybko i równie szybkiego powrotu do normalnego życia szedł się właśnie paść na obsrane łąki.

– Nie sądzę, by w obecnej sytuacji było to możliwe – powiedziała. – Musimy przełożyć podpisanie aktu do czasu wyjaśnienia tej sytuacji.

Teoretycznie nie było żadnego przepisu zabraniającego sprzedaży miejsca ujawnienia zwłok, lecz w obecnych okolicznościach wolała jednak wciąż pozostawać jego właścicielką.

– Oczywiście, rozumiem – odpowiedziała agentka. – Czy w takim razie możemy już jechać? Ja też mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia.

Powinien być tu miejscowy prokurator i to on powinien podjąć tę decyzję. Ci ludzie byli w końcu świadkami, choć trzeba przyznać, że nie mieli wielkich szans, by widzieć zbyt dużo.

– Możecie. – Kiwnęła głową. – Proszę zostawić tylko policji namiary na siebie.

Kobieta odeszła. Po chwili dał się słyszeć odgłos odjeżdżającego samochodu.

Teraz zamiast niej pojawił się szef ekipy sprzątającej.

– Tak, wy też możecie już jechać – odpowiedziała na niezadane jeszcze pytanie. – Kontener oczywiście zostaje.

Policjant spojrział na nią, jakby nie sądził, by było to konieczne.

– To jak, starszy aspirancie? – Teraz z kolei to ona spojrziała na niego. – Wzywamy techników czy mam sama rozkopać ten grób, niszcząc przy okazji wiele cennych śladów?

Policjant przeniósł znowu spojrzenie na prostokątny kawałek gruntu. Widać było, że nie wie za bardzo, co zrobić.

– Ma pani jakiś inny dowód, że leżą tam ludzkie zwłoki? – spytał. – Ktoś pani o tym powiedział albo może, nie wiem, znalazła pani jakąś wskazówkę w tym domu?

– Nie – odpowiedziała. – Lecz jestem pewna, że to grób.

– Bo, jak pani twierdzi, trawa ma inny kolor?

– Bo tak wyglądają miejsca, w których ktoś zakopał ludzkie ciało. – Starła się bardzo, by trzymać nerwy na wodzy. Gdyby to był jej rejon i jej śledztwo, po prostu by go opierdoliła, wiedziała jednak, że w tej sytuacji nie bardzo jest to wskazane. – Zwłoki po mniej więcej roku ulegają rozkładowi, grunt osiada i tworzy się bardzo charakterystyczne wgłębienie. Roślinność ma inny odcień, bo wierzchnia, bogata w składniki odżywcze warstwa, została naruszona, więc jej korzenie korzystają z uboższego zestawu składników odżywczych. Wiem, że nie musi się pan na tym znać, lecz ja jestem prokuratorem, badałam już sprawy zabójstw i mam sporą wiedzę na ten temat.

– Hm. – Policjant odsunął czapkę na tył głowy. – Zróbmy w takim razie tak: zabezpieczymy teren i powiadomimy prokuraturę. Niech oni podejmą decyzję, co dalej.

Westchnęła z mieszaniną ulgi i rezygnacji. Dobre i to, choć wołałaby natychmiast ruszyć sprawę.

– Ale to dopiero jutro – dodał. – Bo jest już po siedemnastej. – Spojrzał wymownie na zegarek.

– Nie macie tu, kurwa, dyżurów prokuratorskich?! – Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Mamy – odparł spokojnie. – I gdyby faktycznie ujawniła tu pani zwłoki, na pewno natychmiast ktoś by do tego przyjechał. Ale pani co najwyżej zgłasza takie podejrzenie, a to moim zdaniem może spokojnie poczekać.

Zabezpieczenie terenu oznaczało po prostu odgrózenie rogu posesji za pomocą policyjnej taśmy.

– Nie zostawi tu pan nikogo? – spytała policjanta, który ładował się już do radiowozu.

Spojrzał na nią, jak się patrzy na brzęczącą muchę.

– Jest nas tylko dwóch na komisariacie – odpowiedział. – Więc sama pani rozumie, że nie bardzo mam taką możliwość.

– Ktoś jednak powinien tego pilnować. – Sereżyńska nie odpuszczała.

Policjant miał zdaje się ochotę westchnąć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Pani prokurator – odparł. – Nie wiem, czego naogładała się pani w Warszawie, na pewno widziała pani straszne i spektakularne zbrodnie, ale to jest spokojna okolica i szczerze powiedziawszy, nie sądzę, by ten kawałek gruntu skrywał cokolwiek więcej poza kamieniami. Sam mam taki dom i taką działkę, więc wiem, że podobne wgłębienie mogło powstać z dziesiątków przeróżnych powodów, a zakopanie ludzkich zwłok jest najmniej prawdopodobnym z nich. Sprawdzimy to oczywiście, skoro się pani tak bardzo upiera, ale jutro i na spokojnie, okej? A jak pani chce, niech pani sama tego pilnuje – dodał już mniej uprzejmie i wsiadł do radiowozu.

– Chwileczkę! – Chwyciła za drzwi samochodu. Omal jej szlag nie trafił na tę arogancką przemowę, lecz powstrzymała się przed adekwatną odpowiedzią. – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Słucham? – Nie patrzył na nią. Jego ton głosu i mowa ciała świadczyły wyraźnie, że chciałby, by już mu dała wreszcie spokój.

– Czy w tej pana spokojnej okolicy zaginał ktoś ostatnio? – Nie mogła się powstrzymać przed tą lekką złośliwością.

– Jak bardzo ostatnio? – spytał.

– W ciągu, powiedzmy, ostatniego miesiąca – odpowiedziała.

– Mówiła pani, że to hipotetyczne ciało leży tam co najmniej od roku – zauważył.

– Nie mówimy teraz o nim – odparła.

- Znalazła pani jeszcze jakieś zwłoki? - Uniósł ironicznie brew. - Nie, nie otrzymaliśmy takiego zgłoszenia.

- Może był jakiś wypadek, ktoś umarł lub zginął w lesie lub w jego pobliżu, a ciało, gdy je odkryto, było niekompletne? - drażyla dalej.

Popatrzył na nią jak na wariatkę.

- Sugeruję, by wróciła już pani do naszej pięknej stolicy - rzucił z nutą sarkazmu w głosie. - Tam pani kompetencje, dociekliwość i wyobraźnia na pewno bardziej się przydadzą. Nie, nic takiego nie miało u nas miejsca.

Zatrzasnął drzwi i odjechał.

ROZDZIAŁ 8

Została sama. Zbliżał się wieczór. Do zachodu słońca zostały chyba jeszcze z dwie godziny, lecz ciężkie chmury sprawiały, że już robiło się ciemno. Znad niedalekiego jeziora dochodził odgłos kumkania żab. Było burzowo i duszno.

Zamrugła powiekami. Co tu się w ogóle wydarzyło? Dopiero teraz miała szansę spróbować to jakoś ogarnąć. Przyjechała tu przecież tylko na pogrzeb, miała załatwić wszystko i odjechać. I na zawsze zapomnieć o tym miejscu. Ewidentnie się to nie udało.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła osiemnasta. Mogła jeszcze wsiąść w samochód i wrócić do Warszawy. Popatrzyła na prostokątne miejsce pod płotem. Może ten policjant miał rację? Może to wcale nie był zapadnięty grób? Może tyle się naogładała zwłok i miejsc zbrodni, że już zaczęła widzieć je tam, gdzie ich wcale nie było? Muzycy wszędzie słyszą melodie, a ona wszędzie widziała poszlaki. Pewnie tak samo było z tamtym niby palcem. Przecież nie była nawet pewna, czy go naprawdę widziała.

Odwróciła się i spojrzała na dom. Wybebeszony, z pustymi, ciemnymi oczodolami okien sam wyglądał jak trup. Zrobiło jej się go żal, jak człowieka. Chciała go sprzedać, pozbyć się go, a teraz coś ścisnęło ją w dołku na ten widok. Kurwa mać.

Poczuła się nagle straszliwie samotna i nie bardzo wiedziała, co z tym zrobić. Jej ojciec umarł, dopiero teraz to do niej dotarło. Zniknął z jej życia już bardzo dawno, lecz przecież wciąż był jej ojcem. Jednym z dwójki ludzi, którzy złożyli się na jej życie. A teraz nie żył. Gdy twój rodzic umiera, ty jesteś następny w kolejce. Następny w kolejce do grobu.

Odegnęła od siebie te bezproduktywne rozważania. Musi znowu zacząć myśleć rozsądnie. Podjąć jakąś decyzję. Ma wracać czy zostać, by tu wszystkiego dopilnować? Jutro nie musiała iść do pracy. Urlop okolicznościowy z powodu śmierci krewnego pierwszego stopnia wynosi dwa dni, a ona wykorzystała na razie tylko jeden. Co prawda planowała spędzić go w nieco inny i nie do końca związany z tą okolicznością sposób, ale trudno.

Jeszcze jedną rzecz poczuła. Głód. Ostatni posiłek spożyła przecież jeszcze w Warszawie. Przez chwilę wręcz pożałowała, że nie poszła na tę całą stypę. Myśl o gorącym rosole i dymiącym schabowym z ziemniakami nie była już taka odstręczająca.

Tak, gdy nie wiadomo, co zrobić, zawsze można przecież coś zjeść. Czy ma dziś wracać, czy nie, powinna wcześniej zaspokoić głód. Może ta restauracja przy cmentarzu była jeszcze czynna.

Wsiadła do samochodu. Ruszyła, starając się już nie patrzeć na ten przeklęty dom. Nagle przed maską jej auta przemknął jakiś rudy kształt. Wcisnęła odruchowo hamulec. Jakieś zwierzę przebiegło przez ulicę i zniknęło w krzakach po jej drugiej stronie. Lis? To była jej pierwsza myśl, pierwsze skojarzenie. Czy to możliwe? Wyglądało to, jakby uciekał z terenu działki, na której stał dom.

Szlag by to trafił. Znowu nie była pewna. Ledwo to zarejestrowała, nie zdążyła się przyjrzeć. Lis, tutaj? Niby było to możliwe, zwierzęta leśne czasem tu zaglądały, ale żeby teraz, znowu? Myśl, że był to ten sam lis, którego spotkała nad rzeką, była absurdalna, lecz mimo to przegalopowała jej po głowie, zanim zdążyła ją spacyfikować. Może to był kot? Koty też przecież bywają rude. I w okolicy musi ich być dość sporo.

Poczuła, że wciąż wciska nogą pedał hamulca. Kłykie jej dłoni zaciśniętych na kierownicy aż zbieleły od kurczowego jej trzymania. Całe ciało miała napięte. Tak, to kot, na pewno kot. Musi przestać wariować. Zwolniła hamulec i rozluźniła uścisk rąk. Potem odetchnęła głęboko. Naprawdę niepotrzebnie tu przyjeżdżała.

Ruszyła z powrotem do przodu. Powoli, jakby wciąż uczyła się jeździć. Zdecydowanie musi sobie zrobić przerwę, zresetować jakoś myśli. Solidna kolacja może w tym pomóc. Szkoda, że bez wina, ale samo

jedzenie też powinno wystarczyć. Krew odpłynie z mózgu do żołądka i tak dalej. Może jej obecne rozedrganie brało się między innymi stąd, że nie dostarczała dziś swojemu organizmowi prawie żadnych składników odżywczych.

Po kilku minutach zajechała pod restaurację. Za jej dużymi oknami paliło się światło, lecz w środku było całkiem pusto. Wsiadła z samochodu i weszła do środka.

Przywitała ją cisza. Na złączonych stołach stały jeszcze niesprzątnięte pozostałości niedawnego posiłku. W powietrzu unosił się zapach wystygłego jedzenia. Coś ponownie ścisnęło ją w żołądku, i to nie z głodu. Jakoś nie pomyślała, że trafi tu na resztki stypy po swoim ojcu, choć przecież mogła się była tego spodziewać.

- Tak? - Niewysoka i dość korpulentna kobieta wyszła do niej z zaplecza. Wycierała sobie ręce ściereczką.

- Chciałabym coś zjeść - powiedziała Seredyńska, choć w zasadzie już wcale nie miała na to ochoty.

- Dziś już mamy zamknięte. - Kobieta zrobiła zbolowaną minę. - Przykro mi, kochana. Mieliśmy tu małą uroczystość i teraz już tylko sprzątam.

- W porządku - odparła. - Nie ma sprawy.

Poczuła nawet pewną ulgę, że nie będzie musiała tu siedzieć. Wśród tych wszystkich resztek martwych zwierząt złożonych w ofierze jej martwemu ojcu.

- Zaraz, zaraz. - Kobieta przyjrzała jej się uważniej. - A pani nie jest córką naszego nieboszczyka? - spytała. - Pamiętam panią jeszcze ze szkoły. Chodziłam dwa lata wyżej. - Naprawdę ta stateczna matrona była od niej tylko o dwa lata starsza? - Dlaczego nie była pani na stypie? Było naprawdę bardzo miło.

Znowu to samo pytanie. Powoli zaczynała żałować, że nie przyszła. Przynajmniej nie musiałaby wciąż na nie odpowiadać.

- Musiałam załatwić jeszcze parę spraw związanych z pogrzebem - skłamała. - Jechałam prosto z Warszawy i nie zdążyłam wszystkiego zrobić przed.

- A, rozumiem. - Restauratorka pokiwała głową z nie do końca przekonaną miną. - Ale to nic straconego - ożywiła się nagle. - Siadaj, kochana, zaraz ci coś odgrzeję. Mam pyszne roladki z dzika nadziewane boczkiem i cebulką, zostało mi jeszcze parę.

I nie czekając na odpowiedź, zniknęła w kuchni.

ROZDZIAŁ 9

Seredyńska została z powrotem sama. Powiodła spojrzeniem po półmiskach pełnych niedojedzonych sałatek i wędlin, po pustych butelkach, szklankach i kieliszkach z resztkami różnych alkoholi. Nie tak wyobrażała sobie ten wieczór. Miała go spędzić przy czerwonym winie, siedząc na swojej kanapie i jedząc przywiezione przez kuriera indyjskie albo tajskie żarcie. Cóż, teraz jednak głupio byłoby stąd wyjść. Poza tym była naprawdę głodna. Znalazła stolik przy oknie położony jak najdalej od tego gastronomicznego pobjowiska na środku sali i usiadła przy nim twarzą do szyby.

Kobieta wróciła po chwili z zaplecza i postawiła przed panią prokurator talerz dymiącego jedzenia. Dwie roladki z ciemnego mięsa w sosie, odsmażone ziemniaki i surówkę z kiszzonej kapusty. Wyglądało to naprawdę dobrze. Pachniało też nie najgorzej.

– Tego dzika przekazało koło łowieckie – powiedziała i usiadła na krześle przy stoliku obok. – Wędliny też są od nich. Pani ojciec był ich członkiem przez wiele lat, ale to pewnie pani wie. To bardzo miły gest z ich strony, nie sądzi pani? Zwłaszcza że ostatnio nie byli chyba w najlepszych stosunkach.

– Tak, niewątpliwie – odparła Seredyńska. Nie miała ochotę na rozmowy, zwłaszcza teraz. Chciała zjeść w spokoju i zebrać myśli.

– Lubi pani dziczyznę? – Kobieta najwyraźniej miała zupełnie inny pomysł na jej posiłek. – Ja bardzo. Jak się ją odpowiednio przyrządzi, jest naprawdę świetna. Tylko trzeba do niej dodać coś tłustego, boczek albo słoninę, bo mięso dzikich zwierząt jest dość chude. I śmietana też się przydaje.

Nie odpowiedziała, mając nadzieję, że to milczenie zniechęci w końcu jej towarzyszkę. Zamiast tego odkroiła kawałek roladki i włożyła go sobie do ust. Rzeczywiście była bardzo dobra. Mięso było intensywne w smaku, nieco jakby dymne, lecz boczek i śmietanowy sos łagodziły jego suchość i wyrazistość.

– Pyszne – powiedziała wbrew swojemu wcześniejszemu postanowieniu.

– Prawda? – Kobieta ucieszyła się z tej pochwały. – Zawsze mówiłam, że dziczyzna to najlepsze mięso, szlachetne. Trzeba tylko umieć się z nim obchodzić.

Teraz już pilnowała się, żeby nie odpowiedzieć.

– Szkoda, że pani ojciec umarł tak szybko po przeprowadzce w rodzinne strony – ciągnęła niezrażona kobieta. – Niecałe dwa lata tu pomieszkał. Nie nacieszył się tą swoją emeryturą, oj, nie nacieszył...

Zamilkła zadumana własnymi słowami. Seredyńska wykorzystała to, by zjeść kolejny kawałek roladki. Gdyby tylko ta baba tu nie siedziała... Mogłaby wtedy na spokojnie zastanowić się, co dalej.

– Ale to dziwna sprawa z tym pogrzebem. – Kobieta uruchomiła się znowu. – Nie sądzi pani? Pierwszy raz o czymś takim słyszałam... Żeby pomylić dni?

Seredyńska znowu nie odpowiedziała. Raz, że nie miała zamiaru zachęcać swojej rozmówczyni do dalszych wywodów, a dwa, że miała usta pełne jedzenia. Choć gdyby chciała, mogłaby zauważyć, że nie takie rzeczy się zdarzały. Zakłady pogrzebowe myliły nie tylko dni, ale i nieboszczyków. Jeden z jej znajomych prokuratorów zajmował się kiedyś podobną sprawą.

– Tym bardziej, że ciało pani ojca podobno było już przygotowane w zakładzie – ciągnęła dalej kobieta. – To jak mogli pomylić dni?

Seredyńska przestała nagle jeść. Spojrzała na kobietę.

– Skąd pani o tym wie? – spytała.

– Ci grabarze też tu byli – odpowiedziała. – Siedzieli nawet przy tym samym stoliku, co pani teraz. Muzyków na weselach też przy nim sadzam, bo jest najbardziej na uboczu. Jeden z nich coś takiego powiedział.

- Mówił coś jeszcze? - spytała Seredyńska, dopiero teraz przelykając.

- Na pewno nie przy mnie - odpowiedziała kobieta. - Ja to tylko tak, w biegu usłyszałam. Jak jest taka impreza, to człowiek nie wie, w co ręce włożyć.

- Skąd jest ten zakład pogrzebowy? - spytała. - Stąd?

Nie wiedziała tego, bo kiedy zadzwoniono do niej z informacją o śmierci ojca, jego ciało już w nim było, a ona miała wtedy zbyt dużo do załatwienia, by się tym interesować. Uznała po prostu, że jeden kłopot ma z głowy.

- A stąd, miejscowy. - Kobieta kiwnęła głową. - „Hades” się nazywa. Dziwna nazwa na coś takiego, nie sądzi pani? Może nie byłam orłem w szkole, ale pamiętam, że Hades to coś w rodzaju piekła, prawda?

Seredyńska zignorowała te rozważania.

- Zna pani szefa? - spytała.

- A pewnie, tu się wszyscy znają. Nazywa się Lewczuk. Też należy do koła łowieckiego. Tu zresztą prawie wszyscy należą.

- Wszyscy mężczyźni?

- No, może trochę przesadziłam. W każdym razie ci najważniejsi. On, lekarz, Zagoński, właściciele różnych firm i zakładów. Nawet poprzedni proboszcz należał, bo ten nowy to już nie. Wykłada w seminarium w Olsztynie i jest z tych bardziej delikatnych. Ale ten poprzedni to żadnego zbiorowego polowania nie odpuścił. A na hubertusie to nawet mszę odprawiał. W Anglii mają pola golfowe, a u nas jest koło łowieckie. To taki nasz klub dla elit.

- I oni to wszystko zorganizowali? - spytała.

- Tak, oni. Chociaż zapłacili mi Zagoński. Ale na przykład alkohol i napoje były od właściciela sklepu, Nieradkiewicza.

Zapamiętała te wszystkie nazwiska.

- Mówiła pani, że mój ojciec nie był z nimi w najlepszych stosunkach. Dlaczego?

- To może trochę za dużo powiedziane - odpowiedziała kobieta. - Po prostu nie widywałam go z nimi ostatnio. Zawsze jak mają jakieś imprezy, zebrania koła czy bale, to robią je u mnie, bo niby gdzie? A jego na nich nie było. Jak tu przyjechał zaraz na początku, to jeszcze na jedną przyszedł, ale potem już nie.

- Pokłócił się wtedy z kimś? - dążyła.

- No coś tam było nieprzyjemnego, jakiś dym - przyznała kobieta. - Ale ja to niewiele widziałam - zastrzegła zaraz. - Ciągłe tylko z kuchni i do kuchni, tak mi tylko mignęło.

- A mignęło pani, z kim konkretnie był ten dym?

- Z Zagońskim. O mało się nie pobili. Zwróciłam uwagę, bo wszyscy mówili, że oni kiedyś byli najlepsi przyjaciele. Ale o co chodziło, to nie mam pojęcia.

- I nie zdziwiło pani, że to Zagoński zorganizował mu teraz tę stypę?

- Trochę zdziwiło, ale czy ja tam wiem o wszystkim? - Restauratorka wzruszyła ramionami. - Może się przed śmiercią pogodzili, a może Zagoński przypomniał sobie w chwili ostatecznej ich dawną przyjaźń i puścił wszystko w niepamięć? Kto to może wiedzieć?

ROZDZIAŁ 10

Spojrzała na leżące przed nią na talerzu ledwo napoczęte roladki. Trochę jej się odechciało jeść. Za dużo myśli kłębiło się teraz w jej głowie.

– Dobrze – powiedziała. – Dziękuję za pyszny posiłek. Ile płacę?

– A nie. – Kobieta machnęła ręką. – To już przecież zapłacone, nie będę drugi raz za to samo pieniędzy brać. – Uśmiechnęła się. – Ale chyba nie za bardzo smakowało, bo niewiele pani zjadła... – zatroskała się.

– Smakowało bardzo, ale w taki dzień jak dziś trudno się zmusić do jedzenia, sama pani rozumie.

– Tak, tak, oczywiście – zgodziła się skwapliwie kobieta. – Chociaż muszę pani powiedzieć, że na stypach bywają czasami najlepsze zabawy. Jak już się ludzie nasmuca porządnie na cmentarzu, to potem przy jedzeniu i wódeczce zaczynają się cieszyć, że oni jednak, w odróżnieniu od tego, co go właśnie pochowali, żyją. Ale rozumiem, że każdy to ma indywidualnie.

– Właśnie. – Sereżyńska podniosła się z krzesła.

– A pani to gdzie w tej Warszawie pracuje? – Kobieta nie zamierzała jej najwidoczniej jeszcze wypuszczać. – Bo tu się wszyscy zastanawiali.

– W budżetówce – odparła wymijająco. – Jestem urzędnikiem państwowym. No dobrze, będę już lecieć – ucięła temat. – Nie wie pani, czy można się tu gdzieś zatrzymać na noc? Czy muszę jechać do Olsztyna?

– A można, pewnie. Mamy tu pensjonat nad jeziorem. Przed mostem musi pani skręcić w lewo. Sezon się jeszcze nie zaczął, więc na pewno są wolne pokoje.

Wyszła. Odetchnęła świeżym powietrzem. Było wciąż bardzo ciepło, niemal jak wieczorem we Włoszech czy w Grecji. Mimo iż lato oficjalnie jeszcze nie nadeszło, pogoda panowała iście wakacyjna. Na pobliskim urzędzie gminy Sereżyńska dostrzegła wykonany z lampek bożonarodzeniowy napis „Wesołych świąt”. Nie świecił się, lecz był na tyle duży, że doskonale było go widać. Widocznie władarze gminy uznali, że nie ma sensu za każdym razem go demontować. W połączeniu z tą upalną aurą sprawiało to nieco surrealistyczne wrażenie.

Wsiadła do auta. Położyła dłonie na kierownicy. A więc tak to wszystko wyglądało. Grób w ogrodzie, palec nad rzeką, kłótnia jej ojca z Zagońskim i niewyjaśnione opóźnienie na pogrzebie. Nawet jeśli dwa pierwsze punkty tej listy nie były jeszcze potwierdzone, a dwa ostatnie nie musiały o niczym świadczyć, było tego nieco za dużo, by dało się to zbyć i pominąć. Tak więc nie, nie wróci dziś wieczorem do Warszawy. Musi tu zostać choćby do jutra i przekonać się, co kryje się na posesji domu jej ojca.

Uruchomiła silnik, samochód ruszył z miejsca. Wieczór powoli zapadał, właśnie włączyły się lampy. Ich żółte światło nadało przestrzeni nieco chorobliwy odcień. Było kompletnie pusto, nie dostrzegła ani jednego człowieka. Teraz wyglądało to wszystko dokładnie tak, jak to zapamiętała z dzieciństwa. Jakby nie minęło tych dwadzieścia lat. Jakby wracała z nabożeństwa czerwcowego w pobliskim kościele i postanowiła jeszcze zajść po drodze do sklepu.

Otrząsnęła się z tych wspomnień. Za urzędem gminy skręciła w lewo i ruszyła drogą w stronę rzeki.

Po niecałych dziesięciu minutach zobaczyła napis „Pensjonat Damian. Pokoje nad jeziorem. 50 metrów”. I strzałkę w lewo. Skręciła zgodnie z tą wskazówką.

Droga była wysypana żużlem. Taka sama wiodła kiedyś do ich domu, dopóki gmina nie położyła tam kostki. Opony samochodu chrzęściły, małe kamyczki obijały się o nadkola. Po chwili zobaczyła budynek. Pamiętała go, choć za czasów jej młodości nie było w nim pensjonatu. Stał pusty, nawet bez okien. Wybudowany, ale niewykończony. Widocznie ktoś go odkupił i zamienił na hotel.

Stanąła na parkingu przed wejściem. Okna były ciemne, świeciła się tylko lampa nad drzwiami. O tym, że ktoś tu jednak żyje, świadczyła jeszcze błada, niebieska poświata widoczna za jednym z okien na

poddaszu. Zdawała się pulsować, jakby jej źródłem było jakieś urządzenie – telewizor albo monitor.

Wysiadła z samochodu i podeszła do drzwi. Wcisnęła dzwonek i przytrzymała go długo. Jeśli ktoś był w środku, zapewne nie czekał w gotowości na jej przybycie.

Po dłuższej, naprawdę dłuższej chwili w środku zapaliło się światło. Usłyszała za drzwiami kroki i szcęk otwieranego zamka. Cofnęła się nieco. Drzwi się otworzyły.

– Słucham?

Człowiek, który wypowiedział to słowo, niezbyt przyjaznym do tego i nie bardzo pasującym do witającego z otwartymi ramionami gości właściciela pensjonatu tonem, wyglądał jak gwałtownie postarzały chłopiec. Niewysoki, szczupły, ale bardziej żyłasty niż chudy, z gęstymi, choć już przeważnie siwymi włosami posturą przypominał raczej dwunastolatka niż kilkudziesięcioletniego mężczyznę. Jego twarz przywodziła na myśl zawiązany mocno węzeł.

– Dobry wieczór – powiedziała. – Chciałabym skorzystać z noclegu. Czy jest taka możliwość?

– Miała pani rezerwację? – spytał, jakby w jego hotelu było pełne obłożenie.

– Nie – odpowiedziała. – Nie planowałam tego. Więc nie, nie mam.

Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie.

– A, to pani – powiedział. – Teraz poznaję. Byłem na pogrzebie pani ojca.

Przez chwilę zastanawiała się, co powinna na to odpowiedzieć – czy lepsze byłoby „dziękuję”, „świetnie”, czy może „aha”? A może po prostu: „i jak się panu podobało?”

– Tak – odpowiedziała zamiast tego – to ja. To co z tym noclegiem?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Patrzył wciąż na nią z pozbawioną skrępowania, ocierającą się wręcz o bezczelność ciekawością.

– Jest pani podobna do niego – powiedział w końcu. – Lecz w odpowiedni sposób – dodał. – Czasami kobiety za bardzo podobne do ojców bywają dość brzydkie.

– Bardzo się cieszę z pana opinii – odparła nieco już zirytowana. – Tymczasem wciąż czekam na odpowiedź na moje pytanie.

Mężczyzna nawet przez moment nie spuścił z niej wzroku.

– Jeśli jest pani przygotowana na niezbyt dobre warunki, to zapraszam – odpowiedział. – Jesteśmy jeszcze przed sezonem, nie spodziewałem się gości w tym terminie. Może jednak poszuka pani czegoś w Olsztynie?

Uniosła nieco brwi. Właściciel rzeczywiście nie zachęcał gości do noclegu w swoim pensjonacie.

– Jak bardzo niezbyt dobre są to warunki? – spytała. Była zmęczona, perspektywa dalszej jazdy i szukania dopiero jakiegoś hotelu w mieście nie budziła w niej specjalnego entuzjazmu. A tu już była, stała pod tymi drzwiami.

– Jestem tu sam, pokoje były puste od majowego długiego weekendu, więc pościel nie jest zbyt świeża, może być też w nich dość chłodno, bo mury są wyziębione, a ciepło na dworze jest dopiero od paru dni, nie jestem w stanie zapewnić pani śniadania... – zaczął wyliczać.

Przymknęła oczy. Nocleg w chłodnej, zalatującej wilgocią pościeli kontra następna godzina spędzona na poszukiwaniu lepszych warunków. Taki miała wybór.

– Ma pan tu jakiś barek? – spytała.

– Barek?

– Miejsce, gdzie można by wypić kieliszek czerwonego wina – sprecyzowała.

– Mogę pani dać całą butelkę – odpowiedział. – Ale musi się pani obsłużyć sama.

– W takim razie zostaję – zdecydowała.

ROZDZIAŁ 11

Właściciel spełnił swoją obietnicę. Butelka przyniesionego przez niego czerwonego hiszpańskiego wina stała na stoliku w jej pokoju. Podniosła je i odczytała etykietę. Półwytrawne, no już trudno. Na jej oko nie kosztowało więcej niż dwadzieścia pięć złotych. Ale było, a to najważniejsze.

Nie tylko w tym jej nie oszukał. Pokój faktycznie był wyziębiony, a pościel lekko wilgotna, dlatego pierwsze, co zrobiła, gdy ją tu przyprowadził, to otworzyła okno. Stała teraz, wyglądając przez nie i pozwalając, by ciepłe wieczorne powietrze owiewało ją, wpadając do środka.

Okna z tej strony budynku wychodziły na rzekę. Słyszała jej szum w dole. Czuła zapach wody i rozgrzanego po ciepłym dniu lasu. Było to bardzo przyjemne. Na tyle przyjemne, że zapomniała na chwilę o wszystkich tych dziwnych i niepokojących rzeczach, które jej się dziś przydarzyły. Postanowiła utrwalić to zapomnienie. Sięgnęła po butelkę i leżący obok korkociąg. Otworzyła wino, nalała go sobie do kieliszka, potem usiadła na krześle, które podsunęła aż pod samo okno. Ściągnęła buty. Póki tu nie przewietrzy, nie było sensu robić czegokolwiek innego.

Wino okazało się nie takie złe, a może po prostu potrzebowała go i dlatego jej smakowało. Rozejrzała się po pokoju. Dawno nie nocowała w takim miejscu. Meble były tanie, nieco już zniszczone i bardzo brzydkie. Przywodziły na myśl bardziej pokój w akademiku lub hotel pracowniczy niż pensjonat, w którym ktoś chciałby spędzać wakacje.

Szczęście, że wyjeżdżając z Warszawy, zabrała ze sobą torbę z paroma niezbędnymi rzeczami. Miała kosmetyczkę i bieliznę na zmianę. I wygodniejsze ubranie – dżinsy, bluzę i sportowe buty – w razie gdyby musiała chodzić w terenie. Nie planowała noclegu, a jednak była na to przygotowana. Nabrała tego zwyczaju po sprawie Julii Gierszewskiej. Nauczyła się wówczas, że prokurator musi być zawsze gotowy na takie sytuacje. A zwłaszcza prokuratorka. Mężczyzna prześpi się w rowie pod płotem i też będzie dobrze. Najwyżej wszyscy uznają, że jest zapracowany i zmęczony i będą go żałować. Kobieta nie może sobie pozwolić, by rano wyglądać jak wymięty kocmołuch. Jej takich rzeczy się nie wybacza.

Usiadła z powrotem i położyła nogi na drugim krześle. Sięgnęła po kieliszek. Odgłosy dobiegające z rzeki i z lasu działały na nią uspokajająco. To trochę dziwne, pomyślała, że była tu, w swojej rodzinnej miejscowości, tak blisko rodzinnego domu i nocowała gdzie indziej. Dziwne, lecz w pewien sposób ekscytujące. Poczula się jak na jakichś wagarach. Lub – jeszcze lepiej – jak turystka w krainie swojego dzieciństwa. Wszystko było tu jednocześnie i znane, i obce. Niezwykłe. Miała wrażenie, jakby cofnęła się w czasie, lecz przeszłość, do której powróciła, zmieniła się podczas jej nieobecności i zdegradowała.

Przymknęła powieki. Gdyby nie niezbyt wygodne krzesło i imperatyw umycia się przed snem i zmycia makijażu, mogłaby tak zasnąć. Rzeka za oknem szumiała, gdzieś w dali rechotały żaby, odzywały się ptaki, ktoś krzyczał.

Otworzyła oczy. Krzyk zamilkł, więc przez moment nie była pewna, czy aby na pewno go usłyszała. Może faktycznie przysnęła?

Po chwili jednak dźwięk powrócił. Dochodził zza okna i raczej z oddali. I na sto procent był rzeczywisty.

Cała zamieniła się w słuch, wstrzymała nawet oddech, by lepiej słyszeć. Krzyk był dziwny, nie było w nim paniki ani przerażenia, nie wydawał go człowiek, który został zaatakowany lub zraniony. Nie brzmiało w nim wołanie o pomoc, bardziej smutek. Ktoś tam po prostu nad rzeką, raczej dalej niż bliżej od niej, krzyczał. I robił to monotonna, powtarzalnie, przeciągle. Był w tym ból, lecz nie fizyczny. Jakby ktoś dzielił się ze światem swoim cierpieniem. Przypominało to ryk jakiegoś zwierzęcia, choć niewątpliwie krzyczał człowiek.

Zdjęła nogi z krzesła i wyjrzała przez okno. Zmrok już zapadł, więc nie miała szansy nic zobaczyć. Nad drzewami rosnącymi na skarpie po drugiej stronie rzeki unosiła się luna światła dalekiego Olsztyna. Było w tym wszystkim coś nierzeczywistego.

A może faktycznie to jakieś zwierzę? Jeleń, któremu pomyliły się pory roku i postanowił urządzić sobie rykowisko na wiosnę, wilk z rakiem krtani czy może jakiś nowy, nieznany jej inwazyjny gatunek przybyły tu prosto z głębin Azji? Nie, głos należał do człowieka i to na pewno do mężczyzny, choć było w nim coś nieludzkiego. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę myśl o jakimś stworzeniu z piekła rodem, wilkołaku, topielcu czy leśnym demonie, lecz uznała to tylko za kolejny powód, by nie nalewać sobie następnego kieliszka.

Wstała, wyłączyła światło w pokoju i wychyliła się dalej poza framugę. Jej głowę otuliła ciemność nabrzmiąca tysiącem leśnych i rzecznych odgłosów. Światło paliło się tylko z tamtej strony budynku, nad wejściem. Coś przeleciało jej koło twarzy, poczuła na skórze powiew powietrza spod bezszelestnych skrzydeł. I wtedy zrozumiała, że krzyk ustał. Gdzieś pomiędzy wyłączeniem przez nią lampy a ruchem dłoni odganiającej sprzed twarzy niewidzialnego intruza człowiek w oddali przestał krzyczeć.

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w ciemność. Potem cofnęła się, zamknęła okno i zapaliła z powrotem światło. I wtedy usłyszała coś jeszcze. Bliźniaczy krzyk rezonujący wewnątrz budynku. Cichy, bardzo cichy, ledwo słyszalny. Przez chwilę miała wręcz wrażenie, że jej się to tylko wydaje. Że ma rodzaj dźwiękowego powidoku, że jej mózg odtwarza niejako w tle tamten prawdziwy krzyk zza okna. Lecz nie, nie było tak. Bliźniaczy, symetryczny krzyk był jak najbardziej realny. Słyszała go, choć cicho. Nie nikał, nie rozpływał się, gdy skupiała na nim uwagę. Był. Jakby zamykając okno, uwięziła w środku echo.

Teraz z kolei zastanawiała się, czy aby nie oszukują jej zmysły. Może to wszystko, co jej się dziś przydarzyło, podlane winem, sprawiło, że ma halucynacje? A może zasnęła tam, na krześle pod oknem, i jej się to tylko śni? Spojrzała na swoje dłonie. Lakier na paznokciu palca wskazującego lewej ręki był lekko zarysowany. Przeciągnęła nim po opuszku kciuka. Poczuła to bardzo wyraźnie. I jeszcze coś. Było jej zimno w nogi, bo stała bosymi stopami na chłodnej wykładzinie. We śnie raczej nie czułaby takiego szczegółu.

Założyła buty i otworzyła z powrotem okno. Może to człowiek nad rzeką zaczął ponownie krzyczeć? Tam, na zewnątrz było jednak cicho. Zamknęła okno i usłyszała dźwięk ponownie. A więc dochodził stąd, nie stamtąd. Spróbowała zlokalizować jego źródło. Wydawał się iść po rurach. W pobliżu grzejnika był głośniejszy niż dalej od niego.

Podeszła do drzwi. Potem je otworzyła. Na korytarzu panowała ciemność, lecz dźwięk tu wydawał się nieco mocniejszy. Wyszła.

ROZDZIAŁ 12

Przez chwilę tkwiła w bezruchu, potem ruszyła w kierunku schodów, którymi tu weszła. Stała przy nich, usiłując ustalić, czy dźwięk dochodzi z góry czy z dołu. Nie potrafiła tego jednoznacznie ustalić. Rezonował na klatce schodowej, odbijał się od ścian, lecz znów – wydawał się tu głośniejszy. Jej pokój był na pierwszym piętrze. Przypomniła sobie niebieską poświatę, którą widziała za jednym z okien na poddaszu. Ruszyła w górę.

Na klatce schodowej było trochę jaśniej, bo światło lampy palącej się przed wejściem wpadało tu przez małe okna. Seredynska widziała dzięki niemu całkiem dobrze, więc nie szukała włącznika. Znów przypomniał jej się tamten dom. W dzieciństwie lubiła po nim chodzić po ciemku. Schodziła nocą do kuchni, żeby napić się wody i nie włączała wówczas światła. Robiła tak nie tylko po to, żeby nie budzić rodziców, lecz przede wszystkim, by czerpać satysfakcję z tego, że nie boi się ciemności. Dom był wtedy tajemniczy, zupełnie inny niż za dnia, zmysły się wyostrzały, a ona czuła się jak bohater jednej z przygodowych książek, które uwielbiała czytać.

Teraz poniekąd czuła się podobnie, tyle że nie tak bezpiecznie. Po wszystkich tych latach, które minęły od tamtej pory, i po tych wszystkich rzeczach, które oglądała, pracując jako prokurator, wiedziała, że zagrożenia czyhające w ciemności bywają aż nadto realne. Po tym zaś, co przydarzyło się dzisiaj, miała powody, by być przynajmniej ostrożna. Nawet jeśli żadnych konkretnych przesłanek ku temu nie potrafiła przywołać.

Ten krzyk na zewnątrz i ten drugi w środku sugerowały, że działo się tu coś niepokojącego. „Sugerowały” to dobre słowo, bo prawdopodobnie nic takiego nie miało miejsca. Niemniej jednak, jeśli przecucie to nie było wyłącznie efektem wydarzeń, w których wcześniej brała udział, warto by to sprawdzić, nie ujawniając się zawczasu.

Szła więc teraz po ciemku, starając się nie robić hałasu, z pełną świadomością, że być może robi z siebie idiotkę. Stawiała ostrożnie stopy na kolejnych stopniach, wiedząc, że nie do końca potrafiłaby wytłumaczyć swoje zachowanie, gdyby ktoś ją tu przyłapał, a źródło dźwięku, za którym podążała, okazało się jak najbardziej normalne. W tym konkretnym momencie i w tym konkretnym stanie, w jakim teraz była, nie mogła jednak postępować inaczej.

Dotarła wreszcie na górę. Korytarz był tu węższy i niższy, a przez okno połaciowe u szczytu schodów widać było rozgwieżdżone niebo. Zapatrzyła się w nie przez chwilę, bo mieszkając w Warszawie, zapomniała już niemal, jak dużo gwiazd widać w takich miejscach jak to.

Być może ten widok sprawił, że poczuła się nierzeczywiście, jakby faktycznie była w jakimś śnie. Oto idzie po ciemku przez budynek, który pamiętała z dzieciństwa jako niedokończony pustostan, podążając za dźwiękiem, który sam w sobie brzmiał, jakby dobywał się z somnambulicznych otchłani. Jeszcze dziś rano, gdy malowała się przed wyjazdem, jej świat był racjonalny i bardzo dobrze poukładany, a teraz robi takie coś. Jak do tego, do jasnej cholery, doszło?

Otrząsnęła się jednak z tych myśli i ruszyła w głąb korytarza. Dźwięk był coraz silniejszy, szła więc w dobrą stronę. Po lewej i po prawej stronie znajdowały się drzwi. Układ był taki sam, jak na jej piętrze, brakowało na nich jednak błyszczących mosiądzem numerów pokojów. Pod ścianami stały jakieś przedmioty. Nie widziała ich dokładnie, bo było tu znacznie ciemniej. Nie wyglądało to w każdym razie na część budynku przeznaczoną dla gości.

Dotarła wreszcie na sam koniec korytarza. Tam też było okno u samego szczytu. I drzwi, zza których dochodził niepokojący dźwięk.

Stała przed nimi niepewna, co ma dalej robić. Pomieszczenie za nimi znajdowało się od strony rzeki, tak samo jak jej pokój. Niebieska pościółka, którą widziała z parkingu, nie pochodziła więc z niego. Zdawała sobie sprawę, że stoi prawdopodobnie przed jednym z prywatnych pokoi, miała w głowie prawne implikacje z tym związane. Z drugiej jednak strony, cały budynek był przecież pensjonatem, a ona była jego gościem i miała prawo po nim chodzić. Nie musiała też wiedzieć, które konkretnie pomieszczenia są wyłączone ze strefy ogólnodostępnej, tym bardziej że żadnych oznaczeń nie dostrzegła.

Wyciągnęła więc rękę i nacisnęła na klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Pchnęła je.

Po drugiej stronie był pokój. Nie składzik, nie magazyn, lecz zwykły pokój mieszkalny. Meble w nim były inne niż u niej, podobnie jak wystrój wnętrza. Już na pierwszy rzut oka było widać, że ktoś tu mieszkał, nie tylko wynajmował miejsce do spania. Miała więc rację, trafiła do części prywatnej. W tym właśnie momencie powinna się cofnąć. Lecz nie zrobiła tego.

Na środku pomieszczenia stało najprawdziwsze łóżko szpitalne. Białe, metalowe, podwyższone, zaopatrzone w kółka. Za nim, po obu jego stronach, stały różne urządzenia, których przeznaczenia mogła się domyślać. Rozpoznała stojak do podawania kroplówki.

Ktoś na nim leżał, lecz nie widziała tego dokładnie, bo łóżko stało szczytem do niej. Podeszła parę kroków do przodu. Był to mężczyzna. Wychudzony, lecz chyba w miarę młody. Oczy miał zamknięte.

– Widzę, że poznała pani mojego syna – usłyszała nagle głos zza pleców. Odwróciła się gwałtownie.

Stał za nią właściciel pensjonatu. Uśmiechał się półgębkiem, lecz oczy miał puste i ciemne.

– Przepraszam bardzo. – Była tak zaskoczona, że nie wiedziała, co powiedzieć. – Usłyszałam jakiś dziwny dźwięk i...

– I postanowiła pani wtargnąć do mojego mieszkania – dokończył za nią. – W porządku, nic się nie stało, to żadna tajemnica – dodał po chwili.

Obszedł ją i podszedł do łóżka. Nachylił się nad leżącym na nim człowiekiem, jakby sprawdzał, czy wszystko z nim w porządku.

– Jest... chory? – spytała. – Pana syn?

– Sparaliżowany – wyjaśnił. – Ale oddycha samodzielnie. Dlatego mogę zajmować się nim tutaj. Lepsze to, niż gdyby miał leżeć w szpitalu. – Poglądził chłopaka po głowie.

– Jest w śpiączce? – Przypomniała jej się sprawa Krystiana Zapaly. Dlatego o tym pomyślała.

– Nie – odparł mężczyzna. – Jest z nim kontakt. Porozumiewa się ze mną za pomocą komputera. Ale nie zawsze. Czasami ma gorsze dni i wtedy zapada się w siebie. Odlatuje. Nie wiem wtedy, czy jest świadomy i po prostu nie chce ze mną rozmawiać, czy popada w jakiś rodzaj odrętwienia. Tak jak teraz. Wydaje wtedy dziwne odgłosy. Jęczy, krzyczy. Pewnie to pani usłyszała. Ale ten stan mija i potem znowu jest normalnie.

Wyglądził pościel, którą przykryty był leżący człowiek.

– Muszę wygłuszyć ten pokój – dodał. – Wtedy nie będzie się to tak nosło po ścianach. Ale na razie nie mam na to pieniędzy. Opieka nad nim sporo kosztuje.

Odwrócił się i uśmiechnął do niej. Był to przerażający uśmiech, pełen bezbrzeżnego smutku.

Seredyńska poczuła się winna, że wpięprzyła się w tę jego tragedię, wyobrażając sobie Bóg wie jakie historie.

– Przepraszam raz jeszcze, że zakłóciłam jego spokój – powiedziała. – Nie będę już dłużej przeszkadzać. Zaczęła wycofywać się w stronę drzwi.

– Nie poznała go pani, prawda? – Właściciel pensjonatu uśmiechnął się ponownie. – Nic w sumie dziwnego, w końcu kiedy ostatni raz go pani widziała, miał chyba nie więcej niż rok. Była pani na jego chrzcie, pani ojciec był jego chrzestnym. A ja nie przedstawiłem się, a to mogłoby panią naprowadzić. Nazywam się Janusz Kutera, a to jest mój syn, Damian.

ROZDZIAŁ 13

Obudziła się później, niż zamierzała. Wczoraj, po powrocie do siebie i po prysznicu w nie za ciepłej wodzie, miała problemy z zaśnięciem, a gdy już jej się to udało, zapadła w kamienny, pełen natrętnych obrazów sen. Śniło jej się jezioro, to, które widziała całe dzieciństwo ze swojego okna. Ktoś z niego spuścił wodę, a po dnie jeździły koparki i spychacze. Efekt był taki, że nie usłyszała budzika w telefonie.

W pokoju, w którym zamknęła wczoraj okno, znów było zimno. Ubrała się szybko i pobieżnie umalowała. Spojrzała na zegarek. Była prawie dziewięta. Nie wiedziała, jakie zwyczaje mają miejscowi prokuratorzy, ale gdyby to ona dostała zgłoszenie o prawdopodobnym miejscu ukrycia zwłok, już dawno byłaby na miejscu.

Wyszła z pokoju, nie zabierając rzeczy. Nie chciała tracić czasu na pakowanie. Droga do Warszawy i tak biegła w pobliżu pensjonatu, więc uznała, że zgarnie je, wracając.

W recepcji na dole nie było nikogo, jadalnia też była pusta. Nie szkodzi, i tak nie miała już czasu.

Wsiadając do samochodu, rzuciła jeszcze okiem na okna na poddaszu. Pokój, w którym była wczoraj, i tak był z drugiej strony, więc trudno powiedzieć, co spodziewała się tam zobaczyć.

Ruszyła z podjazdu z chrzęstem opon. Jej mitsubishi eclipse, automat, hybryda i co tam jeszcze, zaledwie rok temu kupiony przez nią w salonie, miękko toczył się po nierównościach drogi. Kontakt z jego tak dobrze znanym wnętrzem sprawił, że poczuła się znacznie lepiej osadzona w rzeczywistości. On i jej warszawskie mieszkanie przypominały jej, kim jest, a kim już nie jest. Jest prokuratorem, pewną siebie, dobrze sprawdzającą się w tym zawodzie kobietą, mającą na swoim koncie rozwiązanie kilku trudnych, nieoczywistych spraw. Nie jest zaś już dziewczynką mieszkającą w domu nad jeziorem, której rodzice na przemian kłóca się i traktują z zimną obojętnością, co totalnie burzy jej i tak już wątłe poczucie bezpieczeństwa.

Po kilku minutach była pod swoim dawnym domem. Policjny radiowóz, wóz techników i jeszcze jeden samochód, prawdopodobnie należący do miejscowego prokuratora, już przed nim stały. Zaparkowała tuż za nimi i wysiadła.

Weszła na teren przez rozpadającą się furtkę. Kontenera ze śmieciami już nie było, co nieco ją zdziwiło. Jego porządne przeszukanie powinno zająć znacznie więcej czasu, lecz może zabrano go w inne miejsce, by tam to w spokoju zrobić. Ona co prawda zleciłaby to raczej na miejscu, ale w końcu to nie ona prowadziła tę sprawę, a opcja z zajęciem się tym pod dachem w jakimś hangarze też miała swoje dobre strony.

W rogu działki, tam gdzie wczoraj odnalazła grób, stało kilkoro ludzi. Podeszła do niech.

– Prokurator Gabriela Sereżyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie – przedstawiła się. – To ja wczoraj zauważyłam to miejsce, a to mój dom. – Wskazała za siebie. – Parę dni temu go odziedziczyłam.

Thustawy mężczyzna w niezbyt dobrej jakości garniturze odwrócił się w jej stronę. Ale tylko bokiem.

– Prokurator Niedźwiedzki – powiedział. Nie podał ani swojego imienia, ani nazwy prokuratury. – Niepotrzebnie nam pani zawracała głowę.

– Jak to? – spytała.

– Nic tam nie było. – Wzruszył ramionami. – A już na pewno nie było tam trupa.

Odsonił jej widok na rozkopany róg ogrodu. W miejscu, gdzie wcześniej był, jak sądziła, grób, ziała głęboka, jasna dziura. Obok był usypany kopiec ziemi. Podeszła bliżej.

– Na pewno? – Nie było to najmądrzejsze pytanie, jakie mogła w tym momencie zadać.

Prokurator Niedźwiedzki zaśmiał się. Było w tym śmiechu parę rzeczy, które jej się nie spodobały. Jedną z nich było poczucie wyższości, a drugą lekceważący stosunek do niej.

- Chce pani sprawdzić? - spytał z ironią. - Łopata jeszcze stoi.

Kontrolka wkurwu na wyświetlaczu jej emocji zamigotała na czerwono. Powstrzymała się jednak.

- Co konkretnie tam znaleźliście? - spytała.

Tym razem Niedźwiedzki nie zaszczylił jej nawet spojrzeniem.

- Mówiłem już pani. Nic - odparł.

- Nie było tam, czy ja wiem, fragmentów ubrań, guzików...

- ...greckich amfor, krzemiennych siekierek? - przerwał jej. - Nie, pani prokurator, nie było. Poza tym nie jesteśmy archeologami, szukaliśmy kości. Żadnej nie znaleźliśmy.

- Dlaczego w takim razie ziemia w tym miejscu się zapadła?

- Nie wiem, może wylądowali tu kiedyś kosmici? - Uśmiechnął się krzywo. Policjant stojący obok zarechotał. Szybko jednak zamilkł pod jej kamiennym spojrzeniem.

- Sprawdziliście warstwy ziemi? Były przemieszane czy układały się w naturalny sposób? - Nie ustępowała.

- Geologami też, pani prokurator, nie jesteśmy. Wykopaliśmy dziurę, nic w niej nie było, pani zostawiamy jej zasypianie. Dobra, panowie, będziemy się zbierać - zwrócił się do stojących obok mężczyźni.

- Chwileczkę. - Zatrzymała go. - A gdzie jest kontener z rzeczami z domu? Poleciałam jego przeszukanie.

Tym razem na nią spojrział.

- Kazałem go wywieźć tej firmie, którą pani wynajęła - odpowiedział. - Potrzebują go, by wykonywać swoją pracę. - Po tych słowach przybliżył się do niej. - A pani przypominam, że nie jest na swoim terenie. Polecić to pani tu może co najwyżej list na pocztę. Tu prokuratorem jestem ja, a pani jest tylko zwykłym obywatelem. I zna pani zapewne doskonale swoje prerogatywy, jak również sposoby, by je egzekwować. Jedną z nich właśnie pani wykorzystwała. Zgłosiła pani podejrzenie popełnienia przestępstwa, lecz prokuratura nie dopatrzyła się w zgłoszonej sprawie znamion czynu zabronionego. To, jak sądzę, kończy ten temat. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

Prokurator Niedźwiedzki, mimo iż swoim zachowaniem doprowadził ją niemal do powzięcia zamiaru popełnienia zabójstwa, niestety miał rację. W tym cholernym miejscu jej legitymacja prokuratora nie na wiele się przydawała. Była tu jak gwiazda szeryfa poza granicą jego stanu – ładnie wyglądała, lecz nie dawała żadnych dodatkowych praw. A ona sama mogła dokładnie tyle samo, co wszyscy inni ludzie wokół. Nie była przyzwyczajona do występowania w takiej roli. I może dlatego też aż tak bardzo się wściekała.

Wiedziała jednak, że gdyby w tym ogrodzie faktycznie znaleziono czyjeś zwłoki, jej pozycja jeszcze bardziej by się skomplikowała. Jako obecna właścicielka i córka człowieka, którego uznano by za najbardziej prawdopodobnego podejrzanego w kwestii ich ukrycia (i oczywiście wiążącego się z tym zabójstwa), byłaby bezpośrednio zamieszana w sprawę, a to by znaczyło, że wszystkie jej działania, które nie podobałyby się prokuratorowi Niedźwiedzkiemu, mogłyby zostać przez niego potraktowane jako utrudnianie śledztwa. Nie musiałyby tak się oczywiście stać, lecz jego postawa wobec niej, podszyta ewidentnie niechęcią, być może podyktowaną czymś w rodzaju kompleksu prokuratora z prowincji wobec prokuratora z Warszawy albo po prostu protekcyjnym stosunkiem do kobiet, wskazywała na taką możliwość. Nie zachowywał się jak życzliwy kolega po fachu, gotowy pomóc koleżance z innego miasta w niewątpliwie delikatnej dla niej sytuacji. Musiała na niego uważać w przyszłości.

Jeśli była oczywiście jakaś przyszłość związana z tą sprawą, bo to akurat stało teraz pod znakiem zapytania. Seredynska podeszła do wykopanej przez techników dziury i zajrzała do jej wnętrza. Przypominała bardzo grób, w którym wczoraj pochowano jej ojca, ale właśnie – tylko przypominała. Konstytuującym elementem pochówku jest bowiem ludzkie ciało, a tu go ewidentnie brakowało. Mogła się wściekać na bezczelność Niedźwiedzkiego, mogły ją niepokoić i zastanawiać przeróżne dość dziwne okoliczności, na które natknęła się podczas swojego krótkiego pobytu tutaj, lecz tego bezspornego faktu zignorować nie mogła. Nie ma trupa, nie ma zabójstwa. Nie ma zabójstwa, nie ma tematu. Gdyby choć były inne dowody, inne poszlaki pozwalające takie zabójstwo podejrzewać, dałoby się ten brak jakoś obejść – zapadały w końcu wyroki skazujące pomimo nieodnalezienia zwłok ofiary – ale w tym konkretnym przypadku brak ciała oznaczał brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

Może więc powinna dać sobie spokój? Zadzwoić do Zagońskiego, sprzedać mu dom i wrócić do Warszawy, tak jak od początku planowała? Zapomnieć o tym przeklętym miejscu raz na pierdolone zawsze i żyć dalej swoim dobrym, znanym, poukładanym, dającym jej satysfakcję i poczucie własnej wartości życiem. Tak jak też od początku planowała.

W zasadzie była niezwykle bliska podjęcia takiej decyzji. Nie wiedzieć dlaczego tylko ciągle tutaj stała. Policja, technicy i ten buc Niedźwiedzki dawno już pojechali, nie miała więc czego tu dalej szukać. Co ją jeszcze trzymało? Kilka przeczuć, kilka niepewnych informacji, kilka ocierających się wręcz o jakąś pieprzoną parapsychologię znaków, w rodzaju tego głupiego lisa i krzyków nad rzeką, nic w każdym razie, co dałoby się przekuć w możliwy do obronienia w racjonalny sposób powód. A jednak tu, kurwa, stała. I wgapiała się dalej w ten dół.

Kucnęła nad nim i od niechcienia zaczęła grzebać palcami w usypanej obok ziemi. „Nie jesteśmy archeologami ani geologami”, przypominała sobie słowa Niedźwiedzkiego. To oczywiście bzdura, ludzie zajmujący się badaniem miejsca zbrodni powinni być czasem i jednymi, i drugimi. Z takim podejściem, jakie on prezentował, można nie dostrzec, a nawet zniszczyć wiele cennych informacji. Ale faktycznie, to on był tu prokuratorem. Z całą swoją niekompetencją, ignorancją, a nawet złą wolą. Choć tej ostatniej nie miała powodu podejrzewać. Z jej doświadczenia wynikało, że bardziej powszechnym powodem niszczenia istotnych dla śledztwa śladów była zwykła głupota. I to na nią by bardziej stawiała.

Nie można jednak wykluczyć, że prokurator Niedźwiedzki miał rację i żadnych istotnych śladów tu wcale nie było. Wgłębienie, które wzięła za zapadnięty grób, mogło faktycznie powstać z innego powodu. Po prostu. Ludzie, którzy nas denerwują, nie muszą od razu być głupi. Chociaż automatycznie zazwyczaj tak zakładamy.

Nagle jej palce na coś trafiły. Coś, co nie mogło być ziemią ani kamieniem, bo było od nich chłodniejsze w dotyku. Seredyńska poczuła to wyraźnie.

Wstrzymała rękę, która z rozpędu już przesunęła się dalej. Potem cofnęła ją w miejsce, gdzie, jak jej się wydawało, doświadczyła tego krótkiego uczucia. Zaczęła przeczesać palcami gliniastą przyzmę.

Po chwili znów to poczuła. Chłód i gładka powierzchnia. Wyciągnęła to coś z ziemi i przybliżyła do twarzy. Poznała ten kształt od razu, bo widywała go wielokrotnie. Nawet bawiła się nim w dzieciństwie. Była to łuska. Mosiężna, długa łuska z naboju do sztucera – myśliwskiej broni przypominającej karabin.

Przyjrzała jej się dokładniej. Była zaśniedziała, szerniała, musiała spędzić w ziemi jakiś czas. Skąd tu się wzięła? Jej ojciec był myśliwym, miał takie łuski w domu, lecz nie miał specjalnych powodów, by zakopywać jedną z nich w ogrodzie.

Odłożyła ją na bok i zaczęła szukać dalej. Teraz już nie od niechcenia, lecz systematycznie i dokładnie. Przekopywała przyzmę ziemi, przesypywała ją między palcami, niczego jednak więcej nie znalazła.

Wyprostowała się wreszcie. Dłonie miała niemal czarne, bolały ją plecy. Spojrzała jeszcze raz na swoje znalezisko. Znowu, pomyślała. Jeszcze jedna rzecz, która może o czymś świadczyć, lecz wcale nie musi. Znalezienie łuski po wystrzelonym pocisku w miejscu, które wcześniej zidentyfikowała jako zapadnięty grób, zdawało się potwierdzać, że mogła mieć rację. Lecz z drugiej strony dałoby się znaleźć inne, całkiem wiarygodne wytłumaczenie jej obecności tutaj. Może wypadła ona jej ojcu podczas prac w ogrodzie, bo na przykład robił w nim coś ubrany w spodnie lub kurtkę, którą wcześniej miał na polowaniu? Nie było to niemożliwe.

Lecz, z trzeciej strony, było to kolejne takie zdarzenie. Kolejne nietypowe, zdające się na coś wskazywać, być częścią jakiejś większej, niepokojącej całości zjawisko, na które natknęła się podczas swojego naprawdę przecież krótkiego pobytu tutaj. Albo więc pod wpływem wspomnień i obudzonych z długiego letargu emocji zaczyna tu świrować, albo coś jest na rzeczy. Nie potrafiła zdecydować, która z tych dwóch możliwości jest bardziej prawdopodobna.

ROZDZIAŁ 15

Wróciła do samochodu, by wytrzeć nieco ręce. Zawsze woziła w schowku chusteczki nawilżane, które teraz przydały się jak nigdy. Zużyła chyba z dziesięć, zanim uznała, że zmyła z dłoni brud swej rodzinnej, odziedziczonej po ojcu ziemi. Potem usiadła za kierownicą i odjechała.

Nie jadła śniadania, to był jeden z niewielu niezbitych faktów, z którymi miała dziś do czynienia. Nie piła nawet kawy, a dzień bez kawy sam w sobie był czymś w rodzaju halucynacji. Jeśli chciała być czegokolwiek pewna, jeśli miała podjąć jakąkolwiek decyzję, musiała się jej napić.

Problem polegał na tym, że nie minęła jeszcze dwunasta, restauracja więc była nieczynna. Nie miałyby zresztą ochoty chyba tam znowu przychodzić. Całe szczęście, gdy jechała na pogrzeb, widziała szyld jednego z sieciowych sklepów, w którym, jak dobrze wiedziała, można było kupić kawę na wynos. Zajechała tam i zrobiła zakupy. Zwykła bułka, banan i jogurt truskawkowy – najprostszy posiłek świata. Do tego duża latte w papierowym kubeczku. Czego chcieć więcej?

Seredyńska wyszła na zewnątrz. Naprzeciw wznosiła się szkoła. Jej szkoła. Musieli ją niedawno odremontować, bo wyglądała niemal jak nowa. Lepiej nawet niż wtedy, gdy właśnie ją zbudowano. Była wówczas w szóstej klasie. Szkoda, że ludzi nie da się tak łatwo odnowić, pomyślała. Poczuli się nagle staro, po raz pierwszy chyba w życiu. Oto stoi tu sama i powoli dobiega czterdziestki. Ma samochód, mieszkanie, pochowała właśnie jednego z rodziców i odziedziczyła po nim dom. Cieszy się ugruntowaną pozycją zawodową, za to chyba niczym więcej, bo jej życie osobiste praktycznie nie istnieje. I patrzy na miejsce, po którym kiedyś biegła z tornistrem, z warkoczami zaplecionymi po obu stronach głowy. Gdyby tylko przez chwilę dłużej o tym pomyślała, wpędziłaby się w dół głębszy niż tamto jezioro. A więc nie będzie o tym myśleć.

Na terenie szkoły, tuż za furtką, stała ławeczka. Ruszyła w tamtą stronę. Nie było sensu przecieć kruszyć w samochodzie, tym bardziej że dzień był znowu bardzo ciepły. Usiadła, napiła się jogurtu i ugryzła kęs bułki. To połączenie glutenu, tłuszczu i cukru jeszcze nigdy jej nie zawiodło. Teraz łyk kawy. I kolejna porcja cukru, bo wysypała go do niej naprawdę sporo. Poczuli wreszcie, jak wraca jej życie.

Widać stąd było też cmentarz. Spróbowała odnaleźć wzrokiem grób swojego ojca. Nie udało jej się to, był zasłonięty przez drzewa i przez inne groby. Całe szczęście chyba, głupio byłoby tak jeść, patrząc na miejsce, w którym gniją zwłoki własnego rodzica.

– Gaba? – usłyszała nagle. Spojrzała w kierunku, z którego dobiegło to pytanie. Stał tam mężczyzna. Poznała go momentalnie, mimo że wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy go ostatni raz widziała. Był wyższy, szerszy w barach i przede wszystkim miał zarost.

– Tak, słucham? – odparła sucho i dość oficjalnie. Tylko jego jeszcze jej tu brakowało.

– No nie, Gaba! Ja nie mogę! Nie poznajesz mnie? – Podeszedł bliżej.

– Czym mogę służyć? – brnęła dalej w zaparte. Naprawdę nie potrzebowała tej jeszcze atrakcji.

– To ja, Paweł. Chodziliśmy razem do klasy.

I to nie tylko do klasy. To był jej pierwszy chłopak. No, prawie chłopak. Ktoś w każdym razie, kto bardzo chciał nim być, a ona z kolei nie bardzo potrafiła się zdecydować, czy mu na to pozwolić, czy go od siebie odegnąć. Ten schemat powtarzał się potem w jej życiu wielokrotnie. Pewnie dlatego do tej pory była sama.

– A, Paweł, cześć. Miło cię widzieć – odparła w sposób, który miał mu zasugerować, że było dokładnie na odwrót. Jak zwykle nie rozumiał.

– Co ty tu robisz? – spytał. – Nie widzieliśmy się chyba od zakończenia gimnazjum. Mogę się dosiąść?

– Tak, jasne, siadaj. To miejsce publiczne – odpowiedziała, nie próbując nawet ukryć sarkazmu.

I znowu nie zrozumiał. Usiadł.

Starła się nie patrzeć na niego, lecz kątem oka widziała, że on patrzy na nią. Pewnie oceniał, co też z niej przez te wszystkie lata wyrosło. Poczła się trochę nieswojo, choć z drugiej strony zaciekawiło ją, czy dobrze wypadła podczas tego przeglądu.

– Świetnie wyglądasz – powiedział, jakby usłyszał jej myśli. – Rany, naprawdę. Piękna z ciebie kobieta. Aż mi dziwnie, że chodziłem z kimś takim do szkoły.

Niemal się zaczerwieniła. Dawno nikt jej nie powiedział wprost takiego komplementu. Pewnie dlatego, że mężczyzn, z którymi pracowała, trzymała na prokuratorski, służbowy dystans, a innych nie bardzo miała gdzie spotykać. Faceci, którzy ją znali, wiedzieli, że lepiej przy niej nie wyskakiwać z takimi tekstami, bo można się nieźle sparzyć. Ten tu jej nie znał, a raczej znał ją z zupełnie innych czasów i tylko dlatego odważył się coś takiego palnąć. I, dziwna sprawa, zrobiło jej się miło. Pomyślała nawet, że chętnie słuchałaby takich słów częściej.

Teraz i ona na niego spojrzała. Siedział mniej więcej metr od niej, blisko, lecz nie na tyle, by mogła poczuć się niezręcznie, w odległości w sam raz odpowiedniej dla dawnego, ale jednak znajomego. Rękę zgiętą w łokciu oparł o oparcie ławki. Uśmiechał się.

Nie mogła nie zauważyć, że on też całkiem ładnie wyrósł. Ramię oparte o ławkę skręcone było z wyraźnie zarysowanych, całkiem imponujących mięśni. Twarz okolona ciemnym zarostem niepozobawiona była męskiego uroku. Była jej jednocześnie dobrze znana i w jakiś ekscytujący sposób nowa. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę myśl o szybkiej, gwałtownej przygodzie, zupełnie nie w jej stylu.

Oczywiście jednak natychmiast ją przegnała.

– Dziękuję – odparła, pozwalając sobie zaledwie na zdawkowy uśmiech. Na wszelki wypadek też znów odwróciła od niego głowę.

– Ile to już lat minęło? Dziesięć? Dwadzieścia? – spytał.

– Co najmniej dwadzieścia – odpowiedziała.

– Gdybyś mnie wtedy nie przegoniła, moglibyśmy mieć już całkiem spore dzieci. – Zaśmiał się.

Nie do końca o taką fantazję jej chodziło.

– Ale nie odpowiedziałas mi na pytanie. Skąd się tu wzięłaś? Wróciłaś na stałe czy tylko na trochę? – spytał.

– Przyjechałam na pogrzeb ojca – wyjaśniła.

– Pan Sereżyński zmarł? – zdziwił się. – Rany, nie wiedziałem. Bardzo mi przykro. Przyjmij wyrazy współczucia. – Położył jej dłoń na ramieniu.

Było to jednocześnie i przyjemne, i krępujące.

– Wczoraj była uroczystość – powiedziała. – Miałam wrażenie, że cała miejscowość przysła.

– Przepraszam, naprawdę nie wiedziałem. – Ciągle nie cofnął dłoni. – Ja też tu niedawno wróciłem. Nie było mnie kupę czasu. Jeszcze nie do końca zalogowałem się w miejscowej rzeczywistości.

Poprawiła palcami włosy, by mieć pretekst do strząśnięcia jego dłoni. Cofnął ją, ale niezbyt daleko. Ręka leżała teraz na ławce tuż przy jej udzie. Nie dotykała go, lecz była naprawdę blisko. Sereżyńską to irytowało, spinało, lecz jednocześnie...

– Może pójdziemy na jakąś kawę? – zaproponował. – Pogadamy o starych czasach?

– Właśnie piję. – Pokazała mu papierowy kubek.

– To nie wiem, na oranżadę. – Uśmiechnął się. – Szkoda, że nie ma już tych zapiekaneł przy pętli autobusowej, pamiętasz? Specjalnie pytałem w domu, czy nie potrzeba czegoś ze sklepu, żeby móc tam pojechać na rowerze i ją sobie kupić.

– Wolalam te lody kręczone z maszyny obok – odpowiedziała. – Ciekawe, czemu już nigdzie takich nie ma? – Tak, niewątpliwie nie zabrakłoby im tematów do rozmowy. Może jednak nie do końca miała na to

ochotę. – Wybacz – powiedziała – ale muszę już lecieć. Zostało mi jeszcze parę spraw do załatwienia, sam rozumiesz. – Wstała.

– Nie, no jasne – odpowiedział. – To może spotkamy się jakoś później? – spytał.

– Dzisiaj wyjeżdżam – odparła. – Muszę wracać do Warszawy.

– W porządku, rozumiem. – Uśmiechnął się znowu. – Ale miło cię było znowu zobaczyć.

Ruszyła w stronę samochodu. Wiedziała, że patrzy wciąż na nią, oceniając jej figurę. I że ta ocena również wypada pozytywnie. Świadomość tego napełniła ją zaskakującym dla niej samej zadowoleniem. W jej głowie ponownie zakotłowały się najrozmaitsze scenariusze. Dawny kolega z podstawówki, który tak niespodziewanie i bardzo rasowo zmężniał, krótkie szaleństwo bez zobowiązań, po którym nigdy już więcej się nie zobaczą i o którym nikt się nie dowie – brzmiało to wszystko naprawdę kusząco. Mając całkowitą pewność, że nic takiego nigdy się nie wydarzy, pozwoliła sobie popuścić nieco wodze wyobraźni.

ROZDZIAŁ 16

Zaparkowała pod pensjonatem. Jadąc tu, przemyślała wszystko jeszcze raz i postanowiła jednak wyruszyć wreszcie i ostatecznie do Warszawy. Trupa w ogrodzie żadnego nie było, palca w pysku lisa prawdopodobnie też nie – z perspektywy czasu tamto wrażenie wydawało jej się zresztą coraz bardziej absurdalne – a w związku z tym cała reszta podejrzeń i niepokojów traciła jakikolwiek sens i stawała się tylko zwykłymi zdarzeniami, którym to ona sama nadała jakieś dziwne, rodem ze spiskowych teorii znaczenie.

Musi po prostu wrócić do swojego normalnego życia i ochłonąć. Widocznie pogrzeb ojca i powrót po latach do tego przekłętego miejsca wywarł na niej o wiele większe wrażenie, niż mogła się spodziewać. Za dużo wspomnień, za dużo uspionych i obudzonych po latach emocji, za dużo tego wszystkiego naraz. Jej racjonalny, chłodny umysł nie był nawykły do takiego natężenia bodźców i stąd to wszystko. Przyzwyczaiała się myśleć o sobie jako o profesjonalistce mającej wszelkie uczucia i odruchy pod kontrolą, lecz najwyraźniej nie była to do końca prawda. Nie można przecież wykluczyć, że wszystkie te niebezpieczne sytuacje, z którymi zetknęła się podczas pracy w prokuraturze, miały jednak na nią jakiś wpływ. Dotychczas zdawało jej się, że sływa to po niej jak woda po kacze, lecz może się myliła?

Wysiadła z samochodu i poszła się spakować. Nie zajęło jej to wiele czasu, więc już po chwili była z powrotem na dole. Kutery nigdzie nie było, zostawiła więc klucz po prostu w recepcji na blacie. Pozostała jeszcze kwestia zapłacenia rachunku, lecz może to przecież załatwić później przelewem.

Włożyła torbę do bagażnika samochodu i zamknęła klapę. Tak, to było chyba już wszystko. Wsiądzie teraz, odpali silnik i odjedzie stąd na zawsze. To znaczy prawie na zawsze, bo ciągle jeszcze musiały sprzedać dom, ale na pewno nie będzie się tym zajmować w tym momencie. W tym momencie najważniejsze to stąd wyjechać.

Nie wiedzieć czemu nie wsiadała jednak i nie odjeżdżała. Spojrzała jeszcze raz w stronę okna na poddaszu, tam gdzie leżał ten sparaliżowany chłopak. Na imię miał Damian, dopiero teraz skojarzyła, że to tak samo, jak nazwa pensjonatu. I faktycznie była kiedyś na jakimś chrście w kościele, na którym jej ojciec był chrzestnym dziecka. Czyżby więc tamten płaczący w białym beciku maluch, którego kazano jej nawet w pewnym momencie potrzymać, był tym nieszczęsnym człowiekiem na górze? Niezwykle i przerażające jednocześnie.

Szkoda, że nie spytała o niego Pawła. Może on wiedział, co się wydarzyło i dlaczego chłopak znalazł się w tak kiepskim stanie. Zbyt była jednak zajęta czymś innym, czymś, co teraz wydało jej się mocno absurdalne.

A potem usłyszała to znowu. Ten krzyk. Ten, który słyszała wczoraj przez otwarte okno. Brzmiał inaczej, w dzień w ogóle wszystko brzmi inaczej niż w nocy, lecz niewątpliwie był ten sam.

Zamarła. Poczwała dreszcz. Taki, jaki przechodzi przez ciało, gdy tuż przez snem pomyśli się nierozważnie o duchach.

Kurwa, pomyślała. Nie chcę tego. Dajcie mi po prostu stąd w spokoju odjechać. Chcę już zwyczajnie wrócić do domu.

Lecz krzyk ciągle brzmiał. Nie był głośny, wcale. Był ledwo słyszalny. A jednak nie dało się go zignorować. Dochodził znów znad rzeki. Miała wrażenie, jakby ją wzywał.

Stała jeszcze przez chwilę jak skamieniała. Z fatalistycznym przecuciem, że oto zaczyna się coś, na co wcale nie ma ochoty. Ale że nie da się tego uniknąć. Po prostu nie. Już za późno. Bo przecież nie może teraz wsiąść do samochodu i odjechać. Nie z tym całym bagażem tego, kim jest, czym się zajmuje i co już w życiu widziała. Szlag.

Wcisnęła przycisk w kluczyku i zamknęła auto. Jej samochód zamrugał dwa razy światłami i złożył boczne lusterka jak do snu. Zawsze ją to jakoś wzruszało. Ruszyła w stronę rzeki.

Musiała przejść przez most. Krzyk, zarówno wczoraj, jak i dziś dochodził z drugiego brzegu. Weszła na tę samą ścieżkę, na której wczoraj spotkała lisa, zastanawiając się, czy dziś również się na niego natknie. Doszła w końcu do miejsca, z którego widziała wznoszący się po drugiej stronie rzeki pensjonat. Lisa oczywiście nie było.

Zatrzymała się i wtedy zrozumiała, że krzyk ucichł. Nie zauważyła tego, gdy szła, dopiero teraz. Rozejrzała się niepewnie. Nie bardzo wiedziała, dokąd ma pójść: dalej wzdłuż rzeki czy raczej w głąb lasu? A może w ogóle powinna zawrócić, skoro sygnał, który ją do tej pory naprowadzał, umilkł? W końcu był on jedynym powodem, dla którego nie siedziała jeszcze w samochodzie i nie jechała w stronę Warszawy. W dodatku niezbyt chyba przekonującym.

Nie zawróciła jednak. Może dlatego, że zbyt daleko już zaszła i byłoby to w tym momencie nieco głupie. A może po prostu gdzieś w głębi duszy pragnęła, by wszystko to, co jej się ostatnio przytrafiło, miało jednak jakiś sens, by nie było tylko efektem jej rozchwiania i przewrażliwienia. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiego myślenia. Ludzie w ten sposób potrafią potwierdzać samym sobie najbardziej bzdurne teorie. Byleby tylko nie musieć przyznać, że od początku się mylili.

Skręciła w las. Trudno powiedzieć, dlaczego podjęła taki właśnie wybór, może w grę wchodziło jakieś przecucie. A może zupełnie chłodna konstatacja, że gdyby krzyk, który jeszcze niedawno dochodził do jej uszu, miał swój początek nad rzeką, byłby o wiele lepiej słyszalny. Ruszyła więc w górę skarpy. Akurat pięła się tu między drzewami wąska ścieżka – trudno powiedzieć, czy wydeptana przez ludzi, czy przez zwierzęta – mogła więc z niej skorzystać.

Trochę się zasapała, nim znalazła się na górze. Rozciągał się tu las; wiedziała, że sięga aż do samego Olsztyna. Zwarty kompleks leśny otaczał to miasto niemal z każdej strony. Z tej, w którą właśnie patrzyła, nieprzerywany był żadnymi drogami ani siedzibami ludzkimi. Armia drzew sięgająca aż po horyzont.

Nie zapuszczała się tu nigdy, nawet w młodości. Jeśli chodziła po tym lesie, to albo ścieżką biegnącą obok drogi, albo drugą, wiodącą wzdłuż rzeki. Wejście w głąb ostępów leśnych zawsze ją nieco przerażało. Bała się, że straci orientację w tym morzu zieleni, że zatonie w nim niczym okręt na środku oceanu. Teraz już jednak była duża, dorosła i była prokuratorem. I szła w to jądro ciemności, choć nie do końca wiedziała dlaczego.

Nie mając lepszego pomysłu, maszerowała po prostu przed siebie. Już po kilku minutach las zamknął się za nią, otaczając ją teraz ze wszystkich stron. Obejrzała się za siebie. Znowu poczuła dreszcz. Drzewa były teraz naokoło. Gdyby nie wiedziała, gdzie płynie rzeka i z której strony przyszła, nie byłaby w stanie tego określić. Puszcza wchłonęła ją w siebie, a ona poczuła strach, zastanawiając się, czy kiedykolwiek ją wypuści.

Nigdy nie lubiła tego momentu. Tego, gdy traci się punkty odniesienia. Wiedziała, gdzie jest, bez przesady. Żyrokompas w jej głowie wciąż bez problemu wskazywał strony świata. Nawet jeśli pójdzie jeszcze daleko do przodu, będzie umiała wrócić. Lecz poleganie na czymś tak niepewnym, jak niejasne przeczucie kierunku, wywoływało w niej spory dyskomfort. Tak działać mogą ptaki, nie prokuratorzy. Była prawnikiem i nie bez powodu nim została. Potrzebowała procedur, schematów i drogowskazów. Potrafiła używać intuicji, lecz nigdy tego nie lubiła.

A tu miała wrażenie, że tylko intuicja nią kierowała. I nie chodziło wyłącznie o tę drogę przez las. Od samego początku pobytu tutaj wodziły ją za nos i prowadziły rzeczy, którym Seredyńska nigdy nie ufała. Kazały iść za sobą bez przedstawiania dowodów, że w ogóle coś jest na końcu drogi. Dlatego tak się przed tym broniła. Mimo wszystko ruszyła znowu do przodu. Las był mieszany, głównie sosnowy, lecz widać było też drzewa liściaste: brzozy, dęby i buki. Między ich pniami rosły krzaki, ale poszycie nie było zbyt gęste i nie zasłaniało nadmiernie widoku w głąb lasu, choć z drugiej strony nie pozwalało też sięgać jej wzrokiem zbyt daleko. Im dalej wchodziła w tę zieloną gęstwę, tym bardziej wyostrzały jej się zmysły. Słyszała coraz więcej. Odgłosy ptaków, dalekie stukanie dzięcioła, szum pobliskiej drogi, trzaskanie gałązek i skrzypienie kołyszących się drzew – wszystko to docierało do niej mocniej, wyraźniej, bardziej namacalnie. Jakby nagle przełączyła się ze ścieżki dźwiękowej mono na stereo.

Gdyby teraz usłyszała tamten krzyk, wiedziałaby dokładnie, skąd dobiega. Szła ciągle przed siebie, coraz dalej i dalej, jakby powoli zatracała się w tym marszu. Jakby wraz z każdym krokiem pograżała się w jakimś dziwnym transie.

Widziała też coraz więcej: szare cienie ptaków przelatujące między gałęziami, tropy zwierząt odcisnięte w ściółce, raz czy dwa wydawało jej się nawet, że dostrzega wpatrzona w siebie małe, czarne źrenice, należące do jakiegoś niewielkiego stworzenia – kuny, łasicy lub czegoś podobnego.

Potem na pewno i naprawdę już coś zobaczyła. W pewnym momencie na w miarę płaskim leśnym terenie wyrastało coś w rodzaju niskiego, podłużnego wzgórza. Coś w jego kształcie wskazywało, że nie jest to naturalna formacja, a raczej dzieło człowieka. Podeszła bliżej.

Wzgórze w zasadzie okazało się wałem. Niezbyt wysokim, ale za to długim. Jego szczyt porastały drzewa i krzewy. Przez chwilę myślała, że to jakiś rodzaj wojskowych fortyfikacji. Wiedziała, że w lesie przy drodze już całkiem blisko Olsztyna znajdują się niemieckie okopy z czasów pierwszej wojny światowej. Okopy jednak wpuszczone są w ziemię, a to coś wznosiło się ponad nią.

Weszła za wał. Dopiero teraz zobaczyła jego pełny kształt. Był owalny, przypominał z lekka spłaszczony okrąg. Od strony, z której przybyła, był w nim rodzaj przerwy. Wał po jej drugiej stronie był wyraźnie niższy, niemal niewidoczny. Za nim biegł parów, przez który okresowo zapewne płynęła woda i to jej działanie najprawdopodobniej zniwelowało jego wysokość.

Całość coś jej przypominała i już po chwili wiedziała co. Rysunek grodu z początków państwa polskiego, który widniał w jej podręczniku do historii, nie pamiętała już z której klasy. Ten sam owalny wał ziemny z jedną bramą prowadzącą do środka. Czy to możliwe, że stała w obrębie czegoś właśnie

takiego? Ten akurat nie mógł być wzniesiony przez założycieli Polski, bo te tereny nie wchodziły w skład ich państwa. Mieszkały na nich pogańskie plemiona Prusów. A więc to oni musieli zbudować to grodzisko.

Niedługo jednak się nad tym zastanawiała. O wiele ciekawsze było bowiem to, co zobaczyła w środku. Teren w obrębie wału był wykarczowany. Z wyjątkiem kilku dużych drzew, które wciąż tam rosły, reszta roślin została wycięta. Widać było jeszcze ich kikuty.

To jednak nie było wszystko. Na pniach pozostałych drzew zawieszono były zwierzęce czaszki. Po porożu rozpoznała jelenia, łosia i kozła sarny, po długich kłach wystających ze szczęki – dzika. Na samym środku na ziemi między drzewami widniał duży, wypalony okrągły ślad po ognisku. Wyglądało na to, że rozpalano je w tym miejscu wielokrotnie. Na środku leżały jeszcze czarne, zwęglone kłody drewna.

Najwyraźniej ktoś urządził tu sobie... no właśnie, co? Miejsce pogańskiego kultu? Jakichś praktyk okultystycznych? Satanistycznych mszy? Zbliżyła się do jednego z drzew. Czaszka na nim przybita była zardzewiałym gwoździem i dość mocno zniszczona, zszarzała i porowata, jakby wisiała tu już bardzo długo. Podobnie wyglądały pozostałe.

Z wyjątkiem jednej. Ta ciągle była jasna i gładka. Podeszła, aby dokładniej jej się przyjrzeć. I wtedy ją poznała. Głównie po drewnianym tableau, na którym wciąż była osadzona. I po czternastu odnogach na porożu. Patrzyła na nią w końcu codziennie przez ładnych parę lat. Była to czaszka jelenia z domu jej ojca. Ta, którą wyrzuciła na śmietnik.

ROZDZIAŁ 18

Przyjrzała jej się dokładniej. Tu gwóźdź był nowy, jeszcze błyszczący srebrną stałą. Nic dziwnego, musiał być w końcu wbity wczoraj lub nawet jeszcze dziś. W miejscu, gdzie zagłębiał się w pień, widać było świeże, jasne, wilgotne drewno. Poczula zapach żywicy. Zaczęła dokładniej sprawdzać teren wewnątrz wału. Wydawał się uporządkowany, wręcz wysprzątny. Pod jednym z drzew dostrzegła trzy wgłębienia w ziemi. Jakby stało tu krzesło, takie na trzech nogach. Sprawdziła pod pozostałymi drzewami. Pod każdym zobaczyła takie same wgłębienia. Umiejscowione były w ten sposób, że razem tworzyły coś w rodzaju nieregularnego kręgu. Jakby ludzie, którzy na nich siedzieli, zwróceni byli twarzami do siebie.

Podjeżdżała, co mogło zostawić takie ślady. Myśliwskie składane trójnogi. Takie, na których siedzi się, czekając na wyjście zwierzyny. Jej ojciec miał taki, pamiętała go z domu. Trzy stalowe nóżki skrócone były pod kątem, na górze łączyło je skórzane, trójkątne siedzisko. Gdy rozchyliło się nóżki, siedzenie napinało się i można było na nim usiąść. Fascynowała ją wtedy prostota i zmysłność tego projektu.

Wgłębienia też wyglądały na świeże. Spotkanie, które tu miało miejsce, musiało się odbyć niedawno. Być może wczoraj wieczorem. Przypomniała sobie krzyk, który słyszała przez okno pensjonatu. Czy miało to z tym jakiś związek? Oraz z pogrzebem jej ojca? Czy jego byli koledzy z koła po stypie przyjechali tu, by oddać mu cześć w jeszcze jakiś inny sposób? Wiedziała, że myśliwi mają swoje rytuały. Smarowanie twarzy krwią pierwszego upolowanego zwierzęcia, hubertus, polowanie wigilijne, sygnały grane na rogach, gwara łowiecka. Lecz o takim zwyczaju dotychczas nie słyszała.

Podeszła do wygasłego ogniska. Kucnęła nad nim i zagłębiła dłoń w popiele. Wewnątrz był ciągle wyczuwalnie cieplejszy. Ognisko więc też było rozpalone. I to na pewno nie dalej niż wczoraj. A więc co? Przyszli tu, siedzieli naokoło rozpalonego ognia, pili być może alkohol, przybili na drzewie trofeum łowieckie ukradzione z kontenera na śmieci... Tak to wyglądało?

Dziwne to może trochę, ale nie zabronione.

Coś jednak było w tym miejscu, coś wysoce niepokojącego. Dorośli mężczyźni nie powinni tak się bawić. Poza tym była to kolejna dziwna, niezabroniona rzecz. Za dużo ich było.

Seredyńska zaczęła grzebać dłonią w popiele, tak jak wcześniej w tamtej przyzmię ziemi pod swoim domem. Było to nawet przyjemne, ciepły popiół gładził jej skórę, przesypywał się między palcami, jakby drapała po futrze jakiegoś wielkiego leżące zwierzę. Jakby czochrała po czuprynie samą Matkę Ziemię.

Nagle na coś trafiła. Znowu, jak wtedy przed domem. Wyjęła to i przysunęła do oczu. Kość. Niewątpliwie. Szczerniała i mocno spalona. Ludzka czy tylko zwierzęca? Była zbyt mała, by można to było poznać. Zapewne raczej zwierzęca. Na wszelki wypadek jednak zwinęła ją w chusteczkę i schowała do torebki.

Wyprostowała się. Trzeba by było powoli wracać. Co prawda nie znalazła tego, czego szukała – człowieka, który wydawał tamten krzyk – lecz dalej już chyba nie było sensu iść. Poza tym trafiła na to miejsce, więc nie chodziła bez sensu.

Wyszła z obrębu wału tą samą drogą, którą tam weszła. Ruszyła w stronę rzeki. Po jakimś czasie dotarła do skraju skarpy.

Rzut oka w dół pozwolił jej stwierdzić, że wyszła w zupełnie innym punkcie. Nie poznawała tego miejsca. Nie szkodzi, wiedziała z grubsza, gdzie jest. Rzeka płynęła w tamtym kierunku, więc ona powinna iść w przeciwnym. Proste.

Zaczęła iść górą stoku, szukając miejsca, w którym mogłaby zejść niżej. Szczęście pod tym względem jej jednak nie sprzyjało, stok był tu stromy i nigdzie nie było widać żadnej ścieżki do dół, musiała więc przedzierać się przez chaszczki.

Nagle natknęła się na coś zupełnie niespodziewanego. Parę metrów od brzegu skarpy, wsparta o pień rosnącej tu sosny, stała niewielka szopa. Było to coś pomiędzy szałasem a budą skleconą z najprzeróżniejszych odpadów: desek, kawałków blachy falistej, gałęzi, a nawet kartonów. Wszystko to przykryte było dachem zabezpieczonym starymi foliowymi workami, chyba po nawozach.

Podeszła bliżej. Miejsce sprawiało wrażenie zamieszkanego. Wokół wały się różne przedmioty, było tu też palenisko z zawieszonym nad nim starym garnkiem. Obok na sznurze rozpiętym pomiędzy drzewami suszyło się pranie.

Wyglądało to na prowizoryczne obozowisko. Przypominało nieco domki, jakie widywała na filmach pokazujących południowoamerykańskie fawele. Budę zaopatrzono w coś w rodzaju drzwi, które były otwarte. Zaciekawiona zajrzała do środka.

Wewnątrz znajdowało się pośłanie. Stary materac spoczywał na trzech drewnianych paletach. Na nim leżał granatowy śpiwór. W kącie zauważyła samochodowy akumulator i kilka kartonów. I mnóstwo butelek po alkoholu.

– Halo, jest tu kto? – spytała.

– „Kto mnie wołał, czego chciał?” – usłyszała za swoimi plecami.

ROZDZIAŁ 19

Omali nie dostała zawału. Odwróciła się gwałtownie. Stał za nią mężczyzna. Ten sam, który rzucił kamień na trumnę jej ojca. Wydał jej się znajomy i to nie tylko dlatego, że wczoraj go widziała.

– „Nie chceciejadła, napoju, zostawcie nas w spokoju! A kysz! A kysz!” – powiedział i minął ją, trącając ramieniem. Wszedł do środka.

Znała te oba zdania, były cytatami. Uczyła się o nich w szkole. Drugi był z *Dziadów* Mickiewicza, a pierwszy? Chyba z *Wesela* Wyspiańskiego.

Człowiek, który je wypowiedział, zdawał się już nie zwracać na nią uwagi. Krzątał się we wnętrzu swej chatki, jakby jej tu w ogóle nie było. Coś przyniósł w brudnej reklamówce i teraz to wyjmował.

– Przepraszam bardzo – powiedziała. – Zgubiłam drogę i... – Przerwała, zastanawiając się, czy mężczyzna w ogóle ją słyszy.

– „W życia wędrowce, na połowie czasu, straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, w głębi ciemnego znalazłem się lasu”... – odparł, zwracając ku niej twarz, lecz nie patrząc na nią. – Rychło w czas, Seredyńska.

Zdumiała się, słysząc swoje nazwisko, choć przecież człowiek ten, skoro był na pogrzebie jej ojca, mógł w końcu wiedzieć, jak się nazywała.

Przyjrzała mu się dokładniej, bo wyszedł z domku i zaczął układać chrust pod wiszącym garnkiem. Wyglądał na starego, lecz chyba bardziej, niż był w rzeczywistości. Zmierzwiona broda i długie, brudne włosy dodałyby lat każdemu. Naprawdę mógł mieć koło pięćdziesiątki.

– Czy my się znamy? – spytała.

Jej słowa wypowiedziane w tych okolicznościach zabrzmiały nieco surrealistycznie.

– Znamy siebie tyle, na ile nas sprawdzono – usłyszała w odpowiedzi.

To też był cytat, tyle że niedokładny. Wiedziała to, bo pochodził z wiersza jednej z jej ulubionych poetek.

Postanowiła wykorzystać tę wiedzę.

– Wisława Szymborska – powiedziała. – Uwielbiam ją.

– Wolę Herberta – odparł mężczyzna, nie odwracając się. – Znasz coś jego, Seredyńska? Proszę, wykaż się.

Spróbowała przegrzebać pawlacze swojego umysłu, jedyne jednak, co w nich znalazła, to żałosny, najbardziej banalny z możliwych ogryzek.

– „Bądź wierny, idź” – powiedziała.

– Tylko tyle? – prychnął mężczyzna. – Jedyńka, i to z minusem. Przecież uczyłem cię tego, Seredyńska... Wszystko jak krew w piach.

Dopiero teraz, po tych słowach uświadomiła sobie, dlaczego ten człowiek wydawał jej się znajomy. Kiedyś był jej nauczycielem. Miał wtedy mniej lat niż ona teraz.

– Dzień dobry, panie profesorze. Nie poznałam pana.

Łypnął na nią jednym okiem i nie odpowiedział.

To dlatego go nie rozpoznała. Zapamiętała go jako młodego, niespełna trzydziestoletniego mężczyznę. Nie miał wtedy zarostu i ubrany był zawsze w marynarkę. Pasja, z którą opowiadał o literaturze, sprawiła, że jeszcze potem, w liceum, zastanawiała się, czy nie pójść na studia polonistyczne.

Co się musiało stać, że skończył w ten sposób?

Coś aż ścisnęło ją za gardło.

Jezu, jak on się nazywał? To, że nie mogła sobie tego przypomnieć, sprawiło, że poczuła się winna. Jakby to ona spowodowała, że znalazł się w takiej sytuacji.

Mężczyzna wyjął z kieszeni zapalniczkę i podpalił gałęzie. Potem pochylił się nad płomieniem i zaczął w niego dmuchać. Wyglądał teraz jak dziad, jak menel, jak ktoś, kto jest niespełna rozumu. Nie jak poeta, którym, z tego, co pamiętała, kiedyś był.

– „Gorejąc, nie wiesz, czy stawasz się wolny, czy to, co twoje, ma być zatracone”... – mruknął jakby do siebie. – Pamiętasz, Seredyńska, co było dalej?

Wiedziała, że coś z diamentem, lecz nie potrafiła sobie przypomnieć całego wersu.

– Nie – odpowiedziała.

– To sobie sprawdź i na następną lekcję naucz się całego wiersza na pamięć – polecił. Wstał z kolan, uznając zapewne, że płomień już nie zgaśnie. – A teraz idź już i nie przeszkadzaj mi w obiedzie – rzucił opryskliwie. – Nawet na przerwie nie dadzą człowiekowi spokoju.

Wszedł do środka budy, zabierając ze sobą garnek.

Patrzyła za nim przez chwilę. Chciała go jeszcze zapytać, dlaczego wczoraj rzucił kamień na trumnę jej ojca, lecz powód tego był chyba aż nadto oczywisty. Zastanawiała się, jak mogłaby mu pomóc, lecz uświadomiła sobie, że nawet nie ma przy sobie gotówki.

– Do widzenia, panie profesorze – powiedziała tylko i odwróciła się, chcąc odejść.

– Poznałaś już tajemnicę przeklętego zamku? – usłyszała jednak za sobą pytanie.

Odwróciła się ponownie. Jej dawny nauczyciel stał w wejściu do swojej szopy i tym razem patrzył jej prosto w oczy.

– Przeklętego zamku? – powtórzyła.

– Byłaś tam przecież, nieprawdaż?

Mówił chyba o tym starym grodzie w lesie. Musiał ją widzieć, jak tam wchodziła.

– Tak, byłam – odparła.

– Uważaj, tam znajduje się wejście do piekła – powiedział. – „Porzućcie wszelką nadzieję, ci, którzy tu wchodzić”...

– To pan pozawieszał te czaszki na drzewach? – spytała, wskazując za siebie.

Roześmiał się nieprzyjemnie.

– Nie, dziecko, to nie ja – odpowiedział.

– To kto?

– Zrobił to Bóg albo szatan. A ja nie jestem ani jednym, ani drugim – odpowiedział.

A potem znowu zniknął w środku.

ROZDZIAŁ 20

Wróciła do samochodu. To była długa droga i to nie tylko z powodu przebytej przez nią odległości. Wiele się działo w jej głowie podczas tego powrotu. Raczej nie można jednak powiedzieć, żeby toczyła wówczas z sobą jakąś walkę. Po prostu dojrzywała do zaakceptowania i nazwania wprost decyzji, która tak naprawdę dawno już była podjęta.

Dziś był drugi dzień okolicznościowego urlopu związanego ze śmiercią i pogrzebem jej ojca. Jutro rano powinna pojawić się w pracy. Ale jutro był piątek. Jeśliby wzięła jeszcze jeden dzień urlopu, mogłaby tu zostać aż do niedzieli.

Dojechała na miejsce. Wyjęła z kieszeni komórkę. Jeszcze przez chwilę ważyła ją w dłoni, patrząc na rozjarzony wyświetlacz. Potem wybrała numer do swojej szefowej. Krótko wytłumaczyła jej, że nie udało jej się załatwić wszystkich związanych z pogrzebem i sprzedażą domu formalności i dlatego zmuszona jest przedłużyć nieco swoją tu obecność. Nie miała zaplanowanych na piątek jakichś szczególnie istotnych czynności, żadnych wizyt w sądzie czy tym podobne, więc uzyskała zgodę bez problemu. Pożegnała się i zapowiedziała, że zjawi się w pracy w poniedziałek. Potem wyjęła torbę z bagażnika auta i weszła z powrotem do pensjonatu.

Klucz do jej pokoju zniknął już z blatu, Kutera musiał więc być gdzieś w budynku. Zawołała go dwa razy, nacisnęła też metalowy dzwonek na kontuarze, lecz bez efektu. Zostawiła torbę przy recepcji i ruszyła na poszukiwania.

Właściciela nie było ani w jadalni, ani w ogóle na całym parterze. Weszła na piętro, myśląc, że może sprząta w jej pokoju, lecz drzwi do niego pozostawały zamknięte. Weszła więc jeszcze wyżej.

Zapukała do jego mieszkania, nikt nie odpowiedział. Potem zbliżyła się do drzwi, za którymi leżał jego syn. Tu też zapukała, choć przecież pomieszczenia te były zapewne ze sobą połączone. Również odpowiedziała jej cisza. Kusiło ją, by tam znowu zajrzeć. Mimo, a może zwłaszcza dlatego, że Kutery tam nie było. Zawahała się, to przecież był teren prywatny. Gdy weszła tam po raz pierwszy, mogła tego nie wiedzieć, teraz już to usprawiedliwienie nie wchodziło w grę.

Mimo to nacisnęła klamkę. Weszła do środka.

Syn Kutery leżał na łóżku w tej samej pozycji co ostatnio. Zbliżyła się do niego, by lepiej widzieć jego twarz.

Nagle na ekranie stojącym na szafce obok łóżka coś się pojawiło. Duże litery, które po chwili ułożyły się w dwa słowa.

– Kim jesteś?

Była tym tak zaskoczona, że w pierwszym momencie chciała uciec. Potem, gdy zastanawiała się, gdzie ma wpisać odpowiedź, na monitorze jedna po drugiej zaczęły wyskakiwać kolejne litery:

– Możesz mówić. Słyszę.

Przełknęła ślinę, potem odchrząknęła.

– Gabriela Seredyńska – powiedziała. – Córka Wiktora Seredyńskiego.

– Wiem, znam ciebie. Widziałem cię na zdjęciach z mojego chrztu. Ojciec mi o tobie opowiadał – na ekranie pojawiła się odpowiedź. – Co tutaj robisz?

Znów lekka panika związana z tym, że tak naprawdę przecież nie powinno jej tu być.

– Zatrzymałam się w pensjonacie twojego ojca – odparła. – Szukałam go, żeby mu powiedzieć, że przedłużam pobyt i...

Przerwała, bo na ekranie znów pojawiły się litery:

– Przecież masz tutaj dom.

Czyli najwyraźniej nie interesowała go kwestia naruszenia przez nią jego miru domowego.

– Już prawie nie. Mój ojciec umarł. Nie da się tam mieszkać – wyjaśniła.

Chwila przerwy, w czasie której wpatrywała się z napięciem w monitor. Po niej następne pytanie:

– Jak teraz wyglądasz?

Znowu przełknęła ślinę.

– Metr siedemdziesiąt wzrostu, dość szczupła, długie proste rude włosy.

– Jesteś ładna?

Nigdy nikt jej o to nie spytał w tak bezpośredni sposób. Sama wielokrotnie zadawała sobie to pytanie, lecz odpowiedź na nie bywała dość różna.

– Spotkałam się z opinią, że tak, lecz sama nie jestem tego taka pewna – odpowiedziała w końcu.

Tym razem litery zaczęły niemal od razu wysypywać się na ekran.

– Tak czy nie? Nie widzę cię z tej pozycji, więc musisz mi powiedzieć.

Wypuściła powietrze przez nos.

– Tak, jestem ładna – odpowiedziała.

Było to nawet dość miłe tak samej o sobie powiedzieć na głos.

Podeszła bliżej, by mógł ją lepiej widzieć.

– Faktycznie – napisał. – To dobrze. Na zdjęciach byłaś raczej nijaka, cieszę się, że wyładniałaś.

I po chwili:

– Nie zniósłbym tu brzydkiej laski. – Do tego pojawiła się emotka buźki puszczającej oko.

Uśmiechnęła się.

– Co ci się stało, że tu tak leżysz? – spytała. To pytanie musiało w końcu paść.

Znowu chwila milczenia, tym razem dłuższa. I odpowiedź:

– Głupi wypadek. Wolałbym o tym nie mówić.

– Jasne, rozumiem – powiedziała. – Sorry, że spytałam.

Czas byłoby się chyba zbierać. Nie czuła się w tej sytuacji zbyt zrećnie.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytała jeszcze. – Potrzebujesz czegoś?

– Przejazdźki motorem i randki z dziewczyną. – I znowu ten sam emotikon.

Poziom jej skrępowania gwałtownie wzrósł.

– Mam nadzieję, że kiedyś uda ci się zrobić i jedno, i drugie – odparła. Nie zabrzmiało to chyba zbyt przekonująco.

– Akurat – pojawiło się na ekranie.

– Dobra, będę już lecieć – powiedziała lekkim tonem. – Muszę znaleźć twojego ojca.

– Jasne – opowiedział. – Wpadniesz jeszcze?

– Nie wiem, jak długo tu będę – odparła wymijająco.

– Wpadniesz? – Tym razem emotka uśmiechnięta była od ucha do ucha.

Był to najsmutniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała.

– Tak, postaram się – odpowiedziała.

– Czyli jesteśmy umówieni? Na randkę? – Znowu puszczane oko.

– Tak, jesteśmy.

Naprawdę musiała już stąd wyjść.

– Do zobaczenia – powiedziała.

Niemal wybiegła na korytarz.

ROZDZIAŁ 21

Dawno już nie przeżyła niczego dziwniejszego. Schodziła po schodach nieco skołowana, nie wiedząc sama, co o tym sądzić.

Na samym dole, tuż przy jej torbie, stał Janusz Kutera.

– Myślałem, że pani już wyjechała – powiedział.

Szybko wzięła się w garść.

– Postanowiłam przedłużyć nieco swój pobyt – wyjaśniła. – Nie udało mi się jeszcze załatwić wszystkiego, co chciałam. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko?

Przez kilka sekund zwlekał z odpowiedzią.

– Długo ma pani jeszcze zamiar zostać? – spytał w końcu.

Ponownie miała wrażenie, że nie za bardzo ucieszył się ze spodziewanego zarobku.

– Nie wiem jeszcze – odparła. – Myślę, że góra do niedzieli.

Reakcja znowu nie pojawiła się od razu.

– Jeśli chodzi o sprzedaż domu – powiedział – to myślę, że dałoby się to umówić na jutro. Z tego, co wiem, Zagoński jest nadal zainteresowany.

– Pozostaje jeszcze kwestia notariusza – zauważyła. – Nie wiadomo, czy będzie miał wolny termin.

Kutera uśmiechnął się półgębkiem.

– Tym proszę się nie kłopotać – powiedział. – Znamy go tutaj bardzo dobrze. Nie będzie robił problemu.

To „znamy go” zabrzmiało nieco dziwnie jak na jej gust. Trochę dwuznacznie, a trochę groźnie.

– Skoro tak, nie będzie pewnie robił problemu, by spotkać się w razie czego w niedzielę, prawda? – skomentowała. – Nie widzę zatem powodu do aż takiego pośpiechu.

Kutera rzucił jej niezbyt przyjazne spojrzenie.

– „W razie czego”? – powtórzył. – Czyżby planowała to pani jeszcze bardziej opóźnić?

Uśmiechnęła się do niego w zamierzenie sztuczny sposób.

– „Planowała” to za duże słowo – odpowiedziała. – Powiedzmy, że przyjmuję taką możliwość.

Oczy Kutery lekko się zwęziły.

– Chce pani mieć więcej czasu na szukanie tam trupów? – spytał z przekąsem. – Zapewniam panią, że żadnego tam nie ma.

– O! Czyżby go pan przeniósł? – odwzajemniła mu się sarkazmem. – Mam zacząć szukać gdzie indziej?

Twarz Kutery przybrała bardzo nieprzyjemny wyraz, chyba więc nie rozbawił go ten żart.

– Proszę nie przenosić nawyków z prokuratury na kontakty z innymi ludźmi – powiedział. – Kelner nie musi być usłużny poza miejscem pracy, pani nie musi być aż tak podejrzliwa.

– Zapamiętam tę radę, choć nie wiem, czy z niej skorzystam. – Posłała mu lekki uśmiech. – A teraz mogę prosić z powrotem mój klucz?

Jej rozmówca nawet nie drgnął.

– Rozmawiałam przed chwilą z pana synem – dodała. – Bardzo mnie zapraszał, bym go znowu odwiedziła.

Kutera powoli odwrócił się i wszedł za kontuar. Położył klucz na blacie.

– W dalszym ciągu nie mogę pani zapewnić śniadań – powiedział. – Mam nadzieję, że to pani nie przeszkadza?

- Absolutnie nie - odpowiedziała. - Wizyty w miejscowej restauracji są okazją do rozmów z wieloma ciekawymi ludźmi.

Wzięła klucz oraz torbę i ruszyła na górę.

Po kilku chwilach zamknęła za sobą drzwi pokoju. W świetle dziennym jej apartament wyglądał jeszcze gorzej niż wczoraj po zmroku. A już na pewno brudniej. Po raz kolejny poczuła zwątpienie. Ale już trudno, decyzja została podjęta.

Przypomniała sobie odbytą przed chwilą rozmowę. Była dość dziwna. Właściciel pensjonatu traktował ją z niechęcią, nie był zadowolony z tego, że zostaje. Sprawiał wrażenie, że najchętniej odmówiłby jej przedłużenia pobytu. Nie miał żadnego widocznego powodu, by tak się zachowywać. Musiał więc mieć jakiś powód, który nie był jej znany. Pytanie brzmiało: jaki? Odpowiedzi jeszcze nie знаła, ale wiedziała jedno: jego niechęć tylko powinna utwierdzać ją w przekonaniu, że dobrze zrobiła, wymuszając na nim tę zgodę.

Otworzyła torbę. Jeśli miała tu zostać jeszcze parę dni, to, co było w jej środku, nie wystarczy. Miała ją spakowaną z myślą o jednym, niespodziewanym noclegu, nie o kilku dobach poza domem. Powinna więc wybrać się na jakieś zakupy. Powinna też mieć jakiś plan. Skoro już zdecydowała się tu zostać, należało ustalić, co ma zamiar robić i po co. Nie było to łatwe, bo Seredyńska nie bardzo wiedziała, czego powinna szukać. Decyzję podjęła kierowana dość niewymiernymi i trudnymi nawet do wyartykułowania przesłankami. Czuła z tego powodu pewien niesmak. Przydałoby się coś konkretnego. Jakiś wyraźny trop, za którym mogłaby podążać.

Wydaje się, że tylko jedna rzecz spełniała te kryteria i to ona powinna pójść na pierwszy ogień. Powód opóźnienia pogrzebu. Według kobiety z restauracji mógł być on inny niż ten, który oficjalnie podano.

Na pewno warto to sprawdzić.

Zakład pogrzebowy „Hades” mieścił się na obrzeżach jej miejscowości niedaleko wielkiego cmentarza komunalnego obsługującego Olsztyn. Był to inny cmentarz niż ten, na którym leżał jej ojciec i który znajdował się praktycznie w samym centrum, niewielki, stary i porośnięty drzewami. Ten, bezdrzewny, zajmował całe hektary pól i ciągle się rozrastał.

Budynek zakładu był sporym, jednopiętrowym pawilonem o prostym kształcie dużego pudełka po butach, przykrytym niskim, spadzistym dachem z brązowej blachodachówki. Stonowany, ceglasty kolor silikonowego tynku i czarne litery nazwy nadawały mu rodzaj supermarketowej elegancji oraz niezbędnej, choć nieprzesadnej powagi. Obok, na dość dużym, otoczonym płotem ze zwykłej siatki placu, prezentowała się wchodzącym wystawa różnych wzorów nagrobków, od najprostszych po najbardziej wyszukane, w kształcie serca, serca z krzyżem lub rozkładającej swoje ręce Maryi.

Zaparkowała na rozjeżdżonym, nieutwardzonym parkingu pod płotem i weszła przez bramę. Ścieżka z betonowej kostki brukowej zaprowadziła ją pod samo wejście. Po obu jej stronach rozciągał się przyszyrzyżony na krótko trawnik nieskałany żadnymi innymi roślinami prócz szeregu wciąż niewysokich tui rosnących wzdłuż siatki od jej wewnętrznej strony. Poczowała coś w rodzaju ulgi, że nie musiała tu przychodzić i załatwiać wszystkiego tuż przed pogrzebem. Lecz jak się okazało, co się odwlecze, to nie uciecze.

Weszła przez zwykłe, jednoskrzydłowe drzwi zaopatrzone na górze w niewielką, półkolistą, dzieloną na trzy części szybkę. Po drugiej stronie przywitała ją cisza i dość intensywny, kwiatowy zapach pochodzący z odświeżacza powietrza. Otwarcie drzwi towarzyszył elektroniczny gong o głębokim, miękkim brzmieniu, który zapowiadał jej przyjście.

Znalazła się w niezbyt dużym, jasnym pomieszczeniu. Stała w nim skórzana, kremowa kanapa i takie same dwa fotele. Przed nimi był czarny stolik ze szklanym blatem, na którym leżało kilka kolorowych folderów. Gęste firanki rozprasały światło i nadawały mu żółtawy odcień. Na ścianach wisiały dwa obrazy przedstawiające spokojne, smutne krajobrazy.

Przez chwilę nic się nie działo. Zastanawiała się, czy ma zawołać, czy też iść kogoś poszukać. Wreszcie na końcu krótkiego korytarza biegnącego w głąb budynku pojawił się mężczyzna. Gdy podszedł bliżej, wyczuła od niego charakterystyczną, dobrze jej znaną z prosektorium woń.

– Słucham, czym mogę pani służyć? – spytał wyćwiczonym zbolałym głosem.

Miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. I był na jej gust nieco zbyt zażywny i rumiany jak na pracownika zakładu pogrzebowego. Szczerze powiedziawszy, bardziej przypominał piekarza.

– Dzień dobry – przywitała się. – Nazywam się Gabriela Seredyńska, wczoraj był pogrzeb mojego ojca, który państwo obsługiwali. Przyszłam dopełnić wszystkich formalności.

Mężczyzna uniósł lekko brew.

– Z tego, co wiem, miała pani dokonać płatności przelewem – stwierdził tym samym przygnębionym tonem.

– Tak, ale zostałam nieco dłużej, więc uznałam, że łatwiej będzie załatwić tę sprawę od razu – odpowiedziała.

– Oczywiście. – Mężczyzna skłonił lekko głowę. – Wystarczy paragon czy życzy sobie pani fakturę?

Przez głowę przemknęło jej pytanie, czy pogrzeb można odliczyć sobie od kosztów.

– Wystarczy paragon – odparła. – Pomyślałam, że mogłabym przy okazji porozmawiać też o nagrobku – dodała.

– Znakomity pomysł. – Ponownie skinął głową. – Zaraz przyniosę katalog i wszystko omówimy. Napije się pani może kawy albo herbaty?

– Kawy bardzo chętnie. Jeśli jest taka możliwość, to latte z dwiema łyżeczkami cukru.

– Już przygotowuję. – Mężczyzna zniknął na zapleczu.

Jego powierzchowność i fizjonomia w dziwny sposób nie pasowały do dystygowanego, pełnego powściągliwości sposobu zachowania, przywodzącego na myśl angielskiego kamerdynera pełniącego służbę na pogrzebie któregoś z mniej znaczących krewnych jego pana. Miało się wręcz wrażenie, że za chwilę poluzuje zbyt mocno zaciśnięty na szyi krawat, rozpakuje z papieru schowaną w kieszeni kanapkę i otworzy sobie butelkę piwa.

Mężczyzna wrócił po chwili, niosąc ze sobą czarny segregator i najprawdziwszą latte w wysokiej szklance. Obie te rzeczy postawił przed nią na stoliku.

– Proszę spocząć. – Wskazał na skórzaną kanapę. – Będzie nam wygodniej.

Usiadła.

Mężczyzna usiadł przy niej i zaczął objaśniać wzory, ceny i materiały, z których wykonuje się nagrobki. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że ten wybór naprawdę przed nią stoi, powinna więc może słuchać nieco uważniej. Wykorzystała ten temat jako pretekst, lecz przecież faktycznie będzie musiała kiedyś to zrobić. Jakoś dotąd o tym nie pomyślała.

– Ile trzeba odczekać od pogrzebu z wystawieniem nagrobka? – przerwała mężczyźnie.

– Przyjmuje się, że około sześciu miesięcy – odpowiedział. – Ziemia musi osiaść i się ustabilizować. Ale oczywiście może pani go wybrać i zamówić już teraz. Realizacja też trochę potrwa.

Czyli miała jeszcze nieco czasu.

– Czy jakiś wzór spodobał się pani szczególnie? – usłyszała.

Woń prosektorium była teraz jeszcze mocniej wyczuwalna, mimo zamaskowania jej zapachem świeżo najwyraźniej zaaplikowanych perfum. Mężczyzna musiał przyjść tu prosto z pomieszczenia, gdzie przygotowywał zwłoki. Ale spokojnie, nie przeszkadzało jej to, była przyzwyczajona.

– Myślałam o czymś prostym – odpowiedziała.

– Ale prostym i tanim czy prostym, ale tanim niekoniecznie? – dopytał.

Poczuła nagle potworne przygnębienie. Naprawdę wybierała nagrobek dla swojego ojca. Kogoś, kto kiedyś nosił ją w ramionach.

– Może być niekoniecznie – odparła ze ściśniętym gardłem.

– W takim razie ten model powinien się pani spodobać. – Mężczyzna odnalazł odpowiednią stronę w katalogu. – Czarny marmur szlifowany na wysoki połysk. Litery mogą być złote lub tylko piaskowane.

Nagrobek na zdjęciu błyszczał czernią i złotem i wyglądał jak chińska plastikowa zabawka. Jego bezguście nieco ją otrzeźwiło. Przez chwilę zapomniała niemal, po co tu tak naprawdę przyszła.

– Chyba jednak wstrzymam się nieco z wyborem – powiedziała, prostując się.

– Oczywiście. – Mężczyzna uśmiechnął się smutno. – Wszystkie wzory można również obejrzeć na naszej stronie internetowej. Proszę się zastanowić na spokojnie.

Zamknął segregator.

ROZDZIAŁ 23

- Dobrze, porozmawiajmy zatem o innych kwestiach – powiedziała. – Może mi pan wytłumaczyć, dlaczego pogrzeb mojego ojca tak bardzo się opóźnił?

Twarz mężczyzny pozostała niewzruszona. Było to nawet dość zabawne, biorąc pod uwagę jej alkoholowe przekrwienie.

- Proszę przyjąć z naszej strony najszczerze wyrazy ubolewania – odparł po chwili przeproszającym, pełnym uniżenia głosem. – Taka sytuacja nigdy nie powinna się wydarzyć. Zaszło karygodne nieporozumienie. Aby to jakoś pani zrekompensować, proponujemy dwadzieścia procent rabatu.

Postarała się, by zarówno w tonie jej głosu, jak i w spojrzeniu nie było ani śladu po wcześniejszych emocjach.

- Ja ze swej strony mogę zaś zaproponować pozew o odszkodowanie – powiedziała. – Biorąc pod uwagę, jaką traumą była ta sytuacja dla mnie i dla pozostałych żałobników, myślę, że mam spore szanse na jego uzyskanie.

Jej rozmówca wysłuchał tego z istic kamienną twarzą.

- Rabat, o którym wspomniałem, może dotyczyć również wykonania nagrobka – dodał. – I możemy go podwyższyć do dwudziestu pięciu procent.

Przyjrzała mu się uważnie i to tak, by miał tego świadomość.

- O wiele bardziej interesuje mnie, dlaczego tak się stało – powiedziała.

Mężczyzna rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Jak już pani wspomniałem, zaszło karygodne nieporozumienie – powtórzył. – Jeden z moich pracowników wpisał w grafik złą datę. To znaczy data była dobra, pomylił tylko dzień tygodnia. Potem nie sprawdził i stąd całe nieszczęście. Głupia pomyłka, lecz w naszej branży absolutnie niewybaczalna. Zdarzyło się to po raz pierwszy w mojej karierze. Jest mi niewymownie przykro.

Nie odniosła się do tego od razu. Pozwoliła, by cisza, która zapadła po jego słowach, stała się męcząca.

- Słyszałam jednak, że nie do końca tak to wyglądało – zaczęła wreszcie. – Doszły mnie słuchy, że ciało mojego ojca było gotowe na czas, a opóźnienie wynikało z innych powodów. Bardzo chciałabym je poznać – zakończyła z naciskiem.

Czy jej się wydawało, czy zaróżowiona twarz mężczyzny stała się odrobinę bardziej czerwona?

- Od kogo to pani słyszała? – Tym razem nawet na nią nie spojrział.

- Nieważne, ale w czasie procesu o odszkodowanie na pewno będę wnioskować o uwzględnienie jego zeznań – odpowiedziała. – I oby się nie okazało, że dzięki nim proces cywilny zamieni się w proces karny.

Mężczyzna przełknął ślinę, czyli groźba podziałała. A przynajmniej wzbudziła niepokój. Tym razem to on przez chwilę nie odpowiadał.

- Nie wiem, kto to pani powiedział, ale to kompletna bzdura – zaczął, gdy w końcu wydobył z siebie głos. – Czy ta osoba była tego świadkiem?

Przez moment zastanawiała się, czy i jak odpowiedzieć na to pytanie i czy nie lepiej utrzymać tę wiedzę w tajemnicy, potem jednak pomyślała, że ujawnienie jej może wzbudzić mały, korzystny dla niej ferment.

- Zapewne, gdyż informacja pochodzi od jednego z pańskich pracowników – powiedziała.

- Którego? – spytał.

- Sam pan rozumie, że nie mogę tego panu wyjawić – odpowiedziała. – A właśnie, *à propos*, mogłabym poznać pana nazwisko? Może mi się przydać.

Uśmiechnęła się do niego szeroko. Nie odwzajemnił uśmiechu.

– Stanisław Lewczuk – odpowiedział. – Jest pod nazwą zakładu. – Wskazał na foldery.

Mężczyzna stał się nerwowy, mimo iż bardzo starał się to ukryć. Z pozoru wciąż zachowywał tę samą maskę pełnego powagi i spokoju pracownika zakładu pogrzebowego, coś się jednak w nim w ledwie zauważalny sposób zmieniło, choć bardziej to wyczuwała, niż widziała.

– Powtarzam pani, to nieprawda. Doszło do zwykłej pomyłki, to cała tajemnica – powtórzył swoją wersję.

Utrzymywała wzrok na jego twarzy, chcąc go jeszcze bardziej zdenerwować. W końcu nie wytrzymała.

– Jeśli to wszystko, pozwoli pani, że już panią pożegnám i wrócę do swoich zajęć – powiedział.

Wstał.

– Wie pan, że jestem prokuratorem? – rzuciła jakby mimochodem.

– Tak, w Warszawie – odparł. Słowa „w Warszawie” wypowiedziane były z wyraźnym naciskiem.

– Tu prawo działa inaczej? – spytała.

Spojrzał na nią z góry. Widać było, że chce już od niej uciec.

– Bardzo pani dziękuję za wizytę u nas. Jeśli będzie pani miała jeszcze jakieś pytania na temat naszej oferty, proszę dzwonić. Wzory nagrobków, jak już mówiłem, dostępne są na naszej stronie. Kwestię płatności sugeruję mimo wszystko uregulować przelewem. Do widzenia.

Uklonił jej się i zamierzał odejść. Nie pozwoliła mu jeszcze na to.

– Gdyby pan miał z kolei jakieś odpowiedzi, również proszę dzwonić – powiedziała. – Telefon zapiszę panu na tym folderze. – Wzięła leżący na stole długopis z nazwą firmy. – Udzielam rabatu w wysokości dwudziestu pięciu procent czasu trwania wyroku.

Wstała i wyszła. Idąc brukowaną ścieżką, rzuciła jeszcze okiem na stojące przy niej nagrobki. Jeszcze bez dat i nazwisk, a już wyglądające ponuro. Kiedyś podobny będzie musiała postawić na grobie swojego ojca. A jeszcze później ktoś ufunduje taki na jej grobie. Tylko nie wiadomo jeszcze, kto to miały być. Koledzy z prokuratury? Wdzięczni skazani? Nikogo innego na razie nie było. Ta myśl dodatkowo ją przygnębiła.

Wsiadła do samochodu i odjechała. Niezbyt daleko jednak. Za zakrętem zawróciła i wjechała w leśną drogę biegnącą na tyły cmentarza. Potem się zatrzymała. Widziała stąd zaplecze zakładu pogrzebowego. Znajomość terenu wyniesiona z dzieciństwa jednak się przydawała.

Była ciekawa, czy jej mała prowokacja odniesie skutek. Postukała kijem w pnie drzew i teraz czekała, czy spłoszona zwierzyna wybiegnie z lasu. Właściciel zakładu pogrzebowego był wyraźnie zdenerwowany, lecz nie wiedziała ciągle z jakiego powodu. Mógł coś ukrywać, ale nie było to przecież jedyne wytłumaczenie. Nawet zupełnie niewinny człowiek staje się nerwowy, gdy mu się grozi procesem. Choć coś jej mówiło, że w tym przypadku niekoniecznie tylko o to chodziło.

Jej cierpliwość została w końcu nagrodzona. Mężczyzna pojawił się w tylnych drzwiach budynku i ruszył do zaparkowanego w pobliżu samochodu. Miała nadzieję, że będzie chciał z kimś porozmawiać i że po przedstawieniu, jakie odegrała, nie zaryzykuje, by robić to przez telefon. Była to zbyt ostrożność swoją drogą, bo nie miałyby żadnych możliwości, by podsłuchiwać jego rozmowy na tym etapie sprawy, nawet gdyby faktycznie ją prowadziła. Czasami dobrze, że ludzie nie znają prawa.

Czarna toyota RAV4 ruszyła z podjazdu i wyjechała przez automatycznie otwieraną bramę. Seredyńska odczekała chwilę i pojechała za nią. Miała nadzieję, że Lewczuk nie zarejestrował, jakim autem przyjechała, i że nie patrzył teraz w lusterko. Na wszelki jednak wypadek starała trzymać się od niego w stosownej odległości.

Samochód, który śledziła, jechał szybko, nerwowo. Skręcając ostro na rondzie, nieco przechylił się w prawo. Kolejny dowód, że jego kierowca był wyprowadzony z równowagi. Starając się go nie zgubić, również przyspieszyła. Toyota dojechała do następnej miejscowości i skręciła w lewo. Szybko minęła nieliczne zabudowania i wjechała w las. Droga zmieniła się z asfaltowej na wyłożoną starą, betonową, sześciokątną trylinką. Niedobrze. Na takiej trasie Lewczuk mógł o wiele łatwiej zauważyć, że ktoś za nim jedzie. Musiała zwolnić.

Tamto auto nie miało jednak takiego zamiaru. Wyposażona w napęd na cztery koła toyota pręła do przodu po nierównej drodze, podskakując na wybojach. Jej mitsubishi nie miało takich możliwości, więc coraz bardziej zostawało w tyle.

Gdy wyjechała w końcu z lasu, auto Lewczuka było już bardzo daleko. Widziała je, jak pędzi szosą pomiędzy dwoma zarośniętymi trzciną jeziorami, chowając się raz za razem pod koronami pochylonych nad nią drzew.

W końcu wjechała do niewielkiej wsi i zniknęło jej z oczu.

Seredyńska uznała, że teraz już nie musi tak gnać, narażając swój samochód na awarię zawieszenia, zwolniła więc jeszcze bardziej. Jeśli Lewczuk pojechał dalej lub skręcił w boczną drogę, raczej go już nie znajdzie. Jeśli zatrzymał się gdzieś przy głównej ulicy, i tak go zobaczy.

Wokół niej rozciągał się krajobraz jej dzieciństwa. Niewielkie, wpeł zarośnięte jeziora, mokradła, łagodne polodowcowe wzgórza, lasy i łąki. Chodziła tu kiedyś, w czasach przed apokalipsą.

Dotarła wreszcie do wsi. Były to w zasadzie dwa ciągi domów zbudowanych po obu stronach mocno sfatygowanej drogi, wciśniętych między niewysokie wzniesienie po lewej i podmokłe łąki po prawej stronie. Niektóre budynki były jeszcze poniemieckie, inne zbudowano w czasach PRL-u, trafiło się też parę nowych lub świeżo odnowionych. Jechała powoli tą główną aleją, rozglądając się na boki i szukając zaparkowanego gdzieś czarnego samochodu. Nigdzie go jednak nie znalazła. Słaby był z niej jak widać detektyw. Właśnie zgubiła swój pierwszy śledzony obiekt. Nie bez powodu takie rzeczy powierza się policji. Prokuratorzy, zwłaszcza ci na urlopie, najwyraźniej się do tego nie nadają.

Ulica w pewnym momencie straciła swoją utwardzoną betonowymi płytkami nawierzchnię i zamieniła się w zwykłą drogę gruntową. Domy ustąpiły miejsca opuszczonym budynkom gospodarczym pozostałym zapewne po dawnym PGR-ze. Potem i one zniknęły. Wjechała z powrotem w las.

Był to już jednak inny las niż ten po tamtej stronie wsi. Gęstszy, bardziej zbity, mroczniejszy, zamykający się nad drogą jak pancierz. Zaczęła się zastanawiać, czy powinna dalej w niego wjeżdżać, tym bardziej że jej samochód nie był przystosowany do takich przejazdów.

Droga ta jednak gdzieś prowadziła i to nią najprawdopodobniej pojechał Lewczuk. Chyba że schował się przed nią za jakimś budynkiem, czego również nie mogła wykluczyć.

W końcu las zaczął się przerzedzać, a potem całkiem zniknął. Wjechała między pofałdowane, pagórkowate łąki. Pasły się na nich dziwne, zarośnięte, długowłose krowy. Droga nie polepszyła się ani trochę. Wręcz przeciwnie, wgrzyła się niejako w ziemię i szła teraz płytkim, gliniastym wąwozem. Wszystko Seredyńskiej mówiło, że nie powinna dalej jechać, że jeszcze chwila, a zaryje się tutaj lub zawiesi na kępach rosnących między koleinami traw. A jednak nie zawracała. Być może dlatego, że nie bardzo miałyby jak. W tych rejonach swoich rodzinnych stron nigdy dotąd nie była, nie widziała więc, co zobaczy dalej. Czy wyjedzie w końcu na jakąś normalną drogę, czy utknie w lesie przy sągach ściętego drewna czekającego na wywózkę. Albo na rozdeptanej kopytami, błotnistej łączce.

Wreszcie coś jednak się pojawiło. Coś, co nie było kępą drzew, polem ani bagnistą, porośniętą trzcinami niecką pomiędzy pagórkami. Był to ceglany, stary dom przykryty spadzistym dachem, po którego obu stronach stały dwa równie stare budynki gospodarcze. Jeden z nich był w części spalony.

Tego typu siedliska ukryte wśród polodowcowych wzgórz albo wciśnięte niemal w skraj lasu były dość powszechne na tych terenach. Niektóre były już opuszczone i popadały w ruinę, inne wciąż miały swoich lokatorów. Często mieszkających w nich od pokoleń.

To, które zobaczyła, było najwyraźniej zamieszkałe. Oprócz wielu innych rzeczy świadczyła o tym czarna toyota RAV4 stojąca na podwórku.

Choć Seredyńska jej właśnie szukała, odkrycie to zaskoczyło ją. Nie przemyślała sobie dokładnie, co zrobi, jak już ją dogoni. Czy powinna podjechać tam, zaparkować obok, wysiąść, zapukać do drzwi i spytać, o czym rozmawiają? Czy może wzorem rasowych wywiadowców ukryć gdzieś swój samochód, a potem podkraść się pod okna? A może po prostu pojechać dalej, dowiedzieć się, kto tam mieszka, i wrócić, by przepytać go na osobności? Po raz drugi już odczuła, że ma spore braki jako samozwańczy śledczy. Bez wsparcia policji, bez tej całej armii profesjonalistów stojących za jej plecami i gotowych na każde skinienie, była upokarzająco bezradna. Po raz nie wiadomo już który pomyślała, czy nie zostawić tego wszystkiego i nie wrócić do swojego bezpiecznego warszawskiego świata.

ROZDZIAŁ 25

Decyzja, co robić dalej, podjęła się jednak sama i to w dość nieoczekiwany sposób. Lewczuk wyszedł z domu i dostrzegł jej auto. Musiał je rozpoznać, bo gdy je tylko zobaczył, stanął jak wryty, a potem szybko wsiadł do swojego samochodu, gwałtownie zawrócił i wciskając najwyraźniej gaz do dechy, z dużą prędkością wyjechał z podwórka.

Uciekał. Ewidentnie przed nią uciekał. Było to dość nieracjonalne, bo tak naprawdę nie miał ku temu najmniejszego powodu. Nie mogła mu w niczym zagrozić, nie miała do tego żadnych narzędzi. Jedyne, czego mógł się obawiać, to kolejnych niewygodnych pytań, na które nie miał żadnego obowiązku odpowiadać. Emocje jednak najwidoczniej wzięły u niego górę nad chłodną oceną sytuacji i był to kolejny dowód, że miał coś na sumieniu.

Te same emocje sprawiły, że ruszyła za nim w pogoń. To też było nieracjonalne, może nawet jeszcze bardziej. Z jej samochodem pozbawionym napędu na obie osie i po tej drodze nie miała w tym wyścigu najmniejszych szans. Wcisnęła jednak pedał gazu, aż zabuksowała kołami.

Dawno nie poczuła takiego wyrzutu adrenaliny do krwi. To pewnie dlatego zresztą nie była w stanie sobie odpuścić. Biochemiczne procesy zachodzące w jej mózgu sprawiły, że pytania takie jak: po co goni tego człowieka i co robi, kiedy już go ewentualnie złapie, nie przebiły się na pierwszy plan jej świadomości. Zaprawdę, nie tylko prokuratorską tożę zostawiła w Warszawie, kilka innych rzeczy też.

Jej wozem szarpnęło do przodu. Nierówna, wyboista droga nie była idealną trasą dla tego typu auta. Jej niemal nowy, wypieszczony samochód jęczał i skrzypiał, gdy koła wpadały z impetem w kolejne dziury, a ją każde takie gibnięcie aż bolało w trzewiach.

Co gorsza, auto, które goniła, coraz bardziej się oddalało. Toyota RAV4 nie była może klasyczną terenówką, ale na takiej trasie biła jej auto na głowę. Gdy zaś do kolein i dziur dołączyło też błoto, to różnica okazała się w jeszcze bardziej dojmujący sposób widoczna.

W końcu nadeszło to, co musiało nadejść. Droga zjechała w podmokłe zagłębienie. Samochód Lewczuka przejechał przez nie bez najmniejszego problemu, rozbrzuszając po obu swoich stronach brązowe wachlarze błotnistej wody, jej mitsubishi eclipse, udające tylko SUV-a, poległo na tej przeszkodzie całkowicie. Być może niepotrzebnie zwolniła, nie miała w końcu doświadczenia w takich rajdach. Wtoczyła się tam i już została. Koła jej auta straciły przyczepność i zaczęły kręcić się bezproduktywnie w mazi.

Utknęła na dobre. Próbowwała jeszcze wycofać, potem skręcać kołami, jeszcze potem rozbujać samochód, jeżdżąc na przemian w przód i w tył, lecz nic to nie dało. Oprócz wycia silnika na wysokich obrotach i obryzania wszystkich szyb błotem nic nie uzyskała.

Wysiadła wreszcie. Jej buty niemal do kostek zapadły się w gruncie. Spojrzała na drogę. Po toyocie Lewczuka nie było już nawet śladu. No pięknie, pomyślała. Wprost cudownie. Tego jej tylko brakowało. Rozejrzała się wokoło w poszukiwaniu jakiejś deski, którą mogłaby podłożyć pod koła, by zyskały znów przyczepność, lecz niczego takiego nie znalazła.

Spojrzała w tył. Gospodarstwa, które odwiedził Lewczuk, także nie było już widać. Czy powinna tam pójść po pomoc? Nie, biorąc pod uwagę, że Lewczuk to właśnie o niej tam przed chwilą zapewne rozmawiał, byłoby to zbyt upokarzające. Poza tym ustawiłoby ją to na kiepskiej pozycji wobec tego kogoś, kto tam mieszka. Niezbyt dobrze wyciąga się informacje, gdy jest się upapranym do kolan i prosi przy okazji o wyciągnięcie samochodu z błota.

Pozostała więc tylko jedna opcja. Pomoc drogowa. Wyjęła telefon i spojrzała na wyświetlacz. Całe szczęście, że miała zasięg. Zadzwoiła na numer assistance. Miła pani, którą ledwo co słyszała,

powiedziała, że przekazuje zgłoszenie do jednego z ich partnerów z okolicy.

Po chwili otrzymała SMS-a z nieznanego numeru z prośbą o wysłanie pinezki z jej pozycją w Google Maps. Uczyniła to. Teraz pozostawało tylko czekać.

Zamknęła drzwi i wyszła trochę wyżej, by móc oczyścić buty z błota. Kępa trawy, którą zerwała, tylko wszystko rozmazała i przy okazji ubrudziła jej ręce. To ostatecznie ją załamało. Była wściekła. Wściekła na siebie, że się tak głupio zachowała, wściekła na ojca, że umarł i po raz kolejny zamiast jej pomóc, tylko narobił jej kłopotów, wściekła wreszcie na świat, że tak się z nią nie w porządku obchodzi.

Po jakimś czasie, i to szczerze mówiąc prędzej, niż się spodziewała, pojawiła się na horyzoncie laweta. Był to jeden z tych wielkich, amerykańskich samochodów wyglądających, jakby oprócz paliwa wlewano do nich sterydy. Miał granatową kabinę, duże koła i coś w rodzaju haka na wysięgniku z tyłu. Dość szybko pędził w dół wzgórza.

Kierowca, nie zatrzymując się nawet, zjechał na pobocze i wykręcił, by móc się ustawić do niej tyłem. Potem znalazł się z powrotem na drodze i cofnął aż do samego jej auta. Dopiero wtedy wysiadł.

– Gaba? – odezwał się, widząc ją. – No nie! To znowu ty?

I uśmiechnął się szeroko.

– Cześć, Paweł – odpowiedziała.

O, kurwa.

Był niewątpliwie ostatnią osobą, której się tu spodziewała. Nie można powiedzieć, by ucieszyła się specjalnie na jego widok. On jednak dla odmiany wydawał się wprost uszczęśliwiony.

– Matko jedyna! Aleś się zakopała! Co cię tu przygnało? I to takim chucherkiem...

Jakoś ją ubodło nazwanie w ten sposób jej samochodu.

– Chciałam się przejechać po okolicy – odpowiedziała. – Nie sądziłam, że ta droga tak wygląda.

– Ostatnio mocno padało – skomentował. – Teraz tu ładnie, ale ziemia jest ciągle przesiąknięta wodą. Lepiej nie wyjeżdżać bez napędu na cztery koła.

Tak, już o tym wiedziała.

– Na początku nie wyglądało to aż tak tragicznie – spróbowała się usprawiedliwić.

– ...powiedział facet siedzący gołym tyłkiem na kaktusie – dokończył i roześmiał się ze swojego żartu.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Możesz mi pomóc? – spróbowała przejść do rzeczy.

– A ty nie miałaś jakoś wracać do Warszawy? Tak mi przynajmniej mówiłaś.

– Tak, ale chciałam sobie zrobić jeszcze taką sentymentalną wycieczkę przed wyjazdem. I tak to się skończyło...

– Czyli to los nas znowu ze sobą zetknął. – Puścił do niej oko. – Następnym razem wybieraj raczej utwardzone drogi.

„Następnym razem przejadę się Marszałkowską”, pomyślała.

Całe szczęście więcej już nie komentował. Założył rękawice, odpiął hak z wysięgnika, potem klęknął przed maską jej samochodu i zaczepił go o coś, co było pod spodem. Wsiadł z powrotem do swojej kabiny. Rozległ się dźwięk elektrycznego silnika. Metalowa lina szarpnęła, napięła się, potem naprężyła. Przód jej samochodu lekko drgnął.

Po chwili granatowy wehikuł ruszył do przodu, wyciągając powoli jej auto z błota. Gdy już oba były na w miarę twardym gruncie, Paweł wysiadł ponownie z kabiny.

– Sugerowałbym krótką wizytę w warsztacie – powiedział. – Umyłbym podwozie i sprawdził, czy nic się nie oberwało albo nie zatkało błotem. Nie potrwa to długo, a będziemy pewni, że nie spotka cię na trasie żadna niespodzianka.

Brzmiało to rozsądnie. Niestety.

- W porządku - zgodziła się niechętnie. - Mam jechać za tobą?

- Na wszelki wypadek zaczeperę twoje auto na haku i pociągnę - odparł. - Nie chcielibyśmy, byś zostawiła jakąś część na drodze. - Uśmiechnął się. - A ciebie zapraszam do swojej kabiny.

Ruszyli. Czują się skrępowana i w jakimś sensie upokorzona całą tą sytuacją. Nie lubiła się mylić, nie lubiła zawodzić i nie lubiła być zależna od czyjejś pomocy. A wszystkie te punkty dziś odhaczała. Całość pogarszał fakt, że patrzył na to on – ktoś, kogo kiedyś znała, kto w jakiś tam sposób jej się podobał i przed kim z obu tych powodów chciałaby podświadomie wypaść znacznie lepiej.

Nie była więc przez to specjalnie rozmowna.

W kabinie grało radio i pachniało smarem. W sumie to całkiem przyjemny zapach, zauważyła. Nigdy nie jechała takim roboczym samochodem, było to więc dla niej dość egzotyczne. Z zainteresowaniem zlustrowała deskę rozdzielczą i całe wnętrze. Wyglądało raczej zwyczajnie. Na wstecznym lusterku nie wisiała żadna głupia zawieszka, na przedniej szybie od wewnątrz nie była przyklejona plakietka z imieniem kierowcy, nigdzie też nie było widać przyklejonego zdjęcia gołej baby, choć czegoś podobnego się właśnie spodziewała. Zapunktował tym trochę u niej.

Starła się nie patrzeć na niego, nawet kątem oka. Mimo to, a może właśnie dlatego zauważyła, że wszystkie pozostałe zmysły ma nakierowane w tamtą stronę. Nie odzywała się jednak.

On też nie silił się na rozmowę, czym znowu zdobył u niej parę punktów uznania. Nie cierpiała kierowców zagadujących swoich pasażerów. Gdyby była legislatorem, a nie egzekutorem prawa, wprowadziłaby osobny paragraf w kodeksie wykroczeń, który by penalizował podobne zachowania.

Wracali inną drogą, z braku innych pomysłów obserwowała więc krajobraz za oknem. I było to, trzeba przyznać, całkiem ciekawe zajęcie. Okolica jej rodzinnej miejscowości bardzo się od jej wyprowadzki zmieniła. Wszędzie wznosiły się nowe, bogate domy. Niektóre wyglądały wręcz jak rezydencje. Tam gdzie kiedyś chodziła ścieżkami wśród pól, wyrosły całe osiedla takich budynków. Nie były to raczej nowe siedziby starych mieszkańców. Bardziej stawiałaaby na to, że to zamożni obywatele pobliskiego Olsztyna upodobałi sobie podmiejski spokój tych terenów.

W końcu dojechali na miejsce. Warsztat mieścił się w dawnej bazie maszynowej spółdzielni produkcyjnej niedaleko ich szkoły. Wjechali przez bramę i minęli niewielką stację benzynową, która znajdowała się wewnątrz. Pamiętała ją jako dwa obdrapane dystrybutory, jeden z benzyną, drugi z olejem napędowym. Ta, na którą teraz patrzyła, lśniła nowością i wyglądała jak jakaś mniejsza wersja sieciówki znanej firmy. Był to kolejny dowód na to, jak bardzo zmieniła się jej miejscowość.

Sprawdzenie podwozia nie zajęło faktycznie dużo czasu. Paweł zaciągnął jej samochód nad kanał, odczepił go, a potem szlauchem z wodą spłukał błoto. Gdy już obejrzał wszystko dokładnie, wyszedł do niej.

– Jest okej – powiedział. – Żadnych uszkodzeń. Umyję ci tylko jeszcze trochę karoserię i możesz jechać do tej swojej Warszawy.

Uśmiechnął się. Tym razem odwzajemniła uśmiech.

– Dziękuję ci bardzo – odpowiedziała. – Ile za to płacę? – spytała na wszelki wypadek. Miała co prawda assistance, ale nie była pewna, co konkretnie obejmuje.

– Och, nie będę przecież brał pieniędzy od koleżanki ze szkolnej ławy... – zachnął się teatralnie. – Kiedyś, z tego co pamiętam, pożyczyłaś mi kredkę, a ja ci jej nie oddałem. Powiedzmy, że to wyrównanie. – Puścił do niej oko.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Wkręcę cię. – Zaśmiał się. – Za wszystko płaci twój ubezpieczyciel.

Odwrócił się i zaczął zmywać błoto z szyb i maski jej samochodu.

Z pewnym zdziwieniem zauważyła, że patrzy na to z niejaką przyjemnością. Jej dawny kolega z klasy był całkiem harmonijnie zbudowany. Różnił się znacznie od mężczyzn, których znała z Warszawy – sflaczałych i zaniedbanych lub wręcz przeciwnie, nadmiernie napakowanych po siłowni. Jego umięśnienie było nieprzesadne, chociaż wyraźnie widoczne. Sprawiało wrażenie naturalnego. Znów kilka scenariuszy przemknęło jej przez głowę. Były w całkowicie złym guście i pewnie dlatego takie pociągające.

– Gotowe – powiedział. Zakręcił wodę i odłożył wąż. Podszedł do niej. – W Warszawie będziesz pewnie musiała pójść do jakiegoś SPA dla aut, ale na nasze prowincjonalne drogi powinno to wystarczyć – zażartował.

– Jeszcze raz bardzo ci dziękuję – odpowiedziała, wciąż mając w pamięci swoje poprzednie fantazje.

– Słuchaj... – Zamilkł na chwilę, jakby się wahał. – A może dałabyś się jednak namówić na jakiś obiad? Czeka cię ładnych parę godzin drogi...

Była w jego głosie jakaś nuta onieśmienia.

– Nie, nie, dziękuję. Nie chcę cię odrywać od pracy – odpowiedziała. Nieco zbyt szybko i zbyt gwałtownie, w czym najprawdopodobniej miało udział to, o czym wcześniej myślała.

– I tak już kończę – odparł. – Nie mam już na dzisiaj nikogo umówionego.

Spojrzał jej w oczy.

– Muszę ci też coś wyznaczyć – powiedział. – Wiedziałem, że nie będzie żadnych uszkodzeń w twoim aucie. Wymyśliłem ten pretekst, żeby cię tu ściągnąć.

Patrzył teraz na nią w jakiś rozbijający bezpośrednio sposób, niemal na granicy bezczelności. Ten wzrok mówił jej, że wyklada oto karty na stół, nawet ryzykując kompletne i ostateczne odrzucenie, a robi tak dlatego, że inne sposoby zawiodły.

Ta zagrywka zadziałała w jakiś paradoksalny sposób. Sama nie rozumiała dlaczego, bo ta Gabriela Sereżyńska, którą do tej pory znała, nie powinna tak zareagować.

– W porządku – powiedziała. – Czemu nie? I tak powinnam coś zjeść.

– Super! – ucieszył się. – Wskoczę tylko w jakieś normalne ciuchy.

Stała teraz, czekając, aż on się przebierze i próbowała to wszystko zracjonalizować. Na przykład tak, że rozmowa z kimś, kto tu mieszka i wie zdecydowanie więcej od niej, może jej dostarczyć wielu ciekawych informacji. Zwłaszcza że jej źródło samo nalegało na tę rozmowę i nie będzie raczej podejrzewać, że zostanie przy okazji przesłuchane.

Była to wszystko oczywiście prawda, gdzieś tam w głębi duszy wiedziała jednak, że nie tylko i nie do końca o to wyłącznie chodzi.

Wrócił w końcu przebrany i odświeżony. Wyglądał, trzeba przyznać, całkiem nieźle.

– Tym razem może ja cię przewiozę – zaproponowała.

Wsiadli do jej samochodu. Droga trwała raptem parę minut. Po chwili byli już w restauracji. Jej wnętrze wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, gdy była tu ostatnio. Stoliki ustawione było pojedynczo i nie stały na nich resztki jedzenia. Kobiety, z którą wtedy rozmawiała, również nie było. Zamiast niej za kontuarem stała młoda kelnerka.

Wybrali stolik przy oknie. Usiedli. Zdaje się, że oboje byli skrępowani.

Seredyńska uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy jest na czymś w rodzaju randki. Czymś w rodzaju, bo nie traktowała tego do końca w ten sposób. Za to mężczyzna, który siedział naprzeciwko niej, już niewątpliwie tak.

Podeszła do nich kelnerka i zostawiła karty menu. Zagłębiła się w tę lekturę natychmiast i z wielką pasją, bo był to świetny sposób, by odwlec wszystko inne.

– Wybrałaś coś? – usłyszała po jakimś czasie pytanie.

Szczerze powiedziawszy nie, bo chociaż patrzyła z ogromną uwagą na ciągnące się przed nią rzędy liter, myślała o wszystkim, tylko nie o tym.

– A ty? – spytała, by zyskać nieco na czasie.

– Na początku chciałem wziąć hamburgera, ale tego nigdy nie da się jeść elegancko, więc zdecydowałem się na policzki wieprzowe – odpowiedział. – Dobry jest jeszcze sandacz oraz żeberka – podpowiedział.

– Niech będzie sandacz – zdecydowała. – Jesteśmy w końcu prawie nad jeziorem.

Złożyli zamówienie, kelnerka przyniosła napoje. Kończyły się preteksty, żeby nie rozmawiać. I by nie patrzeć na siebie.

Postanowiła wziąć byka za rogi. Właśnie zastanawiała się, od czego zacząć, lecz on okazał się szybszy.

– Przyjechałaś bez męża czy nie masz żadnego? – spytał.

Znowu ten sam ocierający się o bezczelność wzrok. Było to tak bezpośrednie, aż niemal ją zatkało.

– Nie mam – odpowiedziała.

Powinna była teraz spytać go o żonę i pewnie tego właśnie oczekiwał, lecz to by zbyt mocno określiło sytuację między nimi, wybrała więc zmianę tematu.

– Dawno pracujesz w tym warsztacie? – spytała.

Roześmiał się, słysząc ten unik.

– Od ponad dwóch lat – odpowiedział. – I jestem jego właścicielem. Mieszkałem przez jakiś czas w Stanach, pracowałem w podobnym miejscu, odłożyłem trochę pieniędzy i kiedy wróciłem, postanowiłem je zainwestować w coś własnego.

– Pięknie – skomentowała. To stąd pewnie przywiózł ten wielki samochód.

– A ty co robisz? – spytał.

Zastanawiała się przez chwilę, co odpowiedzieć na to pytanie. Parę osób w okolicy już wiedziało, kim naprawdę jest, a wieści w takich miejscach szybko się rozchodzą, lecz z drugiej strony, jeśli chciała go nieco podpytać, może lepiej byłoby nie straszyć go już na samym początku jej zawodem.

– Jestem urzędnikiem państwowym – odpowiedziała. – Pracuję w budżetówce.

To samo półkłamstwo, które już tu kiedyś wypowiedziała.

– Mam nadzieję, że nie w urzędzie skarbowym? – Zaśmiał się.

- Nie - odparła. - Nie musisz się obawiać.
- Nie żebym miał coś na sumieniu... - Uniósł do góry dłonie.
- Jasne, oczywiście. - Też się zaśmiała.

Całe szczęście nie drażył dalej tego tematu.

- Strasznie się tu pozmieniało - zagaiła. - Widziałam wiele nowych domów. Jak stąd wyjeżdżałam, to była raczej mała, senna miejscowość.

- Okolica stała się, można powiedzieć, popularna - odpowiedział. - Blisko do Olsztyna, a żyje się prawie jak w lesie. Dużo osób się tu buduje. Dla mnie to dobrze. Dużo domów to dużo samochodów.

- Są z tym jakieś problemy? - spytała.

- Z czym?

- No wiesz, nowi mieszkańcy, starzy mieszkańcy, jakieś konflikty...

- Niespecjalnie - odpowiedział. - Nowi tu w zasadzie tylko nocują. A mieszkają na obrzeżach. Na co dzień się ich prawie nie widuje.

- Kiedyś wszyscy się praktycznie znali...

- No z tym jest faktycznie gorzej - przyznał. - Dużo osób powyjeżdżało, tak jak ty. Z naszej klasy raptem parę osób tu mieszka. Chociaż ciągle jest tak, że wszyscy wszystko o sobie wiedzą.

- A właśnie, nie wiesz przypadkiem, co stało się z synem Kutery? - spytała. - Słyszałam, że jest sparaliżowany.

- Tak, smutna sprawa. - Pokiwał głową. - Miał wypadek. Jechał motorem i wypadł z drogi. Złamał kręgosłup, a do tego dość poważnie uderzył się w głowę. Podobno gdyby od razu zajęło się nim pogotowie, jego stan nie byłby teraz aż taki zły. Ale biedak leżał potem w rowie chyba ze dwa dni, bo go nie było widać z drogi, więc uszkodzenia okazały się nieodwracalne. Dopiero ojciec go znalazł. Cud, że w ogóle przeżył.

- Stary Kutera musiał to mocno przeżyć.

- Trochę zdziwaczał przez to wszystko. Parę lat wcześniej umarła mu żona, więc został z tym zupełnie sam. Zaniebął przez to ten swój pensjonat. Gdyby tam zrobić jakiś remont, zakręcić się koło tego, mogłoby to niezłe hulać. A tak, szkoda gadać. Chyba tylko siłą inercji to jeszcze jakoś funkcjonuje.

- Skoro już jesteśmy przy dziwakach... - zaczęła. - Spotkałam naszego nauczyciela polskiego.

- Pana Kuryłowicza? No tak, ten to już zupełnie odjechał.

- Naprawdę mieszka w tej szopie w lesie? - spytała.

- Widzę, że zrobiłaś całkiem niezły rekonesans po naszej okolicy. - Roześmiał się.

- Spacerowałam trochę starymi ścieżkami... Nie wiadomo w końcu, kiedy następnym razem tu wrócę - odparła wymijająco.

- Mam nadzieję, że niedługo. - Spojrzał jej z półuśmiechem w oczy. - Masz tu w końcu dom.

- To co z tym Kuryłowiczem? - przypomniała mu swoje pytanie.

- Z tego, co wiem, przenosi się tam tylko wtedy, gdy jest ciepło. Ma tu normalne mieszkanie. W budynku starej szkoły. Gmina przebudowała ją i urządziła w środku mieszkania komunalne. Dostał jedno z nich, jak jeszcze uczył. Podobno też pędzi bimber gdzieś w lesie i z tego się utrzymuje. Sprzedaje go potem różnym stałym klientom. Oczywiście jeśli coś mu zostanie, bo sam też z niego korzysta.

- Dlaczego aż tak się zmenili?

Jej rozmówca wzruszył ramionami.

- Nie wiem do końca. Coś tam się u niego w życiu niedobrego wydarzyło. Rodzina się rozpadła, a on zaczął pić. I trochę przez to zwariował. Ale na swój sposób dobrze sobie radzi. - Uśmiechnął się. - Ma tu podobno jakąś babę. Ona podkarmia go trochę, domywa, doprowadza do porządku, a on potem za jakiś czas znowu idzie w tango. Czasami mu nawet zazdroszczę takiego życia.

- Widzę, że sporo tu się dzieje - zauważyła. - W tej naszej spokojnej okolicy.

– Każde miasteczko ma pewnie swoje mroczne sekrety. I swojego wariata – stwierdził.

Było coś w tonie jego głosu, co sugerowało, że nie mówi do końca ogólnie.

– Są jakieś mroczne sekrety w naszym miasteczku? – spytała.

Spojrzał na nią nieco inaczej niż przedtem.

– Nie, no wiesz, co mam na myśli... – Machnął ręką, jakby próbował zbagatelizować sprawę.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Dzieje się tu coś?

ROZDZIAŁ 28

Niestety, w tym momencie kelnerka przyniosła zamówione dania. Postawiła je przed nimi i odeszła. Jej towarzysz nieco zbyt skwapliwie jej zdaniem zabrał się od razu do jedzenia. Nie pozwoliła mu w ten sposób uciec od tematu.

Nachyliła się konspiracyjnie w jego stronę.

– Powiedz, wiesz coś? – spytała ściszym głosem. – Kręczę mnie takie rzeczy.

Skoro tak bardzo chciał nawiązać z nią bliższy kontakt, to właśnie mu to umożliwiła.

– No wiesz... – powtórzył. Widać było, że złapał przynętę. Teraz musiała się tylko pilnować, by nie szarpnąć wędką za wcześnie.

Minęło jednak parę sekund i nic się nie wydarzyło. Postanowiła trochę mu pomóc.

– Znalazłam w lesie jakiś dziwny krąg – powiedziała. – Wisiały tam na drzewach zwierzęce czaszki. Wyglądało to, jakby ktoś odprawiał tam jakieś rytuały. Co tam się dzieje?

Popatrzył na swoje danie, jakby nagle odechciało mu się jedzenia.

– Nie wiem, może jakieś dzieciaki w ten sposób się bawią – odpowiedział.

– Dzieciaki, w środku lasu?

– Dzieciaki, w sensie nastolatki. Kiedy byliśmy w takim wieku, też robiliśmy dziwne rzeczy. – Uśmiechnął się, jakby chciał obrócić to w żart.

– Ja nie robiłam – stwierdziła. – A ty?

– Ja w sumie też nie – przyznał.

– Nie ma to przypadkiem czegoś wspólnego z tym całym kołem łowieckim? – spytała.

– To byś musiała chyba kogoś z nich spytać – odpowiedział.

– Nie słyszałeś nic? Nie mówi się tu o takich rzeczach? – drążyła.

– To dość zamknięte środowisko. Mają swoje spotkania, obrzędy, własny język, nie dopuszczają innych do siebie.

– Nie jest łatwo tam się wkręcić?

– Ktoś by cię musiał polecić. Nie jest tak, że przychodzisz z ulicy i zgłaszasz chęć bycia członkiem. Musisz mieć wprowadzającego. W praktyce najlepiej, jakbyś była synem albo córką kogoś z nich. Ty miałabyś szansę, ja nie bardzo. Poza tym trochę za mało tu znaczę. To elitarny klub.

– Mają broń, zabijają zwierzęta i trzęsą miasteczkiem?

– Coś w tym rodzaju. W każdym razie lepiej żyć z nimi w zgodzie. Gdybym im podpadł, mógłbym mieć kłopoty. Nie to, żeby mnie odstrzelili, ale wiesz, kłody pod nogi, problemy w gminie, takie rzeczy. Należą tam wszyscy najważniejsi ludzie z okolicy, znają się, spotykają, jeden szepnie słówko drugiemu i nagle się okazuje, że to, co powinno być łatwe, staje się trudne.

– Taka mafia? – podsunęła.

– Raczej układ zamknięty. Oligarchia na skalę małego miasteczka. W niewielkich społecznościach łatwo się tworzą takie struktury. W Warszawie pewnie tego nie masz. Tam jest za dużo ludzi, za dużo sprzecznych interesów, trudno to wszystko opanować. Tu znacznie łatwiej wziąć wszystko za mordę. Jest ograniczona liczba tych, którzy coś znaczą, i oni siłą rzeczy trzymają się razem. Nawet jak się nie za bardzo lubią, jeden jest, nie wiem, z PO, a drugi z PiS, to mają wspólne interesy i one są najważniejsze. A jak ktoś fika, to po jakimś czasie zostaje wspólnym wysiłkiem wypchnięty.

– Tak jak mój ojciec? – spytała. Nagle jej to przyszło do głowy.

Popatrzył na nią z zakłopotaniem lub nawet z niechęcią. Chyba miał powoli dość tej randki.

- Słuchaj, nie wiem - odpowiedział. - Nie znam takich szczegółów. Musiałabyś popytać o to kogoś od nich. Ja chcę tu żyć w spokoju, prowadzić biznes, w który zainwestowałem wszystkie swoje pieniądze. I tyle.

- Żałujesz trochę, że wróciłeś? - spytała.

Uciekł spojrzeniem gdzieś w bok.

- Nie - odpowiedział. - Póki co nie.

Postanowiła mu nieco odpuścić. Nie był w końcu podejrzanym, a to mimo wszystko nie było przesłuchanie. Może dlatego zresztą była do tej pory sama, bo nie potrafiła wyjść ze schematów, których nauczyła się w swej pracy?

- A jak tam w ogóle twoje danie? - spytała. - Mój sandacz faktycznie bardzo dobry.

- Tak, całkiem spoko - odparł. - Bardzo delikatne mięso.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

- Kurde, ale mnie przepytałaś! - Pokręcił głową w pewnym momencie. - Nie jesteś przypadkiem z policji?

Roześmiała się.

- Nie, nie jestem z policji - odpowiedziała.

Dalej rozmawiali już o rzeczach zupełnie neutralnych. Jej dawny kolega okazał się całkiem inteligentnym i dowcipnym rozmówcą. Miło było porozmawiać z kimś w taki sposób. Z tym rodzajem podskórnego, niezbyt jednak nachalnego napięcia, jakie towarzyszy rozmowie dwojga potencjalnie zainteresowanych sobą osób. Pomyślała nawet, że jest to bardzo przyjemne i że być może niepotrzebnie odmawiała sobie dotąd tej rozrywki.

- Szkoda, że już dziś wyjeżdżasz - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Bardzo fajnie się rozmawiało.

- Nie wyjeżdżam - odparła. - Muszę jeszcze zostać parę dni.

Popatrzył na nią z zaskoczeniem.

- Wydawało mi się, że mówiłaś...

- Zmieniły mi się plany. I to dość niepodziewanie - ucięła.

- To może się jeszcze spotkamy? - spytał.

- Mam nadzieję, że nie będę już potrzebowała holowania, ale kto wie. - Uśmiechnęła się.

Rozstali się na parkingu. Miał stąd blisko do warsztatu, więc powiedział, że wróci piechotą.

Patrzyła jeszcze za nim przez chwilę, myśląc o tym, co powiedział, a także - trochę mniej, ale równolegle - o tym, jak wygląda od tyłu. Potem wsiadła do swojego samochodu.

Ruszyła po przodu, mimo że nie podjęła jeszcze decyzji, co ma robić dalej. Było ciągle dość wcześnie, za wcześnie, żeby jechać do hotelu, zresztą nie po to tu zostawała. Zastanawiała się, czy powinna wrócić pod ten dom na środku pola, a jeśli to zrobi, jaką strategię przyjąć podczas rozmowy. Właściciel zakładu pogrzebowego uprzedził już jego mieszkańców o tym, że jest ktoś taki jak ona i że czegoś chce. Nie bardzo też wiedziała, kto tam w ogóle mieszka, jaki może mieć związek z tym wszystkim i co za tym idzie, o co powinna go zapytać. Po raz nie wiadomo już który pożałowała, że nie ma na podorędziu jakiegos komisarza Aleksanderskiego czy nawet Nowaczyka, którym by mogła zlecić całą tę brudną robotę. Ale nie miała. Była tu jak rycerz bez zbroi, miecza i pocztu, próbujący ustalić, gdzie jest smok i z której strony ewentualnie zaatakuje.

Co jednak mogła oprócz tego zrobić? Czas płynął, a ona wciąż nie miała innego punktu zaczepienia. Pozostawało pojechać tam i zobaczyć, co się wydarzy. Czyli pełna improwizacja. Świetnie, ją też uwielbiała.

Skreśliła w prawo. Krócej byłoby, gdyby pojechała w lewo, lecz tam czała się błotnista niecka, w której już raz się dziś zakopała. Jeśli chciała jej uniknąć, musiała zrobić wielkie koło i podjechać tam tak jak za pierwszym razem, czyli od strony zakładu pogrzebowego.

Jadąc, zastanawiała się nad tym, od czego zacząć tę rozmowę. Jaki wymyślić pretekst, by w ogóle zapukać do tamtych drzwi? Gdy wykonywała obowiązki prokuratora, sprawa była znacznie prostsza. Teraz musiała przyjść do jakiegos człowieka i wyjaśnić mu przede wszystkim, czego od niego chce i dlaczego to właśnie z nim chce porozmawiać. Sytuację nieco utrudniał fakt, że nie wiedziała, kogo tam zastanie.

Gdy przejeżdżała koło zakładu pogrzebowego, zauważyła, że czarna toyota RAV4 znów stoi na podwórku za nim. Zarejestrowała ten fakt, choć nie wiedziała za bardzo, do czego ta wiedza mogłaby się jej przydać.

Minęła budynek z napisem „Hades” i pojechała dalej. Krok po kroku odtwarzała trasę, którą już raz dziś przebyła. Gdy zjechała w końcu z wyłożonej betonową trylinką drogi, starała się tylko jechać wolniej i ostrożniej, żeby nie utknąć znowu w błocie. Tamta przygoda skończyła się w sumie dość miło, lecz nie byłoby chyba rozsądne ją powtarzać.

Dostrzegła wreszcie wtulone między pagórki samotne gospodarstwo. Podjechała bliżej. Jakiś człowiek krzątał się po podwórzu. On też ją zobaczył. Stał i wyprostował się, jakby przyglądał się jej autu. Mogłaby przysiąc, że mruży oczy. Potem zniknął we wnętrzu domu.

Uznała, że nie musi w związku z tym specjalnie się czaić, i podjechała pod samą bramę. Wrota były otwarte, więc wjechała na podwórko. Na razie poszło łatwo, pytanie tylko, co teraz?

Wysiadła. W nozdrza uderzył ją zapach wsi. Stojąca woda musiała być gdzieś niedaleko. Wyczuła też woń gnijących roślin.

Czerwone drzwi ceglanego domu się otworzyły. Stał w nich mężczyzna. Nie znała go. Miał około sześćdziesięciu lat. W rękach trzymał broń. Poznała ją, jej ojciec miał bardzo podobną. Sztucer myśliwski z czterotaktowym zamkiem. Poczula, że cierpnie jej skóra. Nie dała jednak tego po sobie poznać.

– To na mnie ta flinta? – spytała lekkim tonem.

Mężczyzna wbił w nią nieruchomy wzrok.

– Nie, akurat ją czyściłem, gdy usłyszałem, że ktoś wjeżdża na podwórko – odpowiedział.

– Rozumiem wobec tego, że nie jest naładowana. – Uśmiechnęła się do niego. – Niezbyt bezpiecznie jest czyścić naładowaną broń.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu.

- Tak, to bardzo niebezpieczne - powiedział w końcu. Zza jego nogi wyjrzał łeb psa. Nie miał zbyt przyjaznego wyrazu pyska. Lufa broni skierowana była w jej stronę. Nie dokładnie w nią, lecz jednak w jej kierunku.

- Mogę wiedzieć, jak się pan nazywa? - spytała.

Uniósł brwi.

- Przyjeżdża pani do kogoś do domu, wjeżdża bez pytania na jego podwórko i nie wie pani nawet, jak ten ktoś się nazywa? - spytał. - Świat się dość mocno zmienił przez ostatnie lata.

Posłała mu kolejny promienny uśmiech.

- Nie eskalujmy napięcia - odpowiedziała. - To zwykle pytanie i człowiek niemający nic do ukrycia nie powinien mieć problemów z odpowiedzią na nie. Ja na przykład nazywam się Gabriela Seredyńska. Widzi pan? To proste. A pan?

- I kim pani jest, żeby mnie tak tu nachodzić? Obwoźnym sprzedawcą? Świadkiem Jehowy? Wędrowną prostytutką? - Jego głos był oschły, niechętny, niemal napastliwy.

- Córką Wiktora Seredyńskiego - odparła. - Którego zapewne pan znał lub chociażby o nim słyszał, bo sądząc po broni, którą pan trzyma w ręku, i tym posokowcu - wskazała na psa - jest pan myśliwym i zapewne należy pan do tego samego koła łowieckiego.

Mężczyzna nie przestawał w nią wbijać wzroku. Podobnie jak jego pies. Czują się przez to coraz bardziej nieswojo. Jeśli za chwilę nie przełamie jego oporu, będzie musiała po prostu stąd odejść.

- Czego pani chce? - spytał jednak w końcu.

- Tylko porozmawiać - odpowiedziała. - Nic więcej. I żeby mnie pan nie zastrzelił. - Wskazała na jego sztucer.

Opuścił broń i trzymając ją za lufę, oparł kolbą o próg domu. Przez chwilę jeszcze milczał.

- Zatem zapraszam - powiedział wreszcie.

Cofnął się, żeby ją wpuścić do środka. Ruszyła do przodu. Pies warknął i pokazał kły. Stała.

- Spokój, Rufus - zabrzmiało z wnętrza domu. - Nie rusz.

Pies posłusznie schował zęby, lecz nie przestawał jej obserwować.

- Niech pani wchodzi - usłyszała. - Teraz już nic pani nie zrobi. Nawet gdyby mu pani usiadła na głowie.

ROZDZIAŁ 30

Weszła zatem do środka. Niemal dotknęła nogą nosa psa. We wnętrzu panował półmrok i charakterystyczny zapach zwierzęcych futer. Pamiętała go z domu ojca. Na ścianach była ściemniała, stara boazeria. Wisiały na niej myśliwskie trofea: poroża saren, jeleni i losi, szable i fajki odyńców, skóry lisów i dzików, wszystko to niemal w absurdalnych ilościach. Każdy wolny fragment każdej ściany był nimi zapełniony.

Weszli do dużej izby. Tu też wszystko było w drewnie. Na środku stał okrągły stół, a wokół niego cztery takie same krzesła. Za nimi wznosił się niemal czarny kredens. Na wszystkich płaskich powierzchniach coś tu leżało: książki, papiery, najprzeróżniejsze przedmioty. Ten nieporządek świadczył, że nie mieszka tu żadna kobieta.

– Niech pani siada. – Mężczyzna wskazał jej krzesło. Sam usiadł naprzeciwko niego. Sztucer wcześniej oparł o ścianę.

– Piękna kolekcja. – Spojrzała na wiszące także tu na ścianach trofea. – To wszystko pan?

– W większości. – Kiwnął głową. – Ale zaczął ją tworzyć jeszcze mój dziadek. Przyjechał tu w czterdziestym siódmym ze wschodu. Ruscy wygnali go z domu, więc w zamian wziął sobie ten. Po wojnie było tu mnóstwo broni – szwabskich mauserów i sowieckich mosinów – a wkoło pełno zwierzyny. Ludzie zabijali siebie, więc na zwierzęta nie starczało im już czasu. Wystarczało czasem wyjść za dom. Tak przynajmniej opowiadał.

Wyjął coś z leżącego na stole woreczka. Była to fajka. Nabił ją i zapalił. To był ten drugi zapach, który wyczuła od progę, ale nie była w stanie go rozpoznać.

– Do ludzi też czasem strzelał? – spytała.

– Czasem. – Mężczyzna kiwnął głową. – Czasy były niespokojne. Ale te rzeczy już się przedawniły, a dziadka nie da się pociągnąć do odpowiedzialności, bo umarł – dodał. – Ale rozumiem, że nie przyszła tu pani słuchać myśliwskich opowieści. – Przy jego ustach pojawił się obłok dymu.

– To zależy, o jakich polowaniach mówimy – odpowiedziała.

Popatrzył na nią z ukosa.

– Słyszałem, że jest pani prokuratorem – powiedział. – I że jest pani na urlopie. Widzę jednak, że tęskni pani za pracą...

Uśmiechnęła się.

– Jak pan również wie, nie jest to urlop do końca wypoczynkowy – stwierdziła.

– Wiem i przekazuję wyrazy współczucia – odparł.

– Znał pan mojego ojca? – spytała.

– Trudno, żebym nie znał, jestem łowczym – odpowiedział.

– Kim? – spytała. Znała ten termin, słyszała go czasem w rozmowach ojca, lecz nie wiedziała, co dokładnie znaczy.

– Łowczym – powtórzył. – Kimś, kto zarządza gospodarką łowiecką koła, organizuje polowania, prowadzi ich ewidencję.

– Kimś w rodzaju szefa? – domyśliła się.

Mężczyzna uśmiechnął się półgębkiem.

– Nie do końca – odparł. – „Szefem” można nazwać prezesa koła łowieckiego. Łowczy, wraz z nim, skarbnikiem i sekretarzem, jest członkiem zarządu.

– Macie tu, widzę, poważne struktury – zauważyła.

– Jesteśmy do tego zobowiązani – stwierdził. – Wszystko określa Statut Polskiego Związku Łowieckiego. *Dura lex, sed lex* – dodał z przekąsem.

– Kto jest prezesem? – spytała. – Mam nadzieję, że nie jest to wiedza tajemna.

– Wszystko jest dostępne w internecie – powiedział. – Nie mamy własnej strony, lecz na pewno bez problemu znajdzie pani potrzebne informacje, wystarczy poszukać.

– Pewnie jest tu kłopot z zasięgiem, więc wolałabym usłyszeć to od pana – odpowiedziała. – Jeśli to oczywiście nie jest problem mogący świadczyć, że chcecie państwo coś przede mną ukryć – dodała po chwili.

Rzucił na nią okiem spode łba.

– Skądże, to żaden problem. – Uśmiechnął się krzywo. – Prezesem koła jest Zagoński. Skarbnikiem Kutera.

Sami znajomi, pomyślała.

– To pozostaje jeszcze sekretarz – zauważyła. – Kto nim jest?

– Sekretarzem jest Niedźwiedzki – odpowiedział.

– Prokurator Niedźwiedzki? – zdziwiła się. Coraz więcej tych znajomych.

– Tak, prokurator Niedźwiedzki – potwierdził. Jakby z pewną niechęcią.

– Nie wiedziałam, że jest członkiem waszego koła... Mieszka tu?

– Wybudował tu dom parę lat temu – wyjaśnił. – I przeniósł się ze swojego poprzedniego koła. Tu ma bliżej na łowiska.

– Jasne, oczywiście. Tak jest znacznie wygodniej. – Uśmiechnęła się. – Stanisław Lewczuk też jest członkiem waszego koła?

– Tego akurat nie musi pani wiedzieć – stwierdził. – W odróżnieniu od członków zarządu informacje o szeregowych członkach chroni ustawa o ochronie danych osobowych. Pani powinna to wiedzieć najlepiej.

Zignorowała ten przytyk.

– Pomyślałam tak sobie, bo rozmawiałam z nim dziś po południu w sprawie opóźnienia, które miało miejsce podczas pogrzebu mojego ojca – powiedziała. – Nie za wiele mi powiedział, jakby coś ukrywał. A potem od razu przyjechał do pana... Zadziwiające, prawda?

Mężczyzna włożył ustnik fajki do ust i zaciągnął powietrze. Usłyszała cichy dźwięk żarzenia. Potem wydmuchał dym.

– Faktycznie jest członkiem naszego koła – odparł. – Przyjechał, żeby się zapisać na polowanie.

– Zapisać na polowanie?

– Jak już mówiłem, jako łowczy prowadzę ewidencję polowań. Myśliwi muszą mi zgłaszać, na którym łowisku i kiedy konkretnie chcą polować, by nie spotkało się dwóch myśliwych w tym samym czasie i w tym samym miejscu i by nie doszło do żadnego wypadku – wyjaśnił.

– Nie można tego zrobić telefonicznie? – spytała.

– Można oczywiście, ale chciał jeszcze porozmawiać przy okazji o paru sprawach.

– Jakich sprawach?

– Związanych z polowaniem. Mam nadzieję, że nie muszę wchodzić w szczegóły.

– I tak od razu po rozmowie ze mną zechciał o tym porozmawiać? – zdziwiła się teatralnie.

– Widocznie rozmowa z panią o czymś mu przypomniła. Może kolor pani włosów skojarzył mu się z futrem lisa? – Uśmiechnął się nie do końca przyjaźnie.

ROZDZIAŁ 31

- Z tego, co pamiętam, sezon na lisy zaczyna się nieco później - zauważyła.

- Brawo. - Kiwnął głową z uznaniem. - W lipcu. Ojciec dobrze panią wyszkolił. Nie wiem, może chciał się zapisać z naprawdę sporym wyprzedzeniem?

Spojrzał jej twardo w oczy dla podkreślenia, że nic już więcej od niego na ten temat nie wydobędzie.

- *À propos* mojego ojca. - Seredyńska postanowiła zacząć z innej strony. - Gdy opróżniano jego dom, nie znaleziono tam żadnej broni. Wnioskuje z tego, że mój ojciec ostatnio nie polował?

- Widzę, że była z nim pani w naprawdę dobrych stosunkach - skomentował ironicznie. - Nie, nie polował. Już wiele lat temu, niedługo przed swoją wyprowadzką do Warszawy, wypisał się z koła i w ogóle ze związku łowieckiego. Musiał wtedy pozbyć się broni. Sztucer sprzedał, a dubeltówkę, która była bardzo stara i w złym stanie, oddał do utylizacji na policję.

- Nie chciał wrócić do koła, gdy przeprowadził się tu z powrotem?

- Nie sądzę, by miał taki pomysł.

Spojrzała na niego uważnie.

- „Nie sądzę, by miał taki pomysł” - powtórzyła. - Zabrzmiało to tak, jakby był jakiś powód, dla którego nie chciałby tego robić.

Mężczyzna uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

- Chodziło mi tylko o to, że wy tam w Warszawie uważacie polowanie za jakieś krwiożercze barbarzyństwo, a on pewnie przesiąknął tą ideologią - powiedział.

- Ja tak nie uważam - stwierdziła. - Nie sądzę, by hodowanie zwierząt w klatkach tylko po to, żeby je potem zabić, było uczciwsze i bardziej humanitarne niż pójście z bronią do lasu, gdzie zwierzyna ma zawsze szansę uciec i uratować życie. Zwierzę w klatce nigdy nie ma takiej szansy. Jeśli ktoś tak przyjmuje, a sam je mięso, jest hipokrytą. Kurczaki, świnię i krowy nie rosną na drzewach. Ktoś je też musi zabić, byśmy mogli je zjeść, tylko robi to z daleka od naszych wrażliwych oczu. Mówić o barbarzyństwie polowania mają prawo tylko wegetarianie. Wtedy to szanuję.

Mężczyzna spojrzał na nią z uznaniem.

- Po raz drugi brawo - skomentował.

- Nie wierzę również, by mój ojciec mógł w ten sposób myśleć - kontynuowała. - Musiał być wobec tego jakiś inny powód, dla którego nie sądzi pan, by mógł chcieć powrócić do koła. Proszę mi powiedzieć jaki.

- Nie znam takiego powodu.

- Słyszałam o jakimś konflikcie między nim a Zagońskim. Czy może chodzić o to? - naciskała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- W każdym zbiorowisku ludzi zdarzają się konflikty. Koła łowieckie nie są od tej plagi wolne - stwierdził.

- Czyli potwierdza pan jego istnienie? - Nie zamierzała odpuścić.

Rzucił jej spojrzenie pełne skrywanej irytacji.

- Niczego, moja panno, nie potwierdzam - powiedział. - Rozmawiam z tobą z dobrej woli i w każdej chwili mogę przestać, pamiętaj o tym.

Odczekała chwilę, by nieco ochłonią.

- Ten protekcjonalny zwrot, którego pan użył, świadczy o pana zdenerwowaniu, a więc tym bardziej uważam, że jest coś na rzeczy - odparła spokojnie. - Wiem, że była jakaś kłótnia między nimi, doszło

niemal do bójki. O co chodziło?

Odwrócił twarz w stronę okna, jakby nie chciał na nią patrzeć.

– Samce czasami toczą walki – odpowiedział. – Ustalają w ten sposób hierarchię w stadzie. Dzieje się tak samo u wilków, jak i u ludzi.

– Mój ojciec nie był już wówczas w waszym stadzie – zauważyła.

– Widocznie czuł, że w jakiś sposób wciąż do niego należy – odparł.

– Po niemal dwudziestu latach mieszkania w Warszawie? – spytała.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Był jednym z jego założycieli – wyjaśnił. – Trudno zapomnieć o czymś takim.

– Zakładał to koło? – zdziwiła się.

Mężczyzna pociągnął dwa razy przez ustnik fajki, potem spojrzał w jej cybuch.

– Zgasła. Zatem koniec rozmowy. Dałem pani czas, jaki zajmuje wypalenie jednej fajki. Będziemy się żegnać.

Wstał. Jego postawa i ton głosu świadczyły, że nie było raczej z tą decyzją dyskusji.

– Mogę przynajmniej dowiedzieć się na koniec, jak się pan nazywa? – spytała. – Wiem, że mogę sobie to wyszukać w internecie, ale tak byłoby prościej.

– Czarnecki – przedstawił się. – Witold.

Wstała również. Pies, który cały czas leżał na podłodze i wpatrywał się w nią dużymi, brązowymi ślepiami, podniósł się.

– Odprowadzę panią do wyjścia – powiedział jego właściciel.

Wyszli z pokoju. W sieni, dopiero teraz to zauważyła, rozpięta na drzwiach od wewnętrznej strony suszyła się skóra. Była inna niż wszystkie.

– To wilk? – spytała. – Z tego, co wiem, nie wolno na nie polować.

– Pies – odpowiedział Czarnecki. – Ale faktycznie podobny. Dlatego go upolowałem. Świetnie będzie wyglądał na ścianie.

Podeszła bliżej, by się przyjrzeć. W futrze widniała wyraźna dziura po kuli.

– Zastrzelił pan psa? – spytała z odrazą.

– Prawo łowieckie na to zezwala – odparł. – Jeśli pies biega po lesie lub w jego pobliżu bez smyczy i bez kagańca, czyli jest tam, gdzie nie powinno go być, uznaje się, że kłusuje, i myśliwy może, a nawet powinien go odstrzelić. Taki los czeka szkodniki – dodał po chwili.

Zabrzmiało to jak groźba i to skierowana do niej.

Chciała mu na to odpowiedzieć, lecz poczuła nagłe ukłucie strachu. Ten mężczyzna miał w sobie coś takiego, że trudno było nie brać poważnie tego, co mówił. Nie mogła jednak pozwolić, by to on miał ostatnie słowo.

– Ważne tylko, żeby właściwie ocenić cel – powiedziała. – Bo pomyłka może naprawdę słono kosztować.

I wyszła.

ROZDZIAŁ 32

Wsiadła do samochodu i wyjechała z podwórka. Była dziwnie roztrzęsiona, sama nie wiedziała dlaczego. Przeżyła już w swojej karierze o wiele bardziej niebezpieczne sytuacje i one tak na nią nie wpłynęły. Nie była zadowolona ze swej riposty i nie była zadowolona z tej rozmowy. Oraz z tego, w jakim ją zostawiła stanie.

Próbowała zanalizować, co też tak na nią podziało. Co sprawiło, że wyjeżdżając przez bramę, musiała naprawdę skupić się, by nie obetrzeć karoserii o słup? I by nie wyglądało na to, że ucieka w popłochu. Powodem był ten człowiek, Witold Czarnecki.

Emanowała z niego jakaś spokojna, pewna siebie i groźna siła. Nie miało się wątpliwości, że mógłby i potrafił być bezwzględny. Cały entourage, którym się otaczał, cała scenografia jego domu jeszcze to podkreślały. Pies czekający tylko na sygnał do ataku, broń będąca zawsze pod ręką, wszystkie te skóry i fragmenty czaszek wiszące na ścianach. Ten człowiek umiał sprawnie zabijać, nie stanowiło to dla niego problemu, było to wręcz jego hobby. Nie spotkała w swoim życiu bardziej seryjnego mordercy.

Jasne, zabijał zwierzęta, nie ludzi, i robił to zgodnie z prawem, a ona nie kłamała, mówiąc, że nie uważa myśliwych za krwiożerczych barbarzyńców, lecz trudno jej było nie pomyśleć, że ktoś, kto od wielu już lat zabija, patroszy, ściąga skóry i przygotowuje czaszki, ma zupełnie inny stosunek do pozbawiania życia niż inni.

Paru ciekawych rzeczy jednak się dowiedziała, w tym jednej dość niespodziewanej. Prokurator Niedźwiedzki był członkiem koła i w dodatku pełnił w nim istotną funkcję. No, no, kto by pomyślał. Nie mogła się wyzbyć przeczucia, że gdy już dowie się znacznie więcej, niż wie teraz, ta informacja okaże się bardzo istotnym elementem ogólnego obrazu sytuacji.

Czarnecki potwierdził też, choć bardzo się tego wystrzegął, że między jej ojcem a Zagońskim istniał jakiś konflikt. Nie udało jej się dowiedzieć, o co chodziło, nawet się do tego nie zbliżyła, ale – znów – intuicja jej mówiła, że ten wątek może być bardzo istotny.

Przypała się nagle, że zaczyna myśleć o tym wszystkim jak o normalnym śledztwie, takim, których już tyle prowadziła. Wchodziła w stare, dobrze wyjeżdżone koleiny, te, w których czuła się tak bezpiecznie. Nie mogła jednak zapominać, że nie było to normalne śledztwo. Różniło je od niego kilka dość istotnych rzeczy. Pierwsza to taka, że chodziło o jej własnego ojca, była więc w nim, jakkolwiek by na to patrzeć, stroną. Druga, że nie występowała w charakterze prokuratora, więc nie powinna tak się zachowywać. Stąpała po grząskim gruncie i musiała ostrożnie stawiać kroki. Trzecia, że nie odkryła tu jak na razie żadnego realnego przestępstwa. Prowadziła więc coś w rodzaju dzikiego śledztwa bez żadnego umocowania, w dodatku we własnej poniekąd sprawie, nie wiedząc nawet, czego w zasadzie szuka. Gdyby jej ktoś coś takiego powiedział tydzień temu, pomyślałaby, że mówi o kimś innym.

Wracała tą samą drogą. Była już nieco zmęczona. Zawieszenie jej samochodu jęczało i skrzypiało na niekończących się wybojach. Kiedy wjechała wreszcie na betonową trylinę, oboje odetchnęli z ulgą.

Skręciła w drogę prowadzącą wzdłuż cmentarza. Przez dobrych kilka minut jechała wzdłuż płotu, za którym rozciągało się bezkresne pole grobów, potem minęła zakład pogrzebowy.

Zauważyła, że czarnej toyoty nie ma już na podwórzu. Zamiast niej stał tam jednak inny samochód. Mniejszy i wyglądający na znacznie starszy. Taki, którym jeżdżą pracownicy, nie szefowie.

Niewiele się namyślając, zawróciła. Zaparkowała na tym samym rozjeżdżonym parkingu co przedtem. Przez chwilę obserwowała budynek. W pomieszczeniu, w którym rozmawiała z Lewczukiem, raczej nikogo nie było. Ale samochód stał. Sam tu przecież nie przyjechał.

Wysiadła. Weszła przez furtkę i przemaszerowała znów alejką między pustymi nagrobkami. Podeszła do drzwi i nacisnęła na klamkę. Były zamknięte. Nie zapukała jednak ani nie zadzwoniła. Zamiast tego okrążyła budynek i wyszła na jego tyły. Tu też nikogo nie było, lecz w oknach z tej strony paliło się światło. Nie mogła jednak zajrzeć do środka, bo widok zasłaniały wertikale. Tu też były drzwi. Białe i gładkie, metalowe. Podeszła do nich. Te były dla odmiany otwarte. Otworzyła je i weszła do środka.

Starala się być cicho, lecz nie przesadnie. Tak, by ktoś, kto ją zobaczy, nie pomyślał, że się skrada, lecz z drugiej strony, by w miarę możliwości móc wejść niezauważenie. Po drugiej stronie drzwi był korytarz. Zwykły, dość krótki, z białymi ścianami i srebrnymi kratkami oświetlenia na suficie. Różnił się od innych tylko tym, że stały w nim jedna na drugiej trzy zafoliowane jeszcze trumny.

Po obu jego stronach były drzwi. Dwoje z lewej strony i dwoje z prawej. Te z lewej, jak się domyśliła, prowadziły do części oficjalnej, tam gdzie przyjmuje się pogrążone w żalu rodziny i omawia szczegóły pogrzebu. Te po prawej prowadziły zapewne do pomieszczeń, w których odbywa się wszystko to, czego lepiej pogrążonym w żalu rodzinom nie pokazywać.

To właśnie tam, jak widziała z zewnątrz, paliło się światło. Podeszła do tych bliżej wejścia. Nie dochodziły zza nich żadne dźwięki. A nie, usłyszała jakby stuk odłożonego na blat przedmiotu. A potem znowu cisza.

Dalsze nasłuchiwanie nie miało już raczej sensu. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

W środku przywitały ją same znajome rzeczy: metalowy stół z rynienkami, białe kafelki na ścianach i podłodze oraz charakterystyczny, niemożliwy do pomylenia z niczym zapach.

– Co pani tu robi? Tu nie można wchodzić – usłyszała głos.

On też był znajomy.

ROZDZIAŁ 33

Z początku miała problem, żeby określić, gdzie już go wcześniej słyszała, człowiek bowiem, który przed nią stał, wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy widziała go po raz pierwszy. Dopiero po chwili Seredyńska dopasowała głos i twarz do wspomnienia. Był to mistrz ceremonii, mężczyzna, który prowadził pogrzeb jej ojca.

Przed nim na metalowym stole leżały zwłoki. Należały do niewątpliwie bardzo starej kobiety. Jej wyostrome zwiotczeniem mięśni rysy twarzy przypominały mumię jednego z faraonów, którą widziała kiedyś w British Museum. Mężczyzna stał nad nimi z gąbką do makijażu w dłoni. Ubrany był w biały, lekarski fartuch.

– Proszę się nie przejmować, jestem przyzwyczajona do takich widoków – powiedziała.

– Nie wiem tylko, czy pani Helena jest przyzwyczajona do oglądania jej w takim stanie – odpowiedział mężczyzna.

– Jest ubrana – zauważyła. – I to bardzo ładnie. Nie widzę więc problemu.

– Jednak jej rodzina... – zaczął mężczyzna.

– Nie widzę tu nikogo z jej rodziny – przerwała mu. – A pani Helena na pewno chętnie rozerwie się jeszcze trochę przed ostatecznym odcięciem od tego typu doświadczeń i posłucha rozmowy dwojga żywych ludzi. Jestem pewna, że za życia bardzo to lubiła. Kobiety mają duże kompetencje społeczne.

Mężczyzna obrzucił ją spojrzeniem.

– A pani? – spytał. – Pani ma takie kompetencje? I czego pani w ogóle chce?

– Porozmawiać – odpowiedziała. – Wyjaśnić parę niepokojących mnie kwestii. W czym, mam nadzieję, może mi pan pomóc.

– Tu? – Wskazał na leżące przed nim zwłoki.

– Nie zajmę panu wiele czasu – odparła. – Nie ma sensu, byśmy szukali nastrojowego lokalu z dobrym jedzeniem.

Mężczyzna odłożył gąbkę na stół.

– I nie ma sensu, jak sądzę, bym dalej protestował – stwierdził. – A więc dobrze, porozmawiajmy. O co chodzi?

– O pogrzeb mojego ojca – wyjaśniła. – Ten, który odbył się wczoraj. Prowadził go pan, więc pewnie pan pamięta.

– Mój debiut w takiej roli. – Mężczyzna uśmiechnął się kwaśno. – Przepraszam, jeśli niezbyt udany. Zostałem o to poproszony, bo podobno mam gadane. Jak się jednak okazało, chyba nie do końca w takich sytuacjach.

– To akurat niezbyt mnie interesuje – osadziła go. – Bardziej ciekawi mnie, dlaczego został tak bardzo opóźniony.

– Słyszała pani, pomylili dni – odpowiedział.

– Mam powody, by sądzić, że nie była to prawdziwa przyczyna – stwierdziła. – Więc pytam: co tak naprawdę tam się wydarzyło?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wiem tyle, co i pani – odparł. – Nie byłem wczoraj rano w zakładzie, bo musiałem wcześniej wypożyczyć jeszcze w Olsztynie ten głupi strój, przyjechałem więc prosto na cmentarz. Czekałem tam razem ze wszystkimi.

– To znaczy, że pan znał właściwą datę – zauważyła.

- No tak - potwierdził.
- Kto ją panu podał? - spytała.
- Powiedziano mi o tym tu, w zakładzie - odparł. - Tak, na pewno. Z nikim innym się w tej sprawie nie kontaktowałem.

- Czyli oni też znali prawidłową datę pogrzebu - stwierdziła. - Dlaczego w takim razie się pomylili?
Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może mieli jakiś problem z przepływem informacji? Pracuje tu parę osób. Jedna mogła znać dobrą datę i mi ją podać, a druga mogła się pomylić. Takie rzeczy się zdarzają.

- Z kim zatem pan ustalał, kiedy być na cmentarzu? - spytała.

- Z szefem - odparł. - Takie rzeczy zawsze ustaliam z szefem.

- A kto w takim razie umawia całą resztę ekipy?

Mężczyzna uniósł brwi.

- Wydaje mi się, że też szef - odpowiedział. - Ale nie wiem, jak to dokładnie wygląda i czy za każdym razem tak samo. Pracuję tu od niedawna i nie przychodzę codziennie. Dzwonią do mnie, jak jest coś do zrobienia.

- Pracuje pan od niedawna, ale prowadzi pan pogrzeby i przygotowuje zwłoki? Szybko pan awansował - zauważyła.

Mężczyzna spojrział w dół na swoje dzieło.

- Nająłem się jako grabarz, bo potrzebowałem pieniędzy - wyjaśnił. - Ale wie pani, jak to jest. Jako jedyny mam tu wyższe wykształcenie, więc reszta uważa, że muszę się znać na wszystkim. A tanatokosmetykę wykonuje zazwyczaj szef, tylko miał dzisiaj coś nagłego do załatwienia, a pogrzeb jest jutro rano, więc znowu zadzwonili do mnie.

Coś nagłego do załatwienia, pomyślała Seredyńska. No proszę. I to wszystko po rozmowie ze mną...

- Ale chyba nie za dobrze mi to idzie... - usłyszała w jego głosie daleko posunięty sceptycyzm.

Podeszła bliżej. Efekt rzeczywiście przedstawiał sporo do życzenia.

- To zwykle kosmetyki? - spytała, wskazując na otwartą, srebrną walizeczkę.

- Nie, są specjalnie do tego - wyjaśnił. - Nie muszą być łagodne dla skóry, za to powinny bardzo dobrze trzymać.

- I robi pan to pierwszy raz? - bardziej stwierdziła, niż spytała.

- Na żywych modelach też nie ćwiczyłem - odrzekł ponuro.

Ta kobieta nie mogła tak wyglądać w swoim ostatnim dniu na powierzchni ziemi. Byłoby to nieludzkie.

- Pomogę panu - podjęła decyzję.

Obeszła stół i sięgnęła do pudełka z lateksowymi rękawiczkami.

- Naprawdę? - bardziej się zdziwił, niż ucieszył. - Nie brzydzi się pani?

- To tylko martwe ciało - odpowiedziała. - I to w dość dobrym stanie.

Zazwyczaj miała do czynienia ze znacznie bardziej uszkodzonymi egzemplarzami.

Na początek starła to, co zdążył już zrobić jej poprzednik. Całe szczęście nie zdołał doprowadzić swej pracy do samego końca, bo kosmetyki funeralne faktycznie trzymały mocno jak diabli. Potem rozpoczęła normalną procedurę, tak jakby malowała samą siebie.

Mężczyzna stał obok i przypatrywał się temu bez słowa.

– Dziękuję – powiedział wreszcie. – Gdyby nie pani, musiałbym to dopisać do długiej listy wyzwania, którym nie podołałem.

Postanowiła wykorzystać jego wdzięczność, by jeszcze nieco go wypytać. Szczerze mówiąc, od początku miała taki plan.

– Był pan na stypie mojego ojca? – spytała, rozprowadzając delikatnie podkład.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Muszę się integrować z załogą. Jestem w tej pracy trochę autsajderem. Choć muszę przyznać, że polubiłem tego typu imprezy. Ludzie są na nich najpierw bardzo smutni, a potem bardzo weseli. Fascynuje mnie obserwowanie momentu, w którym to się zmienia. Ma to oczywiście związek z ilością wypitego alkoholu, ale moim zdaniem nie tylko. To jakby patrzeć, jak życie zwycięża w końcu śmierć.

Rzuciła mu spojrzenie znad swojej pracy.

– A pana koledzy jak do tego podchodzą?

– Inni grabarze? Cieszą się, że mogą się za darmo najeść i napić – wyjaśnił. – Tym bardziej, że nieczęsto się już zdarza, że się ich zaprasza na stypę. To taki stary, wiejski zwyczaj, który właśnie zdaje się zanika.

– Rozmawialiście w jej trakcie o tym, co wydarzyło się przed pogrzebem?

Tym razem to on na nią spojrzał, jak jej się wydało, z pewnym rozbawieniem.

– Chciała mnie pani podejść? – spytał. – Niepotrzebnie. I tak bym powiedział, gdyby pani spytała. Były jakieś rozmowy, ale niewiele się dowiedziałem. Jestem w tej pracy nowy i w dodatku niezbyt pasuję do reszty, więc takie rzeczy mówi się przy mnie przyciszonym głosem.

No świetnie, pomyślała. Znalazła źródło, które nic nie wie.

– Coś tam jednak usłyszałem – dodał po chwili.

Wbiła wzrok w jego twarz.

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że coś tam się wydarzyło – odpowiedział. – Było dużo szeptów, zaaferowane twarze...

– Co się wydarzyło? – ponagliła go.

– Nie wiem, oni, jak sądzę, też do końca nie wiedzieli. Gdy o tym teraz myślę, to uważam, że nie reagowaliby tak, gdyby chodziło o zwykłą pomyłkę.

– Dlaczego?

– Zna pani to na pewno: ktoś w małej grupie coś odstawił, a reszta plotkuje o tym z mieszaniną dezaprobaty i ekscytacji, próbując odtworzyć i dopowiedzieć sobie, co się naprawdę wydarzyło, na podstawie niewielu dostępnych im informacji. Tak to właśnie wyglądało. Gdyby chodziło o błąd jednego z nich, schemat zachowania byłby inny. Śmialiby się z tego albo o to kłócili. A nie robili tego.

– Kto wie wobec tego, co się tam stało? – spytała.

– Wydaje mi się, że Lewczuk – odparł. – On był, jak zrozumiałem, bohaterem tego obgadywania.

– Nikt inny nie brał w tym udziału? W tym, o czym rozmawiali?

– Zdaje się, że nikt z nich. Wtedy mieliby wiadomości z pierwszej ręki i nie musieliby tak tego roztrząsać.

- A ktoś inny? - drążyła.

Zastanowił się.

- Parę razy padło jakieś nazwisko - powiedział.

- Jakie?

Świerzbili ją język, by mu je podpowiedzieć, nie chciała mu jednak niczego zasugerować.

Pochylił głowę.

- Przykro mi, nie mogę sobie przypomnieć... - odpowiedział.

- Zagoński? - Nie wytrzymała. - Czarnecki? Kutera?

- Nie, na pewno nie. - Pokręcił głową. - Ich znam, zapamiętałbym.

- To kto? - Zaraz rzuci gąbkę i zacznie nim potrząsać, by to z niego wydobyć.

- Kurczę, z czymś mi się ono skojarzyło, tylko z czym...

No dalej, człowieku, wyduś to z siebie, syknęła w myślach.

- Już wiem, Niedźwiedzki. - Podniósł głowę. - Jak ten dziennikarz od listy przebojów.

Prokurator Niedźwiedzki, pomyślała. Już drugi raz słyszy dziś o nim.

- Przypomina pan sobie, w jakim kontekście pojawiło się to nazwisko? - spytała.

- Nie. Niestety, nie - odparł. - Było dość głośno, wszyscy gadali, a oni do tego mówili ściszymi głosami. Po prostu tego nie słyszałem. Nawet hipnoza by tutaj nie pomogła. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- Wiem z innego źródła, że ciało mojego ojca było podobno już wystawione w zakładzie - kontynuowała. - Ktoś z pana kolegów mówił coś na ten temat?

- Nie przypominam sobie - odpowiedział mężczyzna. - Ale może też po prostu tego nie słyszałem. Wyszedłem w pewnej chwili na zewnątrz i siedziałem przez jakiś czas przy stoliku w ogródku, bo wieczór był bardzo ciepły.

- Czy jest możliwe, by ciało wystawiono już dzień przed pogrzebem?

- Nie, na pewno nie - odparł stanowczo. - Ciało wystawia się rano w dniu pogrzebu, tak jest zawsze. Byłoby bardzo ryzykowne trzymać zwłoki w takich warunkach dłużej niż parę godzin. A już zwłaszcza przy takiej pogodzie.

- Czyli jeśli faktycznie ciało mojego ojca było już tego dnia wystawione, to znaczy, że raczej nikt z pracowników nie mógłby sądzić, że pogrzeb będzie dopiero dnia następnego?

- Nie, na sto procent nie. Musiałby, nie wiem, pracować tu dopiero od wczoraj.

Właśnie skończyła nakładać makijaż. Odsunęła się nieco, by lepiej ocenić swoje dzieło.

- I co pan sądzi? - spytała.

- Sam bym tego lepiej nie zrobił - stwierdził z ironią. - Świetnie, naprawdę, świetnie. Ma pani fach w rękach. Gdyby chciała pani kiedyś zmienić robotę...

- Nie, dziękuję, zostanę przy swojej - powiedziała. Pomyślała zaś, że gdyby naprawdę chciała kiedyś to zrobić, wybrałaby raczej dla odmiany taką pracę, gdzie nie ogląda się na co dzień trupów. - A pan, co pan wcześniej robił? Mówił pan, że ma wyższe wykształcenie.

- Pracowałem w szeroko pojętej służbie zdrowia - odparł.

- I dlaczego pan już nie pracuje?

- Osiągnąłem w tej pracy kilka dość spektakularnych porażek. A tu przynajmniej nikomu nie zaszkodzię.

Uznała, że nie ma potrzeby ciągnąć dalej tego tematu.

- Ma pan telefon do któregoś ze swoich kolegów z pracy? - spytała. - Chętnie bym z któryś porozmawiała.

– Niestety, nie – odpowiedział. – Raczej nie spotykamy się na pogaduchy w czasie wolnym. Ale wiem, gdzie jeden z nich mieszka.

– Gdzie?

– W budynku starej szkoły, naprzeciwko kościoła.

Odłożyła gąbkę do makijażu i ściągnęła rękawiczki. Pani Helena prezentowała się naprawdę nieźle. Ciekawe, czy zrobienie ładnego make-upu trupowi zalicza się do uczynków miłosiernych co do ciała, pomyślała. Jeśli tak, to któryś z jej wyroków w niebie uległ właśnie zatarciu.

– To co, może poszukamy teraz jakiegoś nastrojowego lokalu z dobrym jedzeniem? – usłyszała pytanie.

Spojrzała zdziwiona ponad metalowym stołem. Mężczyzna, z którym rozmawiała, patrzył na nią z łagodnym, ironicznym półuśmiechem.

– Biorąc pod uwagę to, cośmy przed chwilą robili, byłoby to jednak odrobinę za bardzo zboczzone – odpowiedziała. – Nawet jak na mnie – dodała.

W tej samej chwili zorientowała się jednak, że mogło to zabrzmieć nieco zbyt kokieteryjnie, jakby podejmowała z nim jakąś grę. Szybko się więc wycofała.

– Dziękuję panu bardzo za wszystkie informacje – powiedziała. – Bardzo mi pan pomógł. Do widzenia.

Wyszła.

Dopiero na zewnątrz pomyślała, że mogła przecież wziąć od niego jakieś namiary. Facet wydawał się skłonny do współpracy w odróżnieniu od większości ludzi, z którymi tu rozmawiała, i kontakt do niego mógł jej się jeszcze przydać. Głupio byłoby jej jednak teraz do niego wracać. Cóż, wiedziała przynajmniej, gdzie pracuje. Na wszelki wypadek zapisała też numer rejestracyjny jego samochodu.

ROZDZIAŁ 35

Spojrzała na zegarek. Było już późno, zbliżała się dwudziesta. Jeśli miała tu spędzić jeszcze jedną noc, powinna teraz zrobić jakieś zakupy. Jeżdżąc wcześniej po okolicy, dostrzegła szyld Biedronki. Nie była to może najlepsza opcja, ale naprawdę nie chciało jej się teraz jechać jeszcze do Olsztyna. Jakieś podstawowe rzeczy powinno dać się tam kupić. Może nie takie, do jakich była przyzwyczajona, ale wystarczające. Usiadła za kierownicą i ruszyła w tamtym kierunku.

Sklep musiał być niedawno zbudowany, jeszcze pachniał nowością. Szybko przebiegła między półkami, wkładając do koszyka kilka kosmetyków i parę rzeczy do zjedzenia. Nawet bieliznę dało się tu znaleźć, choć oczywiście nie najlepszej jakości. Po chwili zastanowienia dołożyła butelkę czerwonego wina. W normalnych okolicznościach nie piła alkoholu wieczór po wieczorze, lecz to nie były przecież normalne okoliczności. Czowała się tu trochę jak na wakacjach, trochę jak w sennym koszmarze, a trochę jak na obozie przetrwania. W każdym razie miała wrażenie, że zwykłe, codzienne normy jej zachowania nie do końca tu obowiązują.

Zaopatrzona w ten sposób, wróciła do pensjonatu „Damian”. Wieczór był znowu ciepły, pomimo więc tego wszystkiego, co się na nią ostatnio zważyło, poczuła jakiś rodzaj zadowolenia. Zadziwiające było to wszystko. Miała wrażenie, że będąc tu, znajduje się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości. Jakby ktoś nagle wyjął ją z jej prawdziwego życia i wstawił w to miejsce będące poza czasem i wszystkim, co dotychczas określało jej świat. Było to i niepokojące, i ekscytujące, ale też w jakiś sposób odświeżające.

Wyjęła z bagażnika torby z zakupami i weszła do środka. Budynek znowu wydawał się opuszczony, jakby była w nim sama. W holu nie paliła się żadna porządna lampa. Na dworze było już ciemno, tu również panował półmrok.

Dopiero teraz dostrzegła, że za jadalnią jest rodzaj tarasu. Przez duże okna widziała stojące na nim stoliki i krzesła. Za nimi były już las i rzeka, te same, które widziała wczoraj ze swojego okna na górze. Zatrzymała się, patrząc na to wszystko. Pomysł urządzenia sobie tam kolacji wydał jej się bardzo kuszący. Na pewno o wiele bardziej niż posiłek w jej obskurnym pokoju.

Zaniosła więc zakupy na górę i wróciła już tylko z winem i jedzeniem. W jadalni znalazła kieliszek, jakieś talerze i sztucce. Było coś podniecającego w tym, że była tu sama i że tak się rządziła. Jakby weszła komuś do mieszkania i grzebała mu w rzeczach – rozrywka niedostępna zazwyczaj dla prokuratorów. Drzwi na taras były zamknięte, ale klucz leżał na parapecie obok. Otworzyła je i wyszła na zewnątrz.

Stoliki i krzesła były brudne, lecz Sereżyńska była na to przygotowana. W Biedronce kupiła nawilżane chusteczki i teraz zrobiła z nich użytek. Wino wybrała odkręcane, by nie musieć martwić się korkociągiem. Za to wytrawne oraz ze szczepu, który jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Merlot zawsze dawał radę, miała nadzieję, że tak samo będzie tym razem.

Rozłożyła wszystko na blacie i usiadła. Na talerzu leżała bułka, camembert i szynka parmeńska w plasterkach. Obok małe, nadziewane serkiem papryczki. Nalała do kieliszka wino. Oto jej wieczór w Saint-Tropez.

Napiła się wina, potem zjadła. Noc nadeszła, ptaki w lesie rozpoczęły swój wieczorny koncert. Woda w rzece szumiała. Było naprawdę bardzo przyjemnie. Można było zapomnieć o wszystkim. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Może nie powinna jednak sprzedawać tamtego domu? Mogłaby tu przecież czasem przyjeżdżać. Odremontować go i spędzać w nim takie wieczory jak ten. W wakacje albo w długie weekendy. Nie jest to w końcu aż tak daleko od Warszawy. W trzy godziny da się dojechać. Kiedyś będzie mieć przecież chyba jakąś rodzinę. Wtedy to mogłoby się przydać.

Zdziwiła ją ta niespodziewana myśl. Rodzina. Do tej pory jakoś nie zaprzętała sobie tym głowy. Liczyły się kolejne sprawy i ich rozwiązanie. Napisanie aktu oskarżenia i doprowadzenie, jeśli się da, do skazującego wyroku. Nawet jeśli myślała raz na jakiś czas o związku z mężczyzną, to na pewno nie z tej perspektywy. A tu nagle coś takiego. Czyżby to kolejny skutek uboczny powrotu po latach w to miejsce? Jeśli tak, to dość paradoksalny. Jej rodzina i to, co się z nią stało, nie stanowiły raczej zachęcającego przykładu.

Lecz, z drugiej strony, tu spędziła jedyny okres w swoim życiu, gdy w ogóle jakąkolwiek rodzinę miała. I przynajmniej na początku był to chyba czas w dużej mierze szczęśliwy. A teraz? Teraz miała trzydzieści kilka lat i wciąż była sama. Jeszcze rok czy dwa i ten stan rzeczy może niebezpiecznie się utrwalić. Trwała ruina życia osobistego. Powoli trzeba było podjąć jakiś wybór – pozostać w tym *modus operandi* czy próbować go zmienić. Bo jeśli nie, to za moment wybór podejmie się sam, czy będzie tego chciała, czy nie. Zostanie sama na zawsze. To też była jakaś opcja, tylko czy tego właśnie chciała? Może jednak nie?

Może więc warto byłoby spróbować to zmienić? Tylko jak miałyby to zrobić? Jak się takie rzeczy przeprowadza? Powinna zacząć chodzić do klubów? Umawiać się przez aplikacje randkowe? Co się robi, gdy się chce mieć rodzinę? Są na to jakieś procedury, schematy działań, przepisy wykonawcze? Zapewne tak, lecz ona ich nie знаła. Prawo karne nie miało przed nią tajemnic, w tych kwestiach była kompletną amatorką.

Otworzyła oczy, by nalać sobie drugi kieliszek wina, wyciągając jednocześnie przed siebie dłoń po butelkę. I naraz zamarła w połowie tego gestu. Przed nią po drugiej stronie barierki otaczającej taras stał człowiek. Było to tak zaskakujące, że aż się zawiesiła. Pogrążona w myślach, nie usłyszała zupełnie, jak podchodził. Patrzył na nią uważnie rozjarzonymi, ciemnymi oczami, jakby przyglądał jej się od dłuższego już czasu. I też się nie ruszał.

Przez chwilę trwali tak w niemym bezruchu. Ona z wyciągniętą przed siebie ręką, on stojący nieco bokiem, jakby przykurczony, niereagujący wcale na to, że w końcu go dostrzegła, niemrugający nawet powiekami.

– Dobry wieczór, panie profesorze – powiedziała w końcu.

ROZDZIAŁ 36

Nie odpowiedział. Opuściła dłoń. Potem jednak wyciągnęła ją znowu przed siebie i nalała wina do kieliszka.

– Ma pan ochotę? – spytała.

Bez słowa przechylił się przez poręcz i chwycił kieliszek. Podniósł go do ust i wypił, wciąż na nią patrząc.

– Merlot – powiedział w końcu. – Może być. Dawno nie piłem.

Odstawił kieliszek na stolik.

– Zapraszam – powiedziała. – Jest jeszcze trochę jedzenia. – Wskazała na blat.

Przeszedł niezgrabnie przez barierkę i usiadł na krześle naprzeciwko niej. Zjadł wszystko, co zostało na talerzu. Nalała mu kolejny kieliszek. Sama napiła się prosto z butelki.

Popatrzył na nią spode łba.

– Zostałaś lokatorką przeklętego zamku? – spytał. – Odważna jesteś, Seredyńska. I głupia – dodał, sięgając po kieliszek.

– Przeklętego zamku? – powtórzyła zdziwiona. Myślała, że określał tak tamten stary gród w lesie.

Tym razem nie wypił całego wina od razu. Pociągnął spory łyk, lecz resztę odstawił na blat.

– Kiedyś stał tu krzyżacki zamek – powiedział. – Pierwszy w tych okolicach. Najpierw wzniesli drewnianą warownię, zawsze tak robili na początku. Potem zaczęli budować ceglana twierdzę, ale jej nie ukończyli i przenieśli wszystko do Olsztyna. Zostały tylko fundamenty i piwnice. Masz jeszcze coś do jedzenia?

Sięgnęła do reklamówki, która leżała przy jej krześle, i wyjęła z niej to, co jeszcze tam zostało.

– Wino niestety było tylko jedno – poinformowała.

– Nie szkodzi – odpowiedział. Włożył dłoń za pazuchę i wyciągnął stamtąd dużą butelkę bez etykiety wypełnioną przezroczystym płynem. – Kto własne nosi, ten się innych nie prosi – skomentował i postawił ją na stoliku.

Spojrzała sceptycznie na ciecz o nieokreślonym kolorze.

– Dziękuję, zostanę raczej przy winie – odparła.

– Możesz pić – powiedział, widząc jej wzrok. – Duch puszczy. Wyrób rzemiosła artystycznego. Sam robiłem, na pewno ci nie zaszkodzi. Inaczej bym już dawno zdechł. Ekologiczne jak sam szatan. Z liści, szyszek i trucheł padłych zwierząt. – Zaśmiał się rechotliwie. – Wiesz, że bimber da się pędzić nawet z mięsa? – spytał z dziwnym błyskiem w oku.

Jakoś jej to nie zachęciło.

– Żartowałem, nie bój się – powiedział, zaczynając z powrotem jeść. – To głównie zdziczałe jabłka i kukurydza. Zbieram je jesienią z okolicznych pól. Taka mieszanka burbona i calvadosu.

Popił wino i uzupełnił kieliszek swoim wyrobem.

– Dlaczego przeklęty? – spytała. – Ten zamek.

– Pomieszkaj tu chwilę, to sama się przekonasz – odparł z pełnymi ustami. Starła się nie patrzeć w ich mlaskającą czeluść. – Mówią, że zbudowano go na miejscu pogańskiego kultu i nie do końca udało się go potem schryścianizować. Działy się w nim różne dziwne rzeczy. To dlatego opuścili to miejsce. Potem dwa razy jeszcze próbowano tu coś postawić. Najpierw Niemcy, potem Kutera. Za Niemca był tu szpital psychiatryczny, ale naziści jeszcze przed wojną wymordowali jego pacjentów i zamienili go na wojskowy lazaret. Podobno jednak jeden z dawnych pensjonariuszy przeżył, bo ukrył się wcześniej w piwnicach,

które zostały po nieukończonym zamku. Są duże, głębokie i częściowo zawałone, ciągną się aż do rzeki, więc nikt go tam nie znalazł. Lecz którejś nocy wyszedł i spalił wszystko, łącznie z rannymi żołnierzami. Rozmawiałem kiedyś ze starym Warmiakiem, którzy tu wtedy mieszkali. Mówił, że wrzask ginących w ogniu był taki, że słyszeć go było nawet we wsi. Potem ktoś postanowił wykorzystać ruiny i zbudować pensjonat. Ale go nie dokończył, więc budynek przez długi czas stał pusty. Aż wreszcie przejął go Kutera. I też nie za dobrze na tym wyszedł.

– Dlaczego? – spytała.

Popatrzył na nią jak na idiotkę.

– Bo jest tu wejście do piekła, mówiłem przecież – rzucił z irytacją.

– Do piekła? – spytała. – Co to znaczy?

– *Axis mundi*, oś świata. – Uniósł do góry palec. – Na górze niebo, w środku świat rzeczywisty, na dole piekło. Tu właśnie przebiega, przez to miejsce. – Wskazał budynek za jej plecami. – Można się przedostawać z poziomu na poziom. Niewiele jest takich miejsc. Ludzie w nich wariują, przenika ich zło.

– Albo dobro – wtrąciła. – Skoro jest tu też przejście do nieba.

Prychnął lekceważąco.

– Niebo to też zło, tylko o przeciwnym wektorze – powiedział. – Nie wiedziałaś? – Spojrzał jej w oczy z niezwykłą intensywnością. Aż przeszły ją ciarki. – Niedobrze jest się stykać ani z niebem, ani z piekłem. Lepiej się od obu trzymać z daleka. To tak samo groźne. Widziałaś synalka? – spytał nagle.

– Syna Kutery – domyśliła się.

– Jak myślisz, gdzie on teraz jest – w niebie czy w piekle?

Przypomniała sobie łóżko i wychudzoną, nieruchomą postać.

– W piekle – odparła.

Roześmiał się, wypluwając drobinki jedzenia.

– To myśl tak dalej, Seredyńska – rzucił. – A ja sądzę, że on uważa, że wstąpił do nieba. I siedzi teraz po prawicy Ojca. Przypomnij sobie, co było dalej.

Nie rozumiała zupełnie, o czym mówił. Postanowiła skierować rozmowę na nieco bardziej interesujące ją tory.

– Dlaczego pan rzucił wczoraj kamień na trumnę? – spytała.

Popatrzył na nią rozbawiony.

– Powiem ci, jak się ze mną napijesz – powiedział. – I to nie tego srota-merlota, ale czegoś dla prawdziwych ludzi.

Spojrzała na stojącą przed nią butelkę. Nie wyglądała na zbyt czystą.

– Nie pijam raczej tak mocnych trunków – odparła.

– To błąd – stwierdził. – Jeśli chcesz dostrzec prawdziwą naturę świata, musisz sobie pomóc. Substancje psychoaktywne to podstawa wszystkich religii. Wino jest do tego za słabe. Pij, Seredyńska, twój nauczyciel ci to nakazuje. Potraktuj to jako zadanie do odrobienia. Jeśli je zaliczysz, zdasz i przejdziesz dalej.

Przełknęła ślinę. Już na samą myśl o wzięciu tego czegoś do ust zrobiło jej się niedobrze. Po co w ogóle z nim rozmawiała? Był tylko wariatem plotącym bzdury. Co jej takiego mógł powiedzieć, by warto to było wypicia tego gówna, diabli wiedzą jak i w jakich warunkach robionego, z butelki, której gwint zapewne już wiele razy oślinił.

– Nie bój się, Seredyńska – usłyszała. – Myłem ją, i to dokładnie. A alkohol w środku ma ponad pięćdziesiąt procent. Prędeż ty go czymś zarazisz, niż on ciebie.

Cholera, jakby czytał jej w myślach.

– No, dalej. – Przesunął butelkę w jej stronę. – Bimber nie gryzie, co najwyżej pali.

Wzięła z wahaniem butelkę. Odkręciła nakrętkę, powąchała. Płyn w środku pachniał nawet dość przyjemnie – mocnym alkoholem, jabłkami i syropem.

Na wszelki wypadek przetarła szyjkę chusteczką.

– Pójdę jednak po jakąś szklanę – powiedziała.

– Nie, tak pij – nakazał stanowczo. – To rytuał, nie zmienia się w nim elementów.

Naprawdę nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Może dlatego, że ten człowiek był kiedyś jej nauczycielem, a może przez to, że piła już wcześniej wino? Albo po prostu chciała usłyszeć, co powie, nawet jeśli podejrzewała, że będzie to zwykły wariacki bełkot. W każdym razie przytknęła szyjkę do ust, przechyliła butelkę i wypła.

Łyk, który przełknęła, niemal wypalił jej gardło. Alkohol był mocny, bardzo mocny, nigdy wcześniej takiego nie piła. Ale też w jakiś sposób smaczny, nie mogła tego nie przyznać. Przez chwilę straciła dech i lzy pociekły jej z oczu.

– Jeszcze – usłyszała. – Po drugim razie możesz przepić.

Posłusznie wykonała polecenie. Drugi łyk palił trochę mniej, lecz znów wycisnął z niej oddech.

– Teraz popij – powiedział.

Sęk w tym, że nie miała niczego prócz wina. Wiedziała, że to nierozsądne, lecz musiała, po prostu musiała się czegoś napić. Chwyciła drugą butelkę i chciwie przyssała się do jej szyjki. Dobrze, że nie było tu nikogo, kto mógłby jej zrobić teraz zdjęcie. Pani prokurator z butelką bimbru w jednej i butelką wina w drugiej ręce. Gdyby to gdzieś potem wyciekło, mogłaby mieć spore problemy.

– To jak, odpowie mi pan teraz na moje pytanie? – wychrypiała. – Dlaczego pan rzucił ten kamień na trumnę mojego ojca?

Nachylił się ponad stołem i spojrzał jej w oczy. Widziała go trochę niewyraźnie, nie wiedziała, czy przez lzy, czy przez alkohol.

– Żeby nie wstał – powiedział.

Zamrugła powiekami. Obraz się nieco wyostrzył.

– Dlaczego niby miałby wstać?

– Wszystkie demony tak robią – odpowiedział i oparł się z powrotem o krzesło.

Kurwa, a więc jednak bzdury, pomyślała.

– Mój ojciec był demonem? – spytała. Skoro już zaczęła tę głupią rozmowę, to trudno, będzie ją dalej ciągnąć.

– Nie, ale mógłby się nim stać. Lepiej jest dmuchać na zimne niż sparzyć się potem ogniem piekielnym.

Był wariatem, niewątpliwie. A ona próbowała wyciągnąć od niego jakieś informacje. Wyobraziła sobie nagle, jak wpisuje to wszystko do protokołu przesłuchań. Zaczęła się śmiać. I nie mogła przestać.

– Dobrze – skomentował. – Już działa. Napij się jeszcze.

Teraz było jej już kompletnie wszystko jedno. Pociągnęła kolejny łyk. Ten prawie w ogóle nie palił. Za to był bardzo smaczny, wręcz słodkawy.

– Dlaczego... – Musiała na chwilę przerwać. – Dlaczego miałby stać się demonem?

Naprawdę ją ciekawiło, co odpowie. Jaką kolejną bzdurę zaraz usłyszy.

Spojrzał na nią dużymi, czarnymi źrenicami. Jakby w ogóle nie miał tęczęwek.

– Wszyscy, którzy giną gwałtowną śmiercią, mogą się nimi stać – wyjaśnił.

Wciąż była bardzo rozbawiona.

– Mój ojciec umarł z przyczyn naturalnych – powiedziała. – Widziałam kartę zgonu.

– Nie ma nic naturalniejszego od morderstwa, Seredyńska. Ty najlepiej powinnaś to wiedzieć.

Przez chwilę nie wiedziała, czy usłyszała to naprawdę, czy tylko to sobie wyobraziła lub pomyślała. Sens tych słów z trudem torował sobie drogę do jej otumanionego alkoholem mózgu. Taśma jej pamięci, przewijana raz za razem do tyłu, odtwarzała jednak wciąż od nowa ten sam niebudzący wątpliwości zapis.

– Jakiego morderstwa? – spytała wreszcie.

– Cii. – Przytknął palec do ust. – Nie możemy o tym mówić – wyszeptał konspiracyjnym tonem. – Nie wolno nam.

- Dlaczego nie wolno? - drażyla.

Rozejrzał się na boki.

- Bo nas słuchają - powiedział. - Patrzą i obserwują. Stoją na ambonach z wyciągniętymi strzelbami. Nawet teraz, w nocy.

- Kto? - Spojrzała w czarną głębię lasu. - Myśliwi?

Zaśmiał się, jakby powiedziała dowcip.

- Zaiste - skomentował. - Myśliwi... - wypowiedział to słowo z dziwną, ironiczną intonacją. - To określenie wyjątkowo tu pasuje.

Zamilkł i zajął się z powrotem jedzeniem i piciem. Jakby temat był skończony i wszystko zostało już powiedziane.

Patrzyła na niego oszołomiona. Sam wyglądał jak demon, jak zjawą przybyła z zaświatów. Noc otulała go, zdawał się jej częścią, stapiał się z tym wszystkim, co szumiało, trzeszczało i wydawało odgłosy w ciemnościach za jego plecami. Jeszcze chwila, a z rękawa wypełnie mu wąż albo on sam błysnie ku niej wilczymi kłami. Nie, dość! Wstrząsnęła głową, by przegnać z mózgu te pijane wizje. Usiłowała skupić się na tym, co się przed chwilą stało, zmusić swój umysł do normalnego funkcjonowania. Co on powiedział? Co powiedział? Że jej ojciec został zamordowany? Jak to? Przez kogo? I dlaczego?

- Skąd o tym wiesz? - wybełkotała. Język plątał jej się i nie trafiał dokładnie w te obszary podniebienia, w które powinien.

Spojrzał na nią z nagłą obojętnością. Wyglądał, jakby przestała go interesować ta rozmowa.

- Wiedzący wiedzą - odparł. - Tak już po prostu jest.

Wkurwił ją tym głupim, nadętym, nic nieznaczącym tekstem. Będzie jej tu zgrywał proroka, świr jebany.

- Gównu wiesz - wysyczała. - Gównu, rozumiesz? Jesteś tylko pijanym wariatem z mózgiem przeżartym alkoholem, który pierdoli, co mu woda na język przyniesie.

Patrzył wciąż na nią nieruchomym wzrokiem, monotonicznie ruszając przeżuwanymi ustami. Wyglądał przez to trochę jak krowa.

- Teraz ty też to wiesz - skomentował. - To gównu.

Potem sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął z niej coś i położył na stoliku tuż przed nią.

- Przeszłaś do następnego etapu - powiedział. - Gratuluję.

Obudziła się w ubraniu, całe szczęście w swoim pokoju. Bogu dzięki zdjęła buty, zanim wczoraj przewaliła się na łóżko. Głowa bolała ją niemiłosiernie, a w żołądku narastał niepojący ferment.

Odwróciła się na wznak. Mózg miała opuchnięty, a język i usta wyschnięte. Piasek pod powiekami. Dawno, naprawdę dawno tak się nie czuła. Ostatni raz chyba na studiach.

Spróbowała przypomnieć sobie, jak się skończył wczorajszy wieczór. Bez powodzenia. Jej pięćdziesiąt kilo wagi nie było przystosowane do przyjmowania takich dawek alkoholu. I to takiego alkoholu. Nie miała nawet siły, by pomyśleć „nigdy więcej”.

Z trudem otworzyła oczy. Dotknęła dłonią twarzy. O dziwo, zmyła makijaż. Odruch bezwarunkowy zadziałał. Zębów już jednak nie umyła.

Leżała tak jeszcze przez długi czas. W obecnej sytuacji było to jedyne, co mogła robić. Powinna wziąć jakieś proszki na ten cholerny ból głowy, miała je w torebce, zawsze je z sobą nosiła, ale musiałyby przecież po nie wstać, co było absolutnie niemożliwe.

Powoli, słowo po słowie, wracało skądś do niej to, co wczoraj usłyszała. Na razie bezrefleksyjnie, ot po prostu zwykłe, mechaniczne przywracanie pamięci. Jakby odpalała potwornie zawirusowany komputer. Morderstwo. Morderstwo jej ojca. Na razie tylko tyle. Żadnych uczuć z tym związanych. Żadnego zdziwienia, niedowierzania, roztrząsania, czy to prawda, czy nieprawda. Ani przemyśleń, co w związku z tym. W tym momencie to naprawdę nie było najważniejsze. Najważniejsze to przetrwać, przeczekać, pozwolić, by wątroba przetrzymała truciznę, wyciągnęła ją z krwi i z reszty ciała. Nic innego się nie liczyło.

Po godzinie albo nawet dwóch zdecydowała się w końcu podnieść z łóżka. Świat zawirował, podobnie jak treść jej żołądka. Ale dała radę. Znalazła torebkę, wycisnęła dwie tabletki z listka, potem dowlokła się do łazienki i naląła wodę do stojącej na umywalce szklanki. Chwila zawahania i moment straceńczej odwagi – włożyła je do ust, popiła i połknęła. Katastrofa zbliżała się i oddalała, lecz całe szczęście nie nastąpiła. Mogła wrócić do łóżka.

Zasnęła potem, to bardzo dobrze. Gdy się obudziła, głowa już jej nie bolała. Spojrzała na zegarek w telefonie. Nie było nawet aż tak późno. Minęła dopiero dwunasta. A wydawało jej się, że leży tu cały dzień.

Wstała ponownie, umyła się i przebrała w czyste rzeczy. Otworzyła okno. Ciepłe świeże powietrze znad rzeki smakowało wybornie. Potem nałożyła makijaż. Wreszcie była znowu człowiekiem.

Nadszedł czas, by przetrwać także to, czego dowiedziała się wczoraj. Ocenic przede wszystkim, czy naprawdę czegoś się dowiedziała. Czy jej źródło informacji było w jakikolwiek sposób wiarygodne. Wróć, to było złe postawienie sprawy. Nie było, to oczywiste. Zeznania osoby w takim stanie umysłowym, nadużywającej do tego tak często alkoholu, nie były żadnym materiałem dowodowym. Żaden sąd by ich nie przyjął, a adwokat oskarżonego nie musiałby nawet kiwnąć palcem, by je zdyskredytować. Pytanie brzmiało więc inaczej. I była to kwestia zupełnie nieprawnicza. Czy ona, Gabriela Seredyńska, córka Wiktora Seredyńskiego, wierzy, że w tym, co powiedział jej były nauczyciel, mogło być jakiegokolwiek ziarenko prawdy, czy też była to zwykła konfabulacja osoby nie zrównoważonej psychicznie i emocjonalnie?

Zakłęła w duchu. Znowu natykała się na to samo: sugestię, niepewną, trudną do potwierdzenia informację, coś, co w zasadzie powinna odrzucić, lecz co w zestawieniu z innymi, równie mało wiarygodnymi informacjami sprawiało, że jednak nie mogła tego zrobić. Oto pijany wariat powiedział jej, że jej ojca zamordowano, a ona ledwo to pamiętała, bo również była pijana. Wspaniały, cudowny trop w jej równie wspaniałym nielegalnym śledztwie.

Jednak te słowa padły i nie mogła ich zapomnieć. Gdyby dotyczyły kogoś innego, być może potrafiłaby je zignorować. Ale chodziło o jej ojca, tego nieczulego, zaniedbującego ją skurwysyna, którego prawie nienawidziła. Powinna w zasadzie się cieszyć, że ktoś go w końcu dopadł. Sama miała przecież parę razy ochotę go zabić. Ale to tak niestety nie działało. Ojciec to ojciec, krew nie woda. Gdy słyszysz, że ktoś go zabił, coś ci się przestawia w mózgu. Nic nie jest już potem takie samo.

Pytanie teraz więc brzmiało: jak mogłaby to potwierdzić? Ekshumacja i autopsja zwłok nie wchodziły w grę. Jako członek najbliższej rodziny i osoba, która zapłaciła za pogrzeb, mogłaby o to wystąpić, lecz dobrze wiedziała, że ekshumacje według polskiego prawa wykonuje się tylko od października do kwietnia. Poza tym sezonem tylko w uzasadnionych przypadkach. A jej trudno byłoby wykazać, że taki uzasadniony przypadek występuje. Co innego, gdyby wystąpiła o to prokuratura. Lecz prokurator Niedźwiedzki, nawet gdyby był jej najżycielszy, zapewne i tak by się na to nie zgodził. Nie miała żadnych dowodów, które mogłyby wskazywać na konieczność tego typu działań. A dobrze wiedziała, że życzliwy jej nie był.

Pozostawało dotrzeć do kogoś, kto był świadkiem śmierci jej ojca lub potem widział jego zwłoki. Jeśli faktycznie jej ojciec padł ofiarą zabójstwa, świadkiem był na pewno morderca, lecz on raczej nie będzie skłonny do współpracy. Mogła być nim też osoba, która pomagała w zabójstwie lub potem w jego zatuszowaniu, albo nawet ktoś zupełnie postronny. Problem tylko, że nie wiedziała za bardzo, kto to mógłby być.

Tak naprawdę więc w grę wchodziły tylko dwie możliwości. Ktoś z zakładu pogrzebowego lub lekarz, który stwierdził zgon. Ten ostatni powinien wiedzieć najwięcej i od niego należy chyba zacząć. Jak dobrze pamiętała, przyczyna śmierci określona była w karcie zgonu jako niemożliwa do ustalenia. Znaczyło to mniej więcej tyle, iż lekarz stwierdził, że śmierć jej ojca nie była skutkiem wypadku ani samobójstwa i że nie przyczyniły się do niej osoby trzecie, lecz nie był w stanie określić, jaka była jej konkretna przyczyna. Zazwyczaj przyjmuje się w takim przypadku, że była ona naturalna, wynikająca z jakiejś choroby, wrodzonej wady lub ogólnego stanu organizmu. Jeśli nie zaszły szczególne okoliczności, w takiej sytuacji nie dokonuje się sekcji, nie ma takiego wymogu. Zakładając jednak, że przyczyna śmierci wcale naturalna nie była, należałoby zadać pytanie, dlaczego lekarz ją jako taką określił. Powody mogły być dwa: albo nie dostrzegł śladów na to wskazujących – co w przypadku niektórych rodzajów pozbawienia życia nie było wcale niemożliwe – albo świadomie to zataił. W obu tych przypadkach warto by go nieco przycisnąć. Jako najbliższa krewna miała w końcu prawo poznać szczegóły śmierci własnego ojca. Nawet jeśli do tej pory nie za bardzo się nimi interesowała.

Drugą osobą, którą warto by o to zapytać, był pracownik zakładu pogrzebowego, ten, którego adres podała jej mężczyzna malujący zwłoki. Podczas przygotowań do pogrzebu jej ojca wydarzyło się coś niejasnego, coś, co w świetle podejrzeń o morderstwo nabierało teraz zupełnie innego, daleko bardziej istotnego znaczenia. Opóźnienie, z jakim trumna z ciałem jej ojca dotarła na pogrzeb, mogło być w jakiś sposób z tym związane, mogło na przykład wynikać z prób zatarcia śladów lub wręcz przeciwnie – z nagłym ich odkryciem. Ktoś w zakładzie pogrzebowym „Hades” musiał coś o tym wiedzieć, musiał coś widzieć albo słyszeć. Jego właściciel, Lewczuk, raczej nie miał ochoty o tym opowiadać, ale któryś z jego pracowników – zachęcony lub postraszonej – może byłby do tego bardziej skłonny.

Wyglądało więc na to, że miała plan. Spojrzała na zegarek. Minęła właśnie trzynasta. Był piątek. Najwyższy czas, by się ruszyć i zacząć coś robić.

Seredyńska podniosła się z krzesła, wzięła torebkę i telefon. Ostatni raz omiotła wzrokiem pokój, by sprawdzić, czy o czymś nie zapomniła. I wtedy stało się coś, co wyrzuciło jej plan do góry nogami. Na małej szafce pod wieszakiem na ubrania przy drzwiach dostrzegła dziwny przedmiot. Mały, podłużny pakunek zawinięty w papierową, przybrudzoną serwetkę. Natychmiast, w jednej chwili przypomniała sobie, co to było i jak to się tu znalazło. Był to prezent, jaki otrzymała wczoraj od swojego byłego nauczyciela, nagroda za przejście do kolejnego etapu. Jej ciało oblało się zimnym potem. Wiedziała, co to jest, lecz mimo wszystko musiała to sprawdzić. Do końca miała nadzieję, że jej wspomnienie było tylko

pijacką halucynacją, snem, który przyśnił jej się, gdy leżała zamoczona alkoholem w ubraniu na łóżku. Podeszła powoli i ostrożnie chwyciła dwoma palcami róg serwetki. Uniosła go do góry, pozwalając, by pakunek rozwinął się i odsłonił owinięty nią przedmiot.

Nie, to nie była halucynacja ani sen. Na szafkę wypadło dokładnie to, co zapamiętała: szerniały ludzki palec zakończony paznokciem, prawie całkowicie obgryziony z mięsa.

ROZDZIAŁ 39

- I co też pani znowu dla mnie ma? - Prokurator Niedźwiedzki nawet nie starał się ukryć niechęci do niej. - Słyszałem, że znalazła pani jednak swojego trupka. Może jeszcze nie całego, ale dobre i to. Proszę się nie przejmować, może się z czasem uskłada.

- W Olsztynie nie ma już innych prokuratorów? - Odwzajemniła się podobną złośliwością. - Czy też objął mnie pan jakąś nadzwyczajną kuratelą?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu byłem u siebie w domu - odpowiedział. - Mieszkam tutaj. Ktoś najwyraźniej uznał, że nie ma sensu ściągać tu kogoś innego do takiej głupoty. A ja mam blisko.

- Przeszkodziłam panu w czymś ważnym? - spytała. - Zebranie zarządu koła? Przygotowanie do polowania? Preparacja czaszek zabitych zwierząt? - Uznała, że nie zaszkodzi mu wyjawić, czego się dowiedziała.

Spojrzał na nią niezbyt przyjaźnie.

- Śmierdzi od pani alkoholem - zauważył chłodno. - I to raczej nie jest szampan. Ale rozumiem, jest pani na urlopie.

Cios był celny i to do tego wzbogacony o kolejne przypomnienie, jaki jest jej status tutaj. Nie mogła jednak pozwolić, by zauważył, że ją to ruszyło.

- Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ciekawych rzeczy można się dowiedzieć w tym kraju, pijąc z odpowiednimi osobami - powiedziała.

- Nie wątpię. - Uniósł do góry brew. - Zwłaszcza o samej sobie.

Niezły był, trzeba to było przyznać. Całe szczęście postanowił najwyraźniej zakończyć tę część przedstawienia.

- Dobrze - powiedział. - Niech mi więc pan pokaże to znalezisko - zwrócił się do policjanta.

Zawiozła swój makabryczny prezent na miejscowy komisariat. Uznała, że i tak przez dwukrotne co najmniej przeniesienie pozbawiony został kontekstu sytuacyjnego, więc nie ma sensu ściągać policji i prokuratury do jej pokoju w pensjonacie.

Policjant, ten sam, którego poznała pod swoim domem, wskazał na blat zawalonego papierami biurka. Na jego środku, na fragmencie uprzątniętej wcześniej wolnej przestrzeni, na foliowej torebce po zakupach z Biedronki leżał owinięty serwetką palec.

- Okej - mruknął do siebie bardziej chyba niż do nich Niedźwiedzki. - Co my tu w takim razie mamy?

Założył na dłoń lateksową rękawiczkę i dokładnie tak samo, jak Sereżyńska niecałą godzinę temu, chwycił dwoma palcami za róg serwetki i pociągnął go do góry. Szczerniały, pobrudzony ziemią fragment ludzkiego ciała ukazał się w całej okazałości. W powietrzu rozszedł się niezbyt intensywny, ale wyraźny zapach przegniłego, obeschniętego mięsa.

Niedźwiedzki sapnął lekko i nachylił się ku niemu bliżej.

- Palec - stwierdził. - No niewątpliwie. Prawdopodobnie ludzki. Chyba że mamy tu gdzieś w okolicy małpę, która grzebała nie tam, gdzie powinna. Zdaje się, że powinienem pani pogratulować. - Wyprostował się.

- Nie trzeba - rzuciła sucho. - Obejdę się bez tego. Za to chętnie bym się dowiedziała, co pan zamierza z tym zrobić.

Prokurator Niedźwiedzki wpatrywał się cały czas w leżące przed nim trzy połączone ze sobą kostki. Tym razem uniósł obie brwi.

– Nic – odpowiedział. – Nic nie zamierzam z tym zrobić. Na wszelki wypadek przekażę to do magazynu z dowodami, chociaż nie sądzę, by kiedykolwiek do czegokolwiek nam to się przydało.

Myślała, że się przesłyszała.

– Jak to nic nie zamierza pan z tym zrobić? – Podniosła głos. – To fragment ludzkich zwłok. Zapewne gdzieś jest ich reszta. Skoro nie leżą zakopane w trumnie trzy metry pod ziemią, należy przypuszczać, że śmierć człowieka, do którego należały, nastąpiła z powodu przestępstwa lub co najmniej samobójstwa. W obu tych przypadkach prokuratura winna jest rozpocząć śledztwo. Jeśli pan tego nie robi – z nieznanymi mi przyczyn – narazi się pan na poważne konsekwencje.

Prokurator Niedźwiedzki spojrzał na nią chłodno.

– Na nic się nie narażę – odpowiedział. – Moi przełożeni na pewno się ze mną zgodzą.

– Też należą do koła? – spytała z ironią.

Skrzywił się w czymś w rodzaju uśmiechu.

– Przede wszystkim nie mamy pewności, że ten palec pochodzi z jakichkolwiek zwłok. – Wzruszył ramionami. – Odcięty palec świadczy tylko o tym, że ktoś sobie odciął palec. A nie, że ktoś wcześniej zabił jego właściciela. To tereny wiejskie z dużą ilością lasów. Ludzie mają tu piły, siekiery, krajcegi i często ich używają. Zdarzają się przypadki nielegalnego wyrębu. A podczas takich działań o wypadek nietrudno.

– I tak mnie zamierza pan zbyć? – Nie dowierzała. – Historyjką o jakimś wiejskim głupku, który odrąbał sobie palec siekierą?

– Po drugie, moi przełożeni wiedzą coś, o czym pani zapewne nie wie – kontynuował, jakby nic nie powiedziała. – Na wiosnę tego roku miały tu miejsce pewne niefortunne wydarzenia. Woda z roztopów podmyła fragment miejskiego cmentarza komunalnego leżącego na granicy naszej gminy i terenów miasta. Kilka grobów na samym jego skraju zostało zniszczonych. Było to na uboczu, tuż przy lesie, i zanim ktoś się zorientował, dobrały się do nich lisy. Makabryczna historia, swoją drogą. To zapewne stamtąd pochodzi ten palec.

To wytłumaczenie nie wydało jej się zbyt przekonujące.

– Tak się składa, że byłam dziś w okolicy tamtego cmentarza – powiedziała. – Odwiedziłam zakład, który obsługiwał pogrzeb mojego ojca. Wiem więc, że teren cmentarza leży dość daleko od miejsca, gdzie znaleziono ten palec.

Niedźwiedzki popatrzył na nią spokojnie.

– A gdzie go znaleziono? – spytał. – Nie powiedziała nam pani tego jeszcze. Jak również kto go znalazł i w jakich okolicznościach. Jak sądzę, nie była to pani, bo raczej nie jest pani aż tak głupia, by beztrudno podnosić takie znalezisko i przynosić je tutaj owinięte w serwetkę, zacierając przy okazji wszystkie istotne ślady.

Przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć. Gdyby wyznała całą prawdę, mogłaby dać mu tylko pretekst do jej zlekceważenia.

– Został mi podrzucony – odparła. – Do pensjonatu, w którym mieszkam.

Pokiwał głową.

– A więc nie można wykluczyć, że znaleziono go blisko cmentarza – stwierdził. – Prawda, pani prokurator?

Rzeczywiście, nie można było tego wykluczyć.

– Poza tym nie wiem, czy pani pamięta, bo z tego, co wiem, już dość długo mieszka pani w Warszawie i mogła pani o tym zapomnieć, ale lisy mają nogi. Chodzą – dodał z sarkazmem. – Mają też pyski i mogą w nich przynosić różne rzeczy. Tak małe jak ten palec nawet, jak sądzę, dość daleko.

Przypomniała sobie lisa, którego widziała pierwszego dnia nad rzeką. I to, co niósł w zębach. To wspomnienie nieco podkopało jej pewność siebie.

- Rozumiem w każdym razie, że zleci pan teraz badania genetyczne, by potwierdzić swoją hipotezę? - spytała.

- Nie wiem, zastanowię się nad tym - odpowiedział. - Ale szczerze mówiąc, jestem sceptycznie nastawiony do tego pomysłu. Bliscy tych zmarłych przeżyli już wystarczającą traumę związaną z tamtym wydarzeniem, nie sądzi pani? Nie bardzo mam ochotę dokładać im jeszcze kolejnego stresu. Mam zburzyć spokój kilku rodzin, pobierać od nich próbki DNA, pozwalać im zadręczać się makabrycznymi wizjami ciał ich drogich krewnych rozlewanych po okolicznych polach przez dzikie zwierzęta, po to by później kazać jednej z nich rozkopać grób, wyciągnąć z niego trumnę i dołożyć do niej to żałosne coś? - Wskazał na leżący na blacie kościsty palec. - Byłoby to moim zdaniem okrutne, nieludzkie i zupełnie niepotrzebne. O wiele bardziej humanitarne będzie spalenie tego w piecu zakładu medycyny sądowej.

- Lecz wobec tego nie będzie pan mógł wykluczyć, że palec ten pochodzi z jakichś innych zwłok - zauważyła.

Spojrzał na nią lodowatym wzrokiem.

- Z jakich zwłok, pani prokurator? - spytał. - Ciągłe pani o nich mówi, ale jakoś nigdzie ich nie widać.

- Jeśli przeprowadzi pan testy DNA i zleci do tego badania pozwalające ustalić, czy ten palec odcięto za życia jego właściciela, czy już po śmierci, pomogłoby nam to sporo rzeczy wyjaśnić - stwierdziła. - Na przykład to, czy jestem upierdliwą dziunią z Warszawy zawracającą panu głowę, czy może jednak mam trochę racji.

Uśmiechnął się kącikami ust, jakby chciał jej pokazać, że on już zna odpowiedź na to pytanie.

- Jak już to chyba parę razy wspomniałem, to ja tu jestem prokuratorem, nie pani i to ja podejmuję decyzję, czy wszcząć postępowanie w jakiejś sprawie, czy nie - odparł. - I teraz chwila napięcia, bo właśnie ją ogłaszę: nie, nie uważam, by warto było to robić. Myślę, że ten czas i te środki, które moja prowincjonalna prokuratura musiałaby przeznaczyć na badania, które pani sugeruje, da się wykorzystać w znacznie pożyteczniejszy sposób. Jeśli się pani z tym nie zgadza, to przykro mi. Będzie pani musiała jakoś z tym żyć.

Wyszła z komisariatu. Wsiadła do samochodu. Widziała jeszcze, jak prokurator Niedźwiedzki rozmawia z kimś przez telefon. Potem odjeżdża.

Nie bardzo wiedziała, co ma teraz zrobić. Odmowa wszczęcia postępowania nieco ją rozbiła, głównie dlatego, że powody przedstawione przez Niedźwiedzkiego, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie były tak całkiem nieprzekonujące. Po raz kolejny zaczęła się zastanawiać, czy nie tworzy sobie przypadkiem w głowie teorii spiskowej na podstawie zdarzeń, które tylko jej wydają się podejrzane, a które tak naprawdę są możliwe do wytłumaczenia w zupełnie zwykły sposób.

Poza tym, jadąc tu, naprawdę miała nadzieję, że osiągnęła w końcu jakiś przełom. Choćby w tym sensie, że dostała wreszcie do ręki – i to dosłownie – dowód na to, że nie szuka wiatru w polu. Że jej wszystkie podejrzenia, przeczucia i intuicje mają jakąś faktyczną podstawę. I że nie wydawało jej się to, co widziała przedwcześniej tuż przed pogrzebem nad rzeką.

Prokurator Niedźwiedzki sprowadził ją jednak dość boleśnie na ziemię. Także dlatego, że przedstawił jej inną i to dość prawdopodobną interpretację tego, co do tej pory brała za przesłanki wskazujące na możliwość popełnienia przestępstwa. Lis z ludzkim palcem w pysku, od którego wszystko się zaczęło, nagle stał się odpowiedzią, nie pytaniem. A jeśli tak, to może i cała reszta konstrukcji, którą z takim mozolem w swoim umyśle tworzyła, oparta była na równie błędnych założeniach? Opóźnienie pogrzebu jej ojca wynikało ze zwykłej pomyłki, Niedźwiedzki był członkiem koła, no bo był, to przecież nic zabronionego, a rewelacje o morderstwie to tylko bajdurzenie niezrównoważonego umysłu alkoholika. A ona wyhodowała sobie swoją własną idée fixe i w sumie dobrze, że nie występowała w tej sprawie w roli prokuratora, bo wprzęgnęłaby w jej udowadnianie całą dostępną jej maszynę organów ścigania, w czym przypominałaby swojego szefa, ministra sprawiedliwości, który od kilku lat prowadził prywatną, zajadłą krucjatę bez najmniejszych podstaw w materiale dowodowym przy pomocy podległego sobie aparatu. Też notabene w sprawie śmierci ojca.

Dopadło ją więc zniechęcenie. Po jej żyłach i synapsach w mózgu rozlał się marazm. Do tego pożyczka energii, którą zaciągnęła w swoim skacowanym organizmie, by się tu zjawić, właśnie się wyczerpywała. Chuj. Wszystko chuj.

Jakby tego było mało, policjant, który przed chwilą był świadkiem jej klęski, wyszedł z komisariatu i podszedł do jej auta z bloczkiem mandatowym w dłoni i gestem polecił jej odsunąć szybę.

– Tak? – spytała.

– Zaparkowała pani w niedozwolonym miejscu – powiedział.

Kurwa, jeszcze i to.

Rozejrzała się po niemal pustej ulicy. Jeśli był tu gdzieś jakiś zakaz zatrzymywania, nie dostrzegła go. Ale w sumie mogła go nie zauważyć. Gdy się tu zatrzymywała, myślała o wszystkim, tylko nie o przepisach ruchu drogowego.

– Nie widzę znaku – próbowała się jeszcze bronić.

– Nie chodzi o znak – wyjaśnił – a o odległość od skrzyżowania. Mniej niż dziesięć metrów. Zgodnie z taryfikatorem trzysta złotych i pięć punktów karnych.

Faktycznie parę metrów przed nią była jakaś niewielka dróżka. Był to jednak bardziej dojazd do posesji niż prawdziwa ulica. Nazwanie tego skrzyżowaniem było daleko idącą nadinterpretacją.

– Naprawdę? Chce mi pan za to wlepić mandat? – spytała z niedowierzaniem. Było to nic innego jak zwykła sztykana. Chyba naprawdę jej tu nie lubili.

– Przepisy są jasne – powiedział, wodząc długopisem po kartce. – Mam nadzieję, że nie będzie się pani zaślaniać immunitetem prokuratorskim. W tej sytuacji raczej nie obowiązuje.

Nie miała już siły z nim się kłócić.

– Dobrze – powiedziała. – Niech pan czyni swoją powinność.

Podał jej przez okno kartkę. Przyjęła ją i spojrzała na sentencję wyroku.

O dziwo nic nie zobaczyła. Kartka była pusta. Zupełnie. Nie pochodziła nawet z bloczka mandatowego. Widać było na niej odcisnięte ślady po wyłączonym długopisie.

Spojrzała zdezorientowana na stojącego po drugiej stronie drzwi policjanta. Uśmiechnął się do niej ledwie zauważalnie.

– Byłem wtedy na tym cmentarzu – powiedział ściszym głosem. – Ponad miesiąc temu. Woda faktycznie zniszczyła skarpe, na której stało ogrodzenie, i podmyła kilka nagrobków. Ale żadna trumna nie została odsłonięta. Do tego było jeszcze daleko.

Całe jej zniechęcenie uleciało w mgnieniu oka.

– Możemy się gdzieś spotkać, by porozmawiać o tym spokojniej? – spytała szybko. – Jak również o innych kwestiach?

– Nic więcej nie wiem, naprawdę. – Odwrócił wzrok. – Po prostu nie lubię, jak ktoś kłamie w żywe oczy.

– To może czegoś się pan domyśla? – Nie ustępowała. – Na przykład dlaczego ten ktoś kłamie? Każde kłamstwo musi mieć jakiś powód.

Popatrzył na nią poważnie i smutno.

– Nie jestem typem człowieka, który się naraża – powiedział. – Mam trójkę dzieci, kredyt na dom i wystarczającą ilość własnych kłopotów. Ale życzę powodzenia.

Zrobił ruch, jakby już chciał odejść.

– Chwileczkę! – Zatrzymała go. – Musi mi pan jeszcze coś powiedzieć. Choćby jedną rzecz – dodała z naciskiem. – Inaczej wejdę z powrotem na komisariat i spytam o to pana kolegę, który właśnie obserwuje nas przez okno.

Jego twarz ściągnęła się. Teraz faktycznie chyba jej nie lubił.

– Niech pani sprawdzi zgłoszenia zaginięć w naszej gminie – powiedział. – Nie oficjalne zaginięcia, ale ich zgłoszenia. I następnym razem proszę pamiętać o tym przepisie – dodał znacznie już głośniejszym głosem. – Do widzenia.

Odwrócił się. W oknie komisariatu nikogo nie było.

– Jest pani taką samą kurwą jak Niedźwiedzki – rzucił jej przez ramię. – Niech panią szlag.

Odszedł.

Spojrzała jeszcze raz na pustą, białą karteczkę. Czas było wreszcie wybrać się do Olsztyna.

Po drodze zatrzymały ją jakieś roboty drogowe. Trasę do Olsztyna remontowano i ruch na pewnym odcinku tuż za jej miejscowością puszczony był wahadłowo. Seredyńska odstała więc swoje na światłach, za to gdy dotarła do miasta, wreszcie coś zjadła. Zjechała po prostu na stację benzynową i zamówiła kanapkę grillowaną z kurczakiem. Do tego sok pomidorowy i kawa. Ostatnio świetnie się odżywiła, nie ma co. Ale przynajmniej nie było jej już niedobrze.

Prokuratura Okręgowa w Olsztynie mieściła się przy ulicy Dąbrowszczaków w samym centrum miasta. Zajmowała piękny, stary, ceglany, poniemiecki budynek z czerwonym spadzistym dachem i otworami okiennymi obramowanymi jasnym kamieniem. Nie był to jedyny tak piękny dom przy tej ulicy, choć niewątpliwie jeden z bardziej okazałych. Gdy przeprowadziły się z matką do Olsztyna, zamieszkały bardzo niedaleko stąd. Tędy wiodła jej codzienna trasa z domu do liceum, w którym się uczyła. Wtedy nie wiedziała nawet, że w gmachu, który mija dwa razy dziennie, mieści się tak szacowny urząd, i to taki, któremu kiedyś, choć w innym mieście, poświęci swe życie.

Zaparkowała auto niemal pod samym wejściem. Przez chwilę jeszcze walczyła z parkometrem, którego działanie opierało się na zupełnie innych zasadach niż podobnych urządzeń w Warszawie, po czym weszła do środka. Powitały ją cisza i chłód starego budynku. Jakże odmienna panowała tu atmosfera od tej, którą znała ze swojego miejsca pracy przy ulicy Chocimskiej w Warszawie. Tamta prokuratura zlokalizowana była w dość brzydkim budynku, wyglądającym tak, jakby wybrano go na jej siedzibę nieco przypadkiem. Tu czuć było powagę i dostojeństwo wymiaru sprawiedliwości. Pomyślała, że wszystkie prokuratury i wszystkie sądy powinny się mieścić w takich gmachach. Niemiecka architektura z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku na tych terenach inspirowana była w dużej mierze gotykiem. Budynki urzędów przypominały więc nieco krzyżackie zamki, których wiele wznosiło się w tych rejonach. Niemal słyszało się szcęk łańcuchów uwięzionych w lochach skazańców. Ktoś, kto przychodził tu zeznawać, musiał to również odczuwać. Z prokuraturą w ogóle nie ma raczej żartów, lecz z prokuraturą mieszczącą się w takich murach nie ma już żartów bez najmniejszych wątpliwości. Nie miałyby nic przeciwko, żeby pracować w takim miejscu. Przez moment poczuła nawet coś w rodzaju żalu, że po studiach nie wróciła do swojego rodzinnego miasta. Wtedy jednak nie za bardzo miała na to ochotę.

Gdy już uporała się z tym zestawem przemyśleń i wspomnień, podeszła do umundurowanego strażnika siedzącego przy bramce do wykrywania metali i pokazała mu swoją legitymację. Wpuścił ją bez zadawania zbędnych pytań.

W środku odnalazła wydział śledczy i zapukała do drzwi jego sekretariatu.

– Dzień dobry, prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie – przedstawiła się. – Potrzebuję kilku informacji dotyczących sprawy, którą się zajmuję. – Celowo nie użyła słów „śledztwo” i „prowadzę”. – Czy mógłby mi ktoś w tym pomóc?

Kobieta za biurkiem popatrzyła na nią zdziwiona. Nie wyglądała zbyt przystępnie. Miało około sześćdziesięciu lat, kwadratową twarz, jasne, farbowane włosy spięte w ciasny, samurajski kok niemal na czubku głowy i okulary w dużych, złotych oprawkach.

– Była pani z kimś umówiona? – spytała. – Nie otrzymaliśmy zdaje się żadnej informacji w tej sprawie.

Seredyńska obdarzyła ją swoim najbardziej sympatycznym uśmiechem.

– Nie, nie byłam – odpowiedziała. – Ale jestem akurat w Olsztynie w sprawach rodzinnych i okazało się, że muszę zostać nieco dłużej, więc pomyślałam sobie, że mogłabym to przy okazji załatwić, zamiast przyjeżdżać tu potem specjalnie po raz drugi. Jeśli to oczywiście nie kłopot... – dodała zmartwionym tonem.

Kobieta wydawała się sceptyczna.

– W zasadzie potrzebujemy jakiejś podkładki do tego typu działań – stwierdziła. – Pisma od pani prokuratury do naszej, sama pani to przecież wie.

– Tak, ale nie chodzi o nic wielkiego. – Machnęła lekceważąco ręką. – Żadnego wglądu w akta czy tym podobnych rzeczy. Potrzebuję po prostu z kimś porozmawiać, tak zwyczajnie, po koleżeńsku. Chodzi o sprawę zaginięć.

Kobieta jeszcze przez parę sekund patrzyła na nią powiększonymi przez soczewki okularów oczami. Seredyńska zaczęła się już powoli żegnać z możliwością uzyskania jakichkolwiek informacji.

– Zaginięciami zajmuje się prokurator Niedźwiedzki, ale jego akurat dziś nie ma – powiedziała.

Tylko dlatego tu przyjechała, że go nie było w pracy. Jak jej to zresztą sam niedawno powiedział. W każdym razie nie zabrzmiało to jak odmowa.

Uśmiechnęła się ponownie.

– Och, nawet gdyby był, nie chciałabym go fatygować, na pewno ma sporo pracy – powiedziała. – Wystarczy mi asesor lub nawet zwykły asystent. Da się kogoś takiego załatwić?

– Asystentka prokuratora powinna być w biurze – odpowiedziała kobieta. – Magdalena Bielawska, drugie drzwi po lewo.

Podziękowała serdecznie i odszukała wskazane jej drzwi. Pierwsza i druga zapora została pokonana, nadszedł czas, by zaatakować trzecią.

Zapukała i weszła do pokoju. Magdalena Bielawska okazała się dość młodą, liczącą sobie nie więcej niż trzydzieści lat dziewczyną. Ścięta na pazia blond grzywka przysłaniała jej nieco oczy. Na jednym z jej żelowych paznokci w kolorze turkusowym dostrzegła małą naklejkę w kształcie jednorożca. Od razu wzbudziło to w niej sympatię.

– Dzień dobry, prokurator Gabriela Seredyńska, Prokuratura Okręgowa w Warszawie – powtórzyła swój pełny tytuł. – Wskazano mi panią jako osobę, która może mi pomóc.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Naprawdę ta miła osoba była asystentką tego buca Niedźwiedzkiego?

– Jeśli tylko będę umiała – powiedziała. – O co chodzi?

– O ogłoszenia zaginięć z ostatnich kilku lat. Z obszaru jednej konkretnej gminy – odpowiedziała.

– Łatwiej byłoby chyba uzyskać takie dane na policji – zauważyła Bielawska.

– Zapewne. Ale państwo na pewno też posiadacie takie informacje. Poza tym po co chodzić do obcych, gdy można odwiedzić swoich? – Tym razem to ona się uśmiechnęła. – Zawsze co prokuratura, to prokuratura. To tak jakby się przychodziło do domu, tylko w innym mieście.

Tak jak przypuszczała, ta patriotyczna przemowa zrobiła odpowiednie wrażenie na neofitce w zawodzie, dopiero aspirującej tak naprawdę do zostania częścią tego świata. Dziewczyna aż wyprostowała się na swoim krześle.

– Jasne. Oczywiście – odparła. Widać było, że oczyma duszy zobaczyła właśnie siebie jako członka wielkiej, szczęśliwej, wspierającej się rodziny pracowników wszystkich prokuratur w całym kraju. – Zaraz spróbuję coś znaleźć. Proszę spocząć. To może chwilę potrwać.

Odwróciła twarz w stronę ekranu komputera. Seredyńska usiadła. Dopiero teraz poczuła, że schodzi z niej trochę kac. Napiłaby się chętnie herbaty albo nawet zwykłej wody i była pewna, że gdyby tylko o nie poprosiła, ta przemiła i uczynna dziewczyna natychmiast rzuciłaby się, żeby jej to przynieść, ale nie chciała kusić losu i odwlekać niepotrzebnie momentu uzyskania informacji. Wodę może sobie kupić sama. Ciekawe, czy są jeszcze te delikatesy na rogu, w których często się zatrzymywała w drodze powrotnej ze szkoły? Te w tym takim półokrągłym budynku...

– Chyba mam – usłyszała.

Podniosła głowę i otrząsnęła się z zamyślenia.

– I jak to wygląda? – spytała.

Dziewczyna zmarszczyła lekko nos. Seredyńska widziała tylko jej twarz, nie to, na co patrzyła.

– Jest kilka takich zgłoszeń – powiedziała. – Głównie nastolatki, tak jak to zwykle bywa. Większość się po jakimś czasie odnalazła.

Normalna sprawa, wszędzie tak jest.

– Widzi pani coś dziwnego, odbiegającego od normy? – spytała.

– Niech spojrzę...

– Interesuje mnie wszystko, co jest w jakiś sposób niecodzienne – doprecyzowała Seredyńska. – Nawet gdy wydaje się zupełnie niewinne.

Słychać było tylko szum systemu chłodzącego komputera i rytmiczne uderzenie palca o klawisz, gdy dziewczyna przewijała kolejne pozycje na liście.

– Hmm... – dobiegło do niej ciche mruknięcie.

– Tak?

– W sumie jest takie coś. – Głos dziewczyny był pełen wahania.

– Co takiego?

– Dwa lata temu zgłoszono zaginięcie trzech osób – powiedziała.

To jeszcze nie było nic specjalnie odbiegającego od normy. Nawet w tak małej miejscowości mogło to się zdarzyć.

– Dlaczego uznała to pani za dziwne? – spytała Seredyńska.

– Wszystkie były z tego samego rocznika – odpowiedziała. – Jedna kobieta i dwóch mężczyzn. Osiemnaście lat.

To ciągle nie było jeszcze specjalnie niezwykle. Młodemu ludziom w tym wieku różne rzeczy przychodzą do głowy.

– Odnaleźli się? – spytała Seredyńska.

– Nie wszyscy – odpowiedziała dziewczyna. – Dwa zgłoszenia wycofano, jednego nie. Do tej pory. Jeden z mężczyzn wciąż figuruje jako zaginiony.

– Wszczęto w tej sprawie jakieś postępowanie?

Jasna grzywka dziewczyny zafalowała, gdy pokręciła głową na boki.

– Nie – odparła. – Nie ma po tym śladu.

To też nie było jeszcze niepokojące. Nie było takiego wymogu. Jeśli policja uznała, że zaginięcie nie ma związku z popełnieniem przestępstwa lub zagrożeniem zdrowia lub życia, bo na przykład istnieją uzasadnione podejrzenia, że zaginiony pełnoletni z własnej woli zerwał kontakt z rodziną, nie musiały wszczynać postępowania przygotowawczego.

– Przesłuchano dwie pozostałe osoby?

Znowż chwila wypełniona uderzeniami palców w klawisze. I w końcu odpowiedź:

– Też nie. Ale zaginięcia, z tego, co widzę, dzieliło ponad dwa miesiące.

To z kolei mimo wszystko było już trochę dziwne. Należało założyć, że młode osoby w tym samym wieku, mieszkające do tego w tak niewielkiej miejscowości, zapewne się znają. Skoro wszystkie trzy zaginęły i jedna się nie odnalazła, powinno się przesłuchać dwie pozostałe, w nadziei, że mogą coś

wiedzieć w tej sprawie. Ona sama na pewno tak by zrobiła. Nie było to może rażące naruszenie zasad, lecz na pewno poważne zaniedbanie.

– Wiemy coś jeszcze na temat tych zaginięć? – spytała Seredyńska. – Na przykład dlaczego wycofano zgłoszenia?

Asystentka ponownie wbiła wzrok w ekran komputera.

– W przypadku jednej z nich zgłoszenie wycofała rodzina – odpowiedziała po chwili. – Nie jest podane, z jakiego powodu. W przypadku drugiej... chwileczkę. – Znowu bębnienie palców po klawiszach. – W przypadku drugiej nastąpił kontakt z samym zaginionym. Zadzwoił po prostu na policję i poinformował, że wcale nie zaginął.

– A ta trzecia osoba? – spytała. – Ta, która wciąż figuruje jako zaginiona?

– Tu też nastąpił jakiś kontakt, chwileczkę, tak, w formie listownej. Ale ojciec odmówił wycofania zgłoszenia.

– Ojciec? – podchwyciła.

– Tak tu jest napisane.

Coś ją tknęło.

– Mogę poznać nazwisko tego zaginionego? – spytała.

– Kuryłowicz – usłyszała. – Miłosz Kuryłowicz.

Było to nazwisko jej nauczyciela polskiego.

– Ma pani tam podane imiona rodziców? – spytała obojętnym tonem.

– Nie, ale mogę zaraz sprawdzić. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – O, już mam. Karol i Elżbieta.

Karol Kuryłowicz. Dokładnie tak nazywał się jej nauczyciel. A więc chodziło o jego syna.

– To w takim razie jeszcze dla porządku nazwiska pozostałej parki. – Tym razem to ona się uśmiechnęła.

– Już podaję.

Tych nie знаła, więc zapisała je w notatkach w telefonie.

– Czy to wszystko w tej sprawie? – spytała.

– Tak, chyba tak – odpowiedziała dziewczyna. – Niczego więcej tu nie widzę.

– W porządku, dziękuję w takim razie pani bardzo. – I tak się sporo dowiedziała.

– A nie, momencik... – Asystentka ponownie nachyliła się nad komputerem. – Coś mi nagle przyszło do głowy...

– Co takiego? – Seredyńska opadła z powrotem na krzesło, z którego już powoli zaczynała się podnosić.

– To nazwisko, Kuryłowicz... Mam wrażenie, że gdzieś je już wcześniej widziałam...

Zaczęła z powrotem przeglądać pliki.

– Mam! – wykrzyknęła z tryumfem. – Wiedziałam, że gdzieś mi już wcześniej mignęło. Elżbieta Kuryłowicz.

– Co z nią? – spytała Seredyńska.

– Ona też zaginęła – stwierdziła ze zdziwieniem dziewczyna. – Kilkanaście lat temu.

- Co pani tu robi? - usłyszała nagle za swoimi plecami.

Odwróciła się. W drzwiach stał prokurator Niedźwiedzki.

- Wpadłam z przyjacielską wizytą - odparła mimo zaskoczenia. - Zawsze odwiedzam prokuratury okręgowe w miastach, w których przebywam.

Nie wydawał się specjalnie rozbawiony jej odpowiedzią.

- Czego od pani chciała? - zwrócił się ponad jej głową do swojej asystentki.

- Pytała o sprawy zaginięć z ostatnich lat. - Dziewczyna momentalnie zmieniła wyraz twarzy i ton głosu. Już się nie uśmiechała. Wydawała się wręcz przestraszona.

- Podała jej pani jakieś informacje? - spytał.

- T-tak - odparła.

- Nie miała pani prawa - rzucił ostro. - Ta kobieta jest tutaj absolutnie prywatnie. Każdemu z ulicy będzie pani zdradzać tajemnice śledztwa?

Dziewczyna aż skurczyła się na swoim krześle.

- Przysłano ją do mnie z sekretariatu... - próbowała się bronić.

- Poza tym, z tego, co wiem, w sprawie, o którą pytałam, nie jest prowadzone żadne śledztwo - zauważyła Sereżyńska.

- Z panią porozmawiam sobie później. - Niedźwiedzki nawet nie raczył na nią spojrzeć. - Więc póki co proszę się nie wtrącać.

Bardzo nie lubiła, gdy ktoś tak do niej mówił. Bardzo.

Wstała.

- Będę się wtrącać, panie prokuratorze, kiedy tylko będę miała na to ochotę - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Pani prokurator. - On też wbił w nią swoje spojrzenie. - Przywołuję panią do porządku - wypowiedział te słowa z lekkim, prowokacyjnym uśmiechem. - Dopóki interesowała się pani śmiercią swojego ojca, miała pani do tego prawo, nawet jeśli pani teorie były bzdurne i niepoparte żadnymi faktami. Teraz zaczyna grzebać pani w sprawach zupełnie z tym niezwiązanymi. Czy naprawdę mam pani po raz kolejny przypomnieć, że jest pani poza swoim rewirem służbowym i nie ma do tego żadnych prerogatyw? Jeśli choć raz jeszcze zrobi pani coś takiego, będę zmuszony złożyć na panią oficjalną skargę. A być może nawet oskarżyć panią o przekroczenie uprawnień. Nie muszę chyba wyjaśniać, jak to może wpłynąć na pani karierę.

To już była poważna groźba. I do tego niewyssana z palca. Naprawdę mógłby to zrobić. Nie mogła mu jednak dać poznać, że zrobiło to na niej jakiegokolwiek wrażenie.

- „Kariera”... Nigdy nie lubiłam tego słowa - odpowiedziała spokojnie. - Jest w nim coś śliskiego, nie uważa pan? Tak jakby zawarta w nim była konieczność robienia świństw.

Zamrugał oczami. Czyżby trafiła? Ciało potrafi być szersze niż człowiek, który je użytkuje.

Dość szybko jednak ochłonął.

- No cóż, skoro zamierza pani narażać na szwank swoją przyszłość, pani sprawa. Chętnie i z ciekawością poprzyglądam się temu zawodowemu samobójstwu. Proszę jednak nie ciągnąć za sobą w tę otchłań innych - powiedział. - Pani Magdalena marzyła o tym, aby w przyszłości do nas dołączyć. Pani działanie jednak postawiło spełnienie tego marzenia pod sporym znakiem zapytania. Jest chyba pani tego świadoma?

Dziewczyna zbladła.

- Ja tylko... - Wbiła błagalny wzrok w Seredyńską.

Na tę zawołowaną groźbę nie miała już dobrej odpowiedzi. Zdawała sobie sprawę, że w odróżnieniu od niej asystentka Niedźwiedzkiego nie miała żadnej możliwości obrony.

- Pani Magdalena nie jest tu niczemu winna - odpowiedziała. - Rzeczywiście mogła pomyśleć, że przychodzę do niej w sprawie służbowej, a ja nie wyprowadziłam jej z błędu. Przepraszam panią za to - zwróciła się do niej.

- W porządku. - Niedźwiedzki uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją. - W takim razie nie wyciągnę wobec niej konsekwencji za to przewinienie. Jeśli oczywiście nigdy więcej już się nie powtórzy - dodał, z naciskiem patrząc na Seredyńską.

- Na pewno się nie powtórzy - odparła.

Wyszła stamtąd z irytującym poczuciem porażki. Co prawda dowiedziała się paru rzeczy, lecz bezpośrednie starcie z Niedźwiedzkim przegrała. A nie lubiła przegrywać, zwłaszcza z takimi zarozumiałymi typami jak on.

Do tego czuła się winna, że naraziła tę biedną dziewczynę. Musiała mieć niełatwo z takim szefem, a teraz jej sytuacja zapewne jeszcze się pogorszyła. Mogła się oczywiście usprawiedliwiać, że nie myślała, iż Niedźwiedzki pojawi się dziś w prokuraturze i że gdyby faktycznie tak było, jej sprytny, jak sądziła, wybieg na zawsze pozostałby tajemnicą, ale prawda była taka, że wykorzystała ją cynicznie, nie zastanawiając się nad ewentualnymi konsekwencjami.

Jakby tego było mało, Niedźwiedzki już pewnie obwieszczał wszem wobec w całej olsztyńskiej prokuraturze, że ona, Gabriela Seredyńska, jest tu persona non grata, więc to źródło informacji właśnie definitywnie dla niej wyschło. Biorąc zaś pod uwagę, że nie tak dawno temu zraziła do siebie tamtego policjanta, jej możliwości pozyskiwania wiadomości drastycznie się zmniejszyły. Brawo, naprawdę brawo. Mogła być z siebie dumna.

Na domiar złego delikatesy, które pamiętała ze szkolnych czasów, zniknęły, a ich miejsce zajął bank. Obok co prawda była Żabka, ale to już zupełnie nie to samo. Gorszy pieniądz wypiera lepszy - ta zasada sformułowana przez wieloletniego mieszkańca olsztyńskiego zamku, Mikołaja Kopernika, pasowała tu jak ulał.

Krótko mówiąc, odczuwała silny niesmak. I nie mogła go nawet zlikwidować pączkiem. W tamtych delikatesach, jak pamiętała, były bardzo dobre. Nigdy później tak pysznych nie jadła. Nawet w osławionej warszawskiej cukierni Bliklego. Lepsze były tylko bułeczki z wiśniami pieczone przez jej matkę.

Właśnie, matka. Była tak blisko od jej domu. Wiedziała, że wciąż żyje, utrzymywały przecież ze sobą kontakt. Sporadyczny, ale jednak. Kiedy jej drugi mąż umarł, dostała nawet zaproszenie na pogrzeb, choć z niego nie skorzystała. Dopiero śmierć własnego ojca ściągnęła ją w te strony.

Nie powiedziała matce, że tu przyjeżdża. Ona zapewne też nie wiedziała, że jej pierwszy mąż odszedł z tego świata i że ich wspólna córka miałyby powód, by odwiedzić rodzinne strony. Spojrzała w stronę, gdzie było jej mieszkanie. Raptem kilkaset metrów stąd. Wystarczyło pójść dalej tą ulicą, a potem wejść po schodach koło filharmonii. W zasadzie powinna ją odwiedzić. Tego też wolałaby uniknąć, lecz niewątpliwie powinna. Teraz był w sumie dobry moment, w końcu była tak blisko.

Wróciła do samochodu, lecz tylko po to, by opłacić dodatkowy czas parkowania. Postanowiła pójść tam pieszo, powtórzyć dokładnie tę drogę, którą pokonywała całe liceum. Trochę już miała dosyć takich sentymentalnych wędrówek, w ostatnich dniach odbyła ich aż nadto, lecz pomyślała sobie, że dzięki temu będzie miała choć chwilę, by się mentalnie przygotować na to spotkanie. Nie planowała go wcześniej. Pierwotny plan zakładał przecież, że wróci do Warszawy tuż po pogrzebie. Lecz skoro nie wyjechała, ignorowanie tego obowiązku wydawało się coraz bardziej dziwne. Z matką nie była tak skonfliktowana jak z ojcem, po prostu ich relacje z kilku powodów stały się niezbyt intensywne. Gdyby jednak ktoś zobaczył Seredyńską na ulicy i doniósł o tym jej matce, zrobiłoby się trochę niezręcznie.

Nie była to jednak jedyna przyczyna, dla której zdecydowała się w końcu odwiedzić matkę. Ważniejsza była chyba inna. Pomyślała po prostu, że skoro tyle rzeczy kręci się tu wokół jej ojca, może warto by porozmawiać z kimś, kto niewątpliwie dobrze go znał. Może nie ostatnio, ale kiedyś na pewno. Parę spraw, o których tu ostatnio usłyszała, sięgało genezą czasów, gdy oni jeszcze byli małżeństwem. Nie można więc wykluczyć możliwości, że jej matka mogłaby rzucić na nie jakieś nowe światło. Żona, czy to ofiary, czy przestępcy, zawsze jest ważnym świadkiem. Nie zaszkodzi w każdym razie spróbować.

Ruszyła więc w stronę bloku, w którym znajdowało się jej mieszkanie. Zdziwiająco było obserwować, jak dużo rzeczy w tym mieście się zmieniło i jak zdziwiająco wiele pozostało takich samych. Niektóre budynki, niektóre sklepy nawet wyglądały dokładnie tak samo jak wtedy, gdy chodziła tędy do szkoły. Inne zmieniły się nie do poznania – odremontowane, przebudowane, pyszniące się szyldami i reklamami usług, o których istnieniu wówczas nie mogła mieć nawet pojęcia. Świat się zmienia, pozostając jednocześnie niezmiennie taki sam. Dotyczy to wszystkiego, lecz stosunków międzyludzkich w szczególności.

Dostrzegła w końcu budynek, w którym spędziła kilka lat swojej młodości. Wysoki, dziesięciopiętrowy, stojący dodatkowo na skarpie, wydawał się wznosić w niebo niczym wieża średniowiecznego zamku. W tej wieży była kiedyś uwięziona. Dość nisko, bo na czwartym piętrze. Lecz tak się wtedy dokładnie czuła. Jak ktoś, kto przebywa w miejscu, w którym wcale nie ma ochoty być. Czyż nie jest to właśnie definicja więzienia? Przyczyny tego były różne. Najważniejszą niewątpliwie było to, że jej matka dość szybko wyszła ponownie za mąż i założyła nową rodzinę. Wkrótce urodziła też nowemu mężowi dziecko. Jej przyrodniego brata, kilkanaście lat młodszego od niej.

W ciągu niewiele ponad roku od rozstania rodziców straciła więc niemal wszystko, co do tej pory określało jej świat. Przestała być jedynym dzieckiem, przestała być dla wszystkich najważniejsza, przestała być córeczką tatusia, straciła dom, dawnych kolegów i krajobraz, który też przecież był jej domem. Straciła również ojca, który nie dość uparcie zabiegał o pielęgnowanie ich więzi, zapewne zajęty za bardzo swoją prywatną katastrofą. W zamian zyskała miłego, lecz nie do końca zainteresowanego nią ojczyrna i coś, co nazywano jej bratem i kazano się tym opiekować. Nic więc dziwnego, że kiedy wreszcie pozwolono jej się z tej matni wyrwać i wyjechać na studia do Gdańska, zrobiła to z ulgą, radością i nie oglądając się za siebie.

W jakiś sposób wyczuła tę ulgę również u swojej matki, czego nigdy do końca jej nie darowała. Podobnie jak nie darowała ojcu, choć tak naprawdę nie wiedziała za bardzo czego. Tego, że pozwolił matce odejść? Że nie obronił świata, w którym była bezpieczna i szczęśliwa? Że nie walczył, by została z nim? Nie mogła jednak obrazić się na nich oboje. Potrzebowała mimo wszystko jakiegoś zaczepienia, jakiejś kotwicy. Miejsca, do którego przyjeżdża się na święta. Wybrała matkę, bo chyba było to prostsze.

Z każdym jednak powrotem do tego mieszkania czuła i rozumiała coraz mocniej, jak bardzo to nie jest już jej miejsce. Matce zdawała się zupełnie wystarczać nowa rodzina. Rodzina, której z kolei Gabriela Seredyńska nigdy do końca nie uznała za swoją. Nie była tam potrzebna i ona też ich nie potrzebowała.

Stawała się dorosła, miała swój świat i swoje sprawy i nie miała za bardzo ochoty marnować wolnych weekendów, ferii albo wakacji na przebywanie w miejscu, w którym była co najwyżej darmową opiekunką do dziecka.

Z biegiem więc czasu przyjeżdżała coraz rzadziej, a potem w ogóle przestała. Nikt jej nie robił z tego powodu wyrzutów. W końcu nawet kontakty telefoniczne ustały. Nauczyła się żyć sama, bez rodziny, uznając wręcz, że tak jest lepiej i wygodniej. Babcie i dziadkowie już nie żyli. Wujkowie i ciocie mieszkali daleko i byli jej kompletnie obcy. Gdy przeprowadziła się w końcu do Warszawy, nawet przyjaźnie i znajomości ze studiów uległy zerwaniu. Została tylko praca.

Szła więc tam teraz, nie bardzo wiedząc, czego się może spodziewać po tym spotkaniu. Radości? Wzruszenia? Zdziwienia? Niezręcznych prób nawiązania jakiegokolwiek rozmowy? Czuła się bardziej jak archeolog niż badacz żywej kultury. Przeniesie się zaraz w przeszłość. I to do czasów, za którymi wcale nie tęskni.

Doszła wreszcie do schodów wiodących w górę skarpy, potem wspięła się na nie i stanęła przed blokiem. Które to były okna? Chyba te. Firanki w nich wisiały takie same jak kiedyś, chyba nawet dokładnie te same. Ten kwiatek w doniczce też tu wcześniej stał, tylko teraz był większy. Tamto najmniejsze, pojedyncze okno to kiedyś był jej pokój. Gdy wyjechała na studia, natychmiast zajął go jej brat, a ona, gdy wracała, musiała spać na rozkładanej kanapie.

Głupia sprawa, lecz miała problemy z przypomnieniem sobie numeru mieszkania. Teraz był tu domofon, więc nie mogła po prostu wejść i odnaleźć właściwych drzwi. Klatka na pewno była ta, zaraz przy śmietniku. Takich rzeczy, tego smrodu wydobywającego się z niego latem, się nie zapomina. A numer? No dobra, chyba ten.

Wcisnęła przycisk, rozległ się dźwięk sygnału domofonu. O dziwo, nikt się nie odezwał, lecz drzwi na klatkę się otworzyły. Pchnęła je i weszła do środka. Winda była nowa, musiała zostać niedawno wymieniona. Już nie śmierdziało w niej psim moczem. Wjechała na czwarte piętro.

Stanęła w końcu pod drzwiami. Mosiężna tabliczka z nowym nazwiskiem matki była już mocno zaśniedziała. Seredyńska nacisnęła dzwonek, rozległ się ten głupi gong, który zawsze ją irytował. Nie miała nawet pewności, czy ktoś będzie w domu.

Otworzyła matka. Przez chwilę patrzyła na nią, jakby zobaczyła ducha.

– Gabrysia? – powiedziała niepewnie. – Myślałam, że to kurier. Zamówiłam przedwczoraj szlafrok z katalogu...

Postarzała się i przytyła. Trudno jednak, żeby tak nie było. Nie widziały się ładnych parę lat.

– Mogę wejść? Przepraszam, że nie uprzedziłam. Byłam po prostu w okolicy i... – Przerwała, bo zrozumiała, jak dziwnie i głupio to zabrzmiało w tej sytuacji.

– Jasne, jasne. – Matka odsunęła się, żeby ją przepuścić. – Dopiero wróciłam z pracy i nawet nie zdążyłam się przebrać. Bartka nie ma, bo jeszcze nie wrócił z zajęć na uniwersytecie, a Krzysztof nie żyje. Ale to przecież wiesz. Tak że jestem sama.

Zabrzmiało to nieco żałośnie, jakby nie chodziło o stan aktualny, tylko jej ogólną sytuację życiową.

ROZDZIAŁ 45

- Napijesz się czegoś? – usłyszała.

- Tak, chętnie kawy – odpowiedziała. Kawa dziś przydawała się w każdych ilościach. To pytanie jednak i jej odpowiedź na nie sprawiły, że poczuła się tu jeszcze bardziej obco. Zabrzmiało to, jakby przyszła w gości do jakiegoś niezbyt bliskiego znajomego.

- Ale mogę ci zrobić tylko rozpuszczalną – uprzedziła matka. – Mamy ekspres, ale się zepsuł. Krzysztof by go pewnie naprawił albo zaniósł do jakiegoś serwisu, ale ja jakoś nie mam do tego głowy – dodała smutno.

- Może być rozpuszczalna – odpowiedziała. – Byle z mlekiem.

Jest jeszcze twój syn, pomyślała, on też mógłby się tym zająć.

- To idź do salonu, ja zaraz przyniosę – powiedziała matka.

- Wolalabym, żebyśmy usiadły w kuchni – odparła. W salonie czułaby się już zupełnie jak ktoś obcy, kto przyszedł z wizytą. Kuchnia była bardziej intymna.

- Jak chcesz.

Usiadła przy stole. Okno wychodziło na parking. Matka krzątała się przy kuchennym blacie, odwrócona do niej tyłem. Trudno było powiedzieć, czy ucieszyła się na widok córki. Chyba nie. Wydawała się jakaś przybita.

- Tata też umarł – powiedziała do jej pleców. – Przyjechałam tu na jego pogrzeb.

Zobaczyła, że jej matka zastyga w połowie ruchu. Potem jej ręce opadają i opierają się o blat.

- Wszyscy umierają – usłyszała. Zabrzmiało to bardziej jak wyrzut niż jak stwierdzenie.

Elektryczny czajnik wydał dźwięk obwieszczający zagotowanie się wody. Matka z powrotem zaczęła się ruszać. Zalała kawę w kubku, potem dołała do niej mleka.

- Słodzisz? – spytała.

- Tak.

Wreszcie się odwróciła. Postawiła przed nią kubek z kawą i cukiernicę. Usiadła.

Seredyńska spojrzała na jej twarz, starając się dostrzec, czy wiadomość o śmierci byłego męża zrobiła na niej wrażenie. Tego też nie była pewna. Smutek, który na niej widziała, był już tam wcześniej. Czy teraz się pogłębił? Trudno powiedzieć.

- Czyli i tak byłabym już wdową... – stwierdziła z zamyśleniem.

Było to bardzo do niej podobne. Zawsze myślała głównie o sobie. To się zmieniło, dopiero gdy urodziła jej brata. Od tej pory to on był najważniejszy. Co nieubłaganie sprawiło, że stał się takim samym skoncentrowanym tylko na sobie egoistą jak ona. Tak go przynajmniej zapamiętała.

- Czekał... – Matka nagle się ożywiła. – Czemu przyjechałaś na jego pogrzeb tutaj? Przecież wyprowadził się do Warszawy. Kazał się tu pochować czy jak?

- Wrócił dwa lata temu – wyjaśniła. – Tu umarł i tu miał pogrzeb.

Jej matka spojrzała na nią zdziwiona.

- Wrócił? Tutaj? Dlaczego?

- Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Przeszedł na emeryturę. Może chciał przenieść się na starość w rodzinne strony.

- Nie sędzę, żeby o to chodziło – odparła matka.

Było w jej tonie głosu coś, co sugerowało, że uważała taką przyczynę za absolutnie niemożliwą.

- Dlaczego tak uważasz? – spytała.

– Nie miał żadnego powodu, by czuć sentyment do tych stron – odpowiedziała. – Nie po tym, co tu się stało.

– A co takiego się stało?

Matka rzuciła jej krótkie, urwane spojrzenie, jakby przestraszyła się tego, co powiedziała.

– No wiesz, chodzi o nasze rozstanie, potem rozwód... – odpowiedziała. Nie zabrzmiało to przekonująco. Raczej jakby próbowała ukryć prawdziwą przyczynę za zasłoną znanych jej córce faktów.

Seredyńska spróbowała przeszukać pamięć w poszukiwaniu tego, co jej matka miała na myśli. Była tam wtedy przecież, słyszała ich kłótnie i rozmowy. Nie wszystkie oczywiście i nigdy w całości, czasami tylko strzępy dolatywały do jej uszu. Może więc dlatego niczego nie odkryła.

– Co takiego się wtedy wydarzyło, mamó? – powtórzyła.

Jej matka jakby drgnęła, słysząc to ostatnie słowo. Już dawno go najwidoczniej od niej nie słyszała. Spojrzała na nią z wyraźnym tym razem przestachem.

– Nic się nie stało. Co też ty znowu wymyślasz? – rzuciła tonem, który miał za zadanie zapewne zbagatelizować sprawę, lecz całkiem pod tym względem zawiódł.

– Przecież widzę, że nie mówisz mi całej prawdy – stwierdziła. – Jestem prokuratorem, pamiętasz? Umieć oceniać wiarygodność zeznań.

Matka odwróciła twarz w stronę okna. Nic nie odpowiedziała. Jakby to pytanie w ogóle nie padło. To też było do niej podobne. Często tak robiła. Zignorowane pytanie po jakimś czasie przestaje się domagać odpowiedzi. Taki był jej nigdy niewypowiedziany pogląd.

Niestety dla niej, jej córka również znała tę zasadę. I była już w tym wieku, że nie bała się jej zakwestionować.

– Rozmawiałam przez te dwa dni z paroma ludźmi – powiedziała. – Sporo się więc dowiedziałam. Bardzo bym jednak chciała usłyszeć to od ciebie. Nie sądzisz, że tak byłoby lepiej?

Zablefowała. Była to klasyczna technika stosowana podczas przesłuchań. Zasugerowanie, że ktoś inny już wszystko zdradził, więc lepiej by było dla przesłuchiwanego, by się za bardzo nie upierał przy swojej taktyce zatajania prawdy. Zadziwiająco, że stosowała ją wobec własnej matki.

Jej reakcja na to też była zaskakująca.

– Niby od kogo się tego dowiedziałas? – prychnęła z lekceważeniem. – Nikt inny nie wie.

Słowa te padły, wybrzmiały i odbiły się od ścian kuchni. Matka spojrzała na nią oszołomiona i zdziwiona, że tak łatwo i bezmyślnie je wypowiedziała. Przez chwilę musiała mieć jeszcze nadzieję, że nie zostaną należycie dostrzeżone i zrozumiane. Wzrok Seredyńskiej rozwiął te wątpliwości.

Przez chwilę mierzyły się jeszcze spojrzeniami. Córka i matka. Pytanie i odpowiedź. Obie wiedziały już, która wygrała.

– Mów, mamó – powiedziała Seredyńska. – Jesteś mi to winna. To właśnie zniszczyło moje dzieciństwo, prawda?

Jej matka jakby nagle zapadła się w sobie. Osunęła się na krześle, przygarbiła, zamknęła oczy.

– Nie chcę – powiedziała niemal dziecinnym głosem. – Nie chcę o tym mówić. Myślałam już, że nie będę nigdy musiała do tego wracać. Minęło tyle lat...

Poczuła coś w rodzaju współczucia. Było to pierwsze pozytywne uczucie, które wzbudziła w niej ta kobieta od bardzo dawna.

Nie mogła jednak dać się mu omamić. Musiała i chciała być bezwzględna. Była to chyba nawet zemsta, przynajmniej tak smakowała.

– Teraz już musisz – rzuciła chłodno. – Wiesz o tym.

Matka spojrzała na nią żałośnie.

– Nie mogę – odpowiedziała płacząco.

– Dlaczego? – spytała.

- Jesteś prokuratorem - odparła. - Wsadzisz mnie do więzienia.

Wyszła stamtąd. Zjechała windą. Wróciła do samochodu. Wsiadła. Usłyszała w tamtym mieszkaniu coś, co zupełnie inaczej brzmi, gdy czyta się o tym w leżących na biurku aktach, a zupełnie inaczej, gdy mówi to własna matka.

Wszystko teraz wyglądało inaczej, wszystko. Jej dzieciństwo, rozstanie rodziców, wyprowadzka do Olsztyna i tamten miły człowiek, który został jej ojczymem. Rzadko zdarza się aż tak całkowita zmiana perspektywy.

I nawet nie padło w jej głowie to pytanie: dlaczego nic mi nie powiedzieli? Jak niby mogliby to zrobić? Ona sama w ich sytuacji też milczałaby jak grób, zwłaszcza wobec własnego dziecka. Nie mogli jej tym obarczyć, nie w takim momencie jej życia, gdy była wciąż bezbronna jak szczenię.

Tak, ta tajemnica była wtedy niezbędna. I to nawet pomimo tego, jak bardzo okazała się destrukcyjna. Zniszczyła ich małżeństwo, jej dzieciństwo i być może nawet wpłynęła na tę dorosłość, z którą się teraz mierzyła. Ale naprawdę nie mieli innego wyjścia.

Seredyńska porównała szybko daty. Nie mogło być mowy o żadnym przedawnieniu. Jej matka miała więc rację – ciągle groziło jej więzienie. Myliła się tylko co do jednego – to raczej nie ona mogła ją tam umieścić. Jako członka najbliższej rodziny obejmowało ją prawo do odmowy składania zeznań. Wytłumaczyła jej to i między innymi dlatego skłoniła do powiedzenia prawdy.

Poza tym, jeśli chciała dalej zajmować się tą sprawą, nie powinna na razie ujawniać uzyskanej właśnie wiedzy nikomu, a już zwłaszcza organom ścigania. Udział jej rodziców w jakichkolwiek działaniach przestępczych wyłączał ją automatycznie ze wszystkich czynności, które wciąż mogła podejmować, nawet nie występując w roli prokuratora. O wiele korzystniej z jej punktu widzenia było kłaść nacisk na to, że pokrzywdzonym jest jej ojciec. To pozwalało jej wobec jego śmierci wstąpić w jego prawa, mieć inicjatywę dowodową, składać wnioski o przeprowadzanie różnych czynności, na przykład ewentualnej ekshumacji, mieć wgląd w akta, a na koniec zostać nawet oskarżycielem posiłkowym. O ile oczywiście prokurator Niedźwiedzki nie będzie mieć w tych wszystkich kwestiach innego zdania i jeśli nie będzie tego sabotował.

W każdym razie jej sytuacja stawała się jeszcze bardziej delikatna. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy jednak sobie nie odpuścić. Drażąc dalej ten temat, narażała w końcu już nie tylko swoją zawodową przyszłość, lecz także wolność własnej matki. Matki, na którą właśnie spojrzała w nieco inny sposób. Wyrok co prawda, biorąc pod uwagę okoliczności, nie byłby pewnie zbyt duży, być może nawet wydany w zawieszeniu, ale jednak.

Nie potrafiłaby chyba jednak w tym momencie się zatrzymać. Sprawy zaszły za daleko. Zbyt wiele się dowiedziała. Nie potrafiła wyłączyć tego czegoś, co sprawiało, że była tak dobra w tym, co robiła – chęci poznania całej prawdy i przywrócenia sprawiedliwości. Poza tym nic tymczasem nie wskazywało, by te dwie rzeczy – wydarzenia z przeszłości jej rodziców i to, co działo się tu ostatnio – były w jakikolwiek sposób powiązane. Mogła zajmować się tym drugim, udając, że nic nie wie o pierwszym. Co prawda gdzieś w głębi duszy żywiła obawę, że ten związek zostanie w końcu odkryty, ale na razie miała pełne prawo uważać, że jednak go nie ma i że da się jakoś rozwiązać jedną sprawę, utrzymując w tajemnicy drugą. Przez dziurawy konstrukt uspokajających samozapewnień prześwitywała jednak uporczywa myśl: że gdyby okazało się inaczej, będzie w stanie podjąć takie ryzyko. Położyć na szalę wolność własnej matki i swoją karierę, byleby tylko dowiedzieć się wreszcie, co się stało. Nie da rady po prostu się powstrzymać.

Wszystkie te kwestie kłębiły jej się w głowie, chociaż wiedziała, że tak naprawdę zajmuje nimi swój umysł tylko po to, żeby nie musieć myśleć o tamtym. O tym, co usłyszała od matki. W jakiś sposób nie docierało to wciąż do niej. Przyjęła i zarejestrowała fakty, lecz blokowała idące za nimi uczucia. Stawiała

im tamę, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Jakby można tu było zachować jej standardowy, prokuratorski dystans wobec przejawów zła. Ten, którego nauczyła się po tylu latach obcowania z ludzką krzywdą i cierpieniem i który pozwalał jej normalnie funkcjonować, wykonując swój zawód. To jednak nie była sprawa taka jak zwykle. Chodziło o jej matkę i o jej ojca. O to, co ktoś im zrobił i co oni potem zrobili. Jej ojciec i jej matka. Kurwa, to się nie dzieje naprawdę.

Nadal siedziała w samochodzie. W jej uszach, w jej głowie, w całej otaczającej ją przestrzeni wciąż wybrzmiewało tamto słowo: gwałt. To drugie nie, choć to ono było bardziej brzemienne w skutki. Jej matka, kobieta, do której miała dotąd tyle żalu, a nawet pogardy, wypowiedziała je, nie patrząc na nią, z wzrokiem utkwionym w blat stołu. Skurczyła się potem, zmaląła, jakby czekała na cios. Była wtedy taka bezbronna, taka żalosna, tak nagle postarzała, tak umniejszona, jakby wyznawała jakąś wielką swoją winę, po której oczekiwała tylko potępienia. Słowo to padło i wybuchło jak granat. Zniszczyło wszystko wokół siebie, pozostawiając tylko brzęczącą ciszę i zdziwienie, jak wszystko nagle może tak bardzo się zmienić.

Jej córka poczuła wtedy, jak jej rozumienie świata się rozpada. To, co myślała dotąd o matce, o swojej rodzinie, o przeszłości, a także o samej sobie, rozsypało się w gruzy. Wszystkie wektory, odniesienia, pewniki straciły ważność. Nie była przygotowana na coś takiego w tym momencie. Po co innego tutaj przyszła. Miała dowiedzieć się czegoś, poznać jakąś tajemnicę, ale, do kurwy nędzy, nie taką. Powinno to być coś zwykłego, sama do końca nie wiedziała co, ale na pewno, do chuja pana, nie to.

Ochłoneła w końcu, przynajmniej zewnątrz. Czas opłacony w parkometrze skończył się dziesięć minut temu. Powinna stąd odjechać, nie może przecież siedzieć cały dzień w samochodzie pod prokuraturą. Jeszcze Niedźwiedzki wyjdzie i znowu się będzie jej czepiał. A w tym momencie naprawdę byłaby w stanie go zabić.

Tylko dokąd ma jechać i po co? Co się robi po usłyszeniu takiej informacji? Po otrzymaniu ciosu w sam środek swojego jestestwa? Mogła się poczuć teraz dokładnie tak samo jak wszyscy ci, których tyle razy przesłuchiwała – rodzice zabitych dzieci, ojcowie i matki zgwałconych córek, żony, których mężowie popełnili samobójstwo. Nagle znalazła się po drugiej stronie.

Och, na pewno ją to ubogaci. Pozwoli w przyszłości lepiej wczuć się w ich sytuację. Być bardziej empatyczną. Problem w tym, że wcale tego nie chciała. Nie prosiła się o to. Dobrze jej było bez takich emocji. Naprawdę.

Odpałała wreszcie silnik i wyjechała tyłem na ulicę. Ruszyła przed siebie, nie zastanawiając się nawet, dokąd jedzie. Wszystko było lepsze od tego siedzenia tam i myślenia.

W planach, tych wcześniejszych, sprzed tamtej eksplozji, miała wizytę w galerii handlowej. Potrzebowała kupić parę ubrań i kilka kosmetyków, z rodzaju tych, których nie da się znaleźć w Biedronce. Bezrefleksyjnie, na zupełnym autopilocie zaczęła jechać w tamtym kierunku. Centrum handlowe było niedaleko. Wystarczyło dojechać do końca ulicy.

Otumaniona i otepiała, wjechała do garażu podziemnego. Potem wysiadła i ruchomymi schodami wjechała na górę. Czy da się przymierzać i wybierać ubrania pół godziny po tym, gdy dowiedziało się, że ktoś zgwałcił twoją własną matkę? Zaraz się o tym przekona. Automatycznie realizowała po prostu wcześniej obmyślony plan. Była jak pociąg, w którym ktoś zastrzelił maszynistę. Ciągle jechała po torach.

Wyszła na środek korytarza między sklepami. Ludzie chodzili wokół niej, mijali ją, nie zwracali na nią uwagi. Słyszała jakąś muzykę, jakieś rozmowy. Rozejrzała się dookoła. Szyldy sklepów, wystawy, manekiny ubrane w różne stroje – widziała to i nie widziała. Jakby znalazła się w środku pamiątkowej szklanej kuli, takiej, jaką kupuje się, odwiedzając jakieś miasto. Jeszcze chwila i z góry zacnie na nią padać sztuczny śnieg.

– Coś się stało? Pomóc pani? – Gruby mężczyzna z brodą w uniformie ochroniarza mówił to do niej, a ona na niego patrzyła.

– Nie, nic się nie stało, wszystko w porządku – odpowiedziała.

Ujął ją delikatnie pod ramię i zaprowadził do miejsca, gdzie mogła usiąść. Potem przyniósł chusteczki i butelkę wody.

– Bardzo dziękuję – powiedziała. – Ale już naprawdę wszystko dobrze.

– Nie wydaje mi się – odparł. – Mamy tu punkt medyczny. Zaprowadzić tam panią?

Przez chwilę pojawiła się dawna ona.

– Bardzo dziękuję, ale naprawdę nie trzeba – powtórzyła z naciskiem. – Bardzo mi pan pomógł, ale już więcej pomagać mi pan nie musi.

Odszedł. Ten moment irytacji pozwolił jej nieco dojść do siebie. Napila się wody, a potem bardzo trzeźwo zastanowiła się, co w zasadzie powinna teraz zrobić. Dziś już raczej nie było sensu podejmować żadnych konkretnych działań, resztę dnia musi po prostu przetrwać. Poczula nagłą, bardzo silną potrzebę znalezienia się w swoim własnym, bezpiecznym mieszkaniu. Wiedziała, że to nierealne. Prawie trzy godziny jazdy samochodem w jej aktualnym stanie nie wydawało się rozsądnym pomysłem. Poza tym bała się, że mogłaby nie chcieć już wracać. Nocleg w pensjonacie „Damian” też jej się nie uśmiechał. Znowu:

nie w tym stanie, nie z tymi rzeczami kłębiącymi się jej w głowie. Najchętniej wyłączyłaby się i włączyła z powrotem dopiero jutro rano. Jediną opcją wydawało się więc wynajęcie pokoju w jakimś hotelu w Olsztynie. Zupełnie nowe miejsce, zupełnie nowe otoczenie, jedna noc gdzieś, gdzie przetrawi wszystko, upora się z tym jakoś, a potem wyjedzie i nigdy tam nie wróci. Tak. Przekonywało ją to.

To jednak znaczyło, że musiała kupić dużo więcej rzeczy, bo swoją torbę podróżną zostawiła w pensjonacie. Uzbrojona w ten cel wstała i ruszyła na obchód galerii.

Dwie godziny i kilka toreb wypełnionych zakupami później Sereżyńska wróciła do samochodu. Odnalazła w internecie hotel nad jeziorem, który był tu już w czasach, gdy chodziła do liceum. Nazywał się teraz inaczej, ale ciągle funkcjonował. Zarezerwowała w nim pokój. Kilkanaście minut później zaparkowała przed jego budynkiem. Wieczór był znowu ciepły. Wysiadając z samochodu, poczuła zapach wody. Był nieco inny niż ten nad jej domowym jeziorem, mniej przesiąknięty mokrą roślinnością, a bardziej wiatrem. Pewnie dlatego, że to jezioro było o wiele większe. Zameldowała się, zostawiła rzeczy w pokoju i poszła nad brzeg. Były tam stoliki i ławeczki, a nawet pierwsze, wyciągnięte zapewne niedawno z magazynu leżaki. Usiadła na jednym z nich. Szum fal i odbijający się od powierzchni wody księżyc w nowiu działał na nią uspokajająco. Nie zorientowała się nawet, kiedy zasnęła. Śnił jej się dom rodzinny, lecz wyglądał zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Wiły się pod nim tunele i korytarze, biegły aż do jeziora, weszła do jednego z nich. Wyjście było na środku jeziora, w zasadzie na jego dnie. Wody nie było, jak gdyby ktoś ją niedawno spuścił. Widać było błyszczące w księżycowym świetle kałuże wilgoci. Niedaleko stała koparka. Ciemna i nieruchoma, przypominała martwe prehistoryczne zwierzę. Popatrzyła w górę. Na niebie było pełno gwiazd. Brzegi jeziora wyglądały na ich tle jak ściany wąwozu. Wiedziała, że musi się na nie wspiąć, żeby się stąd wydostać. Ruszyła w ich stronę. Obudził ją chłód.

Wstała koło dziewiątej. Zeszła na śniadanie, starając się nie myśleć o tym, co wydarzyło się wczoraj. Z restauracji też był widok na jezioro. Wyszła na zewnątrz i zjadła przy stoliku na tarasie.

Dopiero po kawie pozwoliła sobie zajrzeć w głąb siebie. Największa burza minęła. Była teraz w stanie podejść do wszystkiego spokojniej i w sposób choć trochę bardziej racjonalny.

Postanowiła na razie nie zajmować się tym, co wydarzyło się kilkanaście lat temu, i w miarę możliwości nie roztrząsać tego w nieskończoność. Jej dzikie śledztwo dotyczące śmierci ojca powinno iść dalej swoim torem. Miała w nim co robić i musi się na tym skupić. Także po to, by nie osuwać się raz za razem w taką samą otchłań jak wczoraj. Nie chodzi o to, by próbować zapomnieć o tamtym czy próbować to jakoś wyprzeć, ale by dać sobie czas na poukładanie tego wszystkiego w głowie. Kiedyś, gdy przyjdzie odpowiedni moment, wróci do tego. Z innym, miała nadzieję bardziej rozsądnym spojrzeniem.

Skończyła, wróciła do pokoju, spakowała się i opuściła hotel. Jej wczorajsze zakupy okazały się bardzo udane pomimo tak niesprzyjających okoliczności. Ubrana w nowe rzeczy poczuła się znacznie lepiej. Jakby zmieniła skórę i stała się innym człowiekiem.

Wsiadła do samochodu i wróciła do swojej miejscowości. Światła przy robotach drogowych nie zatrzymały jej tym razem aż tak długo. Zajechała do pensjonatu, ale tylko po to, żeby zostawić tam rzeczy. Kutery znowu nigdzie nie było. Jej klucze otwierały też drzwi wejściowe, więc nie potrzebowała jego obecności. Mimo tego było to trochę dziwne. Miała wrażenie, że nigdy go tu nie ma, choć przecież prowadził ten pensjonat, a na górze leżał sparaliżowany jego syn.

Dobrze, co teraz? Miała do wyboru co najmniej dwie możliwości. Rozmowa z lekarzem, który stwierdził śmierć jej ojca, albo próba porozmawiania z tym pracownikiem zakładu pogrzebowego, którego dom wskazał jej człowiek od przygotowywania zwłok. Warto chyba zacząć od tego pierwszego.

Wsiadła do samochodu i pojechała do ośrodka zdrowia. Znajdował się w tym samym budynku co kiedyś. Chodziła do niego jeszcze jako dziecko z klasą na fluoryzację. Dobrze zapamiętała wiecznie podpitego dentystę z brzuchem ogromnym jak balon. Gdy nachylał się nad nią, chcąc zajrzeć w jej usta, przyginała ją nim do fotela, aż prawie nie mogła oddychać.

Budynek ten nie zmienił się niemal od tamtych czasów. Ciągle był dużym, szarym, podłużnym klockiem, który ktoś położył na skarpie nad jeziorem. Tuż obok było zejście na gminną plażę, a po jego drugiej stronie przedszkole w niemal bliźniaczym budynku.

Stanąła na parkingu przed ośrodkiem. Naprawdę dawno tu nie była, a już na pewno nigdy samochodem. Mieszkanie w takiej miejscowości, w której do wszystkich najważniejszych miejsc da się dojść w dziesięć minut, miało swój urok, którego wtedy nie doceniała.

Weszła do środka. Wnętrze było inne – odnowione, jasne, nieco plastikowe. Nie zmienił się za to na pewno zapach. Charakterystyczna woń leków i środków odkażających przywodzący na myśl słodki syrop na gardło. W pewien sposób go nawet lubiła.

Zgodnie z przepisami śmierć jej ojca powinien stwierdzić, a potem wypisać kartę zgonu lekarz rodzinny, który go leczył ostatnio. Należało założyć, że przyjmował on właśnie w tym ośrodku. Chyba że do jej ojca wezwano pogotowie albo zgon nastąpił już po przewiezieniu do szpitala. Wstyd powiedzieć, ale nie wiedziała tego. Nie interesowała się tym do tej pory. Gdy dowiedziała się o jego śmierci, była zbyt zirytowana, że zaburzy to jej plany i zmusi do wykonania szeregu nużących czynności, by zastanawiać się nad takimi rzeczami. Umarł to umarł, w końcu był już dość stary. Prędzej czy później musiało to przecież nastąpić. Liczyło się tylko to, że narobił jej tym kłopotów.

Podeszła do pielęgniarki w recepcji. Było w niej coś staroświeckiego, jakby ona jedyna została tu z poprzedniego wystroju. Przysadzista sylwetka, mocno utapirowane włosy i bardzo wyraźne, grubo namalowane brwi. I wyraz twarzy, który mówił, że nie jest absolutnie zainteresowana rozmową z kimkolwiek.

– Dzień dobry, prokurator Gabriela Seredyńska. – Pokazała jej swoją legitymację. To nigdy nie zaszkodzi. Zobaczyła, jak rysy kobiety nieco się ożywiają. Zdaje się, że nawet się wyprostowała. – Czy mogłabym zająć pani chwilę?

– Tak, oczywiście. – Usta kobiety rozszerzyły się w przestraszonym uśmiechu. Prawdopodobnie tak jak wszyscy inni w podobnej sytuacji zaczęła właśnie przypominać sobie swoje wszelkie prawdziwe i urojone przewiny mogące sprawić, że wyląduje w więzieniu.

– Przyszłam tu w sprawie śmierci mojego ojca – wyjaśniła. – Umarł kilka dni temu. Chciałabym porozmawiać z lekarzem, który wypisał kartę zgonu.

– Dziś jest sobota – odpowiedziała kobieta. – Ośrodek zdrowia jest nieczynny, nie ma więc żadnego z lekarzy. Jestem tu w zasadzie tylko po to, by wykonać własną zaległą pracę. Przykro mi.

No tak, sobota. Nie pomyślała o tym.

– Mogłaby pani w takim razie chociaż dać mi do niego jakiś kontakt? – poprosiła.

– Zna pani jego nazwisko?

– Tak – odpowiedziała Seredyńska. Było na karcie zgonu. – Doktor Janiszewski.

– Doktor Janiszewski? – zdziwiła się kobieta. – Jest pani tego pewna?

– Tak, jestem pewna.

– Doktor Janiszewski nie pracuje już u nas od paru lat. Jest na emeryturze.

Było to dosyć dziwne. Emerytowany lekarz wypisujący kartę zgonu... Nie była nawet pewna, czy jest to zgodne z prawem.

– Wie pani, gdzie mieszka? – spytała.

– Tak, niedaleko stąd. Dwa domy w tamtym kierunku. – Wskazała na prawo. – Prowadzi wciąż prywatną praktykę, więc na płocie jest tabliczka.

– Dziękuję pani bardzo – odpowiedziała i wyszła.

Łatwo odnalazła dom, o którym była mowa. On też położony był na skarpie nad jeziorem. Pan doktor musiał mieć piękny widok z okna. Zadzwoiła dzwonkiem przy furtce.

– Tak? – odezwał się głos w domofonie. Należał do kobiety.

– Ja do doktora Janiszewskiego – odpowiedziała.

– Była pani umówiona?

– Nie – odparła. – To dość nagły przypadek.

– W takim razie zapraszam – usłyszała.

Domofon zabrzączał. Pchnęła furtkę. Po chwili otworzyły się drzwi domu. Stała za nimi starsza kobieta. Wyglądała bardziej jak żona niż pielęgniarka lub recepcjonistka.

– Proszę – powiedziała. – Mąż co prawda teraz nie przyjmuje, ale skoro to pilne, na pewno znajdzie chwilę. Proszę zejść na dół i poczekać przed gabinetem. – Wskazała jej schody prowadzące do suterenu.

Usiadła w małej poczekalni. Niewielkie okna w górnej połowie ściany wychodziły na trawnik. Doktor pojawił się po chwili. Miał pewnie koło siedemdziesięciu lat i nieco przekrwioną twarz. Ubrany był w biały kitel.

– Zapraszam. – Otworzył drzwi do gabinetu. – Co panią do mnie sprowadza? – spytał, gdy już usiadła na krześle przed jego biurkiem.

– W zasadzie chodzi nie o mnie, ale o mojego ojca – odpowiedziała.

– Rozumiem. Co mu dolega?

- Jak sądzę nic. Umarł parę dni temu. - Uśmiechnęła się.

Lekarz spojrział na nią zaskoczony.

– Nie wiem w takim razie, w czym mógłbym pani pomóc – powiedział ostrożnie.

– Pana nazwisko było na karcie zgonu – wyjaśniła. – Przypuszczam więc, że to pan stwierdził jego śmierć. Chciałabym poznać więcej szczegółów.

Doktor Janiszewski zamrugał oczami. Zwróciła na to uwagę. Wyglądało to trochę tak, jakby jej prośba była dla niego co najmniej kłopotliwa.

– Jest pani córką Wiktora? – spytał. – Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia. Żałuję, że nie mogłem być obecny na jego pogrzebie.

Było w jego głosie coś dziwnego, fałszywy ton. Jakby próbował ukryć jakąś emocję.

Postanowiła to wykorzystać.

– Był pan przy jego śmierci – odparła. – To chyba bardziej się liczy.

Świadomie użyła takiego sformułowania, choć przecież wcale nie było to pewne. Mógł w końcu równie dobrze pojawić się już po wszystkich. Chciała jednak zobaczyć, jak zareaguje na taką sugestię.

Lekarz ponownie zamrugał oczami. Wydawał się lekko zagubiony, jakby nie wiedział za bardzo, co zrobić i co powiedzieć.

– Nie, nie – zaprzeczył nieco zbyt skwapliwie. – Nie byłem przy jego śmierci. Poproszono mnie tylko, żebym ją stwierdził.

– Kto pana o to poprosił? – spytała. – I dlaczego? To chyba niezbyt częsta praktyka, by prosić o takie przysługi emerytów? Ustawa dosyć wyraźnie określa, kto powinien tym się zająć. Lekarz ostatnio prowadzący leczenie. Mój ojciec był pana pacjentem?

Dostrzegła na jego twarzy krótkie wahanie, zapewne wynikające z przeprowadzania kalkulacji, czy lepiej skłamać, czy powiedzieć prawdę. Rzucił szybkie spojrzenie w kierunku szafy stojącej po lewo. Była tam prawdopodobnie dokumentacja pacjentów. Musiałby ją sfalszować, by ukryć swoje kłamstwo. Pewnie zastanawiał się, czy dałoby się takie oszustwo wykryć i na ile byłoby to ryzykowne. Zadziwiająco, jak bardzo było to wszystko po nim widać. Najwyraźniej nie miał praktyki w tego typu działaniach.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Nie był.

– Dlaczego wobec tego zwrócono się do pana? – spytała.

Spojrzał w okno. Poprawił się na krześle. Przesunął coś na biurku. Odwlekał odpowiedź, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Wie pani, jak to jest – zaczął wreszcie. – Dla lekarza rodzinnego to kłopot. W naszym ośrodku zazwyczaj przyjmuje tylko jeden w tym samym czasie. Musi zostawić poumawianych pacjentów i jechać gdzieś na nie wiadomo ile. A ja mam dużo czasu. Jak sama pani zauważyła, jestem emerytem.

– I to on właśnie do pana zadzwonił, lekarz z ośrodka? – spytała.

To również dałoby się sprawdzić.

Doktor Janiszewski znowu poprawił się na krześle.

– Nie, nie on – odparł z pewnym ociąganiem.

– To kto?

Spojrzał na nią z niechęcią.

– Już nie pamiętam dokładnie, ktoś z koła – odpowiedział.

Uniosła demonstracyjnie brwi do góry.

– Z koła łowieckiego? Dlaczego właśnie oni?

- To oni go znaleźli.

Zamilkła na moment. Robiło się coraz ciekawiej.

- Jak go znaleźli? Gdzie? - spytała. - W domu?

- Pani ojciec nie umarł w domu - odpowiedział.

- Gdzie w takim razie?

- Jego ciało znalezione w lesie.

Nie patrzył na nią, jego wzrok błędził gdzieś między ścianą a podłogą. Zapadła cisza.

- Mogłabym poznać więcej szczegółów? - odezwała się po chwili.

- Naprawdę chce je pani znać? - spytał.

- Tak.

Odchrząknął.

- Pani ojciec leżał na brzuchu, twarzą do dołu - powiedział. - Śmierć musiała nastąpić co najmniej kilka godzin wcześniej, bo widoczne były plamy opadowe.

- Jaka była przyczyna zgonu? - spytała.

- Przyjąłem, że naturalna - odpowiedział. - Zawał, udar, ustanie akcji serca.

- Przyjął pan? - zdziwiła się.

- Nie było widać żadnych obrażeń wskazujących na coś innego - odparł. - A w wieku, w którym był pani ojciec, to pierwsze przychodzi na myśl.

- Dokonał pan oględzin zwłok?

- Tak, oczywiście.

- Jak dokładnych? Zdjął pan ubranie?

- Uznałem, że nie ma takiej potrzeby.

- Dlaczego pan tak uznał?

- Jak już mówiłem, śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych...

- Skąd pan to wie, skoro nie dokonał pan oględzin zwłok? - przerwała mu pół słowa.

Spojrzał na nią z irytacją.

- Droga pani, jeśli człowiek w takim wieku przewraca się na twarz, to z dużą dozą prawdopodobieństwa można uznać, że odpowiadają za to przyczyny kardiologiczne. Jestem lekarzem już od kilkudziesięciu lat, więc wiem, co mówię.

- „Duża doza prawdopodobieństwa” to ciągle nie brzmi jak „stuprocentowa pewność” - zauważyła.

- Nie zawsze się ją ma. - Wzruszył ramionami. - Lecz jest jeszcze coś takiego jak doświadczenie. W medycynie...

- „Uznałem”, „przyjąłem”... - znów mu przerwała. - Prawda jest taka, że wypisał pan kartę zgonu, nie znając przyczyny śmierci.

- Jak już wielokrotnie wcześniej - rzucił wyraźnie podenerwowany. - W przypadku śmierci z powodów naturalnych nie zawsze da się poznać dokładną przyczynę. Jeśli nie ma żadnych przesłanek wskazujących na wypadek, samobójstwo lub udział osób trzecich, nie ma potrzeby, by drążyć dalej temat. Inaczej musielibyśmy robić sekcje wszystkim umierającym w Polsce!

- Skąd pan wie, że nie było takich przesłanek, skoro pan nawet porządnie nie zbadał ciała?

Lekarz aż sapnął ze złości.

- Nie było krwi, widocznych urazów, a pani ojciec był starszym człowiekiem. Umarł i tyle!

- Czemu wezwali właśnie pana? - Seredyńska zmieniła nagle temat.

- Słucham?

- Dlaczego zadzwonili akurat do pana? - powtórzyła.

Uniósł brwi.

- Wszyscy mnie tu znają - odpowiedział. - Byłem tu lekarzem w ośrodku kilkadziesiąt lat. Leczyłem panią, gdy jeszcze była pani dzieckiem...
- Być może, nie pamiętam - ucięła. - Jest pan członkiem koła łowieckiego?
- Już raczej nieaktywnym - odparł, jakby bagatelizował sprawę.
- Czy to był główny powód? - spytała.
- Nie wiem, czy główny, być może jeden z wielu. Wszyscy się w końcu znamy...
- ...więc krzywdy sobie nie zrobimy - dokończyła za niego.
- Co pani sugeruje? - oburzył się.
- Na przykład, że wezwali pana, wiedząc, że jako ich dobry znajomy nie będzie pan, jak to pan określił, „drażył sprawy” i przyjmie pan zasugerowane wyjaśnienie - odpowiedziała.

Nabrał powietrza, jakby chciał gwałtownie zaprotestować.

– Zanim pan zaprzeczy, proszę się zastanowić, czy na pewno nie mogło tak być. – Nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Nie wiem kompletnie, o czym pani mówi – odparł.

– Panie doktorze. – Nachyliła się w jego kierunku. – Już od początku naszej rozmowy odnosiłam wrażenie, że nie jest pan całkowicie... – umilkła, jakby szukała odpowiedniego słowa – pewny siebie w swoich wypowiedziach. Brzmiało to trochę, jakby pan coś ukrywał, jakby pan nie był ze mną do końca szczery. Nie chcę twierdzić, że świadomie zataja pan prawdę, broń Boże. Ale może jest coś, do czego pan sam przed sobą nie chce się przyznać, ale co pana w jakiś sposób dreczy. Być może nawet lepiej to widzę niż pan, bo patrzę na pana z zewnątrz i mam pewne doświadczenie w ocenianiu tego, co i z jakich powodów ludzie mówią, gdyż jestem z zawodu prokuratorem. – Zrobiła tu małą pauzę, by poczekać, aż ta informacja, jeśli jeszcze tego nie wiedział, do niego dotrze. – Zdaję też sobie sprawę, że ludziom takim jak pan, o nienaganej przeszłości, pięknej zawodowej karcie, będącym autorytetami w swoich społecznościach i przyzwyczajonym do tego statusu, uruchamiają się naprawdę mocne mechanizmy wyparcia, gdy z jakichś powodów powinie im się noga. Wiem też jednak, że właśnie takim ludziom, wewnątrznie uczciwym i lubiącym myśleć o sobie dobrze, bardzo trudno sobie z czymś takim poradzić i niezwykle trudno to ukrywać. Nie są po prostu przyzwyczajeni do oszukiwania i mataczenia i robią to w sposób żałośnie amatorski, a to bardzo widać. Dlatego tacy ludzie powinni szybko przyznawać się do błędu, zwłaszcza gdy popełnili go niechcący i sprowokowani albo zmanipulowani przez innych.

Seredyńska zamilkła i oparła się z powrotem o krzesło. To była długa przemowa i ciekawiło ją, jaki odniesie skutek. Nie była pewna, czy właściwie oceniła pana doktora. Przyjęła, że jego rola w ewentualnym zatuszowaniu jakichś niewygodnych faktów związanych ze śmiercią jej ojca była raczej drugoplanowa i pomocnicza. Że został wykorzystany w tym celu przez faktycznych prowodyrów. Chciała dać mu więc furtkę, możliwość wyjścia z tego z twarzą. W tym momencie potrzebowała bowiem głównie informacji, a on mógł jej ich dostarczyć. Mogła się jednak mylić i to we wszystkich możliwych aspektach.

Jego reakcja dość szybko pozwoliła jej odczuć, że chyba miała rację.

Mężczyzna skurczył się jakby, postarzał i przygarbił. Potem spojrział na nią wzrokiem pełnym zmęczenia i smutku.

– Nic z tego, o czym pani powiedziała, nie miało miejsca – odparł.

Cała jego postawa mówiła jej jednak co innego.

– W porządku – skomentowała. – Przyjęłam i zanotowałam pana odpowiedź. Spróbujmy jednak mimo wszystko wrócić wspólnie do tamtej chwili i przeanalizować ją dokładniej. Na pewno mi to pomoże uwierzyć, że mówi pan prawdę.

Lekarz ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

– Zaczniemy może od tego: kto do pana zadzwonił?

– Jak już mówiłem, nie pamiętam dokładnie – odpowiedział.

– Było to raptem parę dni temu, bardzo łatwo odszukać to w wykazie połączeń w pana komórce – zauważyła. – Jeśli dzwoniło do pana na numer domowy, tam również jest taka funkcja. Mógłby pan wobec tego to dla mnie sprawdzić?

Doktor Janiszewski przymknął oczy.

– Wydaje mi się, że był to Zagoński – odparł matowym głosem.

– Wydaje się panu czy jest pan tego pewien?

- Jestem pewien. Teraz to sobie przypominam.

- Dobrze - pochwaliła go. - Co panu powiedział?

- Że znaleziono ciało pani ojca w lesie, że już na pewno nie żyje i że wygląda to na zawał.

- Co było dalej? - spytała.

- Poprosił mnie, żebym przyjechał i dopełnił formalności. Tak się wyraził.

- Zrobił pan to?

- Tak.

- Gdzie dokładnie znaleziono ciało mojego ojca?

- Tak jak powiedziałem, w lesie.

- Ale gdzie konkretnie?

- Nie jestem pewien.

- Jak to pan nie jest pewien, przecież widział je pan - zdziwiła się.

- Widziałem, ale wtedy nie znajdowało się już w lesie.

Uniosła wysoko brwi.

- To gdzie? - spytała.

- W zakładzie pogrzebowym Lewczuka.

Umilkła. Doktor Janiszewski spuścił wzrok.

- Wezwano policję? - spytała. - Wtedy gdy znaleziono ciało?

- Z tego, co wiem, nie - odpowiedział.

- Dlaczego wobec tego ciało od razu znalazło się w zakładzie?

- Także o to spytałem - stwierdził. - Zagoński mi odpowiedział, że na początku chcieli je zabrać do ośrodka zdrowia, więc włożyli je do samochodu, potem jednak zorientowali się, że pani ojciec raczej na pewno nie żyje, więc nie ma to sensu, i wtedy przywieźli je do Lewczuka. I dopiero on im powiedział, że potrzebuje karty zgonu, by móc się nim zająć.

- Chcieli? - wychwyciła. - Czyli kto? Kto był jeszcze wtedy z Zagońskim?

- Kutera - odparł. - Podobno polowali razem.

Jakoś jej nie zdziwiło, że to właśnie on.

- Uświadomił im pan, że to wbrew wszelkim procedurom? - spytała.

- Tak. - Kiwnął głową. - Powiedziałem im to. Usprawiedliwiali się tym, że na początku sądzili, że pani ojciec jeszcze żyje.

- Twierdził pan, że na jego ciele widoczne były plamy opadowe - zauważyła. - To prawda?

- Tak - potwierdził. - Były niewątpliwie widoczne.

- To w jaki sposób mogli sądzić, że mój ojciec żyje?

Uniósł nieco ramiona.

- Nie wszyscy są specjalistami - stwierdził. - Mogli nie być świadomi, że takie zmiany są dość pewnym symptomem śmierci.

- Panie doktorze, ile razy widział pan w swoim życiu ciało, w którym wykształciły się takie zmiany? - spytała.

- Kilka... pewnie kilkanaście razy - odpowiedział.

- Czy ci ludzie wyglądali, jakby mogli żyć?

- Nie - przyznał.

- Uważa pan, że konieczna jest specjalistyczna wiedza, by to ocenić?

- Nie, ale plamy opadowe pojawiają się czasem jeszcze za życia... - próbował oponować.

- Bardzo rzadko - stwierdziła. - W stanie agonalnym. Ale są wówczas bledsze i o wiele mniej rozległe, raczej punktowe. Czy tak wyglądały plamy na ciele mojego ojca?

- Nie - przyznał. - Były wyraźne i dość intensywne.

- Czy uważa pan wobec tego, że Zagoński i Kutera mogli mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że mój ojciec nie żyje?

Zwlekał chwilę, zanim odpowiedział.

- Nie powinni - przyznał w końcu.

ROZDZIAŁ 51

- Dobrze - powiedziała. - Parę rzeczy ustaliliśmy, spróbujmy wobec tego pójść dalej. Jak wyglądało ciało mojego ojca, gdy je pan zobaczył?

- Leżało na stole służącym do przygotowywania zwłok, było kompletnie ubrane, buty wciąż tkwiły na stopach.

- Jak wyglądała twarz?

- Była ciemnofioletowa, ciało, gdy je znaleziono, leżało wedle ich słów na brzuchu, więc plamy opadowe zebrały się również tam.

- Coś jeszcze? - dopytywała.

- Brudna od ziemi, oczy półprzymknięte, podobnie usta - wyliczył. - Naprawdę chce pani znać aż takie szczegóły?

- Chcę znać wszystkie szczegóły. Jak wyglądały dłonie?

Wzruszył ramionami.

- Normalnie. Nic specjalnego na nich nie dostrzegłem - odpowiedział.

- Zarówno na prawej, jak i na lewej?

- Na żadnej.

- Żadnych ran, blizn, otarć czy tym podobnych rzeczy?

- Nic.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Ojciec miał dużą bliznę na wierzchu lewej dłoni. Ciągnęła się od nasady kciuka aż do samego nadgarstka. Nie widział jej pan?

Zmieszał się wyraźnie.

- Nie, oczywiście, widziałem - powiedział.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Nawet pan do niego nie podszedł, prawda? - spytała. - Widział pan tylko prawą dłoń i to zapewne z daleka.

Doktor Janiszewski przymknął powieki.

- Nie wiem, dlaczego tak postąpiłem - wyznał po chwili. - Kiedy tam wszedłem, od razu podszedł do mnie Lewczuk z formularzem karty zgonu. Zaczęli opowiadać, co się stało, posadzili na krześle. Zagadali mnie jakoś...

- Zagadali pana jakoś... - powtórzyła.

Mężczyzna jeszcze bardziej zmałał.

- Śmierdziało od nich alkoholem - powiedział. - Mówili, że mogą mieć kłopoty, bo nie powinno ich być w tym rejonie lasu, bo nie zgłosili tego łowczemu i nie powinni też pić, gdy chodzą z bronią. Prosilili, żebym nie rozpowiadał za bardzo, jak to wszystko wyglądało. A pani ojciec nie żył, widać to było z daleka.

- Pozostaje jeszcze pytanie, jak umarł - zauważyła. - Szkoda, że nie spróbował pan znaleźć na nie odpowiedzi.

Spojrzał na nią całkiem już zgnębiony.

- Zasugerowałem się tym, co mówili - tłumaczył się. - Poza tym to rzeczywiście wyglądało na zawał lub coś podobnego. Zresztą może faktycznie nim było. Nie mamy żadnych dowodów, że chodziło o coś innego.

- Nie mamy ich być może właśnie dlatego, że nie zbadał pan ciała - stwierdziła cierpko.

Na to już nic nie odpowiedział.

- Cóż - skomentowała. - Pozostaje nam wobec tego polegać na pana pamięci i na tym, co mimo wszystko pan zauważył. Powiedział pan, że twarz była brudna od ziemi, a jak wyglądało ubranie?

Zastanowił się.

- Ubranie wyglądało normalnie - odpowiedział.

- Nie było brudne?

- Chyba nie.

- Jak mój ojciec był ubrany, pamięta pan?

- W spodnie, takie zwykłe, chyba dżinsy, nie pamiętam koloru, ale raczej ciemne - odparł z namysłem.

- Na górze miał jakąś kurtkę, zdaje się, że zieloną, myśliwską, a pod nią koszulę flanelową, ale nie pamiętam dokładnie, bo kurtka była zapięta.

- Było na nich widać ślady ziemi? Znalaziono go, gdy leżał na brzuchu.

Zastanowił się.

- Nie, wydaje mi się, że nie - odpowiedział.

- Nie zdziwiło to pana?

- Nie zwróciłem na to wtedy uwagi.

- Jest jeszcze coś, na co nie zwrócił pan wtedy uwagi? - spytała. - Proszę pomyśleć.

Zmarszczył czoło, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

- Wydaje mi się - zaczął ostrożnie - jakby jego ubranie było nieco za małe.

- Co ma pan na myśli?

- Rękawy kurtki były za krótkie. - Spojrzał na nią, jakby liczył, że w ten sposób się nieco zrehabilituje.

- Tak, jestem tego pewien. Pani ojciec leżał, ręce miał wyprostowane, a mimo to widać było nadgarstek i nieco przedramienia.

- Czy wyglądało to, jakby był w nie swojej kurtce?

- Tak - przyznał. - Mogło to tak wyglądać. Choć wtedy pomyślałem raczej, że kupił za mały rozmiar.

Seredyńska zamilkła na chwilę. W gabinecie doktora Janiszewskiego zrobiło się nagle bardzo cicho. Mężczyzna nie patrzył na nią. Wydawał się przybity i przytłoczony tym, co powiedział i co sobie uświadomił.

- Przejdźmy w takim razie do Zagońskiego i Kutery - zaczęła znowu. - Jak się zachowywali?

Lekarz uniósł na nią wzrok, jakby wyrwała go z zamyślenia.

- Zagoński był milczący i dość posepny, prawie się nie odzywał. Stał cały czas z boku. Kutera był raczej pobudzony i na pewno zdenerwowany.

To jeszcze o niczym nie świadczyło. Byłaby to wciąż w miarę normalna reakcja na znalezienie w lesie trupa.

- A Lewczuk? - spytała.

Janiszewski zastanowił się.

- On też wydawał się zdenerwowany - stwierdził z pewnym zdziwieniem. - Trzęsły mu się ręce, kiedy podawał mi kartę zgonu. Widać to było po kartce. Zauważyłem to i nawet pomyślałem, czy to nie symptom jakiejś choroby i że może powinienem mu zasugerować wykonanie jakichś badań w tym kierunku, ale potem mi to wyleciało z głowy.

- Myśli pan, że miałyby powód do zdenerwowania, gdyby wszystko było w porządku? - spytała.

- Sądzę, że nie - odpowiedział.

Wyszła wreszcie stamtąd. Wcześniej musiała jeszcze wysłuchać litanii dość krepujących próśb doktora Janiszewskiego dotyczących nierujnowania jego nieposzlakowanej dotąd przez kilkadziesiąt lat opinii. Odpowiedziała mu, że nie jest to w tym momencie ani jej celem, ani najważniejszym problemem, więc nie zamierza teraz roztrząsać tej kwestii, co zdaje się zrozumiał jako obietnicę utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Nie miała ochoty ani siły, by wyprowadzać go z tego błędu, tym bardziej że czuła się naprawdę wykończona. Opisy stanu ciała, które kiedyś było jej ojcem, nie pozostały na nią bez wpływu. Po raz kolejny w ciągu dwóch ostatnich dni okazało się, że trudno jest zachować profesjonalny dystans, gdy słyszy się takie rzeczy mówione o kimś, kto kiedyś zmieniał ci pieluchy.

Poszła nad jezioro. Musiała chwilę odetchnąć, odpocząć, a widok jego tafli zawsze ją uspokajał. Tuż obok ośrodka była ścieżka wiodąca w dół w stronę plaży i znajdującego się przy niej pomostu. Zeszła nią.

Mimo wakacyjnego niemal ciepła na brzegu nie było nikogo. Być może dlatego, że dość wyraźnie zbierało się na burzę. Ciężkie chmury wisiały nad taflą wody, dotykając prawie wierzchołków rosnącego na przeciwległym brzegu lasu. Było wilgotno i duszno, pachniało wodą i trzcinią. Ukryte w nich ptaki pobudzone najwyraźniej zbliżającą się nawałnicą darły się, jakby od tego miało zależeć przetrwanie świata.

Weszła na pomost. Lubiła go. Był tu zawsze, także wtedy, gdy była dzieckiem, choć pewnie wówczas był to inny pomost, z innych pni pochodzących z innych drzew. Chyba znajdował się też w nieco innym miejscu, trochę bardziej na prawo, ale nie była tego pewna.

Usiadła na jego końcu, zwieszając nogi w dół, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy przychodziła tu po lekcjach czytać książki. Robiła tak zwłaszcza w te dni, gdy atmosfera w jej domu stawała się nie do zniesienia. Teraz być może już wiedziała dlaczego.

Niewielkie fale przepływały pod jej stopami gnane wzmagającym się wiatrem. Żeglarska pogoda – tak by powiedział jej ojciec. Ciekawe, czy żałował, że nie miał jednak syna? Takiego, który odziedzyczyłby po nim zamiłowanie do tych wszystkich męskich sportów. Zamiast tego doczekał się córki. Takiej, która go opuściła, porzuciła, lecz teraz miała zostać jego mścicielem. Jego i jego zhańbionej wcześniej żony, a więc całego rodu. Cóż za epicka historia! Szekspir opisałby ją z pocałowaniem w rękę. Aż nie wiadomo, śmiać się czy płakać.

– No i popatrz, znowu się spotykamy! – usłyszała nagle za swoimi plecami. Wzdrygnęła się i odwróciła gwałtownie, zaskoczona tym tak niespodziewanym przywitaniem.

Stał za nią Paweł.

– Rany, tylko nie spadnij! – Wyciągnął rękę, jakby chciał ją przytrzymać. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

– Nie słyszałam po prostu, jak podchodzisz – odpowiedziała.

– To przez ten wiatr – powiedział. – I fale. Natura potrafi strasznie hałasować. Mogę? – Wskazał na miejsce obok niej.

– Jasne – odpowiedziała. – Jeszcze tu nie kupiłam wszystkiego na własność.

Usiadł obok niej na deskach pomostu, tak samo jak ona zwieszając nogi w dół.

– A ty ciągle tutaj? – zagadnął.

– Mówiłam przecież, że muszę zostać parę dni – odpowiedziała.

– Wiem, pamiętam. – Uśmiechnął się. – Pozałatwić sprawy. I jak ci idzie?

Dobre pytanie, pomyślała.

– Trochę to przypomina nasze poprzednie spotkanie – odparła.

- W jakim sensie?
- Utknęłam i buksuję kołami w błocie – stwierdziła.
- Żebyś tylko nie zakopała się tu na dobre – rzucił. – Jak ja.

Zabrzmiało to raczej przygnębiająco.

- Chociaż w sumie nie miałbym nic przeciwko temu – dodał. – Przynajmniej byłoby towarzystwo.

Nie skomentowała tego.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę w milczeniu na tym pomoście obok siebie. Jak dwójka dzieci, którymi kiedyś byli. Zaczęła nawet machać nogami.

- Kiedyś był trochę dalej, pamiętasz? – odezwał się. – Ten pomost. Gdzieś tam. – Wskazał ręką.

- No właśnie tak mi się wydawało – odparła.

- Widziałem cię na nim czasem, jak czytałaś książki. – Zebrało mu się na wspomnienia. – Na początku mnie to trochę śmieszyło, a potem, jak już się w tobie zakochałem, wzruszało. Nie czułaś, jak ktoś się tam na ciebie z tyłu gapi? – dodał ze śmiechem.

- Myślałam wtedy raczej o innych rzeczach – odparła.

- Wiem, to znaczy domyślałam się. Wyglądałaś na trochę smutną. Co się wtedy działo?

Jebane ptaki śpiewały. Trzciny szumiały i obijały się o siebie.

- Nie jestem chyba gotowa, żeby o tym mówić – ucięła.

- A co się dzieje teraz? – spytał. – W tamtym nie jestem w stanie ci już raczej pomóc, a w tym może mógłbym.

Spojrzała na niego z ukosa. Patrzył przed siebie, gdzieś na środek jeziora. Jej poprzednie fantazje nabrały nagle nieco cieplejszego wymiaru. Było to bardzo kuszące, ta jego niewypowiedziana wprost propozycja. Dawno już nie czuła się taka samotna jak tu.

Powstrzymała się jednak przed dalszym brnięciem w tego typu nastroje. Nie może dać się rozkleić. Jej garda i pancerz muszą pozostać na swoim miejscu. Jeśli chce je z niej zdjąć, musi się trochę bardziej postarać.

- Będę pamiętała – odparła. – I dziękuję za wsparcie.

Postarała się jednak, by jej odmowa nie zabrzmiała zbyt obcesowo.

- Jakies problemy ze sprzedażą domu? – Nie odpuszczał jednak.

- Można tak powiedzieć – rzuciła wymijająco.

- Słyszałem, że była tam policja – powiedział. – To mała miejscowość – dodał, jakby się usprawiedliwiał. – Plotki szybko się rozchodzą. O co chodziło?

Wzruszyła ramionami.

- Znalazłam coś, a potem się okazało, że wcale tego nie znalazłam – odpowiedziała. – Chyba robię się ostatnio przewrażliwiona.

- Co znalazłaś? – Spojrzał na nią z boku.

- No właśnie, jak się okazało, nic.

- I wezwałaś do tego nic policję? – spytał ze śmiechem.

- Głupie, nie? – skomentowała. – Zrobiłam z siebie idiotkę.

- No dobrze, ale czym było to, czego nie znalazłaś? – dążył. – Czy też czym byłoby, gdybyś to jednak znalazła?

Przez chwilę miała ochotę powiedzieć mu wszystko, wygadać się, zrzucić z siebie cały nagromadzony przez ostatnie dni ciężar. Znowu się jednak powstrzymała.

- Teraz już nie ma znaczenia – odpowiedziała. – Skoro to i tak nie było to.

- Strasznie tajemnicza – skomentował. – I piękna. Oj, żebym się znowu w tobie nie zakochał – dodał żartobliwie.

Zalała ją nagła i zupełnie niespodziewana fala sprzecznych emocji. Jakby faktycznie była nastolatką i ktoś jej po raz pierwszy wyznał miłość. Całe szczęście on chyba też trochę się tego przestraszył, bo zamilkł na dobrą chwilę.

– A wiesz, że podobno w tym jeziorze jest zatopiony czołg? – Zmienił temat.

– Czołg? – zainteresowała się z ulgą.

– Tak mówią. Niemiecki, z drugiej wojny światowej. Ponoć uciekał przed Armią Czerwoną i próbował przejechać po lodzie. No i się nie do końca udało.

– To dlatego palą się tu znicze?

– Znicze? – zdziwił się.

Seredyńska zresztą też dopiero teraz je zauważyła. Dwa niewielkie znicze z czerwonego szkła. Stały przy brzegu po drugiej stronie plaży. Jeden wciąż się palił. Widać było malutki żółty płomień za szkłem.

Podniosła się z pomostu. Podeszła bliżej. Stały na trawie tuż przy trzcinach. Ten wypalony wyglądał na starszy, ten, który się palił, był nowy. Oprócz nich nic tam nie było. Żadnych kwiatów, żadnej kartki, żadnego zdjęcia.

– Nie wiesz, o co chodzi? – spytała, gdy z niejakim ociąganiem wreszcie do niej dołączył.

– Nie mam pojęcia.

Może była przewrażliwiona, ale wydało jej się, że nie był do końca szczery.

ROZDZIAŁ 53

Wróciła na górę. Nie chciała tym razem iść z nim na kolację. Ze szczytu skarpy jeszcze raz spojrzała na jezioro. Ciągnęło się od lewa do prawa. Wydawało się teraz ciemne. Jak Styks, pomyślała nagle.

Jaką tajemnicę skrywało? Kto i po co stawał na jego brzegu znicze? Oczywiście wytłumaczenie mogło być banalne – ktoś kiedyś pływał w nim i się utopił, skoczył na główkę i nie wypłynął, kapał się po pijaku albo źle oszacował swoje siły. Zapewne z każdym jeziorem związana była choć jedna taka historia. Coś jej jednak mówiło, że nie do końca o to chodziło. Że ta historia była inna. Daleko bardziej dramatyczna.

Za dużo działa się tu dziwnych rzeczy, za dużo było niewyjaśnionych kwestii, niedopowiedzeń, zagadek. I tych z przeszłości, i tych współczesnych. Czy były z sobą powiązane? Nagle ten mityczny czołg z dna jeziora, o którym też kiedyś przecież słyszała, wydał jej się jakąś alegorią, symbolem tego, co się tutaj dzieje. Wielki i ciężki sekret tkwiący gdzieś pod powierzchnią niemal czarnej wody niczym archetypiczny potwór z odmętów podświadomości, wpływający swoją niewidoczną, ale przygniatającą masą na wszystko i wszystkich dookoła, na ich działania, myśli i pragnienia, zakrzywiający przestrzeń, pchający ludzi do złego – czy nie przypadkiem coś takiego miało tutaj miejsce? Aż się wzdygnęła od tych myśli. Duszne powietrze zwiastujące burzę jeszcze potęgowało to wrażenie. Jakby trafiła do krainy diabła. Poczula wręcz ochotę, by się przeżegnać.

Miała wrażenie, że tu utknęła, że lej, na którego dnie było to jezioro, wciąga ją, zasysa jak ta pułapka, którą tworzą z piasku niektóre owady. Ktokolwiek stanie na jej krawędzi, nie ma drogi odwrotu. Może się tylko osuwać coraz niżej w stronę czyhającego na samym dole przeznaczenia.

Ona też już nie miała wyjścia. Nie po tym, czego się dziś dowiedziała. Do tego momentu miała, teoretyczną choćby, możliwość odwrotu. Dało się wyobrazić, że powie: „Chrzanię to, odpuszczam, wracam do siebie”. Teraz już nie. Musiała brnąć w to dalej, choć wcale tego nie chciała. Czekając, aż ta wielka, masywna tajemnica tkwiąca gdzieś na dole tego wszystkiego przyciągnie ją do siebie, przemiele i zniszczy.

Poczula nagle wibrującą w kieszeni komórkę. Wyjęła ją i spojrzała na wyświetlacz. Dzwoniła jej szefowa z prokuratury okręgowej w Warszawie. Rzadki zaszczyt, tym bardziej, że była przecież na urlopie. Był to telefon, którego nie można było nie odebrać.

– Tak, słucham? – powiedziała do słuchawki.

– Co ty, dziecko, do chuja, wyczyniasz? – usłyszała prokurator Kostrzewską.

No ładnie, pomyślała. Nie jest dobrze.

– Nic, pani prokurator – odpowiedziała. – Załatwiam sprawy związane ze śmiercią ojca.

– Czym je załatwiasz? Bo chyba nie głową – usłyszała w odpowiedzi. – Mam tu na ciebie skargę. Oficjalną. Z prokuratury okręgowej w Olsztynie. Cała litania. Mam ci przytoczyć wszystkie paragrafy, którymi podobno wytarłaś sobie tyłek?

Prokurator Niedźwiedzki spełnił więc swoją groźbę.

– Nie trzeba, jestem to w stanie sobie wyobrazić – odpowiedziała.

– To trzeba było to wyobrazić sobie trochę wcześniej! – Charakterystyczne „r” w jej głosie wibrowało niepokojąco silnie. Chyba już nie była jej ulubioną pracownicą. – Nie jesteś, do najjaśniejszej kurwy, na jakimś Dzikim Zachodzie! Olsztyn to wbrew pozorom ciągle Polska. Obowiązuje tam to samo prawo i te same procedury służbowe co w Warszawie. Nie wyjechałaś do zamorskiej kolonii i nie masz do czynienia z dzikusami! A jeśli nawet masz, to im tego nie okazuj!

Chciała powiedzieć, że to nieco bardziej skomplikowane, ale prokurator Kostrzewska nie dała jej dojść do słowa.

- Krótko mówiąc, więcej tego nie rób, rozumiemy się? - Jej szefowa przeszła do podsumowania i lepiej jej było nie przerywać. - Nie udawaj, że masz upoważnienia, nie wyciągaj podstępem informacji ze śledztw, do których nie masz dostępu, i nie próbuj udawać szeryfa na nie swoim terenie. W przeszłości robiłaś już podobne rzeczy i cudem wywinęłaś się od nagany czy nawet od czegoś gorszego, nie powtarzajmy tych błędów, bardzo cię proszę. Moja cierpliwość też ma swoje granice. Jesteś dobrym prokuratorem i masz dobre wyniki, ale nie zacznij myśleć, że czyni to z ciebie jakąś świętą krowę. Nie zmuszaj mnie, bym zastąpiła cię kimś gorszym, ale niesprawiającym kłopotów. Dbamy o stosunki z prokuraturami z bratnich, nawet dzikich województw, to absolutny priorytet. Lokalni kacykowie bywają bardzo wyczuleni na to, co uważają za arogancję przybyszy z Warszawy, a my nie chcemy ich denerwować. Czyli od tej pory żadnych wyskoków, czy to jest jasne? I widzimy się rano w poniedziałek na Chocimskiej. Chyba że masz inny pomysł, wtedy możesz w ogóle nie przyjeżdżać. Koniec rozmowy.

Rozłączyła się.

Gdyby pozwoliła jej powiedzieć coś na swoją obronę, Seredyńska mogłaby wspomnieć, że przy poprzednich razach, gdy naginała procedury, okazywało się zawsze, że miała rację. I że tylko dzięki temu, że nie siedziała wtedy w swoim sztywnym boksie zbudowanym z przepisów i procedur, udało jej się rozwiązać parę naprawdę grubych spraw. Ale nie pozwoliła.

Schowała telefon z powrotem do kieszeni. Jej szefowa postawiła sprawę absolutnie jasno. Sposób, w jaki to zrobiła, świadczył o tym, że z nią też ktoś przeprowadził wcześniej podobną, równie nieprzyjemną rozmowę. Znaczyło to zapewne, że prokurator Niedźwiedzki jest znacznie lepiej umocowany, niż to by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Prawdopodobnie nie ograniczył się do zwykłej skargi, musiał uruchomić swoje kontakty, kto wie, być może nawet w ministerstwie. A Seredyńska dobrze wiedziała, co się działo w ministerstwie. I w związku z tym - czym zaryzykuje, nie podporządkowując się poleceniu.

No cóż, pomyślała gorzko: wstaliśmy z kolan, więc musimy teraz zgiąć karki.

Miała już po tej rozmowie naprawdę dość. Tak dogłębnie, tak na maksa, z całego serca i z całej duszy. Była bliska, cholernie bliska rzucenia tego wszystkiego. Nie zajedzie nawet do pensjonatu „Damian” po resztę swoich rzeczy, tylko po prostu wyjedzie. Niech sobie Kutera je weźmie, niech je wyrzuci, spali, przebiera się w nie nocami, co ją to obchodzi.

Trzeba przecież wiedzieć, kiedy odpuścić. Nie mogła ryzykować wszystkiego, całej swojej kariery i przyszłości, dla czegoś, co ciągle pozostawało w sferze domysłów i intuicji, a co mogło – to akurat było bardziej pewne – posłać do więzienia, gdyby coś poszło nie tak, jej własną matkę. Matkę dostatecznie chyba już doświadczoną w przeszłości.

Po stronie „spierdaj” tej tabelki było więc naprawdę sporo punktów. Po stronie „zostań” już znacznie mniej. Wizja jej ojca, człowieka, którego dotąd prawie nienawidziła, który ją opuścił, zostawił, nie walczył o nią – na tamtym stole w zakładzie pogrzebowym. Wizja istniejąca przecież tylko w jej wyobraźni, a jednak jakoś niezwykle intensywna i niepozwalająca o sobie zapomnieć.

Było jednak po tej stronie jeszcze coś. Wkurw na Niedźwiedzkiego, że tak ją załatwił. Miał prawo, bo przecież zrobiła wszystko, o co ją oskarżył, ale zupełnie nie o to chodziło. Chodziło o to, że z nią zadarł, że wszedł z nią w zwarcie, że zadał jej cios, który zapewne uważał za nokautujący. I myśli, że wygrał, że ma ją już z głowy. Bo teraz z podkulonym ogonem, bojąc się utraty pracy, którą kocha, ucieknie stąd, aż się będzie za nią kurzyło. Niedoczekanie, pomyślała nagle, choć na poziomie świadomym daleka była jeszcze od jakiegokolwiek decyzji.

Czuła za to, jak narasta w niej gniew. Gniew na niego, chęć dokopania mu w odpowiedzi, pokazania, że nie z nią takie numery, że rozpoczął wojnę nie z tym przeciwnikiem, co trzeba. Nie tłumila tego gniewu, pozwalała mu puchnąć, pęcznieć, rozlewać się po niej czerwoną falą. Nie stawiała jej tamy racjonalnymi argumentami, napawała się nią, dawała się ponieść.

A potem, gdy była już wystarczająco wezbrana, by dać jej siłę, Seredyńska zaczęła to wszystko analizować. Z pozycji stratega planującego atak, nie organizującego odwrot. Skoro Niedźwiedzki zadał sobie tyle trudu, poruszył takie tryby, to znaczy, że coś jest na rzeczy. Nie zrobiliby tego wszystkiego, gdyby tylko go zirytowała. Musiał poczuć się zagrożony. Wykonał nerwowy ruch, a nerwowe ruchy robi się ze strachu.

I to był kolejny punkt w tabelce pod słowem „zostań”.

Rozejrzała się dookoła, jakby była tu pierwszy raz w życiu. Albo jakby badała teren, na którym przyjdzie jej stoczyć bitwę. Przed sobą miała ośrodek zdrowia, za nim jezioro. Z tyłu, po prawej, kościół stojący na niewielkim wzgórzu – najwyższym punkcie tej miejscowości. Przed nim, po drugiej stronie ulicy, budynek starej szkoły. Widziała stąd tylko jego czerwony dach. Resztę zasłaniały stojące przed nim domy i rosnące drzewa.

To w tym budynku mieszkał podobno jeden z grabarzy. W którymś z należących do gminy komunalnych mieszkań, na które gmach ten został podzielony, gdy wybudowano nową szkołę. Planowała z nim już dawno porozmawiać. Czy powinna to sobie teraz odpuścić? Nie widziała takiego powodu. Tym bardziej, że póki chodziło o śmierć jej ojca, miała pełne prawo tym się zajmować, nawet nie występując w roli prokuratora, a Niedźwiedzki nie mógł się do tego przyczepić. Jako córka nieżyjącego pokrzywdzonego wchodziła w jego prawa. I nikt, ani Kostrzewska, ani nawet minister sprawiedliwości, nie mógł jej tego zabronić.

Wyglądziła na sobie ubranie, poprawiła włosy i ruszyła w stronę czerwonych dachówek. Po paru minutach podeszła pod budynek.

Był to dość spory, poniemiecki jeszcze gmach, wybudowany z czerwonej cegły na planie w kształcie litery „L”. Spadzisty dach pokrywały dachówki, drzwi były już nowe, nie te, które pamiętała z dzieciństwa. Dachówka też była nowa, okna plastikowe, a płot solidny, z metalowych sztachet na podmurówce z cegieł.

Ciekawe, czy w środku przeszedł równie gruntowny remont?

Stanąła przed furtką. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, jak nazywał się człowiek, z którym chciała porozmawiać, ani pod którym numerem mieszkał. Przy furtce całe szczęście nie było domofonu. Nacisnęła więc klamkę i po prostu weszła.

Podwórko wyłożone było betonową kostką. Wejście do budynku znajdowało się w samym zgięciu litery „L”. Tu już niestety dostrzegła domofon. Na jego metalowej kostce znajdowało się sześć przycisków. Nazwisk jednak przy nich nie było. Było to zresztą bez znaczenia, skoro nie miała pojęcia, jak brzmi to, które ją interesuje.

Z głupia frant pchnęła jednak drzwi. O dziwo okazały się otwarte. Ktoś ich najwyraźniej nie domknął. Weszła do środka. Przywitał ją półmrok, nieco tylko rozjaśniony światłem wpadającym przez niewielkie półokrągłe okno nad drzwiami.

Klatka schodowa była dość spora. Z jej prawej strony wznosiły się schody wiodące na piętro. Troje pojedynczych drzwi prowadziło zapewne do trzech oddzielnych mieszkań. Na piętrze były wobec tego trzy kolejne. W którym z nich mieszkał grabarz? Niestety, nie oznaczył swojego mieszkania żadnym widomym znakiem, a szkoda. Nigdzie nie wisiła czaszka z dwoma skrzyżowanymi piszczelami, nie było też widać opartej o futrynę żałobnej chorągwi. Żeby choć mały stosik kości przyniesionych z pracy do oporządzenia po godzinach w domu, pomyślała z sarkazmem. Nic. Absolutnie nic.

Nie pozostawało jej wobec tego nic innego, jak zadzwonić do pierwszego z brzegu mieszkania i o to spytać. „Przepraszam, czy tu mieszka grabarz?” Brzmiało niemal to jak początek komedii. Niestety, nim nie było.

Podeszła do najbliższych drzwi. Nie wisiła na nich tabliczka z nazwiskiem ani nawet numer. Za to u góry ktoś wypisał kredą litery K+M+B. Ta pamiątka po święcie Trzech Króli pochodziła jednak, jak zauważyła, sprzed ładnych paru lat. Nacisnęła dzwonek.

Przez jakiś czas nic się działo. Już chciała odejść, gdy usłyszała dźwięk przekręcane go zamka. Drzwi się otworzyły. Nie od razu poznała tego, który za nimi stał. Wyglądał zupełnie inaczej – był ogolony, umyty i uczesany. Patrzył na nią, jakby ją pierwszy raz widział w życiu na oczy. Był to jej były nauczyciel, pan Kuryłowicz.

– Tak? – spytał.

Przez moment stała zupełnie oniemiała. Jego wygląd, czysta jasna koszula i wyraźnie wyczuwalny zapach płynu po goleniu sprawiły, że naprawdę zaczęła się zastanawiać, czy to na pewno on. Albo czy nie ma brata bliźniaka mieszkającego tu i prowadzącego inne, stateczne i ułożone życie.

Krótki, choć intensywny przegląd stanu jego twarzy sprawił jednak, iż zrozumiała, że nie ma mowy o żadnym sobowtórze. Ziemista porowata cera, głębokie bruzdy, podkrążone oczy i popękane naczynka krwionośne świadczyły jednoznacznie, że mężczyzna, na którego patrzy, dość mocno nadużywa alkoholu i to od dawna. Po prostu teraz akurat był trzeźwy.

– Dzień dobry, panie profesorze – przywitała się.

Jego wzrok oznajmił jej, że w dalszym ciągu nie ma pojęcia, kim ona jest.

– Gabriela Seredyńska – przedstawiła się. – Pamięta mnie pan?

Uśmiechnął się przepraszająco.

– Uczyłem panią, tak? – powiedział. – Przykro mi, ale nie pamiętam. Tyle dzieci przewinęło się przez moje klasy... Zresztą na pewno wyglądała pani wtedy inaczej.

– Rozmawialiśmy niecałe dwa dni temu – przypomniała mu. – W pensjonacie nad rzeką. A jeszcze wcześniej w lesie.

Przez jego twarz przemknął wyraz zażenowania.

– Być może – odpowiedział. – Tego niestety też nie pamiętam. Musi mi pani wybaczyć, jestem alkoholikiem. Wpadam w ciągi. Nie bardzo zapamiętuję, co się wtedy dzieje. Właśnie zakończyłem jeden i mam kolejną dziurę w życiorysie. Jeśli powiedziałem albo zrobiłem coś, co panią uraziło, to bardzo przepraszam. Mogę też pokryć ewentualne szkody. Do pewnego pułapu oczywiście – dodał, odwracając ze wstydem wzrok. – Jak pani pewnie się domyśla, nie grzeszę nadmiarem gotówki.

– Całe szczęście nie ma takiej potrzeby – uspokoiła go. – I nie w tej sprawie przyszedłem.

– To w jakiej? – Znowu na nią spojrział.

– Chciałabym z panem porozmawiać – odpowiedziała.

W tej sprawie też nie przyszła, ale tamta mogła poczekać.

– Tak, a o czym? – spytał. – Zresztą nie, niech pani po prostu wejdzie. Nie będziemy przecież stali w drzwiach.

Cofnął się, by ją wpuścić.

Mieszkanie wyglądało całkiem porządnie i schludnie, na pewno nie jak melina zawodowego alkoholika. Zaprowadził ją do jednego z dwóch pokoi. Wszystko tu było zupełnie normalne, jakby żył w tym miejscu i mieszkał właśnie ktoś taki, jak on – były nauczyciel języka polskiego.

Wskazał jej kanapę pod oknem. Usiadła.

– Napije się pani czegoś? Kawy, herbaty? – spytał.

Kawa na pewno by jej się przydała. I jakieś kalorie. Znowu z tego wszystkiego zapomniała o jedzeniu.

– Poproszę o kawę – odparła. – Najchętniej z mlekiem i dużą ilością cukru.

– Cukier powinien być – powiedział. – Mleko, jeżeli jest, to sprzed paru tygodni. Więc nie polecam. Jeszcze nie zdążyłem zrobić zakupów – usprawiedliwił się.

– Nic nie szkodzi, naprawdę. Może być bez mleka.

Wrócił po kilku minutach z kubkiem kawy, cukiernicą i małym talerzykiem.

– Za to znalazłem ciasteczka – obwieścił. – Ktoś mi je dał, chyba na Wielkanoc. Powinny być jeszcze dobre. Kruche ciastka dość długo chyba się trzymają, prawda?

Poczuła nagły, bardzo silny głód, sięgnęła więc po jedno. Było przepyszne. Kruche, domowej roboty ciasteczko z polewą z lukru. Szybko wzięła następne.

– To o czym pani chciała ze mną porozmawiać? – usłyszała.

Przełknęła ciastko i popiła kawą. Poczuła, jak wraca jej energia i chęć do życia. Jak mało czasem potrzeba, pomyślała.

– Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, powiedział mi pan o czymś – zaczęła. – Chciałabym to w miarę możliwości zweryfikować.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Nie wiem, czy będę w stanie pani pomóc – odparł. – Jak już mówiłem, praktycznie nie pamiętam tego, co się dzieje, gdy zaczynam pić. Jestem trochę jak doktor Jekyll i mister Hyde. Inaczej się zachowuję, nawet mieszkam gdzie indziej. To jedna z moich ostatnich świadomych decyzji. Gdy czuję, że zbliża się tsunami, wyprowadzam się do lasu. Nie chcę robić z tego mieszkania pijackiej speluny. Za dużo wspomnień jest z nim związanych. Nie chcę ich kalać tym, czym się wtedy staję. Tak więc przykro mi, nie mam pojęcia, co pani wtedy mówiłem – zakończył.

– Całe szczęście ja pamiętam – stwierdziła. – Powiedział pan, że mój ojciec, Wiktor Serebyński, na którego pogrzebie pan zresztą był, został zamordowany.

Wstrząsnęły ją te słowa, choć sama je przecież wypowiedziała. Nie oswoiła się jeszcze z tą myślą.

Mężczyzna popatrzył na nią z powagą i smutkiem.

– Zdaję sobie sprawę, jak bardzo musiała być pani zszokowana, gdy to pani usłyszała – powiedział. – Tym bardziej przepraszam. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałem i czy miałem ku temu jakiejkolwiek powody. Gdy jestem w takim stanie, jak wtedy gdy z panią rozmawiałem, moje myśli błądzą ścieżkami, których nie potrafię potem odtworzyć. Może był to rodzaj żartu, a może przeblysł paranoi? Nie mam zielonego pojęcia.

Sprawiał wrażenie naprawdę przygnębitego i podłamanego tym, co powiedziała.

– Nie sądzę, by był to żart lub rodzaj rojenia – skomentowała. – Mam dosyć mocne poszlaki pochodzące z innych źródeł, że mógł pan mieć rację.

Wzruszył ramionami.

– Być może. Wcale tego nie wykluczam – odparł. – Mówię tylko, że nie potrafię ani tego potwierdzić, ani temu zaprzeczyć. Jestem pod tym względem całkowicie bezradny.

– Rozumiem, że gdybym spytała pana, skąd wziął pan odcięty palec, który przyniósł mi pan do pensjonatu, również nie uzyskam odpowiedzi?

W jego spojrzeniu pojawiło się coś na kształt przerażenia.

– Palec? – spytał. – Ludzki palec? – Zamknął oczy. – Przykro mi, ale nie wiem kompletnie, o czym pani mówi. Może gdyby spróbowała pani porozmawiać o tym ze mną, gdy znów będę w ciągu, powiedziałbym pani coś więcej? Ale nie teraz.

Już miała na końcu języka pytanie, jaka jest u niego częstotliwość takiego chodzenia w cug, powstrzymała się jednak. Podobnie jak przepędziła z głowy pomysł, by specjalnie wprowadzić go w taki stan. Poza wszystkim innym na obie te rzeczy nie miałyby czasu.

Musiała wymyślić coś innego.

– Dobrze – powiedziała. – Rozumiem to. Nie chciałabym jednak poddawać się tak od razu. Jeśli więc pan pozwoli, zadam panu parę pytań na inne tematy. Może wspólnie, drogą okrężną, dojdziemy wtedy do jakichś interesujących ustaleń. Co pan na to?

– W porządku – odpowiedział. – Czemu nie? Jeśli to pani w jakiś sposób pomoże. Nie mam specjalnych planów na resztę dnia ani nawet życia. Niech pani pyta.

Wypiła resztę kawy. W mieszkaniu Kuryłowicza panowała dziwna cisza, może z powodu grubych, ceglanych murów izolujących je od otoczenia. Nie słyhać było nic, ani szumu lodówki, ani radia, nawet takiego zza ściany, ani żadnych dźwięków zza okna. Każdy odgłos więc, który wydawała, każdy szelest ubrania, każde siorbnięcie, nawet zwykły oddech brzmiały tu nienaturalnie głośno. Było to tym wyraźniejsze, że jej były nauczyciel siedział w zasadzie bez ruchu, jakby zapadł w sen, czekając na jej pierwsze pytanie.

Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała do niego inspiracji. Zwykłe meble, telewizor, może nie z tych najnowszych, ale już z płaskim ekranem. Kilka zdjęć w ramach i sporo bibelotów. Wszystko utrzymane w nienagannym porządku. Nie wyglądało to na pewno jak mieszkanie samotnego alkoholika.

– Długo pan mieszka już sam? – spytała.

Kuryłowicz drgnął, jakby faktycznie spał.

– Sam? – powiedział. – Jakies dwa lata. Tak mi się wydaje.

– Pił pan wcześniej?

Uniósł brwi, jakby próbował coś sobie przypomnieć z zamierzchłej przeszłości.

– Okazjonalnie, jak wszyscy – odpowiedział. – Nie bardzo miałem jak, bo wychowywałem syna. Gdy jest się jedynym opiekunem dziecka, nie jest to specjalnie możliwe. Czasami, wieczorami, jak poszedł już spać, gdy już naprawdę nie wytrzymałem tego wszystkiego. Nie wiem, może zresztą od tego to się zaczęło.

– Co się z nim stało? – spytała. – Z pana synem?

Popatrzył na nią wzrokiem pełnym niewyobrażalnej pustki.

– Nie wiem – odpowiedział. – Problem polega na tym, że nie wiem.

– Proszę o tym opowiedzieć. Co się dokładnie wydarzyło?

Odetchnął głęboko, jakby samo wspomnienie o tym przygniatało go trudnym do udźwignięcia ciężarem.

– W zasadzie nic nadzwyczajnego – odparł. – Po prostu któregoś dnia zniknął. Wróciłem do domu, a jego nie było. Też był czerwiec, jak teraz. Był po maturze, więc miał już wolne. Ja jeszcze uczyłem w szkole. Do końca miesiąca są normalne lekcje. Rano w sumie też go nie widziałem, gdy wychodziłem do szkoły, myślałem, że jeszcze śpi, więc tak naprawdę nie wiem, kiedy zniknął. Nic mi nie mówił, że miał tego dnia dokądś iść czy jechać. No ale okej, miał w końcu osiemnaście lat, mógł przecież wyjść, spotkać się z kolegami czy jakąś dziewczyną, nie musiał mnie o wszystkim informować. Więc na początku się nie niepokoiłem. Nie dzwoniłem też do niego, żeby nie wyjść na nadopiekuńczego, ograniczającego go ojca. Ale gdy nie wrócił do wieczora, zrobiłem to wreszcie. Nie odbierał. W końcu poszedłem do jego pokoju. Nie było jego plecaka i rzeczy.

Zwiesił głowę i zamilkł.

– Dlaczego wobec tego zgłosił pan zaginięcie? – spytała.

Popatrzył na nią zdziwiony, ale nie spytał, skąd o tym wie.

– On nie wyjechałby tak nagle bez uprzedzenia – powiedział. – Zdaję sobie sprawę, że pewnie wszyscy rodzice dzieci, które uciekły z domu, tak mówią, ale w jego przypadku jestem o tym absolutnie przekonany. Byliśmy ze sobą bardzo związani, mieliśmy w końcu tylko siebie. Wiem, że nie mówił mi o wszystkim, ale czegoś takiego nigdy by nie zrobił. Chciał iść na studia, bardzo na to czekał. Nie musiał uciekać, jeśliby chciał się stąd wyrwać, bo w październiku sam bym go odwiózł na dworzec.

Brzmiało to przekonująco, choć ciągle jeszcze nie wykluczało ucieczki. Wiedziała z zawodowego doświadczenia, że rodzice często nie mają pojęcia, w jakie kłopoty wplątują się ich dzieci i jak to może na nie wpływać. Sytuacja w rodzinie albo problemy z nauką nie są jedyną motywacją, która może ich pchnąć do takiego kroku.

– Ma pan jeszcze jakieś inne przesłanki, by sądzić, że to nie był zwykły wyjazd? – spytała.

– Tak – odpowiedział. – Wydaje mi się, że tak. Choć na policji nie chcieli tego słuchać – dodał.

– Co to takiego?

Splótł palce.

– Nie wiem – powiedział. – Może się mylę, myślałem o tym niezliczoną ilość razy, ale moim zdaniem wyglądało to tak, jakby to nie on się pakował, jakby ktoś wszedł do jego pokoju i zrobił to za niego.

– Co ma pan na myśli?

– Nie zabrał kilku swoich ulubionych rzeczy. Zniknęła z kolei bluza, którą mu kiedyś kupiłem i w której potem nie chciał w ogóle chodzić. Nawet żeśmy się o to pokłócili, bo nie była tania. Poza tym, co już całkiem dziwne, zostawił pieniądze. Trzymał je w jednej z książek o Harrym Potterze. Dostawał je od dziadków na urodziny albo na gwiazdkę i raczej zbierał, niż wydawał. Miał już kilkaset złotych. Nie zapomniałby o nich przecież, gdyby chciał uciec. Mogę je pani pokazać, bo ciągle na niego czekają. To między innymi dlatego wychodzę stąd zawsze, kiedy zaczynam pić. Boję się, że się nie powstrzymam i je przepiję.

Kłykcie na jego zaciśniętych dłoniach zbieleły.

– I mówił pan o tym na policji? – spytała.

– Tak. – Nieznacznie kiwnął głową. – Nie sprawiali wrażenia, jakby to była istotna informacja.

– Moim zdaniem jest – stwierdziła. – I to bardzo.

Spojrzał na nią z wdzięcznością.

– No właśnie też mi się tak wydaje – powiedział.

– Miał pan potem jakieś informacje o synu? – spytała. – Kontaktował się może z panem jakoś?

– Tak – odparł. – Dostałem od niego kartkę.

W jego słowach dało się wyczuć pewien sceptycyzm.

– Mogłabym ją zobaczyć?

– Tak, oczywiście. Jest tu gdzieś.

Wstał i podszedł do regału. Otworzył coś w rodzaju barku. Nie było w nim jednak butelek, tylko różne papiery i szpargały. Zaczął w nich grzebać.

– Proszę. – Podał jej błyszczący prostokąt papieru.

Wzięła go ostrożnie za sam róg na wypadek, gdyby trzeba było w przyszłości zebrać z niego odciski. Na stronie ze zdjęciem widniało morze i plaża. I nazwa: Playa de la Pineda. Po drugiej stronie był hiszpański znaczek i kilka słów napisanych niebieskim długopisem: „Wszystko u mnie dobrze, tatusiu. Znalazłem pracę, ale chyba pojedę gdzieś dalej. Odezwę się jeszcze. Miłosz”.

– To jego pismo? – spytała.

– Jego – potwierdził.

Seredyńska spojrzała na stempel pocztowy. Kartka niewątpliwie została wysłana z terytorium Hiszpanii.

– Więc o co chodzi? – Oddała mu kartkę.

– Nigdy nie mówił do mnie „tatusiu” – odpowiedział. – Nawet nie „tato”. Zawsze zwracał się do mnie „ojczek”. W taki patetyczno-żartobliwy sposób. Ja odwdzięczałem mu się, mówiąc do niego „synu”. To był taki nasz wewnętrzny kod. Nie napisałby tak do mnie.

– A jednak napisał – stwierdziła.

- Moim zdaniem ktoś mu to podyktował. Albo specjalnie tak napisał, żeby wysłać mi sygnał, że coś jest nie tak. Nie wiem, wariuję, kiedy o tym myślę.

Po twarzy Kuryłowicza przemknął skurcz cierpienia. Pomyślała, że chyba mu się nie dziwi, że zaczął pić.

– Pokazał pan tę kartkę na policji? – spytała.

– Nie. – Pokręcił głową. – Bałem się, że wtedy już w ogóle uznają, że Miłosz ode mnie po prostu uciekł. Ale chyba ta informacja jakoś do nich dotarła. Nie wiem, może komuś o tym powiedziałem. Wtedy już zaczynałem się znieczulać alkoholem. Dowiedzieli się w każdym razie, że się ze mną kontaktował. I umorzyli sprawę.

– Pana syn ciągle jednak figuruje jako zaginiony – zauważyła.

– Nie pozwoliłem im tego zmienić – odparł. – Choć bardzo na mnie naciskali. Na umorzenie jednak nie miałem już wpływu.

– Co to za miejscowość? – spytała, wskazując na kartkę. – Bo na pewno pan to sprawdzał.

– Typowo wakacyjna. Mniej więcej godzinę drogi od Barcelony na zachód. Plaża, hotele, palmy, w zasadzie nic więcej. Sporo Polaków tam przyjeżdża na wakacje.

– Był pan tam? – domyśliła się.

Kiwnął głową.

– Od razu tam pojechałem, jak tylko dostałem tę kartkę. Wydałem na to wszystkie oszczędności. Chodziłem dwa tygodnie po tej plaży, zaglądałem do hoteli, do barów, do knajp, wszędzie, gdzie mógłby znaleźć zatrudnienie taki młody chłopak. Łaziłem do lasów piniowych, gdzie śpią imigranci z Afryki. Pytałem ludzi, pokazywałem zdjęcie. Czy tu był, czy pracował? Nic. Napisał, że chce jechać dalej, ale przecież, gdyby tam był, ktoś by go zapamiętał, prawda? – Spojrzał na nią, jakby chciał, by potwierdziła jego słowa. – Dlatego myślę, że to również kazali mu napisać. Żeby zmylić trop. „Jestem tu, ale zaraz jadę gdzieś dalej, i nie wiadomo gdzie”. Żeby mnie uspokoić, ale też pokazać, że nie ma sensu go szukać.

Na jednej z fotografii stojących na regale uśmiechał się młody chłopak. Wstała i podeszła bliżej, by mu się przyjrzeć.

– Pisał do pana jeszcze potem? – spytała.

– Tak, dostałem jeszcze kartki na Boże Narodzenie i na Wielkanoc – potwierdził. – Bardzo lakoniczne. „Wesołych Świąt” i w zasadzie tyle. Z przodu choinki albo zajączki, życzenia w języku angielskim, więc nie wiadomo, skąd zostały wysłane, a stemple są nieczytelne.

– Ale też z Hiszpanii?

– Pierwsza miała znaczek hiszpański, a druga włoski. Trochę to wyglądało tak, jakby ktoś jeździł sobie na wakacje albo na ferie i przy okazji wysyłał te kartki.

– Kto? – spytała.

– Ten, który go porwał – odpowiedział. Wbił w nią swój wzrok, jakby badał, co ona o tym myśli i czy nie ma go przypadkiem za wariata. Za tym spojrzeniem pojawiło się wkrótce pytanie: – I co pani sądzi? – spytał. – Mam rację czy wmawiam to sobie, byleby tylko nie musieć przyznać przed samym sobą, że mój syn uciekł ode mnie, bo nie mógł wytrzymać, jak bardzo się nad nim trząsałem i jakim byłem toksycznym ojcem?

– Nie wiem – przyznała. – Ale chciałabym mieć takiego ojca jak pan. Poza tym wszystko, co pan mówi, brzmi niestety dość prawdopodobnie.

Uśmiechnął się gorzko.

– „Prawdopodobnie” to za mało – powiedział. – Niektóre teorie spiskowe też brzmią całkiem prawdopodobnie. Z kolei prawda bywa czasem zupełnie niewiarygodna. Dlatego tak się tym zadreczam, nie daje mi to spokoju. Zżera mnie to od środka jak rak. Mam fazy, cykle. Albo wierzę w jedno, albo

przyznając rację drugiemu. Jakbym miał chorobę dwubiegunową. Faza porwania jest jak mania, faza ucieczki jak depresja. W pierwszej chcę go szukać, odnaleźć, ratować, w drugiej samobiczuję się, że to moja wina. A gdy już nie daję rady, kupuję sobie butelkę. Wstyd mi potem, że go zawiodłem, więc kupuję następną. Nie chcę się usprawiedliwiać czy żalić, ale naprawdę chciałbym wiedzieć, co się stało. Może by mi to pozwoliło wreszcie wyjść z tego diabelskiego kręgu.

Było go jej naprawdę żal. Miała już do czynienia z rodzicami ofiar najprzeróżniejszych przestępstw, lecz nigdy wcześniej żadnego nie znała od tak dawna. Nie pamiętała ich, gdy jeszcze nie byli złamanymi przez cierpienie ludzkimi wrakami. Ta różnica – między tamtym pełnym energii i optymizmu młodym nauczycielem z czasów jej dzieciństwa i tym kimś, z kim teraz rozmawiała – była naprawdę wstrząsająca.

– Załóżmy, że do tego porwania faktycznie doszło – powiedziała. – Miałby pan podejrzenia, kto mógłby za nim stać i jaki mógłby być jego powód?

Przymknął oczy.

– Nie, przykro mi, ale nie – odparł, jakby przyznawał się do porażki. – Myślałem o tym dziesiątki dni i nocy, ale nie mam żadnego rozsądnego pomysłu. Osiemnastolatków nie porywają raczej gangi pedofili. A już zwłaszcza takich jak on. Wyglądających w zasadzie jak dorosły mężczyzna.

– Wiedział pan, że w tym samym roku w naszej miejscowości zgłoszono zaginięcie jeszcze dwojga młodych ludzi w takim samym wieku? – spytała.

Spojrzał na nią oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia.

– Nie miałem o tym pojęcia – odpowiedział. – Kto to taki? – spytał.

– Dziewczyna i chłopak – odparła. – Oba zgłoszenia zaginięcia jednak wycofano. W przypadku jednego zrobiła to rodzina, w przypadku drugiego zaginiony zadzwonił na policję i poprosił o zaprzestanie poszukiwań.

– Nic o tym nie wiem – powtórzył. – Wie pani, ostre picie odcina trochę od rzeczywistości. Ludzie przestają z tobą rozmawiać, a ty przestajesz ich słuchać – stwierdził. – Kiedy to było?

– Dziewczyna zaginęła nieco wcześniej, chłopak mniej więcej wtedy, kiedy pana syn – wyjaśniła.

Zmarszczył brwi.

– O dziewczynie faktycznie coś zdaje się słyszałem – powiedział. – Ale temat dość szybko chyba umarł, bo ledwo to sobie przypominam. Nie było w każdym razie ogłoszeń na słupach ani apeli w prasie. To był zresztą rok matury Miłosza, miałem wtedy inne rzeczy na głowie. Nie wiedziałem, że wkrótce to samo spotka jego. – Głos mu się nieco załamał. – O tym chłopaku nawet mi się nie obilo o uszy. Jeśli zaginał w podobnym czasie, co mój syn, mogłem już tego nie zarejestrować. To był naprawdę straszny okres, ledwo go pamiętam.

– Nikt panu nie wspomniał o tym na policji? – spytała.

Pokręcił głową.

– Ani słowem – odparł. – Zna pani ich nazwiska?

Miała je zapisane.

– Radosław Markiewicz i Sandra Koczeń.

Mrugnął dwa razy oczami.

– Znam ich – powiedział. – Chodzili do klasy z moim synem. A potem poszli do tego samego liceum. Sandra do innej klasy, a Radek do tej samej co Miłosz. Ale już wtedy straciłem ich z oczu.

– Trzymali się razem? – spytała. – Wie pan coś o tym?

– W podstawówce chyba nie – odpowiedział. – Uczyłem ich przecież i raczej nic takiego nie zauważyłem. Ale potem, gdy poszli do jednego liceum, pewnie tak. Wie pani, jak to jest: byli sami w zupełnie nowym środowisku. Dopóki nie nawiązali nowych znajomości, musieli mieć bliskie relacje. Radek był tu zresztą chyba kiedyś. Teraz sobie przypominam. Taki niski chłopak. Wyglądali z moim synem, jakby dzieliło ich kilka lat różnicy. Na pewno też jeździli razem autobusem do szkoły.

- Przyjaźnili się?

Wykonał gest bezradności.

- Nie wiem - odpowiedział. - Za moich czasów, żeby odpisać lekcje albo z kimś zagrać, trzeba było przyjść do niego do domu. Teraz to wszystko robi się w internecie.

- Pana syn nic o tym nie wspominał?

- Nie miał w zwyczaju opowiadać o takich sprawach. A kiedy próbowałem o coś dopytać, bardzo się denerwował. Kiedy zaginał, przeszukałem jego komputer, żeby dowiedzieć się takich rzeczy, ale tam nic nie ma. Oni teraz wszystko robią przez komórkę. Snapchaty, whatsappy, nawet nie kojarzę tych różnych komunikatorów. A jego komórka zniknęła. Komputer służy w zasadzie tylko do grania i ewentualnie do odrabiania lekcji.

Profesjonalna analiza w policyjnym laboratorium jego pamięci plus sprawdzenie bilingów w telefonie na pewno przyniosłyby kilka ciekawych informacji, no ale musiałby być ktoś, kto zechciałby to zlecić, pomyślała.

- A Sandra? - spytała.

- Nie pamiętam, żeby nas odwiedzała - odpowiedział. - Chyba że wtedy, jak mnie tu nie było. Bardzo ładna dziewczyna. Z rodzaju tych, które w ósmej klasie wyglądają, jakby już miały osiemnaście lat. Można było zawiesić na niej oko. Na pewno wszyscy koledzy z klasy się w niej kochali.

- Pana syn nic o niej nie wspominał?

Uśmiechnął się lekko.

- To byłby jeszcze bardziej drażliwy temat niż koledzy - odparł. - Tak więc nie, na pewno nie.

- Wie pan, gdzie mieszkają ich rodzice? - spytała.

Kiwnął głową.

- Mniej więcej - odpowiedział. - Byłem w końcu ich nauczycielem. Sandra tam niżej. - Wskazał ręką w kierunku kościoła. - Jeszcze za komisariatem policji. Łatwo ten dom poznać, bo stoi przed nim stara kapliczka. Dom też nie jest zresztą za nowy i nie wygląda za dobrze. Sandra pochodzi z dość biednej rodziny. Takiej na granicy marginesu. W podstawówce była z tego powodu kimś w rodzaju klasowego popychadła. Dopiero kiedy wyrosła i wszyscy chłopcy zaczęli się do niej ślinić, to się zmieniło. Pamiętam, że w ósmej klasie zaczęła się o wiele lepiej uczyć. Wiązało się to prawdopodobnie z tym, że jej ojciec spadł po pijaku z roweru i parę miesięcy potem umarł. Dlatego nie jeżdżę na rowerze. - Zaśmiał się ponuro. - Nie miała w każdym razie łatwo. Mam nadzieję, że naprawdę się odnalazła.

- A ten chłopak, Radek?

- Jego rodzice mają dom na nowym osiedlu. Nie wiem dokładnie gdzie, ale gdzieś za sklepem spółdzielni. Tamta rodzina z kolei była przez jakiś czas dość bogata, ale już nie jest. Na początku dość dobrze sobie radzili, ale potem nie nadążyli za zmianami w gospodarce i ich interesy poupadały. Zdaje się, że wszystkim trzęsła tam matka. Niezbyt przyjemna kobieta, miałem z nią kiedyś do czynienia. Ale jej syn był raczej w porządku. Zapamiętałem go jako bardzo spokojnego i dość wycofanego. Ich dom można poznać po starych samochodach stojących na podwórku. Mieli w którymś momencie pomysł, by je skupować, odnawiać, a potem sprzedawać z zyskiem. Nic z tego oczywiście nie wyszło. Chyba że już się ich jakoś pozbyli. Tam to się dość szybko zmienia. Odkąd przestało im się wieść, mają ciągle nowe pomysły na powrót do dawnej świetności. Zazwyczaj zupełnie nietrafione. Aż dziw, że taki chłopak pochodzi z takiej rodziny. Zupełnie wydawał się do nich nie pasować.

- Może dlatego uciekł? - rzuciła.

- Może... - Wzruszył ramionami. - Ale on nie kojarzył mi się z kimś, kto byłby skłonny podejmować tak drastyczne kroki. Przynajmniej wtedy, kiedy go znałem, czyli gdy chodził do podstawówki. To raczej typ, który przeczekuje albo buduje sobie gdzieś z boku swoją własną niszę.

- A pana syn jakim jest typem? - spytała.

Zamilkł na chwilę.

- Dość melancholijnym, jak sędzę - odparł. - Zamkniętym w sobie. Żyjącym we własnym świecie. To nic dziwnego, biorąc pod uwagę, w jakim wychował się domu. Bez matki i z ojcem trwale zwichniętym jej odejściem. Staralem się jak mogłem, by niczego mu nie brakowało, ale pewnych rzeczy nie potrafiłem przeskoczyć. Nie dałem rady udawać szczęścia i radości życia. - Spojrzał na nią smutno. - Ani ukryć tego, jak podchodzę do świata. Przesiąknął tym od najmłodszych lat.

- Elżbieta Kuryłowicz to pana żona? - upewniła się.

- Tak. - Kiwnął głową. - Tak mi się przynajmniej przez pewien czas wydawało.

- Ona też zaginęła, prawda?

Jego rysy stężały, przymknął oczy.

- Mówi się, że pocisk armatni nie trafia nigdy dwa razy w to samo miejsce - odezwał się po chwili. - A u mnie trafił. Zabawne, nieprawdaż?

- Mógłby pan o tym opowiedzieć? - spytała ostrożnie. Jej dawny nauczyciel był na granicy załamania.

- Tak, za moment - odpowiedział. - Muszę tylko zwalczyć w sobie gwałtowną chęć napicia się alkoholu. Całe szczęście nic akurat w domu nie mam. - Uśmiechnął się z sarkazmem.

- Spokojnie - powiedziała. - Poczekam. Też ostatnio muszę walczyć z tą pokusą. Dowiedziałam się niedawno o swojej rodzinie kilku rzeczy, które zupełnie zdemolowały mój świat.

Popatrzył na nią poważnie.

- Tajemnice - skomentował. - Lubimy je w książkach i filmach, lecz w prawdziwym życiu są jak trucizna. Ale niech pani nie idzie tą drogą. Nie ma to najmniejszego sensu. Ci, którzy są sprawcami naszego cierpienia, nie niszczą siebie w ten sposób. Mają się świetnie i dobrze się czują. Patrzenie na to, jak się łamiemy pod ciężarem zadanego przez nich bólu, jest ich ostatnim zwycięstwem. Niech pani nie daje im tej satysfakcji.

- O kim pan mówi? - spytała. - Ma pan kogoś konkretnego na myśli?

- Kogoś konkretnego niewątpliwie - odparł. - Tyle że jeszcze nie wiem na sto procent kogo.

Teraz to ona spojrzała na niego uważnie. Brzmiało to tak, jakby coś wiedział albo przynajmniej się czegoś domyślał.

- Ma pan jakieś podejrzenia? - spytała. - Może czegoś pan się dowiedział? Proszę mi powiedzieć, walczymy chyba w tej samej wojnie.

Wbił w nią trudny do wytrzymania wzrok.

- Niczego nie wiem - odparł z naciskiem. - Chodzę na granicy snu i jawy. Mam mózg przeżarty wódą i zatruty bólem. Nie chcę pani obciążać czymś, co może być tylko wytworem szaleństwa. Lepiej, gdy spróbuje to pani odnaleźć sama. Ma pani jaśniejszy wzrok. Nie tak przyćmiony nienawiścią.

- Nienawiścią do kogo? - spytała.

- Do wszystkich - odpowiedział. - Bo wszyscy mogli mi to zrobić. Boję się tego czasami. Tego, że wyciągnę niewłaściwe wnioski i zamiast przywrócić sprawiedliwość, jeszcze ją pogłębię. Niech więc pani się ze mną nie sprzymierza.

Zabrzmiało to naprawdę dziwnie. Wariacko, groźnie, ostatecznie... - nawet gdyby próbowała znaleźć odpowiednie słowo, by to opisać, nie udało by jej się to. Znów zobaczyła w nim tamtego zarośniętego szaleńca znad rzeki, tyle że teraz trzeźwego. Doktor Jekyll i mister Hyde nie do końca zdaje się byli rozdzieleni. Niemal przeszedł ją dreszcz.

- W porządku - powiedziała. - Nie ciągnijmy tego. Proszę mi opowiedzieć, co stało się z pana żoną?

Było już jednak chyba za późno. Zobaczyła przed sobą człowieka, który chwieje się nad przepaścią. Jego oczy stały się mętne i niewidzące, zaczął wycierać dłonie o spodnie na udach. Raz za razem, w jakimś kompulsywnym, nerwowym geście.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Weszła przez nie kobieta z siatkami zakupów w rękach. Starsza, lekko grubawa, pewnie w wieku jej byłego nauczyciela.

- Co się tu dzieje? - spytała. - Kim pani jest?

Postawiła torby na podłodze i podbiegła w stronę mężczyzny. Objęła go mocno i przycisnęła do siebie. Potem zaczęła głaskać po głowie.

- Już dobrze, dobrze - powiedziała. - Nie myśl już o tym. Jestem przy tobie.

Potem rzuciła Seredyńskiej spojrzenie pełne wściekłości.

- Czego od niego chcesz? Nie widzisz, w jakim jest stanie? Dopiero przecież wrócił. Wynos się stąd! Ale już!

ROZDZIAŁ 59

Wyszła na korytarz. Nie było sensu klócić się z tą babą. Zwłaszcza że z Kuryłowiczem faktycznie nie było już raczej kontaktu. Okienko się zamknęło. Znowu osuwał się w tamtą otchłań. I to zdaje się przez nią. Mogła mieć tylko nadzieję, że tej kobiecie uda się go przytrzymać i wyciągnąć z powrotem.

W każdym razie straciła możliwość poznania historii zaginięcia jego żony. I nie bardzo wiadomo, kiedy uzyska ją drugi raz.

Zza drzwi, które się za nią zamknęły, Seredyńska słyszała głosy. Tamtej kobiety – wysoki, łagodny i błagający – i drugi męski, należący do jej nauczyciela – i ten głos był naprawdę straszny. Było to coś pomiędzy zawodzeniem, jękiem a rykiem. Jakby uwięziono tam jakieś zwierzę.

Ścierpła cała, słuchając, bo przecież to ona była tego przyczyną. Odeszła, nie oglądając się za siebie. Z głębokim poczuciem niesmaku i z przekonaniem, że po raz kolejny zawiodła, i to na całej linii.

Znalazła się przed domem. Ciągle nie padało, choć wciąż wydawało się, że zaraz zacznie. Chmury wisiały jeszcze niżej, powietrze było jeszcze cięższe. Niemal widać było zawieszzone w nim krople, czekające tylko na oderwanie się i poszybowanie w dół.

Odetchnęła ciężko, głęboko. Przygniatała ją to wszystko. Ta pogoda, to miejsce, to, co przed chwilą widziała i słyszała. Do tego nic nie jadła od śniadania. Tych parę ciastek, które przed chwilą udało jej się przekąsić, tylko jej o tym przypomniało. Powinna gdzieś pójść, może do tego baru przy pętli autobusowej. Nie da rady tak funkcjonować na dłuższą metę.

Dopiero po chwili zauważyła, że na ławce bez oparcia stojącej tuż pod ścianą budynku ktoś siedzi. Starszy, szczupły mężczyzna oparty plecami o mur i palący papierosa. Poznała go od razu. Był to jeden z grabarzy. Ten, który wyglądał na ich szefa. To jego zdaje się szukała.

Patrzył na nią uważnie i z zaciekawieniem. Przymrużał nieco oczy, by dym z tkwiącego wciąż w ustach papierosa nie drażnił mu spojówek.

– Zaczęło się – powiedział, wskazując głową na okno za sobą. – Będą się tak teraz żreć co parę dni. Potem co trzy, potem co dwa, a jak się zaczną klócić codziennie, to będzie znak, że profesorek zaraz znowu pójdzie w tango. I będzie spokój na parę tygodni. „Wsi spokojna, wsi wesoła, któryż głos twej chwale zdoła...” – zacytował wiersz Kochanowskiego. – Pamiętam jeszcze ze szkoły. Tej za moimi plecami. Chodziłem tu, a teraz mieszkam. To się nazywa koszmar. – Roześmiał się, wypuszczając papierosa z ust.

Podeszła do niego.

– Mogę też zapalić? – spytała, wskazując na papierosa. Przynajmniej przytłumi trochę głód.

– Ale to by se sama musiała pani skręcić – odpowiedział. – Kupuję tytoń i bibułki oddzielnie. Tak wychodzi taniej. Strasznie ostatnio fajki podrożały. Wszystko przez Unię Europejską. Chcą, żebyśmy nie umierali. Lewaki pierdolone.

Uśmiechnął się w taki sposób, że nie wiadomo było, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Usiadła obok niego i wzięła bibułkę. Potem sięgnęła do czerwonej torebki z tytoniem i zaczerpnęła z niej sporą szczyptę. Nie był to jej pierwszy raz, na studiach zdarzało jej się robić skręty, choć z innym rodzajem towaru, więc wiedziała, że wypełnienia nie może być zbyt dużo i że trzeba je równomiernie rozmieścić na całej długości papierka. Gdy już to zrobiła, zawinęła ostrożnie bibułkę, poślinka jej brzeg i sklepiła całość. Wyszło całkiem zgrabnie.

Włożyła skręta do ust i spojrzała na siedzącego obok mężczyznę. Kiwnął z uznaniem głową i podsunął jej zapaloną zapalniczkę. Przypaliła tytoń i wciągnęła dym. Był ostry, gryzący, w końcu paliła bez filtra. Nie zdecydowała się więc zaciągnąć go do płuc.

– Dobrze – powiedziała. – I mocne – dodała.

- A jak - potwierdził. - Kupuję tytoń fajkowy, bo jest bardziej intensywny. Nie ma miętkiej gry.

Przez chwilę palili w milczeniu, siedząc obok siebie. Było w tym coś odprężającego. Przed sobą, po drugiej stronie ulicy, miała wzgórze, na którym wznosił się kościół. Patrzyła na jego ceglane mury, spiczaste okna i gotycką, wysoką wieżę. Z tej perspektywy wydawał się wielki, ogromny. Jakby siedziała u stóp średniowiecznej katedry. Nie miała ochoty się odzywać. Potrzebowała tej minuty wytchnienia.

- U kogo pani była? U profesora? - spytał w końcu.

- Tak. - Skinęła głową. - Ale szukałam tak naprawdę pana.

- Mnie? - Uniósł brwi w geście zdziwienia. - Skąd ten zaszczyt?

- Myślę, że pan wie - odpowiedziała.

Spojrzała na niego. Spokojnie wytrzymał jej wzrok. Może tylko odrobinę bardziej przymrużył oczy.

Przypominał jakiegoś aktora. Zdaje się, że nieżyjącego. Tylko nie mogła sobie przypomnieć którego.

Wyjął wreszcie papierosa z ust, rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał go butem.

- No właśnie nie - odpowiedział. - Oświeci mnie pani?

- Trzy dni temu był pogrzeb. Mojego ojca. Był pan tam szefem ekipy grabarzy.

- Tak właśnie było. - Pokiwała głową. - Sama prawda. I co w związku z tym? Jeśli ma pani jakieś uwagi do naszej pracy, musi się pani zgłosić do właściciela zakładu. Lewczuk się nazywa. Mogę pani powiedzieć, gdzie mieszka.

- Nie mam żadnych uwag - odparła. - Wszystko było, jak trzeba. Przynajmniej na samym pogrzebie. A z panem Lewczukiem już rozmawiałam.

- To o co chodzi? - Zaczął skręcać kolejnego papierosa.

- O to, co działo się jeszcze przed pogrzebem. Na przykład dlaczego się opóźnił.

Przeciagnął czubkiem języka po krawędzi bibułki, potem delikatnie przykleił ją do zawiniętej części. Poczekała cierpliwie, aż skończy.

- Proponuję, by porozmawiała pani jeszcze raz z Lewczukiem - odpowiedział wreszcie. - On tam za wszystko odpowiada. Ja jestem tylko pracownikiem. Nawet nie żadnym „szefem ekipy”. Po prostu jestem najstarszy.

- No właśnie Lewczuk z jakiegoś powodu nie chce mi nic powiedzieć. Dlatego przyszedłam do pana. - Spojrzała na kościół. - Szukam sprawiedliwego w Sodomie.

Uśmiechnął się.

- Skąd pomysł, że to właśnie ja? - spytał.

Wciągnęła ostatni raz dym, potem zgasiła niedopałek o drewno ławki między nimi. Zrobił się brzydki, przepalony ślad.

- Stąd, że nie wygląda pan na człowieka, który ma ochotę przejść na emeryturę w zakładzie penitencjarnym - odpowiedziała. - Siedząc tam do tego nie za swoje uczynki, lecz za krycie przestępstw szefa. On ma dość dobry powód, aby nie mówić mi prawdy. Pan ma bardzo dobry, by mi ją powiedzieć.

Odwróciła się do niego całym ciałem i spojrzała mu prosto w oczy. Trochę chyba stracił rezon.

- Jestem prokuratorem, nie wiem, czy pan słyszał - powiedziała. - Nie tu co prawda, lecz w Warszawie. To pewna niedogodność, lecz nie jest ona nie do przejścia. Prędzej czy później wszystkiego się dowiem i wtedy, jak powiada Pismo, nastanie płacz i zgrzytanie zębów. To jak? - Uśmiechnęła się. - Zostanie pan jedynym sprawiedliwym?

ROZDZIAŁ 60

Pokiwał głową z zadumą.

- A to miał być taki miły dzień... - powiedział. - No dobrze - dodał z rezygnacją. - Nie będę przecież ginał w nie swojej wojnie. Wolę, żeby zginęła w niej pani. - Łypnął na nią okiem. - Jakąż to wiedzę tajemną chce więc pani osiąść?

- Chciałabym się dowiedzieć, co działo się w zakładzie pogrzebowym Lewczuka tuż przed przewiezieniem ciała mojego ojca na cmentarz i co stało się, że nie dotarło ono na czas - powiedziała. - I proszę mi nie mówić, że ktoś pomylił dni, bo wiem z pewnego źródła, że to wytłumaczenie raczej nie jest prawdziwe.

- Pewnego w sensie „jakiegoś” czy pewnego w rozumieniu „wiarygodnego”? - spytał z półuśmiechem. - Bo może pani źródło po prostu nie wie, co mówi?

- Nie mam ochoty bawić się w takie gierki słowne - stwierdziła chłodno. - Mów, człowieku, bo cię wsadzę - dodała bardzo uprzejmie i z uśmiechem na ustach.

Roześmiał się chrapliwym głosem.

- Podoba mi się pani, naprawdę - powiedział. - Chciałbym mieć taką babę. Moja jest głupia i chodzi o tego profesorka. Zakochała się na stare lata, idiotka. Nawet żałuję, że mam to tak bardzo w dupie. Przynajmniej byłaby jakaś rozrywka, gdyby to choć trochę mnie ruszało. A z panią to raczej nie ma nudy. Pani chłop musi być zachwycony i wkurwiony jednocześnie.

Trochę ją rozbroił tym stwierdzeniem. Zdaje się, że świetnie się bawił i jej groźby nie robiły na nim specjalnego wrażenia.

- To co? Nazachwycał się pan już? - spytała, by nieco zdyscyplinować i jego, i siebie. - To teraz do rzeczy.

Wzruszył ramionami, potem rzucił niedopałkiem skręta za płot.

- Ja tam nic nie wiem. Naprawdę - powiedział. - Nie widziałem ciała pani ojca na oczy. Była trumna, to ją wyniosłem. Nie sam oczywiście. Co było w środku, nie mam pojęcia.

Zastanowiło ją nieco to natychmiastowe przejście do kwestii zwłok jej ojca.

- Odpowiedział pan na pytanie, którego nie zadałam - zauważyła. - Nie spytałam, jak wyglądało ciało i co było w trumnie.

Posłał jej krótkie, czujne spojrzenie.

- Tak? Nie spytała pani? - rzucił lekkim tonem. - Byłem pewny, że tak.

- Spytałam, dlaczego opóźnił się pogrzeb - przypomniawszy. - Pana odpowiedź świadczy o tym, że opóźnił się właśnie z tego powodu. Czy tak?

Sięgnął do pudełeczka z bibułkami i wyciągnął z niego jeden papierek, jakby chciał skrócić kolejnego papierosa. Nie pozwoliła mu uciec w tę czynność. Wyjęła mu bibułkę z dłoni, zmiała w kulkę i rzuciła na ziemię.

- Najpierw odpowiadamy, potem palimy - stwierdziła niezbyt przyjaznym tonem. - I ostrzegam, że zaczyna mnie pan już wkurwiać. A potrafię być wtedy bardzo nieprzyjemna.

- Nie wątpię - mruknął.

- A więc od początku: dlaczego opóźnił się pogrzeb i jaki to miało związek ze stanem zwłok mojego ojca? - spytała.

Mężczyzna spojrzał smętnie na pudełeczko z bibułkami. Zdaje się, że faktycznie miał ochotę zapalić.

- Naprawdę nic nie widziałem - odpowiedział. - Lewczuk robił wszystko sam. Wpuścił nas dopiero, gdy trumna była zamknięta.

- Często tak się zachowuje? - spytała.

- I tak, i nie - odparł. - Często robi wszystko sam, ale zazwyczaj nie ma problemu, żeby tam wchodzić. Poza tym... - Urwał w pół słowa.

- Co poza tym?

- Po to się trupa przygotowuje, żeby go potem pokazać - stwierdził. - Rodzinie i znajomym. A nie po to, żeby od razu zabić wieko i do dołu. To było dziwne. Skoro nie było okazania, skoro nikt po trumnę nie przyjechał, żeby pożegnać się ze zmarłym, tylko od razu mieliśmy zawieźć ją na cmentarz, bo i tak przecież bywa, to po co tyle czasu tam wcześniej spędził?

- No właśnie, po co? - ponagliła go.

Uniósł ramiona do góry.

- Nie mam pojęcia.

- A co z terminem pogrzebu? - spytała. - Rzeczywiście ktoś coś pomylił?

- A gdzie tam! - Machnął ręką. - Wszyscy wszystko wiedzieli. Przyjechaliśmy na czas. Tylko Lewczuk nie wychodził. Staliśmy tam jak fiuty i nic. Spytałem przez drzwi, bo były zamknięte, o co chodzi, to mi tylko powiedział, że zaszły nieprzewidziane okoliczności i że musimy czekać.

- Takiego sformułowania użył?

- Dokładnie takiego.

- Był zdenerwowany?

- Śmiem twierdzić, że w chuj. Nie dziwię się zresztą. Nigdy wcześniej nic podobnego się nie wydarzyło. Żeby rodzina i wszyscy czekali dwie godziny na cmentarzu na ciało... To jest zupełnie niewyobrażalne. Myślałem, że śnie.

- Co było potem? - spytała.

- Potem przyjechał Zagoński - odpowiedział.

- Zagoński tam wtedy był? - zdziwiła się. Myślała, że spędził ten czas w restauracji.

- Był, a jakże. - Kiwnął głową. - I jego do środka wpuścił.

- Słyszeliście coś zza tych drzwi? - spytała.

- Było chyba gorąco - odparł.

- Kłócili się?

- Na pewno mówili podniesionymi głosami. Chyba też do kogoś dzwonili. Ale nie mam pojęcia do kogo. Wyglądało to, jakby nie wiedzieli, co robić.

- A potem?

- Wyszedł Zagoński i powiedział, że jeszcze chwilę i jedziemy na cmentarz. No i potem żeśmy pojechali. Tyle. Nic więcej nie wiem.

- Dlaczego nie chciał mi pan o tym powiedzieć od razu? - spytała.

- Bo jak Lewczuk w końcu otworzył te drzwi, to powiedział, żeby nikomu nic nie wspominać o tym, co się tu działo, bo to wstyd dla zakładu. I że może pani go o to pozwać, w sensie o odszkodowanie, a wtedy on zbankrutuje i wszyscy stracimy pracę. I że da nam ekstra premię, jak nie puścimy pary z ust. A Zagoński jeszcze dodał, że ten, kto sypnie, będzie miał z nim do czynienia i że nie będzie miał już czego szukać w naszej miejscowości. A jak Zagoński takie rzeczy mówi, to się mu wierzy. I jeszcze przyniósł krzyż, ten co wisi w sali, gdzie się wystawia zwłoki, i kazał nam na niego przysięgać.

- Przysięgać na krzyż?

Mężczyzna kiwnął powoli głową.

- No i tam były takie naprawdę grube słowa w tej przysiędze. Nie pamiętam dokładnie, ale coś w tym sensie, żebyśmy umarli, jak się wygadamy. - Spojrzał na wieżę kościoła po drugiej stronie ulicy. - Ja tam nie jestem specjalnie religijny, za to jestem przesądny. Wszyscy grabarze są. I aż mi się coś dziwnego zrobiło, jak to mówiłem. Tak że teraz mam przez panią przesrane - dodał.

I znowu nie było wiadomo, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Umilkł i tylko wpatrywał się w ziemię. Za oknem, w środku domu także zrobiło się cicho. Sygnaturka na wieży kościelnej wybiła trzy razy, obwieszczając, ile kwadransów minęło od ostatniej godziny. Która to była jednak godzina, Seredyńska nie miała pojęcia. Spojrzała na zegarek. Zrobiło się późno. Kolejny dzień minął.

Na betonowej kostce przed nimi pojawiły się pierwsze mokre plamy. Deszcz zaczął w końcu padać. Duże, ciężkie krople rozbijały się o beton, jakby chciały go przebić. Wyglądało to na początek solidnej ulewy.

Wstała. Czas się było zbierać.

– Teraz pan może zapalić – powiedziała. – Pozwalam.

Spojrzał smętnie w niebo. Skraj dachu osłaniał ich nieco, ale gdy rozpada się na dobre, raczej nie będzie wystarczającym schronieniem.

– Bardzo pani łaskawa – odparł. – Będę o tym pamiętał podczas pani pogrzebu.

Nie odpowiedziała już na to. Wysłała przez bramkę i ruszyła w stronę samochodu. Deszcz padał coraz mocniej. Musiała przyspieszyć kroku.

Do swojego auta już niemal dobiegła. Wskoczyła do środka lekko przemoczona. Zapach deszczu był bardzo intensywny. Szyby natychmiast zaczęły zaparowywać.

Nie ruszyła jednak, nie odpaliła nawet silnika, nie włączyła wycieraczek. Siedziała po prostu w samochodzie, słuchając, jak deszcz bębni o jego metalowy dach. Musiała ułożyć sobie w głowie wszystko to, co usłyszała.

A więc tak: miała dwie relacje dotyczące tego, co działo się w zakładzie pogrzebowym Lewczuka, jedna pochodziła od doktora Janiszewskiego, a druga od tego grabarza. W obu nie było żadnych konkretnych informacji dotyczących stanu zwłok jej ojca, gdyż obaj albo nie widzieli ciała, albo oglądali je tylko pobieżnie i w dodatku z daleka. Jedno było pewne: wersja o pomyleniu godziny pogrzebu została ostatecznie – nomen omen – pogrzebana.

Co więc tam się wydarzyło? I dlaczego pogrzeb musiał zostać opóźniony?

Tym, na co zwróciła uwagę od razu, była rola w tym wszystkim Zagońskiego. Obecny podczas obu aktów tego dramatu. Podczas pierwszego przywiózł razem z Kuterą ciało, podczas drugiego został wezwany i to już z cmentarza, gdy czekał wraz z innymi na przywiezienie trumny. Co więc takiego stało się za zamkniętymi przez Lewczuka drzwiami sali do przygotowywania zwłok, że uznał on za konieczne wstrzymać wszystko i zadzwonić po Zagońskiego?

Przymknęła oczy. Coś tu się nie zgadzało, przynajmniej względem tego, co do tej pory sądziła. Lewczuk, przygotowując ciało jej ojca do pogrzebu, musiał odkryć coś, o czym do tej pory nie wiedział, co było dla niego zaskoczeniem. I co musiało być zaskoczeniem także dla Zagońskiego. To coś dotyczyło raczej na pewno stanu, w jakim znajdowały się zwłoki. I to było właśnie dziwne.

Gdyby to bowiem oni stali za śmiercią jej ojca, co do tej pory, zwłaszcza po rozmowie z Janiszewskim, mimowolnie zakładała, to czy mogłoby być coś w wyglądzie zwłok, o czym by nie wiedzieli? Gdyby to oni go zabili, to raczej nie. Żadne z obrażeń, śladów czy też ran nie powinno być dla nich niespodzianką. A jednak coś niewątpliwie taką niespodzianką było. Czy to więc znaczy, że ich twierdzenie, że tylko znaleźli zwłoki jej ojca w lesie, było prawdziwe?

Z drugiej strony, gdyby to było takie proste, nie robiliby z tego aż takiej tajemnicy. Ich zachowanie od początku świadczyło – co wynikało z relacji Janiszewskiego – że coś ukrywali, że mieli świadomość, iż coś

jest nie tak, i próbowali to zatuszować. Inaczej nie zachowywaliby się tak dziwnie. Nie robiliby na przykład wszystkiego, by uniemożliwić doktorowi oględziny zwłok. O co tu więc chodziło?

Wyglądało to trochę tak, jakby Kutera z Zagońskim wiedzieli, że stało się coś złego, coś, co należy ukryć przed światem, ale nie mieli do końca świadomości, co to było. Albo w jakiś sposób źle to z początku zinterpretowali. Stan zwłok jej ojca powiedział im jednak, że w jakimś względzie się mylili.

Tylko co to mogło być?

I druga sprawa, powiązana oczywiście z pierwszą i mogąca pomóc ją wyjaśnić – co też takiego mógł odkryć na zwłokach jej ojca Lewczuk? Musiało to być coś, co nie było widoczne na pierwszy rzut oka, coś, co ujawniło się dopiero po czasie i co zmieniło ich pogląd na sprawę jego śmierci. O co tu mogło chodzić?

Deszcz przestał padać równie gwałtownie, jak zaczął. W samochodzie zrobiło się nagle duszno, musiała otworzyć okno. Zapach świeżej wilgoci uderzył ją w nozdrza i przegnał jakąś myśl, która już się rodziła.

I to był koniec. Nagle jej głowę załała pustka. Mózg przestał działać, zmęczony i otumaniony kolejnymi zagadkami, które usiłował rozwikłać. Nic tu już raczej więcej nie wymyśli.

Trzeba by było wreszcie coś zjeść. Dać sobie chwilę oddechu. Pozwolić, by system operacyjny w jej umyśle popracował trochę w tle. Czasami to najlepszy sposób, by wszystko się w nim poukładało. By wszystkie klocki, wszystkie porzrzucone chaotycznie puzzle powskakiwały wreszcie na swoje miejsce.

Odpaliła silnik, puściła nawiew na szyby i włączyła wycieraczki, by zgarnąć warstwę wody. Hot dog z Żabki i słodka kawa z mlekiem – taki posiłek sobie zaplanowała. Na nic więcej nie miała ani siły, ani ochoty. To znaczy, że znowu schudnie. Nie będzie się jednak teraz tym martwić.

Ruszyła w stronę sklepu. Dwie minuty później była na miejscu. Zrobiła jakieś zakupy na wieczór, potem zjadła hot doga, stojąc na parkingu przed samochodem, bez najmniejszej przyjemności i szybko, jakby przyjmowała lekarstwo. Kawę wypijała podczas jazdy do pensjonatu.

Zadziwiająco – Sereżyńska dopiero teraz to sobie uświadomiła – że zatrzymała się w miejscu należącym do człowieka będącego w samym centrum zagadki, którą próbowała rozwikłać. Człowieka, który, jak się właśnie dowiedziała, znalazł – co najmniej – zwłoki jej ojca. Było to trochę tak, jakby mieszkała w jaskini lwa, na którego poluje, albo w mieszkaniu jednego z kluczowych świadków w śledztwie, które prowadzi. Nie planowała tego, nie miała pojęcia, że tak się stanie, gdy wynajmowała pokój w jego pensjonacie. Ta sytuacja miała swoje plusy i minusy. Swoje szanse i zagrożenia. Gdyby nie była tak bardzo tym wszystkim zmęczona, uznałaby to zapewne za ekscytującą grę.

Podjechała przed pensjonat. Zaparkowała tam, gdzie zwykle. Nie musiała szukać miejsca, innych samochodów nie było. Wysiadła. Niosąc torbę z zakupami, ruszyła w stronę wejścia.

Nie dotarła tam jednak. Z boku, z lewej strony, było coś w rodzaju wolnostojącego garażu. Do tej pory niemal go nie zauważała. Tym razem jednak jego drzwi były otwarte. W środku był Kutera. Seredyńska dostrzegła jego niewysoką, szczupłą sylwetkę. Pojawiał się i znikał we wnętrzu pomieszczenia. Na jednym ze skrzydeł drzwi garażowych coś wisiało. To przy tym tak się krzątał.

Mimo zmęczenia postanowiła skorzystać z okazji, by się z nim rozmówić. Rzadko go widywała w tym pensjonacie, który podobno prowadził, taka okazja mogła się więc prędko nie powtórzyć. A miała do niego kilka pytań, to nie ulegało wątpliwości.

Podeszła bliżej. Nie zauważył jej albo udawał, że jej nie widzi. Kiedy była już naprawdę blisko, zrozumiała, że raczej to drugie. Spojrzał na nią dopiero, gdy stała parę kroków od niego.

– Myślałem, że już nas pani opuściła – powiedział tonem, który miał jej zapewne uświadomić, że wolałby, aby tak było. – Zostawiając w prezencie kilka fatałaszków, torbę i kosmetyki. Jeszcze chwila, a to wszystko wylądowałoby w śmieciach. Przybyła pani w ostatniej chwili.

Zjadliwa ironia, bez najmniejszej próby udawania, że jest dobrodusznym żartem. Nie była tu mile widzianym gościem. Teraz przynajmniej wiedziała dlaczego.

– Niepotrzebnie się pan martwił. – Uśmiechnęła się. – Nie opuściłabym tego miejsca bez uregulowania rachunków. I bez odpowiedniego pożegnania.

Ona też postarała się, by jej słowa zabrzmiały dwuznacznie.

Łypnął na nią okiem, ale nie odpowiedział. Zamiast tego pchnął drzwi, przed którymi stał, by otworzyły się szerzej. Do tej pory nie widziała, co wisi po ich wewnętrznej stronie. Teraz to zobaczyła. Była to martwa, wypatroszona sarna.

– Oddzieliła się od stada – powiedział. – I zapuściła w rejony, w których nie powinno jej być. Daleko od miejsc, które znała i gdzie zapewne nie wystawiłaby się tak łatwo na strzał. Nietrudno było ją upolować.

Jeśli chciał ją zszokować, to niemal mu się udało. Widziała w życiu wiele trupów, lecz widok tej pięknej, kształtnej głowy patrzącej na nią dużymi, zmętniałymi oczami, zwisającej smętnie na długiej, odgiętej do dołu szyi wstrząsnął nią o wiele bardziej, niż powinien. Nie była pewna, czy potrafiła to ukryć.

– Jak pan zapewne wie, jestem przyzwyczajona do widoku zwłok – odparła ze wzruszeniem ramion.

– To nie zwłoki, tylko tusza – sprostował z dziwnym uśmiechem. – Dziwna sprawa, prawda? Jesteśmy w sumie takimi samymi zwierzętami jak one. – Wskazał głową wiszącą sarnę. – Mamy takie same narządy, taką samą krew i jesteśmy tak samo śmiertelni. A wszystko nazywa się u nas inaczej. One mają mięso, my ciało; one zdychają albo padają, my umieramy. Ale to wszystko tylko nazwy, zasada jest taka sama. I koniec też taki sam. Wystarczy coś popsuć we wnętrzu, zrobić dziurkę albo mocno walnąć i mechanizm przestaje działać. A potem jest do wyrzucenia. Nieważne: dzik, lis, pani ojciec czy nawet sama szanowna pani prokurator.

Ta sugestia była aż nadto wyraźna. Tak wyraźna, że po raz drugi w ciągu ostatnich kilku chwil poczuła się nieswojo. Nie na tyle jednak, by dać się zbić z tropu.

– Dobrze, że wspomniał pan mojego ojca – powiedziała. – Słyszałam, że to pan wraz z Zagońskim odnalazł jego ciało w lesie. Mógłby mi pan coś więcej o tym opowiedzieć? Jako córka chciałabym poznać jego ostatnie chwile.

Popatrzył na nią nieruchomym spojrzeniem.

- Zapewne ten, który to pani powiedział, przekazał już wszystkie najważniejsze informacje - odparł. - Nie ma ich zbyt dużo. Polowaliśmy i je znaleźliśmy. Leżały twarzą do ziemi. Tyle.

- Ktoś popsuł jego mechanizm? - spytała, przekrzywiając głowę.

Wzruszył ramionami.

- W moim i pani ojca wieku mechanizm często sam się już psuje - odpowiedział.

- Była w nim jakaś dziurka? Czy też może ktoś go mocno walnął? - Nie ustępowała.

Odniosła wrażenie, że przy pierwszej części jej pytania coś przemknęło przez jego twarz.

- Zginął od kuli, prawda? Ktoś go zastrzelił. Mam rację? - blefowała, zgadywała, była ciekawa jego reakcji.

Spojrzał na nią z wściekłością.

- Bardzo daleko odeszła pani od swojego stada, bardzo - wycedził przez zęby. - Jest pani na terytorium, którego pani nie zna i nie rozumie. I jest pani zupełnie sama. To bardzo niebezpieczna sytuacja.

- Podobnie jak polowanie na niewłaściwą zwierzynę - odgryzła się. - A właśnie, podobno nie powinno was być tam, gdzie znaleźliście mojego ojca. To prawda? Mielście broń, byliście z nią w lesie nielegalnie i przywieźliście z niego trupa. Słabo to brzmi, sam pan przyzna. Mówię to panu jako prokurator.

Odwrócił się całą sylwetką w jej stronę. W rękę miał nóż do patroszenia zwierzyny. Wyglądał, jakby chciał ją nim dźgnąć. Poczula, jak oblewa ją zimny pot. Może za daleko zabrnęła, za bardzo go naciskała? W jednym miał rację - nie była nieśmiertelna. Jeśli zechce ją teraz zabić, nie będzie miała żadnej możliwości obrony. Mimowolnie cofnęła się o krok.

Uśmiechnął się półgębkiem, widząc tę jej reakcję.

- Wybacz pani, ale nie mam już czasu na takie pogaduszki - powiedział. - Jeśli nie sprawię tego kozła, nie podzielę jego mięsa i nie włożę go do zamrażarki przed nocą, zepsuje się. Podobnie jak zakupy, które trzyma pani w ręku.

Odwrócił się ponownie w stronę wiszącej na drzwiach tuszy i wbił w nią z całej siły nóż. O wiele za mocno, niż było to potrzebne. Rozmowa była zakończona.

Weszła do swojego pokoju. Wzmianka Kutery o jej rzeczach, które chciał wyrzucić na śmietnik, nie była przypadkowa. Był tu i postarał się, by to zauważyła. Jej kosmetyki i ubrania wyglądały, jakby ktoś je przestawiał i w nich grzebał. Poczwała silne, narastające obrzydzenie. To naruszenie jej prywatności było kroplą, która niemal przelała czarę. Może niepotrzebnie porwała się na tę grę? Była na to za słaba, zbyt dużo ją to kosztowało. Czy sprawiedliwość oddana człowiekowi, który ją kiedyś tak fundamentalnie zawiódł, była tego warta? Jeśli go ktoś zajeżał, to chuj. Sama miała parę razy na to ochotę. Niech się tam sam policzy z nimi kiedyś w piekle.

Otworzyła okno i usiadła ciężko na krześle. To okno, widok z niego i dźwięki, które zza niego dochodziły, były chyba jedyną dobrą rzeczą, z którą tu miała do czynienia. Dziś już raczej nie będzie słycać przez nie krzyków. Nauczyciel, „profesorek”, jak o nim mówił ten grabarz, ma teraz przerwę w picu. To dobrze. Potrzebowała jednego spokojnego wieczoru. Chociaż jednego.

Zdjęła buty i położyła nogi na drugim krześle. Deszcz sprawił, że znowu zrobiło się duszno. Zimna wilgoć z wnętrza pokoju mieszała się z ciepłą zza okna. I to dokładnie tu, gdzie siedziała. Z lewej strony było jej chłodno, z prawej już nieco zbyt ciepło. Rzeka szumiała, szumiał las. Gdyby nie to, że krzesło nie było zbyt wygodne, prawie by tu zasnęła.

Nie było jej dane jednak odpocząć.

Znowu usłyszała krzyk. Inny wszakże niż poprzednio. I bardzo podobny do tego, co już dziś raz słyszała. Był to krzyk kłótni.

Ktoś krzyczał i to krzyczał ewidentnie na kogoś. Nie rozumiała słów, lecz doskonale mogła wyczuć intencję. Była nią złość i to złość histeryczna, pełna agresji, zapamiętała, samonapędzająca się, niedająca pola do negocjacji. Przerywały ją krótkie okresy ciszy, gdy prawdopodobnie druga strona, znacznie cichsza, więc dla niej niesłyszalna, próbowała coś odpowiedzieć.

Natężenie złych emocji w tym krzyku, wrzasku w zasadzie, było trudne do wytrzymania. Było jak dźwięk wiertarki za ścianą, nie dało się od tego odciąć. Głos był wysoki, przechodzący chwilami w jakies dziwne niemal pianie, lecz raczej na pewno należący do mężczyzny. Choćby nawet chciała, nie była w stanie go zignorować.

Kto mógł tak krzyczeć? I skąd? Znowu znad rzeki? Wstała i wychyliła głowę przez okno. Głos dobiegał gdzieś stąd, raczej z bliska niż z daleka, na pewno nie z lasu za rzeką, jak wtedy gdy krzyczał Kuryłowicz. Tamten krzyk był odległy, niósł się na dużą odległość, wyglądały go i tłumili drzewa, od których się po drodze odbijał. Ten był ostry, nieprzyjemny, wszystkie wysokie tony w nim zawarte były boleśnie wyraźne, jak przejechanie nożem po szkle. Jego źródło było więc niedalekie, było w pobliżu, w pensjonacie lub w jego okolicy.

Tylko kto mógł tak wrzeszczeć? W budynku, z tego, co wiedziała, był tylko Kutera i jego syn. Głos Kutery to raczej nie był, jego był bardziej schrypnięty, głębszy, jak głos starego samca. On by raczej ryczał, niż piał, nie wchodziłby w takie tony. Więc kto? Jego syn to być nie mógł, bo on po prostu nie mówił, porozumiewał się za pomocą komputera.

Przez chwilę miała ochotę zamknąć okno i spróbować wrócić do tego stanu, w którym była przed chwilą, jak się czasami próbuje powrócić do miłego snu tuż po przebudzeniu, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Choćby odgrodziła się od tego wrzasku szybami, choćby przytłumiła go i sprawiła, że stanie się niemal niesłyszalny, jej wyczulony już na niego mózg będzie go szukał, gdyby nawet nakazała mu tego nie robić. Poza tym jej doświadczenie z tych kilku dni pobytu tutaj nauczyło ją, że takie rzeczy warto sprawdzać. A już zwłaszcza w tym domu, gdzie jak twierdził Kuryłowicz, znajduje się wejście do piekła.

Zamiast więc zamknąć okno, wychyliła się z niego jeszcze bardziej. Niemal straciła równowagę, przez ułamek sekundy była na granicy wypadnięcia i rozwiązania wszystkich swoich przeszłych i teraźniejszych problemów. Zdziwiająca, że nawet się nie przestraszyła, było w tym coś paradoksalnie pociągającego. Jak wtedy, gdy upalona trawą w Amsterdamie musiała przypominać sobie i utwierdzać się w przekonaniu, że rzucenie się z mostu do jednego z czarnych, pełnych zimnej wody kanałów nie jest może najlepszym pomysłem. Nie, nie chciała się zabić, ani wtedy, ani teraz, po prostu wciągała ją otchłań.

Odruch bezwarunkowy jednak zadziałał. Szybki, bezwiedny ruch paru mięśni przeważył z powrotem jej ciało na odpowiednią stronę. Z tej krótkiej przygody ze śmiercią wyniosła jednak wiedzę, że odgłos kłótni, który słyszy, dochodzi z góry, nie z dołu. Wyglądało na to, że wydostawał się przez takie samo otwarte okno, jak to jej, tyle że piętro wyżej.

Znów to się powtarzało. Coś krzyczało i wołało ją na górę. Za pierwszym razem, gdy poszła za tym zewem, odkryła pokój, w którym leżał syn Kutery, Damian. Ale to przecież nie mógł być on.

Tym razem także ruszyła na wezwanie. Nie miała wyjścia, nie po tym wszystkim, co ją tu spotkało. Dawno przegapiła ten moment, kiedy się jeszcze mogła wycofać. Gdyby myślała o tym w tej chwili, być może by tego żałowała. Ale nie myślała. W pewnym sensie zadziałał tu także odruch bezwarunkowy.

Wyszła na korytarz. Jak w transie weszła na piętro. Podeszła do drzwi, za którymi, jak wiedziała, leżał syn Kutery. O dziwo to stamtąd dochodziły odgłosy kłótni. Przytknęła ucho do ich gładkiej powierzchni.

Wstrzymała oddech, by lepiej słyszeć. Teraz była w stanie rozróżnić słowa, a nawet zdania. Zaczęła składać je w całość.

– Czego jeszcze chcesz, czego? – żalił się głos, który słyszała już z dołu. – Zrobiłem wszystko, co chciałeś. Nie mogę już tak, nie daję rady. Opuść mi wreszcie, choć trochę. To przecież nie moja wina, więc ile jeszcze będę za nią płacił?

Odpowiedzi znowu nie usłyszała. Czy była aż tak cicha?

Gdy brała oddech, pierwszy głos powrócił. Nie usłyszała początkowych słów.

– ...przecież. Ludzie nie robią takich rzeczy. Naprawdę już nie potrafię tego znieść. Chciałbym już umrzeć, lecz wiem, że nie mogę. Może powinienem zabić nas wszystkich? To byłoby rozwiązanie.

Odpowiedź musiała być stanowcza i ostra, bo głos zaczął jęczeć, niemal piszczeć.

– Nie, nie, nie, nie! Przestań już! Wiesz przecież, że tego nie zrobię. Jestem u kresu sił, dlatego mówię takie rzeczy. Zrobię wszystko, co chcesz, tylko już przestań...

Potem był płacz, w zasadzie szloch. I szereg dźwięków, które mogły być dalszymi słowami, ale których nie potrafiła już zrozumieć. Brzmiało to dziwnie, potępieńczo, jakby to żalił się diabeł, a nie człowiek. Doprowadzony do kresu wytrzymałości demon. Choć pewnie to tylko tamte pijackie majaczenia Kuryłowicza wpłynęły na takie jej skojarzenie.

Odsunęła się od drzwi. Naprawdę przez moment zastanawiała się, czy jej się to wszystko nie wydaje. Głosy po drugiej stronie ucichły. Wyciągnęła rękę w stronę klamki.

Wahała się. Czowała jakiś trudny do wytłumaczenia opór przed otwarciem tych drzwi. Jakby to, co się za nimi rozgrywało, skrywało tajemnicę zbyt intymną, by mogła w niej uczestniczyć. Z drugiej strony był to jedyny sposób, by dowiedzieć się, co się tam dzieje. Jeśli stąd odejdzie, już nigdy się nie dowie.

Nacisnęła klamkę. Drzwi skrzypnęły jakby dla podkreślenia osobliwości tego, co właśnie się dzieje. Czy wcześniej skrzypiały? Chyba nie. Nie przypominała sobie tego przeciągłego dźwięku, gdy była tu poprzednim razem.

Weszła do środka. Poczowała lekką trwogę, jakby wchodziła do krypty lub kaplicy. Nie strach, nie obawę, ale właśnie trwogę. Uczucie związane z obcowaniem z sacrum.

Uderzyła ją cisza. Wewnątrz nic się nie działo. Syn Kutery leżał na łóżku i patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. Nikogo innego nie było. Reszta pokoju była pusta.

Podeszła bliżej. Podłoga też skrzypiała, czy może jej się to tylko wydawało? Oczy Damiana śledziły ją spokojnie. Były zmęczone, ciemne, wszystkowiedzące. Nie mogła oderwać od nich spojrzenia.

Ekran przy łóżku zamigał. Pojawiły się na nim litery.

– Miło, że znowu wpadłaś. Co słychać?

Tak ją to zaskoczyło, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Wszystko dobrze – wydusiła z siebie w końcu. – A u ciebie?

Głupie pytanie, biorąc pod uwagę jego stan.

– Bez zmian – odrzekł. – Jak zresztą widać. Po co przyszłaś?

Jej oczy wodziły wciąż po pomieszczeniu w poszukiwaniu kogoś drugiego, kogoś, kto mógłby mówić te rzeczy, które słyszała. Lub chociaż śladów, że tu przed chwilą był.

– Chciałam cię odwiedzić – skłamała. – Musi ci być smutno tak tu leżeć samemu.

Niczego nie zauważyła.

– Nie jest – odparł. – Kiedyś było. Przyzwyczyliem się.

Był inny niż wtedy, gdy była tu poprzednim razem. Chłodny, zdystansowany, nienapraszający się uwagi. Jakby mu w czymś przeszkodziła.

– Słyszałam głos, gdy podchodziłam pod drzwi – postanowiła w końcu przejść do rzeczy. – Rozmawiałeś z kimś?

– Oglądałem film – odpowiedział. – Tam jest telewizor.

Faktycznie na ścianie naprzeciwko łóżka wisiał wielki ekran. Największy chyba, jaki do tej pory widziała.

– Ciekawy? – spytała. – Jaki tytuł?

– Męczący – odparł. – Dlatego wyłączyłem. Tytułu nie znam. Zacząłem oglądać, gdy już trwał.

Ta wersja nie bardzo ją przekonała. To, co słyszała, nie brzmiało jak film. Może ten ktoś się schował albo było tu jakieś inne wyjście?

– Czemu się tak rozglądasz? – spytał. – Szukasz czegoś?

– Nie, nie, przepraszam – odpowiedziała. – Po prostu jestem ciekawa, jak żyje ktoś w twoim stanie.

– Naprawdę chciałabyś wiedzieć? Lepiej nie wypowiadać takich życzeń. Mogą się spełnić.

Rozmowa z kimś, kto tylko odpisuje, jest dziwna. Trudno do końca wyczuć prawdziwą intencję wypowiedzi. Czy jest w niej ironia, groźba, czy może coś jeszcze?

– O czym był ten film? – spytała.

– Przyszedł tu po to, żeby rozmawiać o filmie?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu jestem ciekawa – odpowiedziała. – W słowach, które słyszałam, było dużo dramatyzmu. I cierpienia.

- Lubię cierpienie – przeczytała. – To jedna z niewielu rzeczy, która nie została mi odebrana.

- To czemu wyłączyłeś? – spytała.

- Zrobił się zbyt łzawy – odpisał. – Cierpienie trzeba znosić z godnością.

- Jak ty?

- Jak ja. Błaganie o litość nigdy nic nie daje. Świat jest niehumanitarny, nie słyszy naszych krzyków. Bóg i inni ludzie również.

Uniosła brwi. Wysoko i wyraźnie, żeby na pewno to dostrzegł.

- Rozczulasz się nad sobą – skomentowała. – Chociaż ubierasz to we wzniosły kostium. To tylko twoje doświadczenie, a ty je bierzesz za powszechnie obowiązującą prawdę. W twojej sytuacji to zrozumiałe, lecz ciągle nieobiektywne. Błaganie o litość czasami coś daje, a czasami nie. Ludzie bywają okrutni, ale bywają też współczujący i bezinteresownie pomocni. Jest tak albo tak. Albo jeszcze inaczej. Nie ma powszechnie obowiązującej reguły.

Przez dłuższą chwilę na ekranie nic się nie pojawiło.

- Byłabyś dobra w cierpieniu – przeczytała w końcu. – Masz potencjał. Nie mażesz się i nie rozczulasz. Patrzysz na rzeczy jasno.

- Nie patrzę – odpowiedziała. – Gdyby tak było, wiedziałabym, co się tu dzieje. Może mi pomożesz?

- Myślisz, że ktoś taki jak ja może komukolwiek w czymkolwiek pomóc? – spytał.

- Spróbuj – odparła. – Może odkryjesz kolejną rzecz, która nie została ci odebrana?

Podeszła bliżej i usiadła na jego łóżku. Zobaczyła, jak jego nozdrza rozszerzają się, gdy usiłuje wciągnąć jej zapach.

- Co chcesz wiedzieć? – pojawiło się na ekranie.

Trzasnęły drzwi. Ktoś przez nie wszedł.

- Co pani tu robi? – usłyszała głos pełen wściekłości.

Kutera. Nie mógł wybrać gorszego momentu.

- Przyszedłam odwiedzić pana syna – odpowiedziała, nie odwracając się nawet. – Nie ma tu wieczorem zbyt wielu innych rozrywek.

- Proszę natychmiast stąd wyjść! – Jego głos aż zawibrował i wszedł na wyższe tony. – Zabraniam pani tak go niepokoić!

- Uważa pan, że jest niespokojny? – spytała. – Mam wręcz odwrotne wrażenie. Leży jak trusia, nawet nie drgnie.

Dopiero teraz się odwróciła. Jego twarz poczerwieniała z wściekłości. Dłonie zacisnęły się w pięści. Przynajmniej nie miał w nich teraz noża.

Przez dobrą chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Uważam, że będzie lepiej dla pani i dla nas, jeśli opuści pani mój pensjonat – powiedział. – Jutro i to jak najwcześniej z samego rana. Bardzo mi przykro, ale nie mogę już pani gościć.

Uśmiechnęła się chłodno. Wstała.

- Opuzczę swój pokój w niedzielę wieczorem – odpowiedziała. – Kiedy załatwię wszystkie sprawy. Chyba że nie uda mi się wyrobić do tego czasu, wtedy zastrzegam sobie prawo do przedłużenia pobytu.

Jego oczy zmieniły się w dwie szpary.

- Obawiam się, że to niemożliwe – odparł. – Pensjonat od jutra będzie zamknięty. Rozpoczynamy z dawna planowany remont.

- W niedzielę? – zdziwiła się teatralnie. – Jeśli nawet, nie szkodzi. Nie przeszkadza mi to.

- Wyrzucę panią.

- Wtedy pana pozwę – odpowiedziała spokojnie. – Wynajmując mi pokój, zawarł pan ze mną umowę. Ponieważ jej ramy czasowe nie zostały określone, jest to umowa bezterminowa. Nie może jej pan zerwać

z dnia na dzień.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Mam to w dupie - odparł dobitnie. - I to najgłębiej, jak się tylko da. Jeśli nie wyjedzie pani rano, wyrzucę pani rzeczy przez okno. A jak będzie trzeba, panią razem z nimi.

Nie żartował. Widziała to. Pozostała jej jedna karta do zagrania.

- Może spytamy pana syna, co o tym sądzi? - powiedziała głosem prowadzącego z teleturnieju. - Damian, a jak ty byś wolał? Żebym wyjechała czy żebym została?

Na ekranie pojawiły się trzy zapłakane ze śmiechu buźki. W ślad za nimi zaczęły wyskakiwać litery:

- „Niech zostanie” - przeczytała na głos. - Widzi pan? - zwróciła się do Kutery. - Kwestia rozstrzygnięta.

Uśmiechnęła się do niego i ruszyła w stronę drzwi. Zanim wyszła, jeszcze raz spojrzała w jego stronę, żeby sprawdzić, jak zareagował. O dziwo, nie zobaczyła wściekłości. Stał przed nią stary, złamany człowiek.

Na ekranie znowu pojawiły się litery:

- Mówilem. Jesteś w tym dobra.

Z tej krótkiej, choć bardzo intensywnej sprzeczki wyniosła, oprócz dość wątpliwej satysfakcji ze zwycięstwa, dwie informacje: pierwsza była taka, że drzwi, przez które wszedł Kutera, nie były tymi, przez które ona się tam dostała. Te drugie były za jej plecami, Kutera pojawił się zaś gdzieś z boku, z prawej strony. Nie widziała skąd, bo była odwrócona, lecz niewątpliwie do pokoju, w którym leżał jego syn, prowadziło jeszcze jedno wejście.

Druga informacja była jeszcze ciekawsza. Tony, na które wchodził głos Kutery, kiedy naprawdę go zdenerwowała, stawały się zadziwiająco podobne do tych, które słyszała, podsłuchując pod drzwiami. Były wysokie, piskliwe, niemal piejące. Jeśli więc Damian oglądał film, jego ojciec odgrywał w nim główną rolę.

Wróciła do swojego pokoju. Zauważyła, że ręce jej drżą ze zdenerwowania. Może i potrafiła grać przed światem zimną, twardą sukę, lecz takie spięcia sporo ją kosztowały. Po tym wszystkim, co się tu wydarzyło, i po dwóch dzisiejszych rozmowach z Kutera, nerwy miała napięte jak postronki.

Jej zwycięstwo miało więc gorzki posmak strachu. Została w tym dziwnym miejscu, lecz aż ją skręcało na myśl, że musi tu spędzić jeszcze jedną noc i jeden dzień. Dlaczego ludzie nie potrafią w takich momentach odpuszczać? Powiedzieć sobie: dość, za daleko to zaszło. Jeszcze jest czas, by się poddać i wycofać. Strata wynikająca z tego będzie znacznie mniejsza niż ta, gdy zostaniemy i w końcu przegramy. Może więc lepiej zawrócić i nie pchać się na ten skuty lodem szczyt, nie rzucać się do straceńczej szarzy wprost pod lufy wroga, rozwieść się, póki jeszcze czas, wycofać resztę pieniędzy z upadającej inwestycji, choćby z dużą stratą? Ale nie, większość z nas pędzi przed siebie aż do samej ściany, niezdolna zaakceptować ceny związanej z porażką. Nawet jeśli oznacza to perspektywę jeszcze większej, ostatecznej klęski.

Czy u niej samej nie działa teraz taki właśnie mechanizm? Wplątała się w sytuację, która wyłącznie z tej, wąskiej perspektywy ma tylko jedno wyjście. Gdyby spojrzała na to z dystansu, gdyby potrafiła tak uczynić, okazałoby się być może, że walczy o sprawę, która tylko teraz wydaje jej się warta położenia wszystkiego na szali, a za rok czy nawet miesiąc może okazać się kompletnie bez znaczenia.

Jeszcze miała szansę, by to przerwać. Przetrwac kilka dni, może tygodni moralnego kaca związanego z przegraną i zacząć z powrotem żyć normalnie. Pozwolić, by nowe problemy przytępiły ostrze wspomnień.

Ale nie umiała tego zrobić. Po prostu nie. Wahala się jeszcze, lecz im dłużej zwlekała z podjęciem tej decyzji, tym mniej stawała się ona prawdopodobna. Rozmywała się, aż w końcu przestała być czymś, czym zwracała sobie głowę.

Rano więc wszystko było już jasne. Obudziła się bez najmniejszych wątpliwości. I bez poprzedniego strachu. Była gotowa, choć nie do końca wiedziała, na co.

Wyszła na zewnątrz. Pogoda była piękna, na podjeździe i na parkingu wciąż lśniły kałuże po wczorajszym deszczu. Przynajmniej było nieco mniej duszno. Kutery nigdzie nie widziała. Znowu było tak, jakby zapadł się pod ziemię.

Jej auto stało w pełnym słońcu, otworzyła więc wszystkie drzwi, by wywietrzyć ze środka nagrzone powietrze. Z niejakim trudem przypomniała sobie wszystkie rzeczy, których się wczoraj dowiedziała. Jej umysł jeszcze nie do końca sprawnie pracował.

Sandra. To imię pojawiło się na pierwszym miejscu listy. Wskoczyło samo, jakby wypowiedziane przez jej podświadomość. Ta dziewczyna, która zaginęła. Jedna z trójki osiemnastolatków.

Kuryłowicz opisał, gdzie mieszka jej rodzina. Dom za komisariatem, stoi przed nim stara kapliczka. Raczej zaniedbany. Nie będzie trudno go odnaleźć.

Seredyńska wsiadła do samochodu, włączyła klimatyzację. W tej głuszy nawet radio nie odbierało. Przynajmniej to, którego zazwyczaj słuchała. Z głośników słychać było tylko trzaski. Wyłączyła je, zamiast poszukać innej rozgłośni.

I wtedy go zobaczyła. Lis, jej stary znajomy, był tu, odnalazł ją w tym diabelskim miejscu. Aż się uśmiechnęła na jego widok.

Może nie tyle ją, co śmietnik. Z prawej strony, tuż przy garażu, gdzie wczoraj Kutera oprawiał sarnę, stały cztery pojemniki w różnych kolorach na różne frakcje posegregowanych odpadów. Przy ostatnim, który był wyraźnie przepełniony, leżał jeszcze dodatkowo czarny worek. To do niego właśnie dobrał się lis.

Musiał zajmować się nim już jakiś czas, bo jego lśniącą plastikową czernią powłoka była rozerwana, a śmieci ze środka wywleczone. Pewnie Kutera wyrzucił do niego wnętrzości tamtego biednego zwierzęcia, a lis je wyczuł i postanowił się nimi zaopiekować. Jego spiczasta, ruda głowa raz za razem zniknęła we wnętrzu worka, wyciągając ze środka niewidoczne dla niej z tej odległości łupy. Przypatrywała się temu z wielkim zafascynowaniem. Przez chwilę zapomniała o całym świecie. Bardzo to miłe było i bardzo potrzebne.

Nagle powietrze rozdarł głośny huk. Aż podskoczyła na siedzeniu, ściskając palce na kierownicy. Tuż przed lusem wystrzeliła w górę fontanna kurzu, a on sam zwinął się wokół własnej osi, po czym czmychnął w pobliskie krzaki.

Wyskoczyła z samochodu. Spojrzała w stronę budynku. W otwartym oknie na pierwszym piętrze stał Kutera. Trzymał w rękach myśliwski sztucer z lunetą.

Przez moment mierzyli się wzrokiem bez słowa.

– Przepraszam, nie zauważyłem, że pani tu jest – powiedział w końcu. – Przykro mi, jeśli panią wystraszyłem.

Nawet pomimo odległości usłyszała, że obie te rzeczy nie były prawdą.

Mężczyzna opuścił broń i zamknął okno. Po chwili zniknął jej z oczu za szybą.

Podeszła do śmietnika. W miejscu, gdzie stał lis, widać było niewielki, podłużny ślad, minikrater powstały po uderzeniu pocisku. Ziemia w tym punkcie odsłoniła swoje wilgotne wnętrze, rozbryzgując wokół mokre grudki piasku. Przykucnęła nad tą wyrwą.

Obok niej widać było coś jeszcze: równie wilgotne, choć znacznie ciemniejsze ślady krwi. Nie było jej całe szczęście zbyt wiele. Postrzał musiał być powierzchowny, być może nawet zwierzę zraniła nie sama kula, lecz tylko drobne kamyki wyrzucone w powietrze siłą jej uderzenia o ziemię. Lis powinien to przeżyć, choć niewątpliwie był ranny. Poczowała ulgę i to nadzwyczaj silną, jakby jej niegdysiejsze fantazje o związku między nimi mogły być prawdą.

Podniosła się. Jej wzrok powędrował w stronę rozszarpanego worka. O dziwo, nie było w nim tego, czego się spodziewała. Kutera najwyraźniej wyrzucił wnętrzości sprawionej sarny gdzie indziej. W środku były bandaże i to dość spora ilość. Zużyte, bezładnie zwinięte, upchane w ciemnym wnętrzu razem z innymi odpadami, których nie potrafiła zidentyfikować. To nimi tak interesował się lis. I nic dziwnego, one też były przesiąknięte krwią.

ROZDZIAŁ 66

Usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. Odwróciła się. Na końcu drogi prowadzącej do pensjonatu, zasłoniętej jeszcze częściowo przez rosnące po jej obu stronach drzewa, pojawiło się auto. Nawet z daleka wydało jej się znajome.

Poznała je, gdy podjechało bliżej. Charakterystycznego kształtu nie dało się z niczym pomylić. Był to samochód jej dawnego kolegi z klasy, Pawła.

Maszyna z chrzęstem kół podjechała aż pod sam śmietnik. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się.

– Znowu się spotykamy – usłyszała wesoły głos. – Wiedziałem, że tu mieszkasz, i miałem nawet lekką nadzieję, że cię zobaczę. I o, proszę, udało się!

Jego twarz rozpromieniona była w uśmiechu.

– Coś się zepsuło? – spytała. – Tym razem to nie ja cię wzywałam.

– Nie... – Machnął ręką. – Nie o to chodzi. Ja do tych czterech kolegów. – Wskazał na stojące za nią pojemniki. – A w zasadzie do jednego z nich, bo dziś jest dzień odpadów zmieszanych. Wywożę też śmieci. To się nazywa dywersyfikacja dochodów. W małych miejscowościach tak to właśnie wygląda.

– W niedzielę? – zdziwiła się.

– W tygodniu miałem inne sprawy, więc teraz nadrabiam – odpowiedział. – Ale na wieczorną mszę w kościele zdążę. – Puścił do niej oko.

Rzeczywiście ubrany był nieco inaczej niż ostatnio. W granatowe, robocze spodnie ogrodniczki. Przypominał w nich postać z niemieckiego pornosa.

– Widzę po twojej minie, że moje szanse u ciebie gwałtownie zmalowały. Ale rozumiem, spoko. Nie każda dziewczyna chce się umawiać ze śmieciarzem – zażartował.

Uśmiechnęła się niewymuszenie. Było to nawet dość zabawne.

– Nie każda dziewczyna stoi przy śmietniku i wpatruje się w jego zawartość – odpowiedziała. – Można więc powiedzieć, że pasujemy do siebie.

Jakoś jej samo się to tak powiedziało.

Popatrzył na nią uważnie, potem uśmiechnął się kącikiem ust.

– A co cię tam tak zainteresowało? – spytał, podchodząc bliżej.

Miał ładny zapach. Przynajmniej jak na śmieciarza.

– To. – Wskazała na rozerwany worek. – Bandaże. Sporo ich.

Spojrzał w dół.

– To chyba nic dziwnego – powiedział. – Kutera ma w domu mały szpital.

– Z tego, co wiem, wypadek Damiana miał miejsce już jakiś czas temu – zauważyła. – Wszystkie jego rany powinny się już więc dawno zagoić. A na tych bandażach widać krew.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, może coś się paprze – odpowiedział. – Albo jakaś rana się otworzyła. A może w grę wchodzi odleżyny. Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że da się to jakoś wytłumaczyć.

– Za dużo tego jak na odleżyny – skomentowała. – Nawet jak na ranę, która się paprze. A gdyby faktycznie coś się otworzyło, co moim zdaniem jest mało prawdopodobne po tak długim czasie, to chyba raczej Kutera nie zajmowałby się tym tu, w domu, tylko zawiózł syna do szpitala.

Spojrzał na nią i po raz pierwszy dostrzegła w jego wzroku coś na kształt irytacji.

– Słuchaj, nie zajmuję się interpretacją śmieci, tylko ich wyrzucaniem – powiedział. – Może to zresztą nie chodzi wcale o Damiana, tylko o starego? Zranił się gdzieś, rozciął, bo ja wiem, nogę, czy coś w tym

stylu. Takie rzeczy się zdarzają.

– Nie wygląda na rannego – odparła. – Widziałam go wczoraj i nawet dzisiaj przed chwilą. Taka rana musiałaby spowodować widoczne upośledzenie ruchowe. Nie zauważyłam go.

– To twardy zawodnik. Nawet gdyby mu dzik rozszarpał nogę, nie dałby tego po sobie poznać. Znasz go.

– Nie znam – stwierdziła. – Ale nie wydaje mi się.

Nie odpowiedział na to. Stali jeszcze przez moment obok siebie, wpatrując się w rozerwany worek.

– W każdym razie muszę to zapakować na pakę – odezwał się wreszcie. – Mam jeszcze parę takich miejsc do odwiedzenia.

– W porządku, nie przeszkadzaj sobie – odparła.

Odsunęła się parę kroków, lecz nie wróciła do samochodu. Patrzyła, jak podciąga jeden z pojemników pod swoje auto i wyładowuje jego zawartość na metalową platformę pick-upa. Gdy sięgnął jednak w końcu po leżący na ziemi rozerwany worek, zatrzymała go.

– Poczekaj – powiedziała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Na co? – spytał.

Podeszła do worka, kucnęła przy nim i chwyciła w dwa palce brzeg jednego z zakrwawionych bandaży.

– Masz może coś, w co mogłabym to zapakować? – spytała. – Worek, woreczek, torebkę plastikową? Cokolwiek?

Pociągnęła bandaż, żeby wyciągnąć go ze środka. Był oczywiście bardzo długi.

– Po co ci to? – spytał ze zdumieniem.

– Chcę sobie zostawić jeden na pamiątkę – odpowiedziała.

– Na pamiątkę czego? – W jego głosie dało się wyczuć niepokój, a nawet coś w rodzaju przestrochu. Prawdopodobnie właśnie pomyślał, że ma do czynienia z wariatką.

– Po prostu muszę to zabrać – odparła. – Potem ci wytłumaczę dlaczego.

Nie ruszył się z miejsca.

Wstała. Długa wstęga białoczerwonej tkaniny zwisała jej z dłoni aż do samej ziemi.

– To masz czy nie? – ponagliła go zniecierpliwiona.

– T-tak, chyba tak – odpowiedział. Na jego twarzy malowała się konsternacja. – Coś się znajdzie.

Podszedł do szoferki i przyniósł z niej reklamówkę. Zapakowała bandaż do środka.

– Dzięki – powiedziała. – To na razie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę swojego samochodu. Musiał być bardzo zbity z tropu, bo nie zaproponował jej nawet wspólnej kolacji, tak jak to robił zazwyczaj.

Kiedy podeszła do auta, pomyślała jednak, że to może wcale nie tak dobrze. Spojrzała na niego znowu. Patrzył na nią z mieszaniną zgrozy i fascynacji.

– O której kończysz, śmieciarzu? – spytała.

Zamrugął oczami.

– Nie wiem, za parę godzin – odpowiedział.

– To umyj się potem, przebierz ładnie i zadzwoń do mnie. – Miał jej numer, odkąd przyjechał ją wyciągać z błota. – Może pójdziemy wtedy coś zjeść – rzuciła od niechcienia.

Wsiadła do samochodu. Torbę z bandażem położyła pod siedzeniem obok. Ruszyła. Przejeżdżając obok Pawła, rzuciła mu jeszcze lekki uśmiech i pomachała dłonią. Nie umówiła się z nim tylko dlatego, że tak męsko i seksownie wyglądał w tych roboczych ogrodniczkach, chciała go znowu wypytać. Pojawiły się nowe wątki i nowe informacje, a on był jej jedynym życzliwym źródłem w tym przeklętym miejscu.

Przejechała przez las i wyjechała na drogę. Skręciła w prawo. Jadąc, zerkala co i raz w stronę leżącą na podłodze auta reklamówki. Zabrudzony krwią bandaż w jej wnętrzu wyglądał jak zrzuciona skóra węża i był w pewien sposób równie tajemniczy. Skąd się wziął i co oznaczał? Jakie rany były nim opatrzone? Wzięła go trochę na wszelki wypadek, bo na razie nie miała co do tego żadnych pomysłów. Być może faktycznie wytłumaczenie jego obecności w śmieciach Kutery było banalne. Ale być może nie. Tu wszystko było podszyte tajemnicą, więc należało założyć, że i to jej znalezisko było raczej tropem niż ciekawostką.

W każdym razie rozwiązanie tej zagadki będzie musiało trochę poczekać. Gdyby to było normalne śledztwo i gdyby mogła zlecić zbadanie bandaża w policyjnym laboratorium, mogłaby dowiedzieć się przynajmniej, czy krew na nim należy do Kutery lub jego syna, czy do kogoś innego. To jednak było na tym etapie tej sprawy absolutnie niemożliwe. Nawet gdyby złożyła taki wniosek, Niedźwiedzki nie musiałby się specjalnie wysilać, by go odrzucić, trudno byłoby jej bowiem wykazać, że ma to jakikolwiek związek ze śmiercią jej ojca. Już nie wspominając o tym, że prawdopodobnie natychmiast poleciałby z tym na skargę do Kostrzewskiej.

Na razie zresztą miała inne rzeczy do zrobienia. Dojechała do rozwidlenia przy kościele i skręciła w lewo, w stronę komisariatu. Minęła go i odnalazła starą, przydrożną kapliczkę. Zaparkowała tuż przy niej. Dom, który wznosił się za nią, bardzo dobrze odpowiadał opisowi jej dawnego nauczyciela. Zbudowany z takiej samej starej czerwonej cegły jak kapliczka, sprawiał wrażenie równie zaniedbanego. Porośnięty gdzieniegdzie już mchem dach, popękana biała farba na framugach okien, płot z przerdziewiałej siatki i pełen chwastów ogródek – taki stan nie bierze się tylko z biedy, chociaż bieda niewątpliwie miała w nim spory udział.

Wysiadła z samochodu i podeszła do furtki. Z odrapanej skrzynki na listy wysypywały się ulotki. Okna wyglądały, jakby ich nikt nigdy nie mył. Za jednym z nich widać było uschnięte badyle czegoś, co dawno temu zapewne było storczykiem.

Przez chwilę miała wątpliwości, czy ktoś tu w ogóle mieszka. Dom wyglądał na opuszczony, okna były zamknięte mimo ciepłej pogody. Dopiero ruch firanki zdradził jej, że na tej zapomnianej przez Boga planecie istnieje jednak jakieś życie.

Weszła przez furtkę i podeszła do drzwi. Wcisnęła przycisk dzwonnka. Nie rozległ się żaden dźwięk. Zapukała więc mocno i energicznie.

Odzew był zerowy. Odczekała chwilę i spróbowała ponownie. Z podobnym skutkiem. Ktoś, kto tu mieszkał, był albo głuchy, albo bardzo niechętny odwiedzinom.

Nie miała zamiaru jednak odpuścić. Zaczęła walić w drzwi pięścią. Najpierw jedną, a gdy zaczęła ją boleć, drugą. To jednak również nic nie dało. W końcu po prostu nacisnęła kłamkę.

I to był strzał w dziesiątkę. Drzwi się otworzyły.

– Halo! – krzyknęła w głąb ciemnej sieni. – Jest tu ktoś? Chciałabym porozmawiać.

– Nie potrzebuję żadnej pomocy. Mówiłam – rozległ się głos z wnętrza. – Córka mnie utrzymuje. Odejdź.

Pomimo tego dość wyraźnego braku zaproszenia weszła do środka.

- Nie o to mi chodzi - powiedziała. - Mam kilka pytań, potem sobie pójdę.

- Królestwo Boże też mnie nie interesuje - usłyszała w odpowiedzi. - I to w żadnej z możliwych wersji. Głos był kobiecy, schrypiały i dochodzący jakby ze studni.

- Mnie też nie - odpowiedziała. - Przynajmniej na razie.

Weszła jeszcze głębiej. W środku panował półmrok mimo jasnego dnia. W powietrzu unosił się zapach drewna, starych ubrań, papierosów i kurzu. Poczula, że kręci ją w nosie. Spróbowała to jeszcze powstrzymać. Bez skutku. Kichnęła.

- *God bless you* - dobiegło ze środka. - *And fuck you.*

- Dziękuję - odpowiedziała. - I wzajemnie.

Stała na środku izby. Wszystko tu leżało na wszystkim. W tym domu dawno już przestano utrzymywać porządek.

- Mówiłam: idź sobie - głos dobiegł z ciemnego kąta w głębi.

Podeszła w tamtą stronę. Na rozłożonej wersalce leżała kobieta. Z koców, poduszek i Bóg wie czego jeszcze zrobiła sobie podparcie pod plecy. Wpatrywała się w telewizor stojący na szafce pod oknem. Był włączony, ale bez dźwięku.

- Może masz baterie? - spytała. - Te mniejsze, nie te duże. Wyładowały się i pilot nie działa. Nie mogę podłączyć.

- Nie, nie mam - odpowiedziała.

- To po chuja przyłazisz? - zirytowała się kobieta. - Przychodzą, włączą bez pozwolenia, gadają coś o pomocy, a jak czegoś naprawdę trzeba, to nie, tego akurat nie mają. W dupę se wsadźcie taką opiekę społeczną!

- Nie jestem z opieki społecznej - odpowiedziała Sereżyńska. - I nie chcę pani pomagać. Szczerze powiedziawszy, gównu mnie pani obchodzi.

Kobieta spojrzała na nią. Dopiero teraz. I to z czymś w rodzaju błysku zainteresowania.

- O, to jakaś nowość - powiedziała. - Nie chce mi pomagać. To czego chce?

- Porozmawiać, już mówiłam - powtórzyła cierpliwie.

- A na jaki to, kurwa, niby temat?

- Pani córki. Tej, która pani pomaga.

Usiadła na skraju wersalki.

Kobieta wbiła wzrok z powrotem w telewizor.

- Nie chcę - odpowiedziała. - Idź sobie.

- Kupię pani baterie - zaproponowała. - I tu przyniosę. Będzie pani mogła pogłośnić telewizor i nawet zmieniać w nim kanały. Co pani na to?

Kobieta mruknęła coś pod nosem i zmarszczyła brwi.

- Chcę jeszcze butelkę ciociosanu i drugą wódki. I coś do popicia, najlepiej tonik - powiedziała.

- Da się załatwić - zgodziła się.

- I jedzenie: kiełbasę, bułki, musztardę, orzeszki ziemne solone, pastę rybną w tubce - zaczęła wyliczać - kotlety schabowe, takie, co tylko wystarczy podgrzać, sok jakiś duży pomarańczowy, czekoladę z bakaliami, parówki, śledzie w śmietanie w wiaderku, ptasie mleczko waniliowe, banany i jogurt truskawkowy. Wszystko to mają w Biedronce. Zapamiętałaś?

- Zapamiętałam. - Skinęła głową.

- To kup to wszystko, przywieź tu do mnie, to wtedy pogadamy - wydała polecenie. - A ciociosan i wódkę po dwie butelki - dodała jeszcze.

Sereżyńska wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- I jeszcze coś ekstra - usłyszała na odchodnym. - Zrób mi jakąś niespodziankę.

Wróciła po półgodzinie, niosąc w każdym ręku reklamówkę wypełnioną zakupami. Weszła do izby i postawiła je na podłodze przy wersalce.

– Masz wszystko? – spytała kobieta. – To teraz włóż baterie do pilota.

– Sama sobie włóż – odpowiedziała jej. – Teraz rozmawiamy albo zabieram te fanty z powrotem.

Znowu seria mruknięć pod nosem.

– To chociaż ciociosanu nalej – usłyszała.

Na regale przy wersalce stała szklanka. Nie wyglądała na zbyt czystą. Jej gospodyni nie sprawiała jednak wrażenia osoby, która przejmuje się takimi kwestiami, Seredyńska sięgnęła więc po nią i naląła do niej aromatyzowanego wina.

– Tyle starczy – poinstruowała ją kobieta. – Teraz tyle samo wódki. Potem do pełna tonik.

Gdy wykonała te wszystkie polecenia, podała kobiecie szklankę, która natychmiast wypila ją niemal do połowy.

– Dobrze – mlasnęła. – Umiesz robić drinki. Mogę cię zatrudnić jako barmankę.

Seredyńska usiadła na wersalce.

– Już? – spytała. – Bo trochę mi się znudziło tak skakać przy pani.

Kobieta spojrzała na nią ożywionym już nieco spojrzeniem. Miała ciemne, prawie czarne, ostro już przetykane siwizną włosy. Musiała je czesać, bo nie były w jakimś strasznym nieładzie. Czyli nie zapuszczała się tak całkowicie.

– Teraz tak – odpowiedziała. – Zasłużyłaś. Co chcesz wiedzieć?

Miała nawet na sobie kolczyki. Wyglądały na złote.

– Co to znaczy, że pani córka pani pomaga? – spytała.

Kobieta wypila kolejny łyk.

– Przysłała mi pieniądze – wyjaśniła z dumą. – Co miesiąc.

– Dużo?

– Na moje potrzeby wystarczy. Trzysta dolarów.

– Dolarów? – zdziwiła się Seredyńska.

– Mieszka w Stanach, w Chicago – odpowiedziała kobieta. – Nie może przyjechać, bo nie ma zielonej karty, więc by jej nie wpuścili z powrotem. Ale nie zapomniała o matce.

Wyrecytowała to niemal. Jak wyuczoną formułkę. Albo jakby sama się utwierdzała w prawdziwości tego, co mówi.

– Często dzwoni? – spytała Seredyńska.

– Nie może. – Kobieta pokręciła głową. – Połączenia są strasznie drogie. Ale co jakiś czas przysłała mi kartkę.

– Kartkę? – Seredyńska uniosła brwi. Kolejny zaginiony i kolejna wysłana do rodziny kartka pocztowa. Ciekawe.

– No, widokówkę. Ostatnia była z takim wielkim, czarnym budynkiem. Widziałam go potem w telewizji. Przez jakiś czas był podobno najwyższy na świecie.

Sprawiała wrażenie, jakby chwaliła się tym. Oto ma córkę, ta córka mieszka w Stanach, przysłała jej dolary i ogląda na co dzień takie wielkie i piękne budowle. Musiało być to dla niej ważne. Zapewne na tym opierała resztki poczucia swojej wartości i sensu własnego życia.

– Jak jej się tam w ogóle żyje? – spytała Seredyńska. – Wspominała coś?

– Dobrze – odpowiedziała kobieta. – Pisała, że dobrze. Wszystko w porządku.
– Coś więcej? – drażyła. – Gdzie pracuje? Czy ma tam kogoś?
– Na takiej kartce to niewiele się zmieści – odparła kobieta, jakby sama siebie o tym przekonywała. – To przecież tylko taki mały kartonik. Ale pozdrawia mnie zawsze serdecznie – dodała.

– Napisała kiedyś list? – spytała Seredyńska.
– Nie ma czasu. – Znowu pokręciła głową kobieta. – Pewnie pracuje na dwóch etatach, żeby móc mi wysyłać pieniądze.

Wyraźnie posmutniała. Jakby iluzja, którą sama siebie karmiła, nie wytrzymała zderzenia z rzeczywistością odsłanianą przez pytania Seredyńskiej.

– Dawno tam wyjechała?
Kobieta zastanowiła się.
– Będzie ze dwa lata.
– Czyli tuż po zaginięciu? – spytała Seredyńska.
– Nie było żadnego zaginięcia! – Matka Sandry niemal uniosła się do góry. – Wszyscy myśleli, że ją porwano, a ona po prostu wyjechała.

– Ale podobno chciała iść na studia – rzuciła Seredyńska.
– A po co jej te całe studia! – prychnęła kobieta. – Jak kto ma głowę na karku, to żadne studia mu niepotrzebne. Zresztą w tej Ameryce i tak do niczego jej by się nie przydały.

– A mogłaby mi pani opowiedzieć, jak wyglądało to jej rzekome zaginięcie? To, o którym teraz pani mówi, że go wcale nie było? – spytała.

Kobieta popatrzyła na nią podejrzliwie.
– A czemu się pani tak o moją córkę wypytuje? Nie jest pani z opieki społecznej, to skąd? – rzuciła niezbyt życzliwie.

Seredyńska uśmiechnęła się przyjaźnie.
– Proszę się niczym nie martwić – powiedziała. – To, co pani powie, nie zaszkodzi w niczym ani pani, ani pani córce. Sprawdzam po prostu, czy odpowiednie służby zachowały się w tej sprawie w odpowiedni sposób. To taki rodzaj kontroli, której wyniki w żaden sposób nie będą pani dotyczyły. Dolać pani jeszcze?

– Poproszę. – Kobięcie najwyraźniej to wytłumaczenie zupełnie wystarczyło.
Uzupełniła jej szklankę według poprzednio poznanego przepisu. Nie był to może najbardziej etyczny sposób pozyskiwania zeznań, ale ponieważ nie występowała w tej sprawie jako prokurator, czuła się poniekąd zwolniona z przestrzegania niektórych zasad, które w innym wypadku sama by sobie narzucała. Kobieta wypila łyk i aż przymknęła oczy z ukontentowania.

– To jak? Opowie mi pani o tym? – przynagliła ją Seredyńska.
Kobieta uniosła powieki.
– O czym tu opowiadać? Po prostu nie wróciła któregoś dnia do domu – powiedziała.
– Ale skąd nie wróciła? Z miasta, ze sklepu, ze spaceru?
– Miała się spotkać z jakimiś swoimi znajomymi – usłyszała w odpowiedzi.
– Wie pani z jakimi?

Kobieta ściągnęła brwi, jakby przypominanie sobie tego sprawiało jej pewną trudność. Być może za bardzo przesadziła z polewaniem jej alkoholu.

– Z jakimiś ze szkoły – odpowiedziała.
– Z liceum? Tego, do którego chodziła?
– Tak. – Kobieta skinęła głową. – Ale mieszkali tu. Mieli się chyba spotkać nad jeziorem.
– Pamięta pani, jak się nazywali?

– Jeden tak śmiesznie, Miłosz – odpowiedziała. – Jak ten poeta, któremu Nobla kiedyś dali. Dlatego zapamiętałam.

– Syn nauczyciela?

– Tak, chyba tak. Znali się jeszcze z podstawówki. Ale nie znałam go. Sandra rzadko przyprowadzała tu swoich znajomych. Chyba się nas wstydziła. – Powiodła wzrokiem po swoim mieszkaniu. – Zresztą nie bez powodu.

– A drugi? – spytała. – Bo był jeszcze drugi, tak?

Kobieta po raz kolejny kiwnęła głową.

– Był, tak – potwierdziła. – Tego akurat poznałam. On jako jedyny kiedyś tu przyszedł. Bardzo dobrze wychowany i miły. Rozmawiał ze mną jak z jakąś królową.

– Pamięta pani, jak się nazywał?

Seredyńska znała jego imię, Radek. Ale wołała, by padło z ust matki Sandry. Jeśli je sobie oczywiście w ogóle przypomni.

– Tak, pamiętam – odpowiedziała kobieta. – Przedstawił się, nawet kwiaty przyniósł. Jakby tu przyszedł się oświadczać, a nie ze zwykłą wizytą. Damian.

Dźwięk tych dwóch sylab jeszcze przez chwilę odbijał się od ścian.

– Damian? – powtórzyła Seredyńska. – Jest pani tego pewna?

– Tak, jestem – przytaknęła kobieta. – Nawet sobie pomyślałam, że to idealne imię dla takiego kulturalnego chłopca. I że gdybym miała syna, też bym mu dała na imię Damian.

Ta informacja była dość niespodziewana. Choć gdy już się pojawiła, to Seredyńska nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wskoczyła od razu idealnie na odpowiednie miejsce w tej całej układance. Damian. Syn Kutery. To powiązanie i to połączenie wydało jej się nagle tak niesłychanie oczywiste, że aż zdziwiła się, że na nie wcześniej nie wpadła.

– Po co przyszedł? – spytała.

– Do Sandry – odpowiedziała kobieta. – Ale nie wiem po co.

– Córka pani nie mówiła?

– Mało już wtedy rozmawialiśmy ze sobą. Chyba miała do mnie pretensje.

– O co?

– O to, że jak jeszcze jej ojciec tu mieszkał, pozwalałam na wszystko, co się tu działo.

Seredyńska postanowiła nie drażnić tego tematu. Raczej nie miało to znaczenia dla sprawy.

– Ale o tym spotkaniu nad jeziorem pani powiedziała? – spytała.

– Nie, ale usłyszałam, jak o tym rozmawia przez telefon. Chyba z tym Miłozsem.

– Usłyszała pani coś więcej?

– Że muszą się spotkać z Damianem. Na pewno padło to imię. Żeby wreszcie zakończyć jakąś sprawę.

– Wie pani jaką?

– Nie, ale na pewno chodziło o ten wyjazd – odpowiedziała kobieta. – Bo ten Miłozs też wyjechał, prawda? Ci z policji mi o tym mówili.

Nie skomentowała tego.

Matka Sandry spojrzała na nią, jakby szukała u niej potwierdzenia.

– Pewnie razem wyjechali, jak pani myśli? – spytała. – I to z nim mieszka teraz w tej Ameryce. Może nawet mają dziecko? Szkoda, że mi o tym nie powiedziała. Ale rozumiem ją. Nie byłam dobrą matką. Nie chroniłam jej, kiedy było trzeba. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczy. A jak to robi, to na pewno przyśle zdjęcie. Ich całej rodziny. A wtedy może nawet mnie do siebie zaproszą. Bo ja bym mogła do nich polecieć. Już teraz nie trzeba wiz, słyszałam o tym w telewizji. Mogłabym pilnować im dzieci, kiedy oni pracują. Jak pani myśli? – powtórzyła.

Jej oczy niebezpiecznie się zaszklily, a twarz wykrzywiła się w grymasie, który mógł zwiastować, że rozklei się zaraz kompletnie. Seredyńska musiała to przerwać, jeśli chciała się jeszcze czegoś dowiedzieć.

– Na pewno tak się stanie. – Uśmiechnęła się do niej. – Ale zanim to nastąpi, chciałabym, żeby odpowiedziała mi pani jeszcze na parę pytań. Czy pani córka wspominała jeszcze kiedykolwiek o Damianie Kuterze?

Kobieta patrzyła na nią jeszcze przez chwilę, jakby sens tego pytania nie do końca do niej docierał. W końcu jednak odpowiedziała:

– Tak, bo spytałam ją kiedyś o niego. Bo taki miły chłopak i do tego zainteresowany, kwiaty przynosi i w ogóle. Trochę starszy, więc tym lepiej. Więc co ona na to. Bo mi by się podobał taki zięć. Tym bardziej, że jego ojciec nie jest najbiedniejszy.

– I co ona na to?

- Fuknęła na mnie tylko. Jakoś ją to bardzo zdenerwowało, nie wiem dlaczego. Prawie na mnie nakrzyczała. I powiedziała, żebym nie opowiadała głupot i nie wyobrażała sobie Bóg wie czego, bo z tego na pewno nic nie będzie. I że wystarczy, że jej wybrałam takiego ojca, nie muszę teraz szukać takiego samego męża.

Jej twarz znowu wykrzywiła się w grymasie.

- Tak powiedziała? - spytała Seredyńska.

- No tak. I to nie było sprawiedliwe, bo skąd ja mogłam wiedzieć, że jej ojciec będzie takim skurwysynem? Był bardzo miły, kiedy się o mnie starał.

- Nie mogła pani tego wiedzieć - potwierdziła Seredyńska. Wszystko po to, by jeszcze przez parę minut uchronić matkę Sandry przed nadciągającym załamaniem. - I po tym spotkaniu nad jeziorem pani córka nie wróciła już do domu? - upewniła się.

- Nie, wróciła. Mówiłam, że nie wróciła? Jeszcze z miesiąc tu potem mieszkała - powiedziała kobieta. - Albo dwa.

Seredyńska spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- To czemu pani powiedziała, że nie wróciła po tym spotkaniu? - spytała.

- Bo nie wróciła - odparła kobieta. - Tylko po innym. Pomieszało mi się to trochę. Ale nie wiem, z kim się wtedy spotkała, nie powiedziała mi. Ale na pewno nie z tym Damianem. Bo on miał przecież wcześniej ten wypadek. Biedny chłopak. Wszyscy w sklepie o tym mówili. W spółdzielni, bo jeszcze nie było Biedronki.

Kiwnęła głową, jakby sama sobie potwierdzała, że tym razem wszystko opowiedziała jak trzeba, i wypita resztę alkoholu ze szklanki.

- A ten wypadek, o którym pani mówi - spróbowała z niej jeszcze coś wydobyć Seredyńska - był po tym pierwszym spotkaniu?

- Tak, i to chyba zaraz niedługo - potwierdziła kobieta. - Ja nie wiem, czy nie jakoś od razu. Pamiętam, że Sandra była po nim bardzo zdenerwowana, chyba nawet płakała. Może żałowała, że jednak nie wybrała tego Damiana? I dlatego potem wyjechali?

Jej powieki coraz bardziej osuwały się w dół. Mówiła wolniej i coraz mniej już wyraźnie.

- Mogłaby mi pani jeszcze pokazać tę kartkę od Sandry? - Seredyńska postarała się jeszcze choć na chwilę przyciągnąć jej uwagę.

- A toć tam stoi, na regale. - Kobieta machnęła ręką już prawie przez sen.

Podążyła wzrokiem za tym gestem. Rzeczywiście na najwyższej półce zakurzonego i zawałonego najrozmaitszymi przedmiotami mebla dostrzegła błyszczącą widokówkę z napisem „Chicago”.

- A ma pani może jakieś zeszyty Sandry? - spytała, odwracając ponownie głowę w stronę kobiety. Z jej matką nie było już jednak kontaktu. Zasnęła z głową zwieszoną na piersi.

Wstała więc i zdjęła z półki widokówkę. Na jej zewnętrznej stronie faktycznie widniało zdjęcie czarnego wieżowca, złożonego jakby z różnej wysokości sklejonych z sobą bloków. Odwróciła kartkę.

Od wewnątrz widokówka pokryta była dość dużym pismem. Znaczek i stempel na nim wyglądały na autentyczne. Chyba faktycznie wysłano ją w Chicago. Przyjrzała się literom. Miały zaokrąglone, pełne, dokładne kształty, sprawiały niemal wrażenie, jakby pisało je dziecko. Były nieco zbyt idealne jak na osiemnastolatkę, dziewczyna w tym wieku powinna już pisać z większą nonszalancją, ale nie było w nich w sumie nic, co mogłoby to wykluczać. Tekst nie był zbyt wyszukany: „Kochana mamo, u mnie wszystko dobrze. Chicago to piękne miasto. Całuję Cię serdecznie, Sandra”. Mogłaby tak napisać córka, która nie jest w zbyt serdecznych stosunkach ze swoją matką, ale nie chce z nią całkiem zrywać kontaktu.

Podeszła do okna i przyjrzała się pismu z jeszcze bliższej odległości, ustawiając jednocześnie kartkę pod kątem. Litery odcisnięte były na papierze nieco zbyt mocno, jakby ktoś bardzo się starał, stawiając je. Mogłoby to świadczyć o tym, że osoba, która to pisała, nie używała swojego charakteru pisma, tylko

starala się naśladować cudzy. Do tego linie na całej swej długości miały tę samą grubość, aż do samego końca litery, podczas gdy ludzie, pisząc naturalnie, zazwyczaj odrywają już nieco pod koniec długopis od papieru. Były to jednak wciąż tylko jej amatorskie spostrzeżenia, tak naprawdę ocenić mogłby to dopiero profesjonalny grafolog.

Spojrzała na śpiącą na wersalce kobietę. Przeszukania domu w obecności właścicielki chyba nie można uznać za włamanie? Matka Sandry, wskazując jej miejsce, gdzie stoi widokówka, w zasadzie wyraziła na to zgodę. Można by w każdym razie tak to potraktować.

Zaczęła więc grzebać w zalegających na półkach rzeczach. Nie było to łatwe, tworzyły bowiem wielowarstwowe konstrukcje. Telewizyjne tygodniki mieszały się w nich z nieotwartymi kopertami zawierającymi rachunki, ulotki leżały obok opakowań po najprzeróżniejszych produktach spożywczych, tu i ówdzie wplątana w to była jakaś brudna łyżka lub widelec.

Niczego ciekawego tu jednak nie znalazła. Po namyśle stwierdziła, że interesujące ją ewentualnie tropy powinny znajdować się raczej w starszych warstwach tego stanowiska archeologicznego. Stan, na który patrzyła, rozwinął się zapewne, albo przynajmniej osiągnął swoje apogeum, już po zaginięciu córki kobiety. Wcześniej, gdy jeszcze tu mieszkała, nie wyglądało to raczej aż tak tragicznie – rzeczy były jeszcze pochowane, a śmieci na bieżąco wyrzucane.

Spróbowała więc zajrzeć do szafek. To też nie było najprostsze, bo dostęp do nich był zawalony leżącymi przed nimi przedmiotami. Trzeba było je odsunąć lub zdjąć, by chociaż uchylić drzwiczki. Wykonała sporo pracy, by móc się do nich dostać. Niestety, również bez skutku. W środku szafek były tylko ubrania. Zwinięte, przemieszane, tworzące isticie gordyjskie węzły, świadczące o tym, że matka Sandry robiła co prawda co jakiś czas pranie, lecz nie zwracała sobie już głowy prasowaniem ani układaniem na półkach.

Po ponad półgodzinie wyteżonych poszukiwań musiała więc przyznać, że w tym pomieszczeniu niczego nie było. Zmęczyła się i spociła, niemal nie mogła oddychać od unoszącego się w powietrzu kurzu i duchoty wynikającej z pozamykanych w taką pogodę okien. Przeszła do drugiej izby. Może powinna zacząć właśnie od niej. Gdy Sandra jeszcze tu mieszkała, prawdopodobnie miała osobny pokój i to zapewne był on, bo oprócz niego była tu jeszcze tylko kuchnia. Wpadła na to jednak trochę za późno.

Tu już otworzyła okno. Pokój pełnił zdaje się funkcję graciarni. Matka Sandry znosiła tu wszystko, co nie było jej potrzebne – połamane krzesła, pudła po różnych sprzętach, puste słoiki, które już raczej nie doczekają się przetworów, był tu nawet damski rower bez łańcucha. Nie przypominało to na pewno sanktuarium pamiątek, w które zazwyczaj zamieniają się pokoje zaginionych dzieci.

Poruszanie się po tym miejscu nie było więc proste, ale dość szybko się opłacało. W jednej z szuflad stojącego tu regału Sereżyńska odnalazła to, czego szukała – stare zeszyty szkolne.

Sandra była zorganizowaną dziewczyną i w odróżnieniu od swojej matki lubiła porządek. Może w ten sposób zresztą broniła się przed chaosem, który panował w jej domu? Zeszyty ułożone były według przedmiotów, a w ich obrębie według klas. Te do klasy czwartej liceum leżały na samym wierzchu. Odnalazła zeszyt do języka polskiego. Wyjęła go i otworzyła.

Litery w nim były porządne i dokładne, niemal kaligraficzne. Sandra miała ładne pismo, mogłaby wypisywać dyplomy. Ale to na pewno nie było to samo pismo, które widziała na kartce. Rozłożyła zeszyt na parapecie, tuż obok położyła widokówkę z Chicago. Różnice były bardzo wyraźne. Pismo Sandry było już dojrzałe, zdążyło wykształcić własne cechy odróżniające je od innych. Litery na kartce wyglądały, jakby przepisano je z zeszytu ćwiczeń do pierwszej klasy podstawówki. Pisał je ktoś, kto nie miał nawet pisma Sandry za wzór, po prostu tak wyobrażał sobie pismo młodej dziewczyny.

Aż dziw, że jej matka nie dostrzegła tej różnicy. Pewnie nie zadała sobie nawet trudu, by je porównać. Bajka o wyjeździe poparta comiesięcznymi przelewami najwyraźniej jej wystarczyła.

Zabrała zeszyt oraz kartkę. Miała dwa kolejne dowody do kolekcji.

Nie zaprzestała jednak poszukiwań. Może było tu coś jeszcze? Coś co rzuci jakieś, jakiegokolwiek światło na to wszystko. Warto było to sprawdzić.

Zaczęła więc systematycznie przeszukiwać szafki i szuflady. Tu, w odróżnieniu od poprzedniego pomieszczenia, panował wzorcowy porządek. Ubrania były uprasowane i ułożone w równe kupki. Nikt ich też najwyraźniej nie ruszał od zniknięcia ich właścicielki.

Spróbowała przypomnieć sobie samą siebie, gdy była w wieku tej dziewczyny. Gdzie schowałaby coś w swoim pokoju, gdy miała osiemnaście lat? Tak, żeby nikt, zwłaszcza matka, tego nie odnalazł. Za ubraniami? Być może. Wyjęła więc po kolei wszystkie nieruszone od dwóch lat stopy bluzek, koszulek i spodni. W bieliźnie? Przechesała dłońmi szufladę, w której leżały majtki i biustonosze. Może w książkach? Banalny schowek, lecz przynajmniej była pewność, że jej matka nigdy po nie nie sięgnie. W żadnym z tych miejsc jednak niczego nie odnalazła.

– Gdzie jesteś, pamiętniczku? – powiedziała do siebie półgłosem.

To oczywiście nie musiał być on, nie wszystkie dziewczęta go w końcu prowadzą, a już zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy takie rzeczy publikuje się po prostu w mediach społecznościowych. Pamiętnik był tu raczej pewnym symbolem, reprezentantem kategorii rzeczy ukrytych, intymnych i niedostępnych dla innych, a czegoś takiego właśnie szukała.

Nagle jej wzrok spoczął na wazonie, kuflu w zasadzie, stojącym na samej górze regału, prawie tuż pod sufitem. Był nieprzezroczysty, wykonany z jakiegoś rodzaju ceramiki, na jego boku widniał napis „Toruń”.

Wspięła się na wystającą, najniższą część mebla i sięgnęła po niego. Już po ciężarze poznała, że coś jest w środku. Potem zeszła z powrotem na podłogę.

Zajrzała do wnętrza. W ciemnym środku znajdowało się kilka dość ciasno upakowanych rzeczy. Włożyła dłoń do środka, aby spróbować je wyjąć.

Już ta czynność przekonała ją, że musiała je tam umieścić kobieta. I to taka o drobnych dłoniach, podobnych do jej własnych. Matka Sandry, z tego co zauważyła, raczej nie należała do tej kategorii.

Spróbowała wyciągnąć jedną z wepchniętych tam rzeczy. Nie było to łatwe, bo mogła użyć do tego celu tylko trzech palców, którymi usiłowała cokolwiek złapać. Męczyła się z tym naprawdę długo, bo rzeczy wciśnięte do kufla klinowały się wzajemnie. W pewnym momencie myślała nawet o tym, czy nie będzie musiała po prostu go rozbić.

W końcu jednak się udało. Chwyliła coś – nie wiedziała nawet co, bo widok zasłaniała jej własna ręka – między paznokieć palca wskazującego a opuszkę środkowego i pociągnęła. Poczuli, jak ten przedmiot powoli wysuwa się do góry. Gdy zaś udało jej się wyjąć jedną rzecz, cała reszta wyszła już potem bez problemu.

Rozłożyła wszystkie wyciągnięte z kufła przedmioty na parapecie, tak jak wcześniej zeszyt i widokówkę, i przyjrzała im się uważnie. Lista znalezisk nie była długa. W równym rzędzie obok siebie leżały: mały, owinięty folią i zabezpieczony gumką podłużny pakunek, złożone po wielokroć kilka kartek papieru oraz niewielka, papierowa torebka w kolorze *écru*, z rodzaju tych, w jakie pakuje się pudełeczka z biżuterią kupione u jubilera – pomięta i pozaginana na bokach z powodu przechowywania jej w tak ciasnej przestrzeni – lecz niewątpliwie wypełniona czymś w środku.

W tym momencie usłyszała jakiś ruch w pokoju obok. Matka Sandry przebudziła się na chwilę i coś wymamrotała. Serdyńska zamarła w bezruchu, czekając na to, co będzie dalej. Przez chwilę przestała wręcz oddychać, by nawet w ten sposób nie wydawać dźwięku.

Odgłosy z pokoju obok już całe szczęście się nie powtórzyły. Seredyńska uznała jednak, że nie ma potrzeby dłużej ryzykować, że kobieta obudzi się na dobre, nie daj Boże wstanie i nakryje ją na myszkowaniu w rzeczach jej córki, co biorąc pod uwagę bliskość komisariatu policji, mogło być kłopotliwe, a może nawet niebezpieczne. Zgarnęła znalezione fanty, odstawiła na wszelki wypadek kufel na regał i wyszła z pokoju i z domu, starając się robić jak najmniej hałasu, potem zaś wsiadła w samochód.

Pojechała poza granicę ostatnich zabudowań i zatrzymała się na małym parkingu w lesie, daleko od oczu postronnych obserwatorów. Zagasiła silnik, opuściła szyby w oknach i wyjęła na półkę nad deską rozdzielczą znalezione przedmioty. Przez chwilę wpatrywała się w nie intensywnie, biorąc każdy po kolei do ręki i próbując ocenić, czy w ich wyglądzie nie ma jakichś ukrytych informacji, które mogłyby zostać utracone podczas rozpakowywania, lecz nic takiego nie znalazła. Pora było sprawdzić, co jest w środku.

W normalnej sytuacji wszystkie te czynności powinni wykonać technicy kryminalistyczni, najlepiej w laboratorium. Sprawdziliby przy okazji, czy na znalezionych przez nią rzeczach nie ma odcisków palców lub innych śladów biologicznych. Ona nie miała takiej możliwości. Bolało ją serce na myśl o tym, ile istotnych dowodów może zniszczyć, badając te przedmioty w tak nieprofesjonalny sposób. Nie miała jednak wyjścia.

Zdecydowała się zacząć od torebki z biżuterią. Rozchyliła ostrożnie pognieciony papier i zajrzała do jej wnętrza. W środku było małe pudełeczko przewiązane wstążką i karteczka. Wyjęła jedno i drugie.

Pudełko było nieotworzone, od razu zwróciła na to uwagę. Wstążka była zawiązana w sposób, który niedwuznacznie wskazywał, że nie była nigdy rozwiązana, odsunięta ani poluzowywana. Sandra, jeśli to ona dostała ten prezent, najwyraźniej nigdy nie zajrzała do środka.

Zajęła się teraz karteczką. Była złożona na czworo, by mogła zmieścić się do małej torebki. Rozprostowała ją i przeczytała tekst napisany po wewnętrznej stronie. Biorąc pod uwagę to, co usłyszała wcześniej od matki Sandry, nie był on zaskoczeniem:

Kocham Cię i chciałbym spędzić z Tobą resztę życia. Wyjdziesz za mnie? Damian.

W środku był zapewne pierścionek zaręczynowy lub coś w tym rodzaju. Musiała to jednak sprawdzić. Pociągnęła za końcówkę wstążki i rozwiązała kokardkę na wierzchu pudełka. Potem je otworzyła.

Zobaczyła nie jeden złoty okrąg, a dwa. We wnętrzu były obrączki. Nie pierścionek zaręczynowy, a od razu obrączki. Damian ostro grał i najwyraźniej miał poważne zamiary.

Wyjęła jedną z nich. Od jej wewnętrznej strony wygrawerowany był napis: „Damian i Sandra”. Na drugiej, mniejszej było to samo.

Uniosła lekko do góry brwi. Nic dziwnego, że dziewczyna była mocno sceptyczna co do ich ewentualnego związku. Było w tym podarunku coś nie do końca zdrowego. To, że nie został on nigdy otwarty, świadczyło zaś o tym, że nie było to zapewne jedyne dziwne zachowanie tego adoratora.

Odłożyła pudełko i torebeczkę na siedzenie obok. Zostały jeszcze dwa przedmioty do zbadania. Postanowiła zacząć od foliowego pakunku. Potencjalnie wydawał się ciekawszy. Zdjęła z niego gumkę i odwinęła folię.

W środku były po prostu pieniądze. Kilkanaście banknotów różnych, raczej niskich nominalów, niezbyt duża w sumie kwota. Zwiniętych w rulon po to, by dało się je wcisnąć do niewielkiego kufła. Oszczędności osiemnastolatki schowane przed matką, co biorąc pod uwagę to, co Seredyńska zobaczyła w jej domu, nie wydawało się szczególnie dziwne. Jak je zarobiła i czy były przeznaczone na coś konkretnego? Tego być może nigdy się nie dowie. Ich obecność tu, podobnie jak pieniądze schowanych w książce Miłosza w domu nauczyciela, była jednak kolejnym dowodem na to, że Sandra nie wyjechała raczej nigdzie, a już na pewno nie z własnej woli. Gdyby było inaczej, zabrałaby je ze sobą.

Pozostały jeszcze złożone wielokrotnie kartki. Nawet bez rozkładania widać było, że nie był to zwykły papier. Wyglądał jak jakiś druk urzędowy, widać było linie i rubryki do wypełnienia.

Rozprostowała kartki. Przeczytała nagłówek. Był to wniosek o zmianę nazwiska. Wypełniony przez Sandrę – poznała jej pismo, było takie samo jak w zeszytach, który ostatnio oglądała – i najwyraźniej niezłożony, brak bowiem było pieczętki potwierdzającej odbiór. Zaskoczyło ją to. Jaki mógł być powód aż tak drastycznego kroku? Zaczęła wodzić po nim wzrokiem. Nazwisko... imiona... data urodzenia... miejsce urodzenia... obywatelstwo... itp., itd. Zatrzymała się dopiero przy rubryce „nazwisko, na jakie ma nastąpić zmiana”.

Zatrzymała się przy nim na dłużej. Na bardzo długo, szczerze powiedziawszy. Było to bowiem jej własne nazwisko. Seredyńska.

Zamrugnęła dwa razy, jakby chciała upewnić się, że na pewno widzi to, co widzi. Potem przybliżyła kartkę do twarzy, jakby to również mogło cokolwiek zmienić. Nie zmieniło. Ciąg liter wciąż układał się w słowo, które tak dobrze знаła, które towarzyszyło jej od najmłodszych lat, które było częścią, być może najważniejszą, jej tożsamości: Seredyńska.

Na takie odkrycie nie była przygotowana. Prawdę mówiąc, na mało które odkrycie byłaby równie słabo przygotowana, jak na to. Mogła sobie wyobrazić naprawdę wiele tajemnic związanych z tą sprawą, ale na pewno nie taką. Co?! Jak?! Dlaczego?! Szybko przerzuciła kolejne kartki, szukając rubryki z innym słowem: uzasadnienie.

Gdy już ją odnalazła, jej serce zmroziło się po raz drugi, choć przecież mogła już się domyślić, co będzie tam napisane. „Gdyż takie właśnie nazwisko nosi mój prawdziwy ojciec”, przeczytała. Opuściła dłoń z plikiem kartek na kolana. Spojrzała w otwarte okno. „Prawdziwy ojciec”, „ojciec”, kołatało jej w głowie. W tej okolicy nie było innego Seredyńskiego. Nie mieli tu żadnej rodziny. Oboje rodzice przyjechali tu z innych stron Polski. Nie mogło więc chodzić o nikogo innego niż o Wiktora Seredyńskiego. Tego, który był również jej ojcem.

Drogą, na którą patrzyła, przejechał samochód. Słysząc było dziecięcia uparcie wyrabującego dziurę w drzewie. Sandra Kocoń, zaginiona osiemnastolatka, była więc jej przyrodnią siostrą, a przynajmniej za taką się uważała. Porównała szybko daty. Skoro dwa lata temu dziewczyna miała osiemnaście lat, musiała zostać poczęta około dwadzieścia jeden lat temu, czyli mniej więcej rok po tym, jak ona wraz z matką wyprzedziły się do Olsztyna. To by się mogło zgadzać.

Czy to znaczy, że szukała własnej siostry? Przyrodniej, ale zawsze. Tego jeszcze nie grali. Zamordowany ojciec, zaginiona siostra, kurwa mać! Co jeszcze jej przyniesie to pojebane miejsce?

Potem uświadomiła sobie kolejną rzecz. Dwa lata temu zaginęła Sandra Kocoń. Dwa lata temu wrócił tu też jej ojciec. Czyżby to nie był przypadek? Może wrócił tu dlatego, że ona zaginęła? Szukał jej i może właśnie z tego powodu zginął. Czy to możliwe? Od tego wszystkiego kręciło jej się niemal w głowie.

Nagle spojrzała na leżącą na dywaniku przed fotelem pasażera reklamówkę i na kłębiące się w jej wnętrzu zakrwawione bandaże. Poczula, jak skóra cierpnie jej na całym ciele. Niewypowiedziana i niepomysłana nawet możliwość stanęła przed nią w całej swej niedookreślonej okropności. Postanowiła nie wyostrzać tego obrazu. To nie musiało być jedyne rozwiązanie. Lepiej więc było o nim nie myśleć.

Czuła się jak sparaliżowana. Jakby to niespodziewane, nieoczekiwane odkrycie wstrzyknęło do jej ciała jad upośledzający wszystkie czynności fizyczne i psychiczne. Przez głowę przewalały jej się dziesiątki chaotycznych pytań. Gdzie ona teraz jest? Czy żyje? Czy ma jej szansę pomóc? I przede wszystkim: Co, do cholery, powinna teraz zrobić?

Wyszła z samochodu, poszła w las, przed siebie. Zatrzymała się dopiero po kilkudziesięciu metrach. Dzieciół napięprzał jak oszalały, wiatr szumiał w koronach drzew. Spojrzała w górę. Czubki świerków ruszały się na tle nieba.

– Ty skurwysynu – powiedziała. – Ty jebany skurwysynu.

Twarz ojca stanęła jej przed oczami. Niewyraźna, taka jaką widziała ją ostatni raz, parę lat temu w Warszawie. Ale ją załatwił. Po tym wszystkim, czego dla niej nie zrobił, po tym całym jej życiu, w którym nie był obecny, zafundował jej na koniec takie coś. Trzeba być naprawdę złym rodzicem, żeby tak się zachować.

Opuściła głowę. Patrzyło na nią dwoje oczu. Dwoje dużych, brązowych, okolonych długimi, czarnymi rzęsami oczu. Pięknych, niewinnych, czujnych, choć spokojnych. Sarna, nie, jednak łania, bo na sarnę to

zwierzę było za duże, wychylała swoją łabędzią, płową szyję zza jednego z drzew w oddali.

Poczuła nagle wielki, irracjonalny strach, że ktoś zaraz coś zwierzęciu zrobi. Że za którymś z innych drzew czai się myśliwy z bronią, który właśnie teraz składa się do strzału. Przypomniała sobie tamto pierwsze zwierzę rozwieszona na drzwiach garażu.

– Uciekaj! – krzyknęła. – Uciekaj stąd!!!

Łania zniknęła. W sekundzie jednej odwróciła się i odbiegła. Uratowała ją, tak, uratowała.

Usiadła na ziemi, na cieplej po ostatnich upałach ściółce. Zaczęła płakać, nikt jej tu przecież nie widział.

W końcu jednak przestała. Wyjęła z torebki lusterko i nawilżane chusteczki i doprowadziła się do ładu. Makijaż całe szczęście nie spłynął. Ten tusz do rzęs, który ostatnio kupiła, był naprawdę dobry.

Wstała i wróciła do samochodu. Przełożyła torbę z bandażami do bagażnika. Obok niej zostawiła wszystkie znalezione dowody. Usiadła za kierownicą. Co teraz? Został jeszcze ten trzeci, Radek. Zamiast się mazać, powinna sprawdzić jeszcze ten trop.

Podniosła szyby, włączyła klimatyzację i odpaliła silnik. Gdzie on mieszkał? Gdzieś za sklepem spółdzielni. Na nowym osiedlu, które już od kilkadziesiąt lat nie było nowe. Przed jego domem miały stać stare samochody.

Ruszyła. Jazda zajęła jej nie więcej niż dziesięć minut. Dojechała do sklepu spółdzielni i skręciła w pierwszą ulicę za nim. Przez jakiś czas krążyła między domami, zupełnie innymi tutaj niż w tej części miejscowości, gdzie stał jej rodzinny dom. Betonowe kostki charakterystyczne dla architektury PRL-u ustawione były w równych rzędach. Niektóre odnowione, a nawet przebudowane, pokryte spadzistymi, czerwonymi dachami, inne pozostały w swojej pierwotnej, kanciastej, brzydkiej, poszarzałej od starości formie. W końcu odnalazła ten, którego szukała. Faktycznie stały przed nim stare samochody. Dwa były przykryte brezentowymi płachtami, trzy rdzewiały niezabezpieczone niczym. Dwa mercedesy i jedno audi. Wszystkie co najmniej trzydziestoletnie.

Zatrzymała się nieco dalej, nie przed samym domem. Wysiadła i podeszła do płotu. Sztachety w nim były nowe, nieco zbyt gęsto rozmieszone, lśniące świeżym lakierem. Furtki jeszcze nie było, weszła więc na podwórko. Dom wyglądał bardzo specyficznie. Widać było, że kiedyś jego właściciele mieli faktycznie więcej pieniędzy od innych, ale na pewno nie było tak już teraz. Balustradki na balkonach były fantazyjne, naśladujące formą te, które widuje się w pałacach. Szczyt domu zwieńczony był czymś w rodzaju attyki, stanowiącej pomniejszoną, betonową wersję tej, która zdobi Sukiennice w Krakowie.

Podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Po chwili otworzył jej mężczyzna. W półmroku, w którym stał, widziała tylko, że jest raczej młody i nieogolony.

– Dzień dobry – powiedziała. – Szukam rodziców Radosława Markiewicza.

– Czyżbym przeszkrobał coś w szkole? – usłyszała ironiczne pytanie.

– Nie bardzo rozumiem – odpowiedziała.

– Ja nazywam się Radosław Markiewicz. O co chodzi?

Kolejna niespodzianka. Powinna się przyzwyczać. Ciekawe, czy było widać na jej twarzy, jak bardzo jest zaskoczona.

– Prokurator Gabriela Seredyńska – przedstawiła się. Postanowiła podeprzeć się swoją nieaktywną funkcją, nie zważając na ryzyko, że Niedźwiedzki dowie się o tym i wykorzysta przeciw niej. – W zasadzie to chciałabym porozmawiać z panem.

– W jakiej sprawie? – Mężczyzna ciągle trzymał się za granicą cienia.

– W sprawie pańskiego zaginięcia – odpowiedziała.

Chwila milczenia, potem dźwięk wypuszczanego powietrza przez nos.

– Myślałem, że wszystko już zostało ustalone – usłyszała. – Wałkowaliśmy ten temat wielokrotnie.

– Kto „my”? – spytała.

– Ja i wy, prokuratura – odparł.

– Z kim konkretnie pan ten temat wielokrotnie wałkował?

– Z prokuratorem Niedźwiedzkim.

Jakoś jej to nie zdziwiło.

– Mimo wszystko chciałabym to od pana usłyszeć jeszcze raz.

Weszła przez drzwi, nie zważając, że on ciągle w nich stoi.

– Jesteście gorsi niż świadkowie Jehowy – mruknął, odsuwając się na bok. – Oni przynajmniej nie wchodzą, gdy ich się nie zaprasza.

Zamknął za nią drzwi.

– Gdzie moglibyśmy porozmawiać? – spytała.

– W kuchni – odpowiedział. – Matka jest chora i śpi. Wolalbym jej nie przeszkadzać.

– A ojciec?

– Pracuje – odparł. – Podobno. W każdym razie wychodzi rano i wraca wieczorem. A potem przynosi pieniądze.

– W niedzielę? – zdziwiła się.

Wzruszył ramionami.

– Czasami także w niedzielę. Jego weekendy nie do końca pokrywają się z naszymi.

Weszli przez kolejne, wewnętrzne drzwi do środka. Kuchnia była od razu po prawej stronie. Widać z niej było ulicę i jej samochód zaparkowany nieco dalej. Usiadła przy stole, nie czekając na zaproszenie.

– Nie musi mi pan proponować herbaty lub kawy – powiedziała. – Ale wody bym się napiła.

Wyjął szklankę z szafki i nalał jej wody prosto z kranu. Potem postawił przed nią na stole. Z odrobinę za dużym stuknięciem.

– Proszę – powiedział. W przeciwieństwie do niej ciągle stał.

– Niech pan usiądzie – poleciła. – Przyjemniej się wtedy rozmawia.

– Widzę, że trzymają się pani dowcipy – odpowiedział. – Prokurator Niedźwiedzki nie jest aż tak zabawny – dodał ponurym tonem.

Ale usiadł.

Rzeczywiście był niewysoki i szczupły, tak jak go opisywał Kuryłowicz, lecz wyglądał na znacznie starszego niż swoje dwadzieścia jeden lat. Wieku dodawał mu na pewno zarost, ale też wyraz twarzy – zmęczony i pozbawiony choćby cienia radości, jakby przed chwilą ktoś mu umarł.

Napiła się wody, by dać sobie czas na zastanowienie, jak poprowadzić rozmowę z tym tak nieoczekiwanym świadkiem. Siedział przez ten czas nieruchomo, wpatrzony bez mrugnięcia w jeden punkt nie wiadomo gdzie.

– Czyli jednak pan nie zaginął? – zagała.

Spojrzał na nią obojętnie.

– Czasami żałuję – odpowiedział.

– Dlaczego?

– Syndrom ocalonego. – Wzruszył ramionami. – Ten, który przetrwał, zaczyna z czasem myśleć, że wyszedł na tym gorzej od tych, którym się nie udało.

– Pana znajomi też przecież się odnaleźli – zauważyła. – Po prostu wyjechali.

– Tak, tak, zapomniałbym. – Uśmiechnął się cierpko. – Prokurator Niedźwiedzki też mi to w ten sposób tłumaczył.

– Pan uważa, że jest inaczej? – spytała.

Nie podniósł wzroku.

– Nic nie uważam – powiedział. – Wszyscy jesteśmy wdzięczni za okazaną nam pomoc. Nikt w końcu by nie chciał mieć ojca w więzieniu.

Popatrzyła na niego uważnie.

– Prokurator Niedźwiedzki zaproponował taki układ? – spytała. – Odpowiednie zeznania w zamian za umorzenie?

Odwzajemnił jej spojrzenie.

– A pani to w ogóle skąd jest? – spytał. – Bo myślałem, że od niego.

– Nie, nie od niego – odpowiedziała. – Nie jestem z nim w żaden sposób związana. Dlatego bardzo mnie ciekawi umowa, którą zawarliście.

Zmarszczył brwi.

– Jakiś wydział wewnętrzny czy coś w tym stylu? – zapytał.

– Coś w tym stylu – odparła. Wydział samotnych mścicieli i jeźdźców znikąd, pomyślała z ironią. – Mnie może pan w każdym razie powiedzieć prawdę.

Uśmiechnął się krzywo, jakby powiedziała nieśmieszny dowcip.

– I wsadzić ojca do więzienia? – dopowiedział. – Oraz pozbawić rodzinę środków do życia?

Mogłaby skłamać, że proponuje mu taki sam układ, jak Niedźwiedzki, ale nie zrobiła tego. Nie wiedziała, o co jego ojciec był podejrzewany, więc nie była pewna, czy mogłaby to zrobić, nawet pełniąc funkcję prokuratora w swoim rejonie.

– I zrzucić z duszy ten ciężar, który pana gniecie – powiedziała zamiast tego.

Spojrzał na nią przeraźliwie smutnym wzrokiem.

– Kusząca propozycja – opowiedział. – Zwłaszcza że nie za bardzo ich lubię. Dwójka przegrywów, próbujących kombinowaniem i oszustwem osiągnąć to, co inni osiągają przedsiębiorczością i ciężką pracą. I mających do mnie wieczne pretensje, że nie idę ich śladem. Całkiem fajnie byłoby się od nich uwolnić.

Poczuła się jak enkawudzista namawiający czternastoletniego Pawlika Morozowa do donosu na rodziców. Cóż, miała jednak nadzieję, że jej też się uda.

– Jeśli już mówimy o uwalnianiu – podchwyciła. – Wie pan, gdzie są obecnie Sandra i Miłosz?

Odwrócił wzrok.

– Nie, nie wiem – odpowiedział.

Zabrzmiało to niestety szczerze.

– A wie pan przynajmniej, czy żyją? – spytała.

Rzucił jej krótkie spojrzenie. Było w nim sporo bólu.

- Aktualnie nie mam z nimi żadnego kontaktu - odparł. - A więc nie, tego też nie wiem.

Był ostrożny. Starał się nic nie powiedzieć, ale tak, by można się było domyślić prawdziwej odpowiedzi. To jednak znaczyło, że chciał mówić, chciał jej powiedzieć prawdę, wystarczyło tylko mu pomóc.

- A wie pan, że Sandra jest, czy też była, moją przyrodnią siostrą? Właśnie się tego dowiedziałam. To więc dla mnie dość osobista sprawa - powiedziała.

Tym razem spojrzenie, którym ją obdarzył, było znacznie dłuższe.

- Przejebane - skomentował.

Właśnie, przejebane, pomyślała. Że też wcześniej nie wpadła na to jakże trafne określenie.

- Kochał się pan w niej? - spytała.

Coś w wyrazie jego oczu podpowiedziało jej, że dotknęła odpowiedniego punktu.

- Może trochę - odparł.

Akurat, trochę. Był w niej zadurzony po uszy.

- A więc dla pana to również osobista sprawa - stwierdziła.

Po jego twarzy przemknął bolesny skurcz.

– Wie pani – powiedział. – Często wyobrażałem sobie, że jest w niebezpieczeństwie, a ja ją ratuję. Wcześniej, przed tym wszystkim. A gdy naprawdę miałem taką możliwość, okazało się, że nie jestem w stanie. Nie było tak, jak w tych fantazjach. Nawet gdybym okazał się tamtą odwagą i dzielnością, nic by to pewnie nie dało. Ale nie byłem odważny, byłem przerażony. Pewnie bym zgodził się poświęcić jej życie, byleby tylko ocalić własne. Całe szczęście nie musiałem. Szkoła, którą razem kończyliśmy, nie przygotowywała mnie do dokonywania takich wyborów. Może dlatego wybrałem strachliwie. I do tej pory to robię. Wie pani, że mój ojciec dostał potem pracę? – Zaśmiał się nagle. – Zamiast do pierdła poszedł na etat. Zabawne, co? I to w zasadzie dzięki mnie.

Był złamany i załamany. Poczula nawet coś w rodzaju pogardy. Pogardy dla słabego, który nie dał rady, odczuwanej przez kogoś, komu wydaje się, że on by dał. Wiedziała, jak złudne i kłamliwe jest to poczucie wyższości, postanowiła jednak uczynić z niego swoją broń. Może to zresztą wszystkie negatywne emocje, które skumulowały się w niej przez ostatnie dni, znalazły wreszcie swoje ujście i obrały na ofiarę tego biednego młodego człowieka?

– No pięknie, chłopczyku – skomentowała. – Wspaniale cierpisz i bardzo mi ciebie żal, ale to raczej nie posunie nas do przodu.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Gównu mnie obchodzi, co czujesz – powiedziała twardo. – Chcę się dowiedzieć prawdy. Masz całą resztę życia na takie mazgajenie, teraz po prostu mi powiedz, co się tam stało. Bo jeśli tego nie zrobisz, zrozumiesz już wkrótce, że prokurator Niedźwiedzki nie jest twoim największym problemem. Wsadzę do pierdła nie tylko twojego ojca, ale i ciebie. A tam już załatwią cię tak, że nawet te brzydkie baby, na które masz jeszcze ciągle szansę, nie będą chciały na ciebie spojrzeć.

Chyba przesadziła, ale naprawdę już jej się ułało. Była zirytowana, zdesperowana, zmęczona i wkurwiona. A on był jedyną osobą, na której mogła się wyżyć.

Jego oczy rozszerzyły się z niedowierzania i przerażenia. Była piękną kobietą, a on był młodym mężczyzną z ewidentnie niezbyt jeszcze ogarniętym życiem erotycznym. Siła oddziaływania takiego wdeptania go w ziemię w jej wykonaniu musiała być ogromna. Aż zrobiło jej się go żal.

– Poza tym twoja ukochana i twój przyjaciel być może właśnie teraz potrzebują pomocy – dodała znacznie już łagodniej. – Masz szansę im pomóc i odkupić swoje winy. Zostać tym razem rycerzem na białym koniu. Za drugim podejściem, ale zawsze. Wykorzystaj to. Daję ci tę możliwość. Nie funduj sobie reszty życia z wiecznym poczuciem winy.

To połączenie łomotu i rozmowy motywacyjnej chyba zadziało. Zobaczyła, jak się poddaje. Był jej, jak świeżo ujeżdżony młody koń.

– Co pani chce wiedzieć? – powiedział.

To akurat było proste pytanie.

– Chcę wiedzieć, co się wydarzyło, dlaczego Sandra i Miłosz zaginęli, dlaczego oni nie wrócili, a ty tak i jaki to ma wszystko związek z Damianem – wyrecytowała.

Pokiwał głową.

– W zasadzie to wszystko przez Sandrę – powiedział.

– Dlaczego przez nią? – spytała.

– Wszycyśmy się w niej kochali – odpowiedział. – Ja, Miłosz i ten głupek Damian. Ja wiedziałem, że nie mam szans, więc w sumie miałem najłatwiej, Miłosz czuł, że może wygrać, i strasznie się przez to miotał,

a Damian nie wiadomo dlaczego sądził, że Sandra jest właściwie jego.

– Dlaczego tak uważał? – spytała.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Bo był głupkiem – odpowiedział. – Bo był bogaty z domu, miał motor i uważał, że świat stoi przed nim otworem. I że tylko kwestią czasu jest, jak zrobi wielką karierę, zostanie sławny i bogaty, a dziewczyny będą same wchodziły mu do łóżka. Nie bardzo miał pomysł, jak do tego doprowadzić, prawdopodobnie myślał, że stanie się to samo, tylko dlatego, że jest taki zajebisty. Był do tego dwa lata od nas starszy, oczywiście więc dla niego było, że Sandra, biedaczka z patologicznego domu, która jeszcze niedawno była klasowym popychadłem, powinna pisać z zachwytem, że taki ktoś zwrócił na nią uwagę.

– Rozumiem, że nie piała? – domyśliła się.

– Sandra była... – zawiesił głos, jakby szukał odpowiedniego słowa – bardzo specyficzna. Jednocześnie krucha i twarda, bezwzględna i niewinna, marzycielska i aż za mocno stąpająca po ziemi. Miała w sobie coś z menelicy, zapewne po matce, życie ją nauczyło strachu i tego, żeby wysoko trzymać gardę i atakować zawsze z wyprzedzeniem. Ale jednocześnie była delikatna, dobra, pełna nadziei i czasem dość mocno nierealnych planów. Zwodziła go, mamiła, bawiła się nim, wykorzystywała chwilami bardzo cynicznie. Zresztą nami wszystkimi się bawiła. Jakby odgrywała się trochę za te wszystkie wcześniejsze upokorzenia. Byliśmy jej dworem, jej bandą, a ona faworyzowała raz Damiana, raz Miłosza, w zależności od tego, jak jej się aktualnie podobało.

– Rywalizowali ze sobą? – spytała.

– I to bardzo. – Uśmiechnął się. – Jak dwa koguciki skaczące sobie do oczu i stroszące piórka. Pewnie zachowywałbym się tak samo, gdybym miał choć odrobinę nadziei, że coś z tego będzie – dodał. – Różnica między nimi była tylko taka, że Miłosz naprawdę miał szansę, a Damian zupełnie nie.

– Dlaczego?

– Sandra mówiła, że jest pojebem.

– Był?

– Jak się później okazało, tak.

Jego twarz ściągnęła się po tych słowach.

– W jaki sposób się to okazało? – spytała.

– W pewnym momencie zaczął ją traktować jak swoją własność – odpowiedział. – Zabraniać jej różnych rzeczy, inne nakazywać, kupować ubrania, w których miała chodzić, grozić Miłoszowi. Mówił, że jego ojciec jest w jakimś kręgu i że on też wkrótce do niego dołączy, a kiedy to się stanie, on sprawi, że ojca Miłosza wyrzucą ze szkoły, a potem z mieszkania i będą musieli wyjechać, chociaż akurat użył innego sformułowania.

– Jakim kręgu? – To słowo zadźwięczało w jej uszach jak coś jednocześnie znanego i nieznanego.

– Nie wiem – odparł. – Ale mówił, że ten krąg tu wszystkim trzęsie i kto mu podpadnie, jest skończony. I że podobno już nawet kogoś zabił.

- Zabił? – powtórzyła. Ktoś po raz pierwszy to przy niej powiedział. Uświadomiła sobie jednak, że nie mogło tu chodzić o jej ojca. Ta rozmowa odbyła się, gdy on jeszcze żył.

- Tak powiedział Miłozowi, gdy Sandra ich nie słyszała. Pewnie go chciał wystraszyć.

- Czy Damian należał do koła łowieckiego? – spytała.

- Jeszcze nie, ale był na stażu. Bardzo się tym chwalił.

Wszystko zaczynało się z sobą łączyć. Jeszcze tylko nie wiedziała, jak konkretnie.

- Jak Sandra reagowała na takie jego zachowanie?

- Śmiała się z niego za jego plecami. Oboje z Miłozem się z niego wyśmiewali.

- Powiedział jej o tych groźbach?

- Tak. – Kiwnął głową. – Ale nie potraktowała tego poważnie. Mówiła, że Damian wyobraża sobie na swój temat Bóg wie co, ale jest tylko głupim, rozpieszczonym dzieciakiem. Uważała, że jest od niego sprytniejsza i że go kontroluje. Myślę, że chciała go wykorzystać. I to dlatego ignorowała sygnały ostrzegawcze.

- Wykorzystać w jaki sposób? – spytała.

- Wyciągnąć od niego pieniądze. Chciała iść na studia, ale nie tu, do Olsztyna, tylko do Warszawy. Potrzebowała na to środków, przynajmniej na początek. Pracowała trochę dorywczo, zwłaszcza w wakacje, ale niewiele to przynosiło. A ojciec Damiana ma pensjonat. I tylko jednego syna. Zawsze dawał mu wszystko, czego tamten zażądał. Więc wymyśliła sobie, że to jedyny i najprostszy sposób.

- Wie pan, w jaki sposób chciała to zrobić?

- Nie do końca. – Pokręcił głową. – Spiskowali na ten temat razem z Miłozem, mnie do tego nie dopuszczali. Ale ja zawsze widzę i słyszę więcej, niż się ludziom wydaje. Mam tak od dziecka. Myślę, że chciała wmówić Damianowi wielką miłość, na którą nie zgadza się jego ojciec, a więc jedyną opcją jest wspólna ucieczka. Takie romantyczne bzdury, ale Damian to łykał, bo to było bardzo w jego stylu. Był mitomanem, nie takie rzeczy na swój temat wymyślał. Zresztą jego ojciec faktycznie nie cierpiał Sandry, uważał, że jest z marginesu, i nie chciał, by Damian się z nią spotykał, więc pod tym względem to się zgadzało. Plan był, jak sądzę, taki, że Damian ukradnie swojemu ojcu pieniądze, da je Sandrze, a ona ucieknie, tylko nie z nim, ale z Miłozem. Chyba, że jego też zwodziła i chciała wyjechać sama, to też wydaje mi się prawdopodobne. Coś jednak poszło nie tak.

- Co poszło nie tak?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że to nie wypaliło i to chyba przez Miłozę, przynajmniej Sandra tak uważała, bo mu powiedziała, żeby spierdalał, bo jest gówniarzem, który wszystko psuje. Może się wygadał, a może, nie wiem, za bardzo kozaczył i Damian się zorientował? Mogę się tylko domyślać. W każdym razie wszystko się wtedy posypało, przestaliśmy się w ogóle spotykać, bo Sandra powiedziała, że nie chce nas znać, chociaż ja przecież nic nie zrobiłem. No a potem był ten wypadek – zakończył.

- Damiana? – spytała.

- Tak, Damiana.

- Któraś z nich, Sandra albo Miłoz, miała z tym coś wspólnego? – domyśliła się.

Popatrzył na nią wzrokiem o głębi znacznie przekraczającej poziom zwykłego dwudziestolatka.

- W pewnym sensie – odpowiedział. – Myślę, że to przez nich się rozwalił.

- Co pan ma na myśli? – spytała.

- Jak się potem okazało, jego wypadek miał miejsce wieczorem tego samego dnia, w którym rozmawiał z Sandrą i Miłoszem. Dowiedzieliśmy się o nim dopiero kilka dni później, bo najpierw Damian leżał dwa dni ranny gdzieś w lesie, a potem też ta informacja nie od razu do nas dotarła. Ale to było wtedy. Myślę, że zdenerwował się po tej rozmowie, wściekł pewnie, wsiadł na motor i bam! Chwila dekoncentracji, głowa zajęta czym innym i gotowe.

- Tak czy tak był to wypadek - zauważyła.

- Ale sprowokowany przez nas - odparł. - Ponosimy za niego winę. Damian był ostrożny, wręcz przewrażliwiony na punkcie własnego zdrowia i bezpieczeństwa. Jeździł tym swoim motorem wolno, w zasadzie tylko na pokaz, żeby zaszpanować. Nie był typem, który rozpędza się do dwustu na godzinę, żeby poczuć adrenalinę. A tu właśnie tak zrobił. Wyjechał po zmroku, rozpędził się i wypadł z zakrętu. Myślę, że się zakochał. Na swój porąbany, chory sposób, ale naprawdę. Kontrolował Sandrę i groził Miłoszowi, bo był pojebem, ale ją kochał i myślał, że ona jego też. Więc gdy się dowiedział, jaka jest prawda, świat mu się zawalił na głowę. I w tym stanie zrobił coś, czego nigdy nie zrobiłby normalnie.

- W porządku - powiedziała. - Przyjmijmy, że tak było, chociaż nie jest to w tym momencie najważniejsze. Co było dalej?

- Nic - odpowiedział. - Przez bardzo długi czas nic. Damian był w szpitalu, a myśmy się do siebie tym bardziej nie odzywali. Bardzo to nami wszystkimi wstrząsnęło, czuliśmy się winni. Gdy spotykaliśmy się przypadkiem, unikaliśmy swojego wzroku. Sandra wyglądała jak cień samej siebie, Miłosz też był w rozsypce. Nawet ja, mimo że w sumie nie byłem niczemu winny, czułem się fatalnie.

- No dobrze - powiedziała. Już ją zaczęła irytować ta nieco przydługa opowieść, pełna domorosłego psychologizowania. - Chodźcie sobie tak, smucicie się i co się potem dzieje?

- Mniej więcej po miesiącu wrócił Damian - odparł. - Ojciec go zabrał ze szpitala, bo uznał, że skoro nie ma już zagrożenia życia, to lepiej mu będzie w domu. I wtedy się zaczęło.

- Co się zaczęło?

- Trudno to wytłumaczyć - powiedział. - Czuliśmy jego obecność. Jakby się na nas uwziął i chciał się zemścić.

- W jaki sposób? - spytała.

- Żaden konkretny. Po prostu był tam i ta świadomość nas przygniatała. Oraz myśli, że to wszystko przez nas. A potem przyszedł jego ojciec i powiedział, że Damian chce z nami porozmawiać.

- Zgodziliście się?

- Miłosz stwierdził, że ni chuja. Ale Sandra powiedziała, że musimy iść, bo jesteśmy mu to winni. Spotkaliśmy się wtedy po raz pierwszy od miesiąca, żeby to omówić.

- I poszliście?

- Tak, poszliśmy.

- I jak to wyglądało? - spytała.

- Damian leżał na łóżku w jakimś pokoju na górze pensjonatu. Nie ruszał się, tylko patrzył na nas. To było naprawdę straszne. - Głos Markiewicza niemal się załamał.

Wyobraziła to sobie. Trójka przerażonych dzieciaków ze świadomością tego, że ich głupie intrygi doprowadziły ich kolegę do takiego stanu. Pewnie po raz pierwszy widzieli sparaliżowanego człowieka. Już sam ten widok musiał być dla nich okropny.

- Czegoś od was chciał?

- Nie, tylko patrzył. Jego ojciec wyjaśnił nam, że kupił mu specjalny system umożliwiający porozumiewanie się, ale Damian dopiero się uczy go stosować.

- Stary Kutera coś mówił?

- Niewiele. Wydawał się przytłoczony tym wszystkim. Dziękował nam, że przyszliśmy.

- Czyli nic nie wiedział? - spytała.

- Wyglądało na to, że nie - odpowiedział. - W jakiś sposób to było jeszcze gorsze. Pewnie uważał nas wciąż za najlepszych przyjaciół swojego syna.

- Co było dalej?

- W zasadzie nic. Postaliśmy trochę, Kutera nam opowiedział o wypadku; o tym, że przez dwa dni odchodził od zmysłów, bo nie wiedział, gdzie jest jego syn; o tym, jak go przypadkiem znalazł i że to cud w ogóle, że Damian przeżył, ale tak długa zwłoka w trafieniu do szpitala spowodowała nieodwracalne zmiany... Słuchaliśmy tego jak najgorszej tortury. A potem, no cóż, trzeba było się zbierać. Powiedzieliśmy „trzymaj się, Damian” i „wszystko będzie dobrze”, choć oczywiście wiedzieliśmy, że nic, kurwa, nie będzie dobrze i chcieliśmy już wyjść, ale wtedy na ekranie, tym koło łóżka, który miał służyć do jego komunikacji, pojawiły się słowa.

- Jakie to były słowa?

- Tylko dwa: „Sandra” i „jutro”. A chwilę potem znak zapytania. Chciał, żeby Sandra przyszła do niego następnego dnia.

- Co ona na to? - spytała.

- Zgodziła się. Powiedziała, że przyjdzie. Spojrzałem na nią, miała łzy w oczach. Nie mogła mu odmówić.

- I przyszła?

- Tak. - Kiwnął głową. - I następnego dnia, i jeszcze następnego, zaczęła do niego chodzić codziennie. Miłosz zaczął się w końcu o to wściekać, mówił mi, bo zaczęliśmy się znowu spotykać, że Sandra przesadza, że nie zrobiliśmy w sumie nic złego, nie myśmy w końcu spowodowali ten wypadek, sam wsiadł na motor i się rozpieprzył, myśmy go tylko zdenerwowali, ale ludzie przechodzą przecież gorsze rzeczy i nie rozwalają się później na drzewach, a poza tym to pewnie zrobił to specjalnie, żeby się na nas zemścić, żeby nas teraz dręczyć i żeby dostać z powrotem Sandrę.

- Był zazdrosny? - domyśliła się.

- Coraz bardziej - potwierdził. - Zwłaszcza że Sandra znowu się od nas odsunęła, chodziła tam tylko ciągle, przesiadywała coraz dłużej i całkiem tam wsiąkała. Jak ją kiedyś spotkałem, powiedziała mi, że ojciec Damiana ją teraz zupełnie inaczej traktuje i że czuje się, jakby wreszcie miała normalny dom. Powiedziałem jej, że to trochę pojebane, a ona mi na to, żebym spierdalał. I tak się skończyła nasza rozmowa. A parę dni potem zniknęła.

Nareszcie coś, pomyślała Seredyńska. Niemal ucieszyła się, gdy to usłyszała.

– W jaki sposób się to okazało? – spytała.

– Miłosz chciał z nią porozmawiać – odpowiedział. – Mieli coś wspólnie zaplanowane, chyba w związku ze studiami, i chciał się dowiedzieć, czy po tym wszystkim to ciągle aktualne, bo nie odpowiadała na jego wiadomości. Poszedł do jej domu i tam się dowiedział, że Sandry nie było od dwóch dni. Jej matka trochę się zdziwiła, gdy sobie to uświadomiła. Miłosz się na początku wściekł, bo pomyślał, że Sandra zaczęła zostawać u Damiana na noc, chociaż w sumie nie bardzo wiadomo, co miałyby tam robić, ale jak pojechał do pensjonatu, to Kutera mu powiedział, że u nich jej też od dłuższego już czasu nie było. Zadzwoił wtedy do mnie i zaczęliśmy jej szukać. Normalnie, telefony do znajomych, policja, pogotowie, ale nic to nie dało. Więc zmusiliśmy jej matkę, żeby zgłosiła zaginięcie.

– Nie chciała tego zrobić? – spytała.

– Mówiła, że Sandra się na pewno znajdzie, że wróci, ale jak spyaliśmy, czy wcześniej już tak znikiała, odpowiedziała, że nie. Chyba po prostu bała się pójść na policję.

– Jak policja zareagowała na zgłoszenie?

– Nie za bardzo się nim przejęli. – Wzruszył ramionami. – Wiedzieli, z jakiego domu Sandra pochodzi, chyba po prostu uznali, że poszła w długą. Widziałem, jak uśmiechali się do siebie ukradkiem, gdy tam byliśmy. Nie wiem, czy w ogóle cokolwiek zrobili.

Typowe, pomyślała Seredyńska. Policjanci dość często, a już zwłaszcza w takich małych komisariatach, idą po linii najmniejszego oporu. Jak ktoś wisi, to na pewno samobójca, po co sprawdzać inne możliwości? A jak zniknęła młoda dziewczyna i to z niezbyt dobrego domu, to na pewno uciekła. Częściowo wynika to z przemęczenia i zawalenia robotą, a częściowo z nadmiernego zaufania pokładanego we własnym ograniczonym doświadczeniu.

– Matka Sandry mówiła mi, że jej córka miała się z kimś spotkać i to po tym spotkaniu nie wróciła – stwierdziła. – Nie wie pan, kto to mógłby być?

– Nie – odpowiedział. – Nam też to mówiła i też o to pytaliśmy, ale nie wiedziała. Nie wiedziała nawet, że Sandra chodziła ostatnio prawie codziennie do Damiana. Zdaje się, że Sandra niewiele jej opowiadała.

– I co było dalej? – spytała.

– Nic – odparł. – Przez bardzo długi czas nic. Tak jakby wszyscy przeszli nad jej zniknięciem do porządku dziennego. W pewnym sensie nawet my zaczęliśmy się do tego przyzwyczajać. Życie toczyło się własnym rytmem. Zresztą nie wiem, może Miłosz bardziej to przeżywał. Trudno mi powiedzieć, bo znowu przestaliśmy się kontaktować, chyba nawet się unikaliśmy.

– Ale jak rozumiem, to nie był koniec – powiedziała.

– Nie – odpowiedział. – Potem nastąpiło coś dziwnego.

– Co? – spytała.

– Odezwała się Sandra.

Uniosła brwi.

– W jaki sposób? – spytała.

Wbił wzrok gdzieś w przestrzeń przed sobą.

– Odtwarzałem ten wieczór w głowie pewnie ze sto razy – powiedział. – Raz za razem, wręcz obsesyjnie.

– W takim razie proszę to zrobić po raz sto pierwszy – odparła nie bez odrobiny sarkazmu. Mógłby się trochę bardziej streszczać.

Spojrzał na nią.

– Sęk w tym, że nie do końca wiem, co się wtedy stało – stwierdził.

– Niech więc opowie pan wszystko, co pan pamięta, a ocenę zostawi mnie.

Skinął głową, przez chwilę jednak nic nie mówił. Musiała się powstrzymać, żeby nie zacząć bębnić palcami po stole. Opowieść zbliżała się do kulminacyjnego punktu, a ona bardzo chciałaby go poznać. Może w końcu dowie się czegoś konkretnego.

– Któregoś dnia, zupełnie niespodziewanie, zadzwonił do mnie Miłosz – zaczął wreszcie. – Było już późno, po dwudziestej trzeciej, siedziałem więc w swoim pokoju i szykowałem się powoli do spania. Zdziwiłem się bardzo, bo raz, że dawno nie mieliśmy ze sobą kontaktu, a dwa, że Miłosz dzwoni, a nie pisze, bo zazwyczaj tak się porozumiewaliśmy. Nie odebrałem, bo matka bardzo nie lubi, jak ktoś dzwoni o tej porze i rano na pewno by miała o to pretensje i wypytywała, o co tak ważnego chodziło, że ktoś nie mógł wytrzymać i dobijał się do mnie po nocy.

Do sedna, pomyślała Seredyńska.

– Telefon miałem całe szczęście wyciszony, więc poczekałem, aż skończy dzwonić, i wysłałem mu wiadomość z pytaniem, o co chodzi – kontynuował. – Nie odpisywał bardzo długo, chyba z pół godziny, a kiedy wreszcie to zrobił, napisał, że idzie się spotkać z Sandrą. „Jak?”, „gdzie?”, zasypałem go od razu pytaniami. Byłem w kompletnym szoku. Znowu długo się nie odzywał, a potem napisał, że wysłała mu snapa, czyli wiadomość na Snapchacie – wyjaśnił, jakby Seredyńska była zbyt stara, żeby to wiedzieć – że muszą porozmawiać i żeby przyszedł nad jezioro.

– Ma pan te wiadomości? – spytała.

– Nie. – Pokręcił głową. – Miłosz też je pisał na Snapchacie, pewnie z rozpędu, bo był już w tej aplikacji, a tam wszystko znika po dziesięciu sekundach od odczytania. – Spojrzał na nią, jakby chciał się upewnić, że rozumie.

– Wiem, co to jest Snapchat – poinformowała go z lekką irytacją.

– No to go spytałem, gdzie mają się spotkać. Wtedy mi wysłał pinezkę ze współrzędnymi GPS.

– Wiem, co to jest pinezka – powiedziała na wszelki wypadek.

– Sprawdziłem, gdzie to jest – mówił dalej. – Chodziło o punkt po drugiej stronie jeziora. Nie po tej, gdzie jest pomost i plaża, tylko na przeciwnym brzegu, pod lasem.

Znała to miejsce. Było najbardziej oddalone od wszelkich zabudowań i w nocy najciemniejsze.

– Poszedł tam pan? – domyśliła się.

Skinął głową.

– Biłem się z myślami – powiedział. – Ale nie mogłem nie pójść. Chodziło w końcu o Sandrę. O Sandrę, która zniknęła, a teraz się odnalazła, sama to pani rozumie. Ubrałem się, miałem całe szczęście jakieś buty w szafie w pokoju, otworzyłem okno, przeszedłem na zewnętrzną stronę balkonu, chwyciłem się tych

kretyńskich betonowych słupków w barierce i jakoś opuściłem się na dół. Sam nie wiem teraz, jak to zrobiłem. Starłem się być cicho, żeby nikt mnie nie usłyszał. Na dole napisałem Miłoszowi, że też idę, ale na to mi już nie odpowiedział. Zanim doszedłem na miejsce, minęło znowu ponad pół godziny, bo stąd to wcale nie tak blisko, chociaż się bardzo spieszyłem. Ciemno było tam strasznie, bo noc była pochmurna, a po tej stronie jeziora nie ma żadnych latarni, mimo że jest tam niby ścieżka spacerowa i stoją nawet ławeczki. Miłozza nigdzie nie było, że już nie wspomnę o Sandrze, zacząłem ich szukać, potem wołać, najpierw cicho, a później głośno. Nic. I wtedy wydało mi się, że usłyszałem krzyk. Z góry, ze skarpy nad jeziorem, tam, gdzie rośnie las. Jest tam taka dzika ścieżka, bardzo stroma, gdyby nie korzenie drzew, trudno byłoby nią wejść. No to poszedłem tam, wspiąłem się na górę, ledwo co widziałem, bo w lesie było jeszcze ciemniej. W szczycie skarpy była polna droga, po jej drugiej stronie są już pola, w zasadzie ugory zarośnięte takimi chwastami po szyję. Wiem, bo tam wcześniej wiele razy chodziłem, nie dlatego, że coś wtedy widziałem. Ta droga biegnie potem takimi zakosami aż do tego dużego komunalnego cmentarza, wie pani którego. I na jej końcu, gdzieś już pod drugim lasem, błysnęło jakieś światło. Ale tylko na chwilę, jakby ktoś je zapalił niechcący i zaraz zgasił. Poszedłem w tamtą stronę.

Zamilkł, jakby zbierał siły do opowiedzenia reszty tej historii. Spojrzenie miał wbite w podłogę. Postanowiła mu nie przeszkadzać.

- Nie wiem, co sobie wtedy wyobrażałem, chyba, że oni tam są - zaczął znowu. - Że któreś zapaliło może papierosa, mimo że żadne z nich nie paliło, albo że przez przypadek włączyli latarkę w komórce. Zignorowałem wszystkie sygnały ostrzegawcze: i tego Snapchata, mimo że Sandra rzadko go używała, bo wołała zwykłego Messengera; i ten krzyk, może dlatego, że nie brzmiał jakoś strasznie dramatycznie i był dość cichy i odległy. Lałem tam całkiem bezmyślnie, bo tak byłem zafiksowany na myśli, że stoi tam Sandra i że już sobie rozmawia z Miłoszem. Może po prostu byłem o niego zazdrosny i nie chciałem, by spotykała się tylko z nim? Spieszyłem więc, by im przerwać tę ich miłosną, wyobrażoną przeze mnie schadzki...

- Rozumiem, że żadnej schadzki nie było? - spytała, bo zauważyła, że znów się zawiesił.
- Nie - odpowiedział. - O, nie. Było zupełnie coś innego.
- Co?
- Coś, co sprawiło, że prawie zsiakałem się ze strachu - powiedział.

- Co to było? - spytała.

Potarł dłonią czoło.

- Nie do końca wiem - odpowiedział. - Jak o tym teraz myślę, wydaje mi się, że to mi się śniło.

Konkrety, synu, pomyślała. Lecz zamiast tego powiedziała:

- Mógłby pan mimo wszystko spróbować to opisać?

Rzucił jej krótkie, niepewne spojrzenie. Potem jednak kiwnął głową.

- Jak tam podszedłem bliżej - zaczął - zauważyłem, że coś tam stoi, coś dużego, chyba samochód. Sandra ani Miłosz nie mieli samochodów, ich rodzice też nie, ale pomyślałem, że może, nie wiem, Sandra przez te dni jakoś skądś go wzięła i teraz nim przyjechała. Wiem, to głupie, ale tak właśnie pomyślałem...

- Zapamiętał pan może markę, kolor, numer rejestracyjny lub chociaż jego część? - przerwała mu, bo znowu osuwał się w niepotrzebne dywagacje.

- Ledwo widziałem zarys kształtu - odpowiedział. - Nie wiem, czy była pani kiedyś w nocy w lesie. Jak nie ma księżycy, jest straszliwie ciemno. Żadnego źródła światła. Tam tak właśnie było. Z jednej strony drzewa, z drugiej strony drzewa, nawet gwiazd na niebie nie było. Najlepiej w sumie było widać piach tej drogi, po której szedłem, bo był jasny.

- Ale był duży, mały, niski, wysoki, szeroki? - próbowała dalej. - Coś pan chyba musiał dostrzec.

- Duży - odparł. - Nawet bardzo. Wielka, ciemna bryła.

- Ciężarówka?

- Raczej terenowy. Albo pick-up. Ale zupełnie wyciemniony.

- I co było dalej? - spytała.

- Podszedłem jeszcze bliżej - powiedział. - Krzyknąłem: „Sandra?”. I wtedy coś się od niego oderwało, dwie postaci. Bardziej zauważyłem ruch niż ich kształty. Szły z obu stron, jedną drogą, a druga trochę obok, po polu. Sądziłem, że to oni, Sandra i Miłosz, spytałem: „Co się dzieje?”. Nawet zacząłem coś mówić, o coś się pytać, co się z nią działo i tym podobne, ale nikt mi nie odpowiedział. Po raz pierwszy pomyślałem wtedy chyba, że coś jest nie tak. Postaci wydawały się bardzo duże i to obie, a Sandra jakaś wielka nie była. Miłosz może tak, ale ona była raczej drobna, tylko trochę wyższa ode mnie. Poczulem takie ukłucie strachu, grozy bardziej. Jestem sam, w ciemnym lesie i coś do mnie idzie, wie pani, o co chodzi.

- Wiem - odpowiedziała. Do niej też coś kiedyś tak w nocy szło. I chciało ją zabić. Niezbyt przyjemne faktycznie uczucie. - Dobrze. Rozumiem, że w końcu to do pana doszło? - ponagliła go nieco.

- Tak - potwierdził. Wzrok mu znieruchomiał.

- I co „to” było? - spytała.

- Nie mam pojęcia - powiedział po raz nie wiadomo który. - Ale wyglądało to jak z jakiegoś koszmaru.

- W jakim sensie?

- Miało... nie wiem, jak to określić. Te postaci... miały twarze porośnięte włosami.

- Włosami?

- Sierścią - wyjaśnił. - Jak zwierzęta. Widać było tylko oczy. Jakby jakieś stwory z lasu do mnie przyszły. Duchy, demony, wilkołaki... kurwa, nie wiem. To wtedy się o mało nie zikałem ze strachu.

- Wilkołaki nie jeżdżą samochodami - zauważyła.

- W jednym filmie jeździły - powiedział z jakąś dziecinną pretensją w głosie. - Nie wiem, może to zresztą nie był samochód, nic tak naprawdę już nie wiem. Łatwo się pani wysmiewać, nie była pani w tym

lesie.

- Wcale się nie wyśmiewam – odpowiedziała. – Próbuję zrozumieć, co pan widział. I co było dalej?

- Ten z przodu podszedł do mnie, bardzo blisko. Poczulem nawet zapach tej sierści. Serce mi niemal stanęło, nigdy w życiu się tak nie bałem. Myślałem, że mnie zaraz zabije, rzuci się na mnie, przegryzie mi szyję, czy ja wiem...

- Przegryzł? – spytała. Nie mogła się powstrzymać.

- Nie. – Spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Ale coś mi musiał zrobić, bo już nic nie pamiętam – dodał.

- Stracił pan przytomność? – podpowiedziała.

- Nie wiem, chyba tak...

- Ale nie obudził się pan we własnym łóżku w domu? – spytała.

- Nie.

- Czyli to raczej nie był senny koszmar – zawyrokowała. – To gdzie się pan ocknął?

- W jakiejś... norze – odparł.

- Norze? – powtórzyła.

- Było kompletnie ciemno i pachniało ziemią – powiedział ze strachem. – Leżałem na czymś, co też nie było raczej podłogą. Było wilgotno.

- Widział pan cokolwiek?

- Nic. Zupełnie. Jeszcze gorzej niż w tym lesie. Kompletna czerń. Jakbym był w grobie.

- To było małe czy duże?

- Raczej duże – odpowiedział. – Większe w każdym razie niż grób. Mogłem wyciągnąć ręce i nie dotykałem ścian.

- Był pan związany? – spytała.

- Nie, nie byłem.

- I co się dalej wydarzyło?

- Poczulem straszny strach, przerażenie – powiedział. – Może nie leżałem w grobie, ale byłem pod ziemią, byłem tego pewien. Chciałem się stamtąd wydostać, uciec, zacząłem macać wokół siebie, iść na kolanach do przodu, w końcu trafiłem na coś, co było jakimś otworem. Jakimś okienkiem albo wlotem kanału, nie wiem, w każdym razie okolony był cegłami. Był wąski, ale ja też jestem bardzo szczupły, a po jego drugiej stronie coś szumiało, słychać było jakiś dźwięk. Wcisnąłem się tam i jakoś przeczołgałem. Ten szum to była rzeka. Wypełzłem z tej nory, spadłem z jakiejś skarpy i wpadłem do wody. Zacząłem iść po dnie, potem wleciałem w jakiś dół, o mało się nie utopiłem, wyszedłem na brzeg, szedłem wzdłuż niego, a kiedy już nie miałem siły, położyłem się i zasnąłem. Obudziłem się, jak już było jasno, chyba nawet w okolicach południa. Byłem nad rzeką, ale nie poznawałem tego miejsca. Zacząłem znowu iść, zupełnie nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie było żadnych ludzi ani domów. Po jakimś czasie trafiłem na jakąś drogę, tą drogą doszedłem do innej i w końcu wróciłem do domu.

– Nie wezwał pan policji, nie poprosił nikogo o pomoc? – spytała.

– Nie. – Pokręcił głową. – Po prostu szedłem, aż doszedłem. Ale gdy tu dotarłem, był już wieczór, i kiedy zobaczyłem światła w oknach, pomyślałem, że nie mam już siły wchodzić tu i tłumaczyć wszystkiego matce. Wysłuchiwać jej pretensji, krzyków, płaczów, a ona jest w tym naprawdę dobra, proszę mi wierzyć. Wyjaśnić, czemu wyszedłem w nocy z domu, gdzie byłem tyle czasu, dlaczego tak wyglądam, czemu się nie odzywałem i jak mogłem im coś takiego zrobić. Po prostu nie dałbym rady po tym wszystkim. Więc zamiast do domu poszedłem do garażu na tyłach. Stoi oddzielnie, rzadko tam ktoś zagląda, bo ojcu nie chce się wprowadzać tam samochodu, jest tam kran i nawet jakiś stary materac. Położyłem się i zasnąłem, myśląc, że następnego dnia się umyję, jakoś ogarnę i wtedy wrócę. Ale następnego dnia też nie potrafiłem tego zrobić. Spędziłem więc tam jeszcze dwa dni, jedząc ogórki kiszone ze słoików, bo matka trzyma tam też przetwory, i pijąc wodę z kranu. Dopiero ojciec mnie znalazł, bo tam po coś poszedł. I wtedy się dowiedziałem, że matka zgłosiła zaginięcie. Więc oczywiście do całej wcześniejszej litanii pretensji doszedł jeszcze jeden element, że zrobiła z siebie idiotkę i że najadła się przeze mnie wstydu, bo wszyscy pomyśleli, że uciekłem z domu, bo jest taką okropną matką. Musiałem wobec tego zadzwonić na policję i powiedzieć, że wcale nie zaginałem, że bardzo przepraszam i że zaszło nieporozumienie.

Czyli przynajmniej jedna rzecz w tym wszystkim się zgadzała, pomyślała Seredynska. Jeden z zaginionych faktycznie sam zadzwonił na policję.

– Dlaczego wobec tego rozmawiał z panem prokurator Niedźwiedzki? – spytała.

Jej rozmówca wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę to nie wiem – odpowiedział. – Było to dość dziwne. Przyjechał tu, rodzice traktowali go niemal jak półboga, zamknął się ze mną w pokoju i zaczął wypytawać o Miłosza i Sandrę. Opowiedziałem mu wszystko, tak jak teraz pani, ale zdawał się tego niemal nie słuchać, tylko od razu zaczął mi wyjaśniać, że jak się okazało, oni wcale nie zaginęli, tylko wyjechali gdzieś razem. A potem przeszedł od razu do zarzutów o oszustwo ciążyących na moim ojcu i do grożącego mu więzienia i powiedział, że w tej sytuacji wcale mi się nie dziwi, że próbowałem uciec z domu. Zasugerował też, że rozchwiało to mnie emocjonalnie. Na koniec dodał, że biorąc to wszystko pod uwagę, nie wyciągnie żadnych konsekwencji ani nie sformułuje zarzutów dotyczących wprowadzenia w błąd organów ścigania. Tylko muszę mu obiecać, że skończę z takimi głupotami. Tak się właśnie wyraził. Potem zszedł na dół i rozmawiał jeszcze z rodzicami. A gdy wyszedł, przyszła do mnie matka, a ona naprawdę rzadko wchodzi na górę, i powiedziała, że pan prokurator Niedźwiedzki jest cudownym człowiekiem, który wykazał się wielkim sercem i wyrozumiałością, więc nie możemy go teraz zawieść. Dlatego powinniśmy o wszystkim zapomnieć, ona mi już wybacza, tylko muszę od teraz zachowywać się odpowiedzialnie, bo najważniejsza jest rodzina, a dzięki panu prokuratorowi możemy wreszcie stanąć na nogi, bo obiecał nam pomóc w naszej trudnej sytuacji i szepnąć słówko komu trzeba. Tylko muszę już skończyć z takimi głupotami jak ostatnio. Ona też tak się wyraziła. I chociaż nikt nie powiedział niczego wprost, ani prokurator Niedźwiedzki, ani moja matka, odniosłem wrażenie, że chodzi głównie o to, żebym zapomniał o rzeczach, które widziałem tamtego wieczoru, i o tym, co się wtedy stało. A ponieważ sam nie wiedziałem, co to właściwie było, i bałem się nawet to sobie przypominać, uznałem, że to w zasadzie dobry pomysł. Więc zapomniałem. Tylko to okazało się wcale nie takie proste. Bo na jednym poziomie faktycznie wyrzuciłem to z głowy, ale na innym już wcale nie. Śniło mi się to, przypominało w najmniej odpowiednich momentach, nie mogłem się skoncentrować, stałem się nerwowy, czasami byłem agresywny, nie

wytrzymałem nawet jednego roku na studiach, więc efekt tego jest taki, że siedzę teraz w domu, nic nie robię i żyję z tej pracy, którą mój ojciec dostał, bo byłem rozsądny i zapomniałem o tamtych głupotach.

Spojrzał na nią, jakby szukał u niej pocieszenia i ratunku. Nie mogła mu dać ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego spytała:

– Od kogo pana ojciec dostał tę pracę?

– Nie wiem, ale pracuje w tej hurtowni budowlanej na skraju miejscowości.

Zanotowała sobie w pamięci, żeby sprawdzić, do kogo należy.

– Proszę pani – zaczął. – Co się z nimi tak naprawdę stało?

Zabrzmiał trochę jak dziecko pytające o coś nauczycielkę, nie jak dwudziestojednoletni mężczyzna.

– Wyjechali – odpowiedziała. – Sam pan powiedział.

Nie potrafiła wzbudzić w sobie jakoś wobec niego żadnego rodzaju współczucia. Nie wiedziała dlaczego.

– Nie powiedziałeś mi tak naprawdę niczego, co by mi pomogło odpowiedzieć na twoje pytanie – dodała. – Musisz się bardziej postarać.

Popatrzył na nią wzrokiem skopanego psa.

– Nic więcej nie pamiętam. Powiedziałem pani wszystko – niemal wyszeptał.

– Czasami ważny może być pozornie nieistotny szczegół – stwierdziła. – Marka samochodu, który stał tam w lesie, kształt jego kół, cokolwiek. Coś, co pozwala połączyć dwie pozornie niepołączone kwestie.

Pokręcił głową.

– Nawet nie wiem, czy to w ogóle był samochód – odparł. – Coś dużego tam stało, bardziej to czułem, niż widziałem. Czarna plama odrobinę ciemniejsza od całej reszty mroku. Jakby tam czał się potwór lub jakieś prehistoryczne zwierzę.

Nie wiadomo dlaczego coś zabręczało jej w mózgu przy tych słowach. Jakieś dwie rzeczy połączyły się, tylko nie wiedziała jeszcze jakie i dlaczego.

– Prehistoryczne zwierzę? – powtórzyła. – Dlaczego pan użył właśnie tego określenia?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie wiem – powiedział. – Naprawdę.

– Proszę się zastanowić – poleciła. – To może być ważne.

Potań palcami czoło.

– Bo... czy ja wiem... mam jakby wrażenie... ale naprawdę nie wiem, czy to nie jakaś bzdura... tak naprawdę tego przecież wcale nie widziałem, tylko tak mi się wydaje...

– Proszę powiedzieć – zachęciła go.

– No... – Rzucił jej krótkie, niepewne spojrzenie. – Jakby tam była jakaś szyja albo uniesiony ogon, jak u jakiegoś wielkiego skorpiona, czy coś w tym stylu...

Bzdęk. Już wiedziała, o co chodzi. I nie była z tego odkrycia specjalnie zadowolona. Przypomniała sobie swój własny sen sprzed paru dni. Koparka na dnie wyschniętego jeziora na tle nocnego nieba. Wyglądająca jak prehistoryczne zwierzę. Skojarzyła to z czymś, co jej się tylko śniło. Trudno o bardziej ślepy zaulek. Szlag.

– Okej – powiedziała. – A coś innego? Jak pan był w tym podziemiu, nie widział pan tam lub nie wyczuł czegoś charakterystycznego? Czegoś, co pozwoliłoby zidentyfikować to miejsce? Mówił pan, że ten otwór, przez który pan się wydostał, był okolony ceglami. Coś jeszcze?

Zastanowił się.

– To były stare cegły – powiedział. – Tak mi się wydaje. I to chyba bardzo.

– Stare? Dlaczego?

– Były omszałe i to mocno – powiedział. – A jak się tamtędy przeciskałem, odkruszały im się krawędzie.

Stare cegły, pomyślała. To też jej się z czymś skojarzyło, ale tym razem nie był to na pewno sen.

– W czymś to pomogło? – spytał.

– Być może – rzuciła. – Myślę, że idziemy w dobrym kierunku. Zauważył pan coś jeszcze?

– Radek? – dobiegł ich nagle słaby głos. – Kto tam jest? Z kim rozmawiasz?

Twarz mężczyzny nagle się zmieniła.

– Z nikim, mamó – odkrzyknął. – Rozmawiam przez telefon.

– To dlaczego go słyszę? – głos jego matki miał w sobie coś bardzo nieprzyjemnego. – Co to za kobieta?

– Dałem na głośnomówiący, bo coś robię w kuchni. – Pokazał Seredyńskiej na migi, że musi już iść.

– Ale czego chce? – Skrzekliwy, natarczywy, nieznoszący sprzeciwu ton.

– Przedstawia mi nową ofertę... telefonii komórkowej. – Błagalne, przestraszone spojrzenie ponaglało ją do wyjścia.

– Ale przecież telefon jest na mnie, to czemu dzwoni do ciebie? – W głosie pojawiła się irytacja. – Rozłącz się natychmiast i chodź tu do mnie!

– Tak, mamó.

Mężczyzna wstał. Seredyńska zrobiła to samo. Niemal popychał ją, by jak najszybciej wyszła.

Gdy zamknął za nią drzwi, pomyślała, że jego by akurat zrozumiała, gdyby faktycznie uciekł wtedy z domu. I że absolutnie rozumie, dlaczego bał się do niego wracać.

Zeszła ze schodów i spojrzała jeszcze raz na betonowe, kuriozalne w swej udającej elegancję brzydocie balustrady na balkonach i na równie nedorzeczną attykę na dachu. Tynk na elewacji gdzieś już odpadał i ukazywał czerwone pustaki. Tak, chyba wiedziała, z czym skojarzyły jej się stare, kruszące się cegły z opowieści Radka Markiewicza. Z historią, którą niedawno usłyszała z ust kolejnego aktora tego dramatu, swojego byłego nauczyciela Kuryłowicza. Tą o przeklętym zamku.

Ledwo ją pamiętała, cały tamten wieczór przypominał w jej wspomnieniach jakieś oniryczne majaczenie; po pierwsze dlatego, że była wówczas pijana, a po drugie, bo był tak groteskowo dziwny. Ale nie wydawało jej się to ani nie przyśniło, tego akurat była pewna.

Przeklęty, niedokończony krzyżacki zamek, na którego fundamentach zbudowano najpierw szpital, a potem pensjonat Kutery. Z rozległymi, głębokimi, częściowo zawalonymi piwnicami ciągnącymi się aż do rzeki. Przez który przebiega *axis mundi*, oś świata, i gdzie znajduje się wejście do piekła. Wtedy nie zwróciła na to uwagi, wzięła tę opowieść za bajdurzenie pijanego wariata, zlepek miejscowych legend z wytworami wyobraźni przeżartego alkoholem mózgu. Ale co, jeśli było w tym ziarno prawdy? Może pod pensjonatem Kutery faktycznie były stare piwnice? Może rzeczywiście jedna z ich odnóg dochodziła do rzeki? I może to tam trafił właśnie Radosław Markiewicz w dniu swojego zaginięcia?

Nie było to może wyjaśnienie eleganckie w swej prostocie, ale na pewno nie niemożliwe. I gdyby było prawdziwe, miałyby szereg ciekawych implikacji. Skoro Markiewicz został tam zawleczonej przez „demony” z lasu, to być może tam również trafiła wcześniej Sandra, a później Miłosz, którzy też w końcu zaginęli. To, że miało to się dziać w pensjonacie ojca Damiana, który był z całą trójką dość mocno związany, wydawało się także prawdopodobne. Wszystko się tu w jakiś logiczny, choć jeszcze trudny do sprecyzowania sposób ząbębiało. Krąg w lesie z czaszkami zwierząt na drzewach; tajemniczy krąg, który trzęsie miasteczkiem i na który powoływał się Damian; koło łowieckie, do którego wszyscy należą; pensjonat Kutery, wypadek jego syna; zaginięcie dwójga młodych ludzi, których można by o to obwiniać; śmierć jej własnego ojca, który okazał się też ojcem Sandry... Nawet te postaci w lesie z twarzami porośniętymi sierścią do tego w jakiś sposób pasowały. Było to dziwne, chore, kuriozalne i groteskowe, jak te attyki na betonowym, jednorodzinym domu, ale nie jednoznacznie wykluczone.

Wróciła do samochodu, usiadła za kierownicą. Potrząsnęła głową, jakby chciała przegonić nedorzeczną myśl, ale nie, ta konstrukcja, choć pokrzywiona i koślawa, pełna dziur i niedopowiedzeń wciąż się nie zawałiła. Intuicja podpowiadała jej, że jest już blisko akceptowalnego rozwiązania. Potrzebuje tylko czegoś więcej niż zbioru luźno połączonych ze sobą przypuszczeń. Potrzebuje czegoś więcej niż właśnie intuicji. Potrzebuje dowodu. Z tym, co ma, wstydziłaby się pójść nie tylko na policję czy do prokuratury, ale nawet do badacza nadprzyrodzonych zjawisk.

W tym momencie wewnątrz auta przeszył dźwięk dzwonka telefonu. „Do you want to pick up the phone?“, uprzejmie spytał ją damski głos zestawu głośnomówiącego. Musi wreszcie kiedyś zamienić jego język na polski, pomyślała. Numer był nieznany, lecz jego format wskazywał na telefon komórkowy. Odebrała.

– Halo?

– Cześć, tu Paweł – usłyszała. – Miałem zadzwonić, gdy skończę, umyję się i ładnie ubiorę. Ta dam! Oto jestem!

Zupełnie o tym zapomniała.

– Cześć, Paweł – odpowiedziała. Na razie tyle, zbyt była zaskoczona, by powiedzieć coś więcej.

- To jak? Skoczmy gdzieś razem? - spytał. - Jakiś obiad, kolacja, spacer, bieg maratoński, wycieczka w góry, rejs po Karaibach?

Uśmiechnęła się pod nosem. Udało mu się ją rozbawić. Punkt dla niego.

- Może być obiad - odparła. Zagadki zagadkami, a jeść przecież trzeba.

- Tu czy w Olsztynie?

- Raczej tu. - Nie miała czasu ani ochoty nigdzie jeździć.

- Kiedy? Za pół godziny, godzinę?

- Jeśli jesteś gotowy, może być zaraz - odpowiedziała. - Jestem w sumie w pobliżu.

- Świetnie! - ucieszył się. - Czyli za powiedzmy dziesięć minut. Już wyjeżdżam. Pa!

- Pa! - rzuciła w odpowiedzi, zanim zorientowała się, że to może trochę zbyt zażyła forma, jak na ten etap ich znajomości.

Z drugiej strony, było całkiem miłe, że tak do niej powiedział.

Ruszyła przed siebie zadowolona, że choć przez chwilę nie musi myśleć o tej zagmatwanej sprawie. Wiedziała, że taka przerwa czasami dobrze robi, pozwala spojrzeć na rzeczy z dystansu i dostrzec nowe powiązania między nimi. Do celu dotarła szybciej niż w dziesięć minut. Zaparkowała przed restauracją, weszła do środka i usiadła przy stoliku przy oknie.

Paweł nadjechał niemal w tej samej chwili, choć dopiero gdy wysiadł z samochodu, zorientowała się, że to on. Przyjechał bowiem zupełnie innym autem - pięknym, czarnym fordem mustangiem z chromowanymi felgami.

Nawet ona, która nigdy nie była specjalną miłośniczką ani znawczynią samochodów, musiała przyznać, że to wspomniały wóz.

- To twój? - spytała, gdy już się przywitani i gdy usiadł przy jej stoliku.

- Mój - odpowiedział z błyskiem dumy w oku. - Przywiozłem go ze Stanów jako mienie przesiedleńcze. Nie trzeba wtedy płacić cła.

- Imponujący - stwierdziła.

- Szósta generacja - wyjaśnił. - Teraz jest już siódma, ale ten podoba mi się bardziej. Zresztą na nowego nie byłoby mnie stać. - Roześmiał się. - Ma parę lat, ale jest w dobrych rękach, więc świetnie się trzyma. - Mrugnął do niej okiem.

- To co, zamawiamy? - spytała, otwierając menu. - Co bierzesz tym razem?

- Chyba w końcu hamburgera - odpowiedział. - Jak się przyjechało takim autem, trudno jeść coś innego. - Zaśmiał się. - A Ty?

- Sandacz był dobry - odparła. - Nie zmienia się zwyczajnego składku.

Złożyli zamówienie.

- Gdzie ty w zasadzie mieszkałeś w tych Stanach? - spytała.

- W Nowym Jorku - odpowiedział. - Tak przynajmniej wszystkim mówię, bo tak naprawdę to w New Jersey, ale Nowy Jork lepiej brzmi. W miejscowości Passaic. Pół godziny drogi od Manhattanu.

- Znasz Chicago?

- Nie bardzo - odparł. - Czemu pytasz?

- Bez specjalnego powodu. - Wzruszyła ramionami.

- Byłaś tam? - spytał.

- Jedna znajoma była - odpowiedziała. - W zasadzie kuzynka. Podobno ładne miasto.

- Na pewno ładniejsze niż Passaic - skomentował.

Spojrzała na niego. Okazał się sympatyczny, miło się uśmiechał i był ewidentnie nią zainteresowany. Z drugiej strony, mieszkał kiedyś w USA, z których wysłano kartkę do matki Sandry. Czy to powinno budzić jej niepokój? Rozważała to.

- Dawno wróciłeś ze Stanów? - spytała.
- O, ze cztery lata temu. - Machnął ręką. - Już prawie nie pamiętam, jak tam jest.
Sandra zaginęła dwa lata temu, a on nie mieszkał w Chicago. Czy to kończyło temat?
- Odwiedzałeś też inne kraje? - drażyła mimo wszystko dalej. - Czy tylko Stany?
- Gdzieś tam jeździłem. - Uśmiechnął się. - Byłem na przykład w Meksyku. W Cancún mają naprawdę fajne hotele. A z Nowego Jorku to tylko parę godzin lotu.
- A Europa? - spytała. - Powiedzmy Włochy albo Hiszpania?
Stamtąd wysłano kartki do ojca Miłosza.
- Widzę, że interesują cię bardzo moje podróże. - Roześmiał się. - Nie, nie byłem. Ale jak chcesz, możemy się tam razem wybrać.

Całe szczęście właśnie przyniesiono ich potrawy. Zjedli je, niemal nie rozmawiając.

- A może masz ochotę się przejechać? - spytał, gdy już skończyli.
- Czym? Tym twoim smokiem? - Wskazała na widocznego za oknem mustanga.
Kiwnął głową z szelmowskim uśmiechem.
- Opuśćzę szyby i będzie jak w cabrio - zachęcił ją. - Zobaczysz, spodoba ci się.
- W sumie... czemu nie?

Zapłacili, wyszli i wsiedli do jego samochodu. Miał głębokie i szerokie skórzane siedzenia. Zapadła się w swoim, jakby usiadła na miękkiej kanapie. Jej towarzysz przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zamruczał głębokim, mocnym basem. Poczowała wibracje rozchodzące się od podłogi aż po oparcie fotela.

Spojrzał na nią i dodał gazu, nie puszczając sprzęgła. Pomruk silnika zmienił się w permanentny, przewalający się grzmot. Wibracje doszły aż do jej brzucha.

- Wow - powiedziała. - Niezłe.
Uśmiechnął się zadowolony.
- Zapnij pasy - rzucił. - Mogą się przydać.

Ruszyli. Faktycznie opuścił szyby. Wyjechali na główną drogę, minęli ostatnie zabudowania i gwałtownie przyspieszyli. Pęd aż wcisnął ją w siedzenie. Wiatr rozwiewał jej włosy.

Było to bardzo, bardzo przyjemne. I w pewien sposób relaksujące. Tak, chyba potrzebowała czegoś takiego.

Ale nie był to jedyny powód. Drugim było to, że kiedy była nastolatką, nie miała takich rozrywek. Nikt nigdy jej nie zabrał na przejażdżkę z opuszczonymi szybami, nikt nie gazował przy niej, by jej zaimponować. Cóż, nie wyglądała wtedy tak dobrze, jak teraz. Chłopcy w fajnych brykach nie wystawiali pod jej oknem.

Więc po prostu nie mogła się oprzeć. Tym bardziej, że to wszystko działo się tu, w krainie jej młodości. Seredyńska brała w ten sposób w pewnym sensie odwet na świecie. Zaliczała smaki, których wówczas nawet nie liznęła.

Droga wiała się między drzewami. Paweł dobrze prowadził, zwalniał na zakrętach i przyspieszał mocno tuż po ich minięciu. Ani razu nie wykonał niebezpiecznego manewru.

Patrzyła na migające za otwartymi oknami pnie. Wszystko zostawało za nią, ruch powietrza wywiewał z jej głowy to, o czym myślała, czym się gryzła i co próbowała zrozumieć w ciągu ostatnich kilku dni. Mogłaby tak jechać w nieskończoność.

Spojrzała na niego. Trzymał kierownicę pewnie, patrzył na drogę spokojnie, było w nim coś, co sprawiało, że czuła się bezpiecznie.

– Jak tam, pozalaćwiałaś już swoje sprawy? – spytał, przekrzykując huk wiatru i ryk silnika.

– Prawie – odpowiedziała. – Jeszcze nie do końca.

Zasunął szyby. Pewnie żeby lepiej słyszeć.

– Na wiosce mówią, że rozpytujesz o Sandrę i Miłosza. Po co ci to? – Spojrzał na nią.

Pstryk, zapaliła jej się w głowie lampka ostrzegawcza. Cały błogi nastrój szlag trafił.

– Rozmawiałam z jego ojcem, panem Kuryłowiczem – odparła wymijająco. – Bardzo się tym gryzie. Chciałam dowiedzieć się, co się stało.

– Nic się nie stało – powiedział. – Nie mówił ci? Przecież wyjechali.

– Kuryłowicz nie bardzo w to wierzy. – Poczowała, jak jej rozluźnione mięśnie z powrotem się napinają.

– Kuryłowicz to pijak i wariat – rzucił w przestrzeń. – Alkoholik. Plecie, co mu ślina na język przyniesie.

– Kiedy to mówił, był trzeźwy – zauważyła.

Popatrzył na nią, jakby ją badał. Odrobinę za długo, jak na kogoś, kto kieruje samochodem.

– Uważaj. – Wskazała na drogę.

– Ty też – powiedział. Ale odwrócił głowę.

– Na co mam uważać? – spytała.

– Na niego – odparł. – To wariat – powtórzył. – Wariaci są niebezpieczni.

– Normalni ludzie też. I to w tym samym procencie.

Przez moment nic nie mówił.

– I czego się dowiedziałaś? – odezwał się po chwili.

– W zasadzie niczego. Chyba faktycznie wyjechali. Przynajmniej matka Sandry tak twierdzi. Dostaje podobno od niej pieniądze.

– To dobrze – skomentował.

– Co dobrze? Dobrze, że wyjechali, czy dobrze, że się niczego nie dowiedziałam? – spytała.

– Dobrze, że Sandra wysłała jej pieniądze. To znaczy, że jest dobrą córką.

Tym razem jego wytłumaczenie nie zabrzmiało już tak przekonująco jak poprzednio. Nie dała jednak tego po sobie poznać.

– Też mnie to ujęło – powiedziała. – Ten drugi ma z kolei w dupie swojego ojca.

– Pewnie Kuryłowicz chlał już wcześniej i dał mu popalić. Może nawet dlatego wyjechał?

Spojrzał na nią, jakby chciał ocenić, czy kupuje to wyjaśnienie.

– To bardzo prawdopodobne – odpowiedziała. – W takim razie mu się nie dziwię.

Uśmiechnął się zadowolony. Zdaje się, że właśnie uznał, że udało mu się ją przekonać. Może i ładnie wyglądał, ale nie był jednak zbyt inteligentny. Chciał ją wy badać, a tylko sam się odsłonił.

– Długo tu jeszcze będziesz? – spytał.

- Jutro wyjeżdżam - odpowiedziała. - Muszę wracać do pracy. Szefowa wzywa.

- A gdzie ty w zasadzie pracujesz? W jakim urzędzie?

- W prokuraturze - odpowiedziała. Uznała, że nie ma sensu dłużej tego ukrywać. I tak już pewnie wiedział.

Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

- To pewnie ciekawa praca? - spytał. - Wszyscy ci przestępcy i tak dalej.

- Nie bardzo - odparła. - Zajmuję się głównie pijanymi kierowcami i alimenciarzami. Dużo papierologii i zero ekscytacji.

Z tej odpowiedzi także wydawał się zadowolony.

- To co, wracamy? - spytała. - Późno już, a ja się jeszcze muszę spakować.

- Jasne - odpowiedział. - Tylko znajdę dobrą zawrotkę.

Kiedy wjeżdżali z powrotem do ich miejscowości, dostrzegła tablicę z nazwą hurtowni budowlanej. To w niej zdaje się dostał pracę ojciec Radka Markiewicza.

- A ta hurtownia do kogo należy? - Wskazała duży, parterowy budynek.

- Do Zagońskiego - odpowiedział. - Ma tu jeszcze kilka takich biznesów.

- Lokalna szycha, co? - stwierdziła.

- I to jaka! - Roześmiał się. - Nic tu się nie może bez niego odbyć. Ja też w pewnym sensie dla niego pracuję. Warsztat jest co prawda mój, ale śmieci wywożę już jako jego podwykonawca. Sam bym nie wygrał takiego przetargu w gminie.

Ta informacja jej jakoś nie zdziwiła. Zero ekscytacji, pomyślała.

Odwioził ją pod restaurację. Pożegnali się, nawet pocałowali w policzek. Gdy odjeżdżał, jeszcze pomachał jej przez otwarte okno samochodu i po raz kolejny przygazował silnikiem. Wal się, pomyślała, lecz odmachala mu i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Wsiadła do swojego auta. Poczula ulgę. To było jedyne bezpieczne miejsce w tej popieprzonej okolicy, jedyne naprawdę jej. Tylko tu mogła czuć się u siebie. Położyła dłoń na desce rozdzielczej. Dopiero teraz odzyskała spokój.

Ruszyła w stronę pensjonatu. Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Wiedziała sporo, lecz nie miała na to zbyt wielu dowodów. Torbę z zakrwawionymi bandażami, z której dopiero analiza porównawcza DNA mogłaby wyciągnąć istotne informacje, oraz kartkę z podrobionym prawdopodobnie pismem Sandry – również bez opinii grafologa raczej bezużyteczną. Gdyby prowadziła to śledztwo, mogłaby zlecić jedno i drugie i miałyby jakiś punkt zaczepienia. Ale nie prowadziła, a na pomoc Niedźwiedzkiego raczej nie miała co liczyć. Przekonała się o tym, gdy przyniosła mu tamten odcięty palec, teraz już na pewno poddany utylizacji.

Potrzebowała ewidentnego dowodu. Czegoś, czego nie dałoby się zignorować, co pozwoliłoby jej pójść do którejś z prokuratur w Olsztynie albo do Komendy Wojewódzkiej Policji i wymusić rozpoczęcie postępowania. Nad którym potem mogłaby czuwać jako córka pokrzywdzonego i oskarżyciel posiłkowy. Na razie niczego takiego nie miała.

Wiedziała jednak, że jeśli coś takiego gdzieś jest, to nie znajdzie tego, rozmawiając z kolejnymi świadkami. Ich zeznania mogą się bardzo przydać, ale dopiero w późniejszym etapie, kiedy śledztwo już będzie się toczyć. Na razie chodzi o to, by je w ogóle zacząć, ale do tego musi mieć coś więcej. Wiedziała również, gdzie to może być – w pensjonacie Kutery, tam gdzie przez cały czas mieszkała. Musiała tam wrócić, jeśli chciała dowiedzieć się reszty i zdobyć decydujący, niepodważalny dowód. Problem polegał tylko na tym, że była to sama jaskinia lwa i że powinna tym razem wejść w nią naprawdę głęboko.

Zdawała sobie sprawę, jak mogłoby to być groźne. Śmiertelnie groźne zapewne. Tylko czy miała wyjście? Tak, miała, na pewno. To samo zresztą, co zawsze. Opuścić, zostawić to, wyjechać. Spróbować zagrać tymi słabymi kartami, które już teraz ma, licząc, że może coś z tego wyjdzie. Albo poczekać, aż kiedyś pojawią się nowe dowody. Tylko, że wtedy może być już za późno. Za późno dla Sandry i dla Miłosa, z których jedno przynajmniej mogło jeszcze żyć. Świadczyła o tym krew na bandażach. Nie opatruje się w końcu ran komuś, kto nie żyje.

Jeśli to oczywiście wszystko była prawda i były jakieś piwnice pod pensjonatem Kutery.

Jechała przed siebie, nie podejmując na razie decyzji. Ta sama droga wiodła do pensjonatu i ta sama w stronę Warszawy. Ucieczka i niebezpieczeństwo były w tym samym kierunku. Rozstrzygający punkt zbliżał się jednak coraz bardziej. Za chwilę będzie musiała skrócić albo pojechać prosto. Czuła się jak sparaliżowana. Nie rozważała już za i przeciw. Po prostu czekała, co zrobi. Jakby nie od niej to zależało. Jakby oczekiwała na wyrok wszechświata.

Dostrzegła tablicę z nazwą pensjonatu. Imię Damian widoczne na niej miało teraz zupełnie inny wydźwięk. Jeszcze chwila i będzie ten skręt. Chwyliła mocniej kierownicę. Miała wrażenie, że zaraz rozsypie się pod jej uściskiem.

Uniosła stopę i zwolniła pedał gazu. Samochód zaczął samoczynnie zwalniać. Wystarczy teraz wcisnąć hamulec i wrzucić kierunkowskaz. Jeszcze kilkanaście metrów. Teraz.

Nie zrobiła jednak tego. Auto pojechało dalej. Skręt zniknął za jej plecami. Powoli rozluźniła uścisk. Potem z powrotem nacisnęła gaz.

Nie potrafiła tam skręcić, nie miała pojęcia czemu. Może się bała? Miała w sumie dobry powód. Była jednak zbyt otepiała, żeby to wiedzieć. Po prostu nie. Ciało zdecydowało za nią.

Przejechała przez most i dopiero wtedy nieco się ogarnęła. Był tam niewielki leśny parking z małą altanką wśród drzew. Zjechała tam i zatrzymała samochód. Musiała odetchnąć. Musiała się zastanowić.

Wysiadła z auta, ruszyła przed siebie. Zupełnie nie myśląc, weszła na ścieżkę wiodącą wzdłuż rzeki. Tą samą, którą spacerowała pierwszego dnia. Spotkała wtedy lisa lub, jak woląla myśleć, lisicę. Jej przewodniczkę, zwierzę totemiczne. Przydałby jej się teraz ktoś taki. Ktoś, kto by wskazał jej drogę. Powiedział, co dalej.

Nie wiedząc kiedy, doszła do miejsca, skąd niedaleko już było do obozowiska Kuryłowicza. Gdy spacerowała tędy pierwszy raz, nie miała pojęcia o jego istnieniu, więc go nie dostrzegła. Teraz już znała jego położenie, mogła więc dokładnie określić, gdzie jest.

Dlatego właśnie dojrzała, że coś jest z nim nie tak. Podeszła bliżej. Wszystko było zniszczone. Chata z kartonów i desek została zburzona. Dach z blachy falistej leżał na ziemi.

Było to niewątpliwie celowe działanie, konstrukcja nie rozpadła się sama. Jej elementy były rozrzucone wokół, jakby ktoś z furją ją zniszczył. Nie zwierzę raczej, lecz człowiek. Żadne z żyjących w tych lasach stworzeń nie potrafiłoby tego zrobić. Nie miałyby też w sumie chyba powodu. Musiałby to uczynić bawół albo słoń.

Seredyńska zaczęła chodzić pomiędzy tymi ruinami. Destrukcja była metodyczna, nie obejmowała samych głównych elementów, także te mniejsze były kompletnie rozwalone. Przedmioty i ubrania znajdujące się pierwotnie w chacie też były porozrzucane i zniszczone. Nawet metalowy, okopcony czajnik był wgnieciony. Kto tego dokonał? Leśnicy? Ludzie zajmujący się sprzątaniem lasu? Raczej nie, oni by przecież wywieźli te resztki. Więc kto?

Dostrzegła ślad po ognisku. Podeszła do niego. Metodą znaną z czytanych w dzieciństwie książek o Indianach sprawdziła temperaturę popiołu. Był ciepły, cieplejszy niż ziemia wokół. Ktoś tu obozował niedawno. Może nie przed godziną czy dwiema, ale powiedzmy w nocy. Czy to znaczy, że Kuryłowicz wrócił? Że znowu poszedł w cug? I czy to miało jakiś związek z jej ostatnią wizytą u niego? Poczula nieprzyjemne ukłucie na myśl o tej możliwości. A może to był ktoś inny, ktoś, kto tylko wykorzystał to miejsce pod jego nieobecność?

Wyprostowała się i otrzepała palce. I wtedy jej wzrok padł na coś, co wyjaśniło chyba to wszystko. Na drzewie, tuż przy rozwalonej chacie, coś było przybite. Podeszła parę kroków, by przyjrzeć się temu dokładniej. Był to szczur. Zgnieciona głowa świadczyła, że padł wcześniej ofiarą pułapki. Spomiędzy sklejonego krwią futra wystawał z jego ciała nowy, błyszczący gwóźdź.

Obejrzała go z każdej strony, lecz niczego więcej nie zauważyła. Symbolika tego aktu wydała jej się jednak jasna. Szczur to szkodnik, zwierzę żyjące w śmieciach, jak Kuryłowicz, gdy mieszkał w tej chacie. Lecz szczur to też stworzenie, które stwarza problemy, wciska się, gdzie nie trzeba, jest nielubianym i niechcianym gościem. Może również być niebezpieczne, niszczy i sprowadza choroby. Ktoś, kto przybił jego truchło na drzewie, przekazywał wiadomość – mieszkaniec tego obozowiska jest szkodnikiem i jak szkodnik może zostać potraktowany. Lepiej więc niech ucieka, nie szpera więcej w naszych śmieciach.

Miała nadzieję, że o to chodziło, bo była też inna możliwość: że był to symboliczny komentarz po wymierzeniu kary, może nawet egzekucji. Człowiek, który tu żył, był szczurem i zginął jak szczur. Tym razem ucisk towarzyszący tej myśli był już daleko większy.

Przybicie tego zwierzęcia gwoździem do drzewa bardzo wyraźnie kojarzyło się z tamtym kręgiem w lesie. Tam również do pni przybite były czaszki zwierząt i to takimi samymi gwoździemi – dużymi, stalowymi, z masywnymi główkami. Wszystkie wyglądały wręcz, jakby pochodziły z tej samej paczki. Kupionej, przyszło jej nagle do głowy, lub po prostu wziętej z hurtowni budowlanej Zagońskiego. Wątle to było powiązanie, lecz narzucało się bardzo wyraźnie.

Diabelski krąg, pomyślała. Krąg, który trzęsie miasteczkiem. Symbolika zwierzęca, las, rytuały łowcze, wiadomości zostawiane w miejscach publicznych i towarzyszące karze, jakby żywcem wyjęte z obyczajów włoskiej mafii... Ktoś, kto się tu bawił, lubił tajemniczość i w twórczy sposób połączył tradycje kilku niezbyt jawnych organizacji. Brakowało tu tylko jakiegoś odniesienia do masonerii, zresztą może ów dziwny krąg w lesie był jakimś dalekim nawiązaniem do wolnomularskiej loży.

Tajne stowarzyszenie, czy o to tu chodziło? Związek ludzi, mężczyzn dzierżących niejawną władzę i tworzących własne rytuały, prawa i obyczaje. Roszczących sobie pretensje do decydowania o losie innych. Młodzieńcza zabawa, dziecinada tak naprawdę, która wyrodziła się w coś groźnego i niedostrzegającego własnej groteskowości. Czy z tym miała tutaj do czynienia?

Do tego ci ludzie posiadali broń, dużo broni. Sztucery, dubeltówki, myśliwskie noże, kordelasy. Umieeli i lubili zabijać. Czuli się panami życia i śmierci. Może i byli prowincjonalnymi, kiszącymi się we własnym sosie, kieszonkowymi tuzami, rezultatami chowu wsobnego małomiasteczkowych, pożał się Boże, elit, ale mogli być naprawdę groźni, bo nie dostrzegali paranoicznej bańki, w której sami siebie zamknęli. I z takimi właśnie ludźmi szła teraz na wojnę. W pojedynkę, bo inaczej nie mogła. Może warto mimo wszystko jeszcze się wycofać?

Poszła jednak dalej. W końcu wciąż nie podjęła żadnej wiążącej decyzji. Po prostu szła, rozglądała się, czekała, co będzie dalej, w każdej chwili mogła się przecież zatrzymać.

Dotarła tak do miejsca, skąd widać było pensjonat Kutery. Stał na drugim brzegu, na szczycie skarpy równie wysokiej jak ta, na której ona się znajdowała. Ukryty nieco za drzewami, lecz ciągle widoczny. W zakolu rzeki, która w tym miejscu tworzyła coś w rodzaju cypla. Nic dziwnego, pomyślała, że ktoś kiedyś zechciał zbudować tu zamek.

Podeszła bliżej, teraz stała dokładnie naprzeciwko. Brzydkie, szare, betonowe ściany w niczym nie przypominały ceglanych murów krzyżackiej twierdzy. Spróbowała odnaleźć okno swojego pokoju, to, za którym wciąż jeszcze leżały jej rzeczy. Czy to tamto? Chyba tak. Wiedza ta nic jej jednak nie dała ani niczego nie zmieniła. Budynek wydawał się wymarły. Jeśli miała nadzieję zobaczyć z tej strony coś, co jej w jakikolwiek sposób pomoże, odkryje jakąś tajemnicę lub da odpowiedź na któreś z nurtujących ją pytań, to mocno się zawiodła.

Zaczęła szukać tajemnego wyjścia, z którego skorzystał Radek Markiewicz podczas swojej ucieczki. Wylotu tej odnogi piwnic, która miała dochodzić do rzeki. Wodziła wzrokiem po skarpie od piaszczystej łąchy naniesionej przez nurt na samym dole aż do jej szczytu zajętego przez taras, na którym piła bimber z Kuryłowiczem. Niczego jednak nie dostrzegła. To nie znaczyło oczywiście, że niczego tam nie było. Otwór, jeśli faktycznie istniał, musiał być nieźle zarośnięty roślinnością. Przysypany, ledwo widoczny. Czy powinna przejść na drugą stronę, żeby go poszukać?

Zrezygnowała z tego pomysłu. Perspektywa wspinania się na stromą skarpe, łapania dłońmi gałęzi i korzeni, by się dzięki nim podciągnąć w górę, nie wydała jej się specjalnie zachęcająca.

Poszła więc jeszcze dalej, obeszła cypel z drugiej strony i tam również dokonała inspekcji. Z równie mizernym skutkiem. Zniechęcona, postanowiła zawrócić. Czego się w sumie spodziewała? Zostawionego tu na brzegu rzeki tomu akt? Wystawy z dowodami czekającymi tylko, by je odnalazła, opatrzonej napisem „przełom w śledztwie”? A może ukrytych w gliniastym klifie okutych drzwi prowadzących do schowanej pod tym betonowym koszmarnym klokiem komnaty tajemnic?

Tego wszystkiego tu niewątpliwie nie było, dostrzegła jednak coś innego. Rudy, lisi łeb wystający znad wody i przemieszczający się w poprzek jej nurtu.

Przez chwilę nie była pewna, czy to na pewno to. Patrzyła na tę scenę z góry, z wysokości ścieżki, którą szła. Lecz tak, nie myliła się. Jej stary znajomy płynął przez rzekę, przepływał z jej jednego brzegu na drugi.

Miała ochotę przetrzeć oczy, by sprawdzić, czy to jej się nie wydaje. Nie, nie wydawało się. Lis przepłynął rzekę i wyszedł na jej drugim brzegu. Wyglądał teraz jak zmokły kot, mokre futro oblepiło dokładnie jego zaskakująco chudą sylwetkę.

Patrzyła na to zafascynowana, zapominając przez chwilę, po co tu przyszła. Lis otrzepał się jak pies po wyjściu z wody. Futro dalej miał mokre, lecz już tak nie przylegało do ciała. Rozejrzał się dookoła, przez moment nawet spojrzął na nią, choć pewnie tylko raczej w jej kierunku. Nie miała pojęcia, że lisy umieją pływać.

Zwierzę schyliło łeb ku ziemi, jak gdyby coś powąchało, a potem ruszyło truchtem w górę zbocza. Biegło zakosami, niespiesznie, omijając rosnące na stoku krzaki i drzewa. Nie wyglądało, jakby czegoś szukało. Raczej jakby zmierzało w ściśle określonym kierunku.

Może tu gdzieś ma norę?, pomyślała. Jeśli to faktycznie była lisica, być może nawet wychowuje w niej młode. Kiedy szczeni się lisy? Pewnie jakoś na wiosnę. W czerwcu powinny więc być już całkiem spore.

Nagle lis zniknął. Zupełnie niespodziewanie. Zaczęła wyglądać jego rudej sylwetki w tych okolicach, gdzie go ostatnio widziała. Jakże żałowała, że nie miała teraz lornetki! Może z jej pomocą odnalazłaby tę zgubę.

A potem znów się pojawił. Nie cały jednak, tylko w połowie. Jego pysk był zwrócony teraz w stronę rzeki. Seredyńska wyteżyła wzrok ze wszystkich sił. Lis ponownie zniknął, lecz teraz wiedziała już, gdzie. Dostrzegła wejście do niskiego tunelu.

Zdjęła buty i podwinęła nogawki spodni. Jak głęboka mogła tu być rzeka? Zapewne niespecjalnie, lecz nie można było wykluczyć jakichś miejscowych obniżen. Nurt był dość wartki, a taki przepływ wody potrafi wymywać nawet całkiem spore wyrwy i dziury w dnie.

Jeszcze raz spojrzała na przeciwny brzeg. Mogłaby teoretycznie wrócić do mostu i nadkładając drogi, dojść tam suchą stopą, ale zajęłoby to dużo czasu, poza tym bałaby się, że nie zdoła wtedy odnaleźć tego miejsca, na które teraz patrzyła. Było tam, za tym krzakiem. Dokładnie na wprost niej. Jeśli spuści z niego wzrok, a potem przyjdzie tu od innej strony, będzie miała spory problem, by je zlokalizować.

Do tego najzwyczajniej by jej się nie chciało.

Weszła więc powoli w nurt. Po raz kolejny zaskoczyło ją, jak zimna może być woda w rzece w tak gorący dzień jak ten. Po raz kolejny, bo raz już brodziła w takiej wodzie, dwa lub trzy lata temu, gdy prowadziła sprawę Julii Gierszewskiej. Tamta rzeka była jednak spokojna i płytka, płynęła przez nizinny, płaski teren, ta wrzynała się głębokim przełomem w warmińskie morenowe wzgórze, była kręta i wartka, przypominała bardziej górski strumień.

Dobre było to, że widziała dno. Woda była przejrzysta i czysta, choć niemożliwie chłodna. Zimno ścisnęło jej kostki, aż traciła niemal czucie w stopach. Na razie jednak było niezłe. Brodziła raptem do połowy łydki, a do drugiego brzegu było coraz bliżej. Lecz w końcu nastąpiło to, co nieuniknione – otwarła się pod nią ciemna otchłań, pas głębszej, prawie granatowej wody.

Spojrzała w obie strony. Pas ciągnął się i w lewo, i w prawo, nie dało się go obejść. Jak głęboko mogło tam być? Do uda? Do pasa? Raczej chyba nie do szyi. W każdym razie na pewno bardziej, niż zdołałaby podwinąć nogawki dzinsów.

Mogłaby oczywiście wrócić do mostu i to nim przejść na drugą stronę, ale była na to zbyt niecierpliwa. Skoro już wreszcie znalazła coś potencjalnie istotnego, chciała to jak najszybciej sprawdzić. Z tego, co widziała, dziura, w której zniknął lis, była zbyt duża na zwykłe wejście do nory. Miała co najmniej kilkadziesiąt centymetrów wysokości, żadne zwierzę – lis, kuna czy nawet borsuk – nie wykopałoby czegoś takiego. Mógłby to zrobić niedźwiedź, ale niedźwiedzi nie było w tych lasach. Pozostawał więc człowiek, czyli to, co ją najbardziej interesowało.

Dała wobec tego krok w przód. Powoli, na tyle ostrożnie, na ile się dało. I oczywiście wpadła w dół. Ledwo utrzymała się na nogach i obroniła trzymane w rękach buty i torebkę.

Po chwili była jednak już na drugim brzegu, mokra niemal do połowy. Całe szczęście było ciepło, wręcz gorąco. Założyła buty i ruszyła po stoku.

Musiała iść zakosami, tak jak wcześniej lis. Skarpa była stroma, nie dałaby rady iść po prostu w górę. Czepiała się gałęzi i wystających korzeni, wspierała kolanami. Jej przemoczone spodnie wkrótce pokryły się ziemią.

W końcu jednak dotarła do celu. Otwór w zboczu nie był duży, ale na pewno nie była to nora. Zobaczyła ślady osuwiska, niezbyt świeżego, bo już porośniętego roślinnością. Dość spore samosiejki drzew świadczyły, że mogło mieć już parę lat. To prawdopodobnie ono odsłoniło to wejście.

Zajrzała do środka. Głęboki mrok, który panował we wnętrzu, wskazywał, że dziura była dość głęboka. Z tej strony nie widać było żadnych cegieł, tylko ziemię i porastające ją, zwisające w dół i zasłaniające częściowo otwór rośliny. Lecz jego obrys był w miarę regularny, płaski na dole i półkolisty jakby na górze. Wyglądał rzeczywiście jak wejście do jakiegoś tunelu.

Sięgnęła po telefon, by włączyć w nim latarkę i poświecić w ten sposób do środka. W torebce, którą miała przewieszoną przez ramię, jednak go nie było. Pomacała spodnie. Szlag by to trafił! Miała go

w kieszeni, mokrej tak jak cała reszta.

Wyjęła go i spróbowała odblokować. Na ekranie coś się pojawiło, lecz nie był to czytnik linii papilarnych. Dziwne kolory, paski z góry na dół. Zamókł i nie było z niego żadnego pożytku.

Tego jeszcze jej brakowało! Kolejny powód, by się stąd wycofać. Była tu sama i to do tego bez możliwości kontaktu z kimkolwiek. Z drugiej jednak strony, pod ziemią i tak nie byłoby pewnie zasięgu.

Związała włosy w kucyk i wsunęła się do środka. Jej szczupłe ciało przysloniło resztki światła. Było to nierozsądne, nawet bardzo. Naprawdę powinna dać sobie spokój. Powoli posuwała się w głąb tunelu. Teraz już coś niecoś widziała. Korytarz rozszerzał się, był znacznie większy niż wejściowy otwór. Gdy pomacała jego ściany, wyczuła omszałe cegły. Dała sobie chwilę, by przyzwyczaić oczy do mroku. Odblokowane wejście działało jak świetlik. Korytarz biegł w głąb zbocza i nikał w ciemności.

Nie był wysoki, nawet ona nie dałaby rady w nim się wyprostować. Jego podłogę pokrywała ziemia, widać było na niej małe, zwierzęce kości. Ze ścian, spomiędzy cegieł zwisały długie wąsy korzeni. Pachniało ziemią, wilgocią i piwnicą.

Ciągle jeszcze mogła zrezygnować. Miała tego świadomość. I ta możliwość być może za bardzo ją uspokajała. W końcu nic się nie stanie, jeśli pójdzie trochę dalej. Zawsze może przecież wrócić. Wstała więc i zaczęła iść korytarzem. Pochylona, zgarbiona, zgarniając włosami pajęczyny ze stropu. Trzymając się torebki przewieszanej przez ramię jakby to była lina ratunkowa. Z tłukącymi się wciąż z tyłu głowy trwożnymi wątpliwościami. Ze świadomością jednak, że po tym wszystkim, czego się tu dowiedziała i co tu przeżyła, nie potrafiłaby już zawrócić. Wydarzenia, w których brała udział, zaczęły już dawno toczyć się same. Była gdzieś w środku tej lawiny. Nie dałaby rady jej cofnąć. Może tylko dać się jej ponieść i próbować utrzymać się jakoś na powierzchni.

Zagłębiała się w mroczny tunel coraz dalej. Coraz mniej też widziała, w miarę jak oddalała się od wejścia. Ściany dotykały niemal jej obu barków. W końcu przestała widzieć cokolwiek.

Szła teraz na wyczucie w coraz gęstszym mroku, wodząc dłońmi po ceglach z lewej i prawej strony. Stawiała ostrożnie kroki, kuląc głowę w ramionach, jakby zstępowała w otchłań. W pewnym momencie czerni ogarnęła ją zewsząd. Spojrzała za siebie, tam była równie nieprzenikniona. Poczula pierwotny strach, grozę, jakiej musiał doświadczyć wcześniej w tym samym miejscu Markiewicz. Oto była we wnętrzu ziemi, a to już prawie jak w grobie.

Powstrzymała siłą woli ogarniającą ją panikę. Nic się przecież nie działo, nie było żadnego niebezpieczeństwa. W każdym momencie może zawrócić, cofnąć się w stronę światła. Powtarzała to sobie jak mantrę.

A potem jej myśli skrzyły w nieodpowiednią stronę. Zupełnie nieracjonalną, niegodną prawniczki i prokuratora. Niepotrzebnie wcześniej pomyślała o tym grobie. W grobie leżał też przecież jej ojciec. To nie było dobre skojarzenie.

Przypłynęły do niej obrazy z tamtego dnia. Tym wyraźniejsze i bardziej sugestywne, że przed oczami miała tylko czerni. Głęboki dół, zasypywana w nim trumna. Kamień rzucony przez Kuryłowicza. Jego późniejsze słowa o demonach, w które zamieniają się dusze zamordowanych. Czy jej ojciec już się w takiego zamienił? Może to wszystko, co się potem działo, było po prostu tego wynikiem? Została opętana. Zawładnięta przez ducha własnego ojca. Dlatego teraz wchodzi w głąb ziemi. Zstępuje do inferna, by tam się z nim połączyć.

Za chwilę do niej przyjdzie, była tego pewna. Zobaczy jego twarz, oby nie bardzo zmienioną. Choć na to chyba nie miała co liczyć. Naoglądała się przecież ciał w różnych stadiach rozkładu, miała więc materiał, by stworzyć w głowie tę wizję.

Stanąła. Nie mogła dalej się ruszyć. Wokoło nie było światła, nie było niczego. Nic nie widziała i nic nie słyszała poza własnym oddechem i głośnym biciem serca. Łomotanie krwi w żyłach niemal rozsadało jej uszy. Czy tak właśnie wyglądają zaświaty?

Musi stąd wyjść, cofnąć się, inaczej zwariuje. To od początku był idiotyczny pomysł. Było jej zimno od mokrego ubrania. Trzeba umieć się przyznawać do porażek. Rezygnacja czasem bywa największą mądrością.

Dotknęła znowu palcami obu ścian. Lewą dłonią jednej, prawą dłonią drugiej. Teraz wystarczy się obrócić. A potem zacząć iść w stronę słońca.

Lecz nie zrobiła tego. I to nie dlatego, że nie chciała. Pragnęła z całej siły, z całej duszy uciec z tego miejsca. Powstrzymało ją coś, co z początku wzięła za wytwór swej wyobraźni. Dalszy ciąg rojenia o zaświatach i demonach. Ludzki głos.

Seredyńska zatrzymała swe ciało już w połowie obrotu. Powstrzymała oddech, aby lepiej słyszeć. Ludzki głos ma w sobie coś takiego, że nie można go zignorować. Słyszeć go, choćby nawet prawie słysząc go nie było. Jest głośniejszy od innych równie głośnych dźwięków. Nasze uszy wychwytyują go automatycznie, mózg jest nań wyczulony.

Tak, po chwili była już pewna. Po tunelu niósł się czyjś głos. Ledwo ledwo, ale wyraźnie słyszalny. Sączyl się tuż pod stropem korytarza niczym słabo wyczuwalna woń.

Odwróciła się z powrotem całym ciałem w tamtym kierunku. Zaczęła iść w jego stronę. Tym bardziej ostrożnie, że nie chciała robić hałasu. Jeśli ona słyszała jego, to istniało też niebezpieczeństwo, że ten, który mówił, usłyszy ją.

Ta podziemna podróż trwała bardzo długo albo tak jej się przynajmniej wydawało. Z początku nie słyszała głosu, kiedy szła, musiała się zatrzymać, żeby upewnić samą siebie, że nie padła ofiarą halucynacji. Później głos był słyszalny już przez cały czas, nawet wtedy, gdy była w ruchu.

Nie poznawała go, chociaż parę razy bardzo uważnie się w niego wsłuchiwała. Nie był to głos Kutery ani nikogo, kogo знаła. Należał do mężczyzny, tego była pewna. Brzmiał, jakby coś opowiadał.

Być może z powodu pogłosu, echa, odbijania się od ścian i stropu, nie była w stanie zrozumieć, o czym głos mówi, nie rozpoznawała słów. Dziwne było też to, że głos rozbrzmiewał przez cały czas, jakby ten, kto go używał, rozmawiał sam ze sobą.

W końcu w tunelu nieco się rozjaśniło. Zaczęła się zbliżać do jakiegoś źródła światła. Zwiększyła czujność i ostrożność. Lecz wciąż krok za krokiem szła.

Po jakimś czasie zaczęła rozróżniać poszczególne kształty. Widziała już swoje dłonie ślizgające się wzdłuż murów. Zaczęła dostrzegać pojedyncze cegły. I to, że korytarz nie jest prosty, lecz skręca.

Czuła się, jakby przepłynęła zalaną część jaskini. Powrót widzialnego świata wprowadził ją niemal w euforię. Dawno już nie odczuwała tak ogromnej ulgi. To, że zbliżała się zapewne do niebezpieczeństwa, wcale jej w tym nie przeszkadzało.

Nie było tu już korzeni zwisających ze stropu, nie widziała nawet pajęczyn. Za to coś poczuła. Jedzenie.

Zbliżyła się wreszcie do zakrętu korytarza. Panował tu półmrok, widziała więc wszystko już całkiem wyraźnie. Jeszcze parę kroków i... zobaczyła drzwi.

Stała przed nimi. Były stare. Nie na tyle stare jednak, by mogły pochodzić z czasów krzyżackiego zamku. Wykonane z solidnych, szerokich desek, okute po bokach i zaopatrzone w coś w rodzaju podłużnego, metalowego wizjera. To z niego właśnie sączyło się światło. Dopiero teraz zwróciła też uwagę, że na sklepieniu tunelu tuż nad nimi wisiała lampa. Była pozbawiona żarówki i klosza, osłonięta wypukłą kratką z zardzewiałych metalowych prętów, lecz niewątpliwie była to lampa elektryczna.

Była to więc ta część podziemi, która używana już była za czasów przedwojennego szpitala. Czy to tędy wydostał się Radek Markiewicz? Nic nie mówił o żadnych drzwiach. Może wyrzuciono go za nie, bo już uznano za nieżywego? Albo w oczekiwaniu na pomysł, co dalej z nim zrobić.

Podeszła do wizjera. W zasadzie nie był to wizjer, lecz rodzaj wąskiego, zabezpieczonego metalową, drobną siatką okienka. Może wywietrznik mający za zadanie zapewnić cyrkulację powietrza w podziemiach? Zbliżyła do niego oczy.

Po drugiej stronie było pomieszczenie. Palilo się w nim światło, bo było całkiem jasno. Był to... pokój. Tak najtrafniej można go było nazwać. Widziała regał z książkami, kawałek fotela i nawet jakiś obraz na ścianie.

To stąd też czuć było jedzenie i stąd również dochodził głos. Dopiero teraz zrozumiała, skąd mógł się wydobywać i dlaczego tak dziwnie brzmiał. To grał telewizor lub coś do niego podobnego. Głos ten był głosem lektora filmowego.

Spróbowała zobaczyć coś więcej. Przechyliła głowę na boki, żeby wykorzystać całą szerokość szpary. Dostrzegła mały stolik przy fotelu, a na nim talerz z niedojedzoną potrawą. To ona tak pachniała. Wyczuła mięso i sos pomidorowy.

Ktoś tutaj mieszkał, żył. Tutaj pod ziemią, w piwnicy. Miał fotel, telewizor i jadał ciepłe posiłki. Czytał też książki. Oglądał programy o... o życiu w Tajlandii. Tajski street food – o tym właśnie opowiadał lektor.

Ile to było metrów pod poziomem gruntu? Otwór, przez który tu weszła, znajdował się mniej więcej w połowie wysokości skarpy. Korytarz nie prowadził do góry, jeśli już, to niezauważalnie. Musiało być więc to co najmniej dwa bite piętra pod ziemią.

Czy to stąd pochodziły zakrwawione bandaże? I kim był lokator tego piwnicznego hotelu? Czy była to Sandra? Czy może Miłosz? A może mieszkali tu oboje?

Nagle coś zasłoniło jej pole widzenia. Ktoś przeszedł przed drzwiami po drugiej ich stronie. Na tyle blisko i szybko, że nie była w stanie czegokolwiek dostrzec.

Wstrzymała oddech. Kto to był? Więzień owego podziemnego lochu? Czy też może strażnik go pilnujący? Powinna krzyknąć, by dać znać, że tu jest? Czy wręcz przeciwnie, nie robić tego pod żadnym pozorem?

Postanowiła czekać. Człowiek ten na pewno w końcu wróci. Stanie albo usiądzie w miejscu, w którym go będzie mogła zobaczyć. Może postanowi dokończyć swój posiłek? Musi być cierpliwa, ryzyko jest zbyt duże.

Naraz do odgłosów telewizora dołączył inny dźwięk. Wysoki, piskliwy, jakby elektroniczny. Z początku nie wiedziała, skąd on, u diabła, dochodzi. Dopiero po chwili zorientowała się, że jego źródło jest tu, po jej stronie drzwi. Konkretnie z tyłu, tuż za nią. A jeszcze konkretniej w tylnej kieszeni jej spodni.

Sięgnęła szybko za siebie. Był tam jej mokry telefon. Wyjęła go i spojrzała na jego wyświetlacz. Musiał nieco obeschnąć, bo włączył się ponownie. Wilgoć jednak sprawiła, że jego system zaczął wariować. To z niego dochodził wysoki, piskliwy dźwięk.

Usiłowała go wyłączyć. Przycisk, którym zwykle to robiła, jednak nie reagował. Ekran dotykowy także nie działał. Nie mogła kompletnie nic zrobić.

Dźwięk nie był może bardzo głośny, ale wyraźny i irytujący. Na pewno było go słychać przez to cholerne okienko. Jedyna nadzieja, że człowiek, którego przed chwilą widziała, był teraz w innym pokoju. Że poszedł powiedzmy do łazienki, bo przecież jakaś łazienka także musiała tu być.

Zdesperowana zaczęła walić w komórkę dłonią. Nic to nie dało. Potem położyła ją na ziemi i mocno uderzyła podeszwą buta. Wysoki dźwięk wreszcie ucichł. Mogła odetchnąć z ulgą.

– Halo, jest tam ktoś? – usłyszała głos po drugiej stronie drzwi. Dochodził ze szpary. Tym razem nie był to jednak głos lektora.

- Sandra? - spytała.

Głos niewątpliwie należał do kobiety. I to raczej dosyć młodej.

- Taak - padła odpowiedź. Ostrożna i pełna rezerwy.

- Cześć, Sandra - powiedziała.

- Kim pani jest? - Dziewczyna brzmiała, jakby nie do końca wierzyła w to, co słyszy.

„Twoją siostrą”, chciała już powiedzieć, ale uznała, że musiałaby za dużo przy okazji tłumaczyć.

- Przyjaciółką - odpowiedziała zamiast tego. - Chcę ci pomóc.

Odpowiedzią było milczenie.

- Sandra? - spróbowała ponownie.

- Tak? - Tym razem w głosie dziewczyny wyczuwalna była niechęć.

- Chcę ci się pomóc uwolnić - powiedziała.

- Okej. - W tej odpowiedzi raczej nie było entuzjazmu.

- Bo ktoś cię tu więzi, mam rację? - spytała.

Znowu cisza.

- Sandra, o co chodzi? - Zdawała sobie sprawę, że powinna być wobec niej wyrozumiała i delikatna, ale trochę już zaczynała ją to irytować.

- Pani mi się wydaje, prawda? - usłyszała.

A więc taki był tego powód...

- Nie - odpowiedziała. - Nie wydaję ci się. Jestem absolutnie realna.

- Słyszałam już wcześniej takie głosy. - Dziewczyna nie wydawała się przekonana. - Nawet zza tych drzwi.

- Jakie głosy?

- Jęki, krzyki... różne.

Już po raz drugi w swojej karierze Seredyńska musiała przekonywać kogoś, że jest prawdziwa. Ale w porządku, przynajmniej miała wprawę.

- Czy ja jęczę? - spytała.

- Nie.

- A krzyczę?

- Też nie.

- Zaręczam też pani, że istnieję naprawdę - powiedziała. - Jeśli pani to pomoże, mogę siebie opisać. Mam mniej więcej metr siedemdziesiąt wzrostu, jestem szczupłą, nawet bardzo, mam długie, proste rude włosy. Teraz są spięte w koński ogon. Na imię mam Gabriela. Jestem ubrana w mokre dżinsy, bo próbując się tu dostać, zmoczyłam się w rzece. Jeśli poświecisz czymś przez tę szparę, zdołasz mnie zobaczyć.

- Nie mam czym - usłyszała w odpowiedzi. - Wszystkie lampki są tu schowane w ścianach. Chodzi o to, żebyśmy nie zrobiła nic głupiego. A pani nie może tego zrobić? - spytała.

- Ja również nie mam czym - odparła Seredyńska. - Telefon też zamoczyłam. To on tak piszczał przed chwilą.

- Aha.

W głosie dziewczyny wciąż brak było przekonania, za to sporo było wątpliwości.

- Słuchaj - postanowiła zacząć z innej strony. - Wiem, że po prawie dwóch latach przebywania w tym zamknięciu możesz się podejrzewać o halucynacje słuchowe, ale ja do nich nie należę. Byłam w twoim

domu, rozmawiałam z twoją matką, znalazłam wniosek, który chciałaś złożyć, ten o zmianę nazwiska...

Znowu chwila ciszy.

- Jeśli jest pani w mojej głowie, wie pani wszystko to, co i ja wiem - usłyszała. - To więc żaden argument.

Tak, przerabiała ten temat w czasie sprawy morderstw w Cosmopolitanie. Miała nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiała słuchać podobnych bzdur. Powściągnęła jednak narastające zniecierpliwienie.

- A wiesz, że Miłosz też zaginał? - postanowiła zaryzykować zagranie tą kartą. - Jakiś czas temu po tobie. Wyszedł się spotkać z tobą, bo podobno do niego napisałaś, i już nie wrócił.

Tym razem cisza była dłuższa i wydawała się bardziej napięta.

- Tak? - W tym pytaniu już nie było rezerwy.

- Tak - odpowiedziała. - Rozumiem, że nie pisałaś do niego i nie siedzi teraz obok.

- Nie - odparła dziewczyna. - Nie mam tu komórki. Zresztą pewnie i tak nie byłoby zasięgu.

Teraz to Seredyńska zamilkła, czekając, aż Sandra przetrawi to, co usłyszała.

- A kim pani właściwie jest? - spytała po chwili.

- Prokuratorem - odpowiedziała. Nie zabrzmiało to w tej sytuacji zbyt przekonująco.

- Prokuratorem? - Sceptycyzm powrócił. - I niby skąd się pani tu wzięła? Prokuratorzy chyba nie robią takich rzeczy. Nie przychodzą sami, żeby kogoś uwolnić. To robi policja. Jest tu z panią policja?

Dziewczyna była bystra. W tym konkretnym przypadku należałoby powiedzieć: niestety.

- To długa i nieco skomplikowana historia - odpowiedziała szybko. - Przyjechałam tu prywatnie, na pogrzeb ojca, i wpadłam na trop pewnej sprawy, która doprowadziła mnie do ciebie. Więc nie, nie ma ze mną policji.

Powiedz jeszcze, że wejście do tunelu wskazał ci lis, pomyślała, a na pewno ci uwierzy.

- Nie znałam swojego ojca - usłyszała w odpowiedzi. - To znaczy wydawało mi się, że znałam, ale potem okazało się, że nie był moim prawdziwym ojcem. Całe szczęście, tak na marginesie. Zdecydowanie wolę nie mieć w sobie jego genów.

Znowu o mało nie wyjawiała, że Wiktor Seredyński był również jej ojcem. Uznała jednak, że to już by zabrzmiało straszliwie nieprawdopodobnie. To już lepiej byłoby chyba opowiedzieć historię o lisie.

- Ja znałam swojego ojca - powiedziała za to. - Ale nie miałam z nim zbyt dobrego kontaktu. W zasadzie dopiero teraz zaczynam go poznawać.

Zaczynało to zmierzać w kierunku, którego Seredyńska wolałaby uniknąć. Zdawała sobie jednak sprawę, że dla dziewczyny ten temat może być interesujący. Prawdopodobnie nie miała specjalnej okazji z nikim tego przegadać.

Nie pomyliła się.

– Dziwię się pani – skomentowała Sandra. – Gdybym ja miała szansę poznać swojego ojca, chciałabym mieć z nim kontakt przez cały czas. Może zresztą pani o nim słyszała? Nazywa się Wiktor Seredyński. Mieszkał tu kiedyś.

Coś nagle ścisnęło Seredyńską za gardło. Nie odpowiedziała więc od razu.

– Tak, słyszałam o nim faktycznie – odparła wreszcie. – Też tu kiedyś mieszkałam.

– I jaki był? Znała go pani bliżej? – Po sceptycyzmie i rezerwie nie było już śladu.

– O tyle, o ile – odparła wymijająco. – Poza tym to było naprawdę dawno.

– Ale jednak go pani znała. – Dziewczyna nie odpuszczała. – Proszę mi o nim coś opowiedzieć.

Naprawdę? Gdy przyjeżdżała tu parę dni temu na pogrzeb, miała nadzieję na szybkie odbębniecie tego przykrego obowiązku i powrót tego samego dnia do Warszawy. Teraz tkwi gdzieś pod ziemią i rozmawia przez drzwi z dziewczyną, o której dowiedziała się niedawno, że jest jej przyrodną siostrą, o ich wspólnym ojcu. Kiedy to się, do kurwy nędzy, wszystko wydarzyło?

– Był... – Naprawdę nie wiedziała, co powiedzieć. – Był porządnym człowiekiem. Niezbyt wylewnym w okazywaniu uczuć, ale to nie dlatego chyba, że ich nie miał. Ubierał się elegancko i był bardzo przystojny, nawet gdy był już starszy. Parę rzeczy go w życiu przerosło, ale każdego coś kiedyś przerasta. Miał swoje zasady i nigdy, z tego co wiem, nie zrobił niczego jednoznacznie złego.

– Był? – usłyszała zza drzwi zaniepokojone pytanie.

– Wtedy, kiedy go znałam – pośpieszyła z wyjaśnieniem.

– Wygląda na to, że całkiem nieźle go pani znała – zauważyła dziewczyna.

– No właśnie chyba nie za bardzo – odpowiedziała. – Mam po prostu dar obserwacji. Skrzywienie zawodowe. – Wolałaby już naprawdę zakończyć ten temat. – Słuchaj, Sandra. – Postanowiła przejść do zdecydowanie pilniejszych kwestii. – Chętnie opowiem ci o nim jeszcze parę rzeczy, bo coś by się jeszcze znalazło, ale to jak już się stąd wydostaniemy, okej? W jakichś przyjemniejszych okolicznościach. Teraz proponuję skupić się na tym, jak to zrobić.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– To jak, pomożesz mi w tym? – ponagliła ją.

– Drzwi są zamknięte i raczej nie da ich rady pani otworzyć – usłyszała w odpowiedzi.

Znowu dało się wyczuć w tych słowach lekki dystans. Sandra nie wydawała się specjalnie zainteresowana uwolnieniem. Może nie ufała Seredyńskiej dostatecznie albo bała się zmiany po tak długim czasie w zamknięciu?

– Nie chcesz stąd wyjść? – spytała ją. – Na dworze jest piękna pogoda. Świeci słońce, jest bardzo ciepło. Niedługo będzie można się kąpać w jeziorze. Nie miałabyś ochoty tego zrobić?

– Miałabym... – odpowiedziała dziewczyna. Lecz znów z pewnym wahaniem.

– To o co chodzi? – spytała.

– Jestem tu potrzebna.

– Potrzebna? Komu? – zdziwiła się.

- No... im - odpowiedziała Sandra. - Damianowi, jego ojcu. To teraz w zasadzie moja rodzina. I to najlepsza, jaką kiedykolwiek miałam.

Słowa te, choć tak nieprawdopodobne, po zastanowieniu nie zdziwiły Seredyńskiej. Przypomniała sobie wszystko, co opowiadał jej Radek Markiewicz. Zwłaszcza o tym, co się działo po wypadku. A więc tak to wyglądało. Sandra została tu wciągnięta, zwabiona, jak do jakiejś sekty. Najpierw omotana iluzją ciepła, zrozumienia i bliskości, których nigdy wcześniej nie doświadczyła, podlanych do tego jeszcze sosem z poczucia winy, a potem, gdy zapewne próbowała się w którymś momencie uwolnić albo zbyt opierać, po prostu uwięziona. Teraz zaś działał u niej stary, dobry syndrom sztokholmski. Zaczęła się utożsamiać i identyfikować ze swoimi strażnikami.

Należało ją z tego wyciągnąć. Byle ostrożnie.

- „W zasadzie” to dobre określenie - powiedziała. - I o nie się wszystko rozbija. Prawdziwa rodzina nie zabraniałaby ci stąd wyjść.

- Ta poprzednia w ogóle nie dbała, gdzie wychodzę i kiedy wracam - odparła Sandra. - Mieli w nosie, czy jestem, czy mnie nie ma. Tym przynajmniej na mnie zależy.

- Na Miłoszu też im zależy? - spytała. - Bo jego prawdopodobnie też uwięzili. Albo nawet zabili.

Chwila napiętej ciszy. I odpowiedź:

- Nie wie pani tego.

- Miał się z tobą spotkać i już nie wrócił. Ktoś wysłał mu wiadomości w twoim imieniu, podczas gdy ty już tu byłeś i nie miałas zasięgu ani komórki. Jak myślisz, kto to mógł być?

Znów chwila milczenia.

- Nie wiem.

- Myślę, że wiesz. Tylko musisz to przyznać. Słyszałaś tu podobno krzyki. Tak mówiłaś. Może to on?

- Wydawało mi się.

Coś się zmieniło w jej głosie. Pojawiła się w nim jakaś emocja.

- A jeśli nie? Jeśli to on? - Seredyńska cisnęła dalej. - On też się przyczynił do wypadku Damiana, prawda? Tylko w odróżnieniu od ciebie nie mógł odkupić swych win, zostając jego uwięzioną narzeczoną. Dla niego została już tylko zemsta. Skąd dochodziły te głosy? Stąd, gdzie stoję teraz, zza tych drzwi, czy z innych korytarzy też?

- Z innych korytarzy też. - Głos Sandry zaczynał się łamać. - Tylko raz zza tych drzwi.

- Kiedy ostatni raz je słyszałaś?

- Niedawno. Chyba. Tu czas trochę inaczej płynie.

- Czyli może Miłosz jeszcze żyje.

Zapadła cisza. Seredyńska pozwoliła, by dziewczyna po drugiej stronie przemyślała to, co usłyszała. Ona też zresztą musiała się zastanowić. Wszystko, co ostatnio mówiła, wymyślała w zasadzie na bieżąco. Płynęła, dała się ponieść, improwizowała. Lecz to, co powiedziała, miało chyba sens. To rzeczywiście mogło tak wyglądać. Tym bardziej, że Sandra nie protestowała, gdy nazwała ją uwięzioną narzeczoną.

– A jeśli żyje – zwróciła się do dziewczyny po chwili – to musimy mu pomóc. Ktoś, kto jęczy i krzyczy, nie jest chyba w zbyt dobrej formie – zauważyła. – Na pewno nie w tak dobrej, jak ty. On też cię kocha, wiesz przecież. Nie tylko ten pojeb Damian. – Specjalnie użyła słowa, którym kiedyś Sandra go nazywała. – To dlatego poszedł wtedy na spotkanie. Dał się zwabić w pułapkę, bo chciał cię ratować.

Usłyszała coś. Coś po drugiej stronie. Brzmiało to jak cichy płacz.

– To wszystko moja wina – dotarło do niej przez drzwi. – Ja to wymyśliłam, nie Miłosz. Zmusiłam go do tego. Powinni go wypuścić.

– Ale nie zrobią tego – rzuciła dość ostro. – Niezależnie od tego, kto i czemu jest winny, nie uwolnią go, rozumiesz? Ty będziesz tu pewnie żyła, przynajmniej dopóki nie znudzisz się Damianowi, ale jego prędkiej czy później zabiją. Albo po prostu umrze. Wiesz, że znalazłam w śmietniku koło pensjonatu zakrwawione bandażę? To raczej nie twoja krew, prawda? To jak myślisz, czyja?

– Nie wiem. Dajcie mi już wszyscy spokój... – Cichy płacz przerodził się w szloch.

– Musimy mu pomóc, Sandra. – Seredyńska nie miała zamiaru odpuszczać. – Nikt inny tego za nas nie załatwi. Nikt go nawet nie szuka. Może tu umrzeć i nikt się o tym nie dowie.

– Ale co ja mogę zrobić? – Głos, który to wypowiedział, przypominał głos dziecka.

– Daj mi coś, żebym mogła udowodnić, że tu jesteś.

– Ale co?

Dobre pytanie. Co to mogłoby być?

– Masz coś do pisania? – spytała. – Długopis, kawałek kartki?

– Nie. Co miałabym tu pisać i po co?

– Ale masz książki, widziałam je przez szparę. Wyrwij z jednej z nich kartkę. Z początku albo z końca, taką, która nie jest mocno zadrukowana. Napisz na niej... Masz tu kosmetyki?

– Mam.

– Napisz na niej szminką albo kredką do oczu, że jesteś uwięziona w podziemiach pensjonatu Kutery. I podpisz się pod tym. Masz też pewnie waciki kosmetyczne?

– Tak.

– Weź jeden i potrzyj nim sobie wewnętrzną stronę policzka.

– Po co?

– Będzie tam twoje DNA. To udowodni, że tu jesteś i że ty to napisałaś. Tylko musisz odchylić siatkę, bo jej oczka są za małe.

– Nie muszę – odpowiedziała Sandra. – Pod drzwiami jest szpara. Lis ją wygrzebał.

– Lis? – myślała, że się przesłyszała.

– Przychodzi tu czasem – wyjaśniła dziewczyna. – Karmię go resztkami mięsa z obiadu. To mój jedyny przyjaciel. Musiał wyczuć jedzenie i dlatego zaczął tu kopać. Na początku myślałam, że to mysz albo szczur.

Lis! A to dopiero! Jej stary przyjaciel. Albo przyjaciółka. To od niego w zasadzie wszystko się zaczęło. I to on ją doprowadził tutaj.

- Dobrze - powiedziała. - W takim razie przez szparę. Tylko się pospiesz, proszę.

- Jasne - usłyszała. - Już to robię.

- Sandra? - O czymś nagle pomyślała.

- Tak? - Dziewczyna musiała już trochę odejść, bo jej głos był cichszy.

- A mogłabym cię zobaczyć?

Mimo że rozmawiały od jakiegoś czasu, nie widziała dotąd jej twarzy.

- Pewnie. Co mam zrobić?

- Stań naprzeciwko tego okienka, ale trochę dalej.

Dziewczyna spełniła jej prośbę.

- Jeszcze krok do tyłu - poprosiła.

Teraz ją zobaczyła. Młoda, ładna twarz. Duże, bystre, inteligentne, brązowe oczy. Chyba faktycznie była nieco podobna do ich wspólnego ojca. A więc również do niej. Lecz było jeszcze coś. Coś, co spowodowało, że po raz drugi ścisnęło jej się serce. Dziewczyna była ruda. Dokładnie tak jak ona.

- To naturalny kolor? - spytała. - Chodzi mi o włosy.

- Nie, ufarbowałam je - odpowiedziała Sandra. - Już tutaj. Poprosiłam pana Janusza, żeby kupił mi farbę. Jest bardzo miły, jeszcze tego samego dnia mi ją przywiózł.

- Czemu akurat na rudo? - spytała.

Dziewczyna uśmiechnęła się, jakby miała za chwilę powiedzieć coś niemądrego.

- Może to głupie - powiedziała. - Ale chodzi o lisa. Kiedy tu zaczął przychodzić, pomyślałam sobie, że jest czymś w rodzaju mojego ducha opiekuńczego. Więc zmieniłam kolor włosów, żeby wyglądać jak on.

Po raz kolejny pomyślała, że jest tego zdecydowanie za dużo. Dziewczyna była do niej podobna. Nie tylko z rysów twarzy, nawet myślała tak samo. Szlag by to wszystko najjaśniejszy trafił.

Dobrze. Dość tego. Trzeba wziąć się w garść. Potem, któregoś pięknego dnia sobie to wszystko dokładnie przemyśli. Powzrusza się, nadziwi i tak dalej. Teraz musiała stąd spadać. I to jak najszybciej, bo nie wiadomo, czy miły pan Janusz zaraz tu nie wejdzie i nie zastrzeli jej ze swojej ślicznej dwururki. Teraz przynajmniej wiedziała, gdzie zniknął na tak długi czas – zapewne konwersował sobie miło ze swoją przyszlą zamkniętą w lochu synową.

– Okej – powiedziała. – Fajna z ciebie dziewczyna. A teraz daj mi to, o czym ci mówiłam.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Sandra?

Widziała ją ciągle, lecz dziewczyna wydawała się nieobecna. Jej oczy rozszerzyły się nagle z niepokoju.

– Cicho – powiedziała. – Ktoś tu idzie.

Kurwa mać, wykrakała.

– Szybko, daj mi coś – wyszeptała w siatkę. – Cokolwiek.

– Za późno – usłyszała jeszcze. Sandra zniknęła jej z oczu.

Dał się słyszeć dźwięk otwieranego zamka. Najpierw jednego, potem drugiego i na koniec trzeciego. Apartament panny młodej był naprawdę dobrze zabezpieczony.

Sandra pogłośniła telewizor. Bardzo mądrze, zdążyła jeszcze pomyśleć Seredyńska.

Drzwi otworzyły się. Ktoś wszedł do środka.

– Dzień dobry, kochana – usłyszała głos Kutery. – Jak się dziś miewasz? Wszystko dobrze?

Głos bardzo ciepły, wręcz czuły. Jakby zaglądał do pokoju córki albo wnuczki.

– Tak, wszystko w porządku – odpowiedziała Sandra. – Oglądam telewizję.

– Coś ciekawego? – Kroki ucichły, jakby Kutera zatrzymał się, żeby spojrzeć na ekran.

– Niespecjalnie. Tak sobie patrzę. Kanał podróżniczy. O Tajlandii.

Głos dziewczyny był spokojny, umiała ukrywać zdenerwowanie.

– Nie byłem nigdy – odparł Kutera. – Ale też niespecjalnie mnie ciągnie. Uważam, że Polska i tak jest najpiękniejsza. Nie ma u nas tych wszystkich jadowitych węży, tajfunów i wulkanów. Tylko pogoda mogłaby czasem być ładniejsza.

– Dzisiaj podobno piękne słońce – zauważyła Sandra. – Ciepło. Niedługo będzie można zacząć się kąpać.

– Skąd wiesz? – spytał Kutera. W jego głosie pojawiła się czujność. Seredyńska aż wstrzymała oddech.

– Mam tu przecież kanały informacyjne – odpowiedziała dziewczyna. – A tam pokazują, jaka jest pogoda. Skąd niby miałabym to wiedzieć? Od dwóch lat nie widzę prawdziwego nieba.

Kutera zamilkł. Znow słyhać było tylko głos lektora. Chociaż nie, teraz leciały już chyba reklamy.

– No i się skończyło – powiedziała Sandra. – Żegnaj, słońce i piękny świecie.

Wyłączyła telewizor.

– A co ty dziś taka rozdrażniona jesteś? – spytał Kutera. – Stało się coś?

– Nic się nie stało – odparła Sandra. – I wcale nie jestem.

– No przecież widzę. Jesteś jakaś zdenerwowana.

– Wcale nie jestem – powtórzyła dziewczyna. Nieco za głośno jednak, a do jej głosu wkraść się panikarski ton. Chyba jednak nie za dobrze znosiła presję tej sytuacji.

– Ta, akurat. O co chodzi?

– O nic.

Dał się słyszeć jakiś dźwięk. Zdaje się, że Kutera usiadł.

– Słuchaj, rozmawialiśmy przecież o tym wielokrotnie – zaczął. – Tłumaczyłem ci to wszystko. Mi też to się nie podoba. Na obecnym etapie to musi tak wyglądać.

– A kiedy się skończy ten obecny etap?

– Nie wiem. Jak będziesz gotowa. Teraz jest jeszcze na to za wcześnie.

– Jestem gotowa. Może wy nie jesteście?

Kutera westchnął.

– To nie tak – powiedział. – Sytuacja jest skomplikowana...

– Kiedyś nie będzie? – weszła mu w słowo.

– Nie bądź taka...

– Jaka? – Sandra zamieniła zdaje się strach na agresję. Była teraz zirytowana i napastliwa.

– Nieprzyjemna – odpowiedział. – Przecież dobrze cię traktujemy.

– Tak, wiem – znów mu przerwała. – Jesteśmy rodziną.

– Właśnie.

– Tylko, że rodzina tak się nie zachowuje – rzuciła. – Nie zabrania wychodzenia swoim członkom z domu.

– Po co chcesz wychodzić? – spytał. – Masz tu wszystko, czego ci potrzeba.

– Jeziora nie mam! Lasu! Świeżego powietrza, słońca! Czeka mnie kolejne lato bez pływania i jeżdżenia na rowerze! Chciałabym pójść do prawdziwego fryzjera, zrobić sobie paznokcie!

– Przecież kupiłem ci wszystko. Lampę, lakier, żele. Nawet te jakieś naklejki na paznokcie ci kupiłem...

– Ale ja tego nie potrafię robić, nie rozumiesz?! – Sandra już niemal krzyczała. – Zobacz, jak to wygląda! Obraz nędzy i rozpacz! Może i dobrze, że nigdzie nie wychodzę, bo bym się wstydziła tak pokazać na ulicy!

Zaczęła płakać. To był dobry moment, by zacząć się stąd wycofywać. Nie potrafiła jednak tego zrobić. Zbyt była zafascynowana możliwością podsłuchiwania tej rozmowy.

– Sandra... – Kutera wydawał się zagubiony. – Przecież wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej. Naprawdę jesteś dla mnie jak córka... Kocham cię, Damian też...

– Damian? – prychnęła ze złością. – On nikogo nie kocha. Ciebie też, staruszkę. Myślę, że jest zadowolony z tego swojego wypadku, bo dzięki niemu może wszystkimi nami rządzić. Może nawet specjalnie go spowodował, by się na nas zemścić i móc potem kontrolować. Złapał nas na poczucie winy, i ciebie, i mnie. I trzyma w nim jak pająk muchy. Myślisz, że zrobiłbyś to wszystko, gdyby nie on? Nie sądzę. Jesteś w głębi duszy porządnym człowiekiem.

– Nie jestem.

– Jesteś. Trochę cię przez te dwa lata poznałam.

Zapadła cisza. Trwała dość długo. Zaczęła żałować, że jednak nie skorzystała z tamtej okazji. Teraz, gdyby zechciała stąd pójść, mógłby ją usłyszeć.

– Właśnie, Damian... – zaczął w końcu Kutera.

– Co z nim? – Ton głosu Sandry w dalszym ciągu nie był zbyt przyjazny.

– Chciałby z tobą porozmawiać. Dlatego tu przyszedłem.

– Teraz? – zdziwiła się. – Przecież jeszcze nie pora.

– Dziś jest specjalna okazja. Chciałby ci coś pokazać.

– Co?

– Zabronił mi mówić. To ma być niespodzianka.

Seredyńska niemal przyłgnęła do drzwi. O co mogło chodzić? I jak Damian miałby porozmawiać z Sandrą? Czyżby chodziła do niego na górę?

Gdyby to była prawda, mogłaby poczekać, aż stąd wyjdą, wydostać się szybko – na tyle, na ile się przynajmniej da – na powierzchnię i stamtąd wezwać policję. Nie tę miejscową, tylko zadzwonić na numer Wojewódzkiej Komendy w Olsztynie, gdzie macki Niedźwiedzkiego już zapewne nie sięgają, i zażądać interwencji w trybie pilnym. Gdyby przedstawiła się jako prokurator z prokuratury okręgowej w Warszawie, podała swój numer legitymacji i ściemniła, że prowadzi tu śledztwo, na pewno potraktowaliby to poważnie. Nie sprawdzaliby przecież, czy faktycznie jest tu służbowo, nie wydzwanialiby do Kostrzewskiej, tylko od razu przyjechali. Konsekwencjami tego ewidentnego kłamstwa martwiłaby się potem. Jesli by zaś udało jej się dzięki temu uwolnić Sandrę i być może także Miłosza, nie byłyby one zresztą zapewne zbyt surowe.

Pewną niedogodność mógł stanowić tylko fakt, że jej telefon nie działał, w związku z czym musiałyby poszukać innego. W recepcji pensjonatu był chyba telefon stacjonarny, mogłaby więc, korzystając z tego, że Kutera akurat będzie u syna na górze, zadzwonić właśnie z niego. Opóźniłoby to oczywiście interwencję, bo musiałyby wejść jeszcze na szczyt zbocza, obejść budynek i wejść do jego wnętrza, ale to ciągle mogłoby się udać. Zależałoby to oczywiście od tego, ile będzie trwała ta rozmowa.

– Co to za niespodzianka? – Ton głosu Sandry się zmienił. Już nie była zirytowana ani napastliwa.

– Zaraz zobaczysz. Chodź – odpowiedział Kutera.

Czyli faktycznie gdzieś idą, pomyślała Seredyńska. Czyżby to była jej szansa?

Drzwi jednak nie otworzyły się ani potem nie zamknęły. Nie było też słycać żadnych kroków. Zamiast tego ktoś znowu włączył telewizor.

– Popatrz – usłyszała Kutere.

Dźwięki kolejnego podróżniczego programu umilkły. Nie zdążyła nawet się dowiedzieć, którego kraju tym razem dotyczył. W zamian za to dało się słyszeć coś innego. Coś jakby delikatny szum.

– Przywitaj się – polecił Kutera.

– Cześć, Damian – rozległ się głos Sandry.

Chwila ciszy, potem lekkie trzaski. O co tutaj chodziło?

– Cześć, Sandra – odezwał się ktoś inny. I nie był to Kutera.

Głos ten był miły, silny i melodyjny. Miał bardzo ładne brzmienie i nienaganną dykcję. Było w nim jednak coś w nieokreślony sposób dziwnego.

– Rany... – Sandra wydawała się zaskoczona. I w nieklamany sposób ucieszona. – On mówi!

– Tak, mówię – odpowiedział głos. – Po raz pierwszy od dwóch lat. Dzięki tacie.

– Jezu, jak to możliwe? – Dziewczyna klasnęła aż w dłonie.

– Zaktualizowałem system tego urządzenia, które umożliwia Damianowi pisanie. – Głos Kutery przepełniony był dumą. – I była tam taka funkcja. Syntezator mowy. I to nie taki, jak te wcześniejsze, bo wcześniej też już tego próbowałem. Ale tamte brzmiały, jakby to mówił jakiś robot i Damian nie chciał ich używać. Ale ten?! Brzmi jakby mówił prawdziwy człowiek! Jest nawet kilka rodzajów głosu. Wybrałem taki, który wydał mi się najbardziej podobny do jego.

– Niesamowite... – Sandra była najwyraźniej zachwycona. – Faktycznie bardzo podobny. Powiedz coś jeszcze, Damian.

– Ślicznie wyglądasz, Sandra. Coś takiego może być?

– Tak! – Dziewczyna roześmiała się w głos. Było to szczere. Niepokojąco szczere.

- Fajna niespodzianka? - spytał Kutera.

- Cudowna! - odpowiedziała. - Najlepsza. Nawet nie wiesz, Damian, jak się cieszę!

- Ja też - odpowiedział głos. - A wiesz dlaczego najbardziej? - spytał.

- Dlaczego?

- Bo mogę ci teraz powiedzieć to, czego nigdy ci dotąd nie mówiłem. Bo kiedy mogłem jeszcze to zrobić, nie byliśmy razem. Kocham cię, Sandra.

- Jejku... - Głos dziewczyny przepełniony był wzruszeniem. - Ja ciebie też, Damian.

Grała czy była w tym szczerą? Seredyńska nie mogła tego odgadnąć. W jej zachowaniu w każdym razie nastąpiła dość wyraźna zmiana.

- I jeszcze jedno - mówił dalej głos. - Chciałbym ci jeszcze raz powiedzieć, teraz kiedy już mogę, że absolutnie i definitywnie ci wybaczam.

- Damian... Naprawdę... Dziękuję... Nie wiem nawet, co powiedzieć...

- Nic nie musisz mówić, kochanie. Widzę po twojej reakcji, że zrozumiałaś swoje dawne błędy. Dlatego mam do ciebie jeszcze jedno pytanie.

- Jakie? - spytała dziewczyna.

- Teraz, kiedy już jestem w stanie to wypowiedzieć pełnym głosem, chciałbym cię spytać: czy zechcesz zostać moją żoną?

Zapadła cisza. Słowa wypowiedziane przez głos z syntezy zabrzmiały niezwykle oficjalnie i uroczyście, prawdopodobnie dlatego, że mimo świetnej dykcji i pięknej barwy pozbawione były jakichkolwiek emocji. Były jednak przez to bardzo dojmujące, groźne nawet. Jakby to przemawiał Bóg z wysokości swojego tronu w niebiosach.

- Czemu nie odpowiadasz? - Bóg odezwał się ponownie. - Nie chcesz tego?

- Chcę... Bardzo chcę... Tylko...

- Tylko co? - Za moment spadnie z nieba grom.

- Nie wiem, czy jestem tego godna... - Głos Sandry pełen był poczucia winy i skruchy.

- Dlaczego?

- Przed chwilą niemal cię znowu zdradziłam. Tam, za tymi drzwiami jest kobieta. Mówi, że przysłała mnie uwolnić. I że jest prokuratorem...

Kurwa. Niemal nie uwierzyła w to, co usłyszała. Przez jakiś czas stała jeszcze zupełnie sparaliżowana tym niespodziewanym zwrotem akcji. Po drugiej stronie drzwi także można było usłyszeć oznaki całkowitego zaskoczenia. Najpierw ciszę, a potem rumor i nakładające się i przekrzykujące głosy Kutery, Sandry i Damiana z syntezatora.

Nie słuchała już jednak, co mówią. Czas było uciekać. I to szybko. Za chwilę pewnie otworzą te przeklęte drzwi, a wtedy zrobi się dość nieprzyjemnie.

Odwróciła się i pobiegła do tyłu. Póki cokolwiek jeszcze widziała, było to dosyć proste. Potem jednak znowu ogarnęła ją nieprzenikniona ciemność.

Usłyszała jeszcze odgłosy świadczące o próbach otwierania zamka. Całe szczęście najwyraźniej nie było to łatwe. Widocznie nie był używany zbyt często, nie pomagało też zapewne zdenerwowanie Kutery. To dobrze, da jej to kilka chwil przewagi nad pościgiem.

W ciemności nie dała rady już tak szybko biec. To znaczy mogłaby pewnie, ale ryzykowałaby w ten sposób upadek, a kto wie, czy nie jakąś kontuzję. Lepiej było zwolnić niż musieć uciekać później ze zwichniętą kostką.

Drzwi za nią w końcu ustąpiły. Usłyszała, jak się otwierają. Mimo to starała się nie biec. Maszerowała szybko, dotykając, tak jak poprzednio, dłońmi ścian po obu stronach. W tamtą stronę jednak szła dosyć wolno, była ostrożna, teraz nie miała na to czasu. To bardzo dziwne biec tak w kompletnej, nieprzeniknionej ciemności, nie widząc zupełnie niczego w żadnym możliwym kierunku. Nie przypominało to żadnego znanego jej doświadczenia. Było przerażające, lecz w pewien sposób mistyczne. Musiała jednak ze wszystkich sił powściągać strach i gwałtowną, prawie paniczną chęć zatrzymania się.

W pewnym momencie liźnęła ją snop światła. Zobaczyła przed sobą w stroboskopowym mgnieniu korytarz, cegły na ścianach i zwisające z nich pajęczyny. No tak, Kutera miał latarkę, można się było tego spodziewać. Być może musiał wrócić, by jej poszukać, lecz teraz dawała mu ona znaczną przewagę. On, w odróżnieniu od niej, mógł biec o wiele szybciej.

Stroboskopowe błyski pojawiały się coraz częściej. Był to znak, że Kutera coraz bardziej się do niej zbliża. Miało to jednak tę dobrą stronę, że nie była już całkowicie niewidoma. Widziała, co jest przed nią, choć nie przez cały czas, mogła więc nieco przyspieszyć.

W kolejnym mgnieniu dostrzegła zwisające ze stropu korzenie. Świadczyło to o tym, że koniec korytarza jest już blisko. Po chwili czerni dookoła nieco się rozjaśniła. Widziała już dostatecznie dużo, by biec naprawdę szybko.

Dotarła w końcu do ujścia tunelu i do otworu, którym tu weszła. Kutera był niemal za nią, słyszała jego ciężki oddech i równie ciężkie odgłosy stóp. Gdyby gonił ją ktoś młodszy, prawdopodobnie nie zdołałaby uciec.

Rzuciła się w stronę dziury i precyzyjnie na drugą stronę. Światło słońca wbrew oczekiwaniom nie oślepiło jej. Ciągłe było jasno, lecz ewidentnie zbliżała się noc. W lesie, wśród drzew, panował już niemal półmrok. Musiała spędzić w tej króliczej norze naprawdę sporo czasu.

Gdy była już cała na zewnątrz, zsunęła się po skarpie. Kilka gałęzi i korzeni boleśnie uderzyło ją w nogi. Wskoczyła do wody i rzuciła się w bród w kierunku drugiego brzegu rzeki. Wiedziała już, gdzie jest głębia, więc tym razem po prostu w nią weszła.

Po kilku chwilach była po drugiej stronie. Znów była przemoczona, choć przecież tak naprawdę nie zdążyła jeszcze wyschnąć. Telefon i tak szlag trafił. Za to niewielka torebka, przewieszona na pasku na

skos przez jej tułów, Bogu dzięki wciąż była na swoim miejscu.

Wdrapała się na przeciwny brzeg i ruszyła w górę zbocza. Nagle usłyszała świst, a sekundę później huk. Na skarpie niedaleko niej wybuchnął mały gejzer ziemi. Kutera strzelał do niej, najwyraźniej nie tylko po latarkę wrócił. Przypadła do gruntu i rzuciła się za najbliższy pień drzewa.

Oddychała głęboko, na strach nie było czasu. Wyjrzała zza pnia. Kutera wychylał się z otworu, przez który niedawno wypełzła. Lufa sztucera wodziła w poszukiwaniu celu. Tym celem była ona, lecz całe szczęście chyba jej teraz nie widział.

Miała ochotę zerwać się i uciec stąd jak najszybciej, wiedziała jednak, że byłoby to niebezpieczne. Jeśli ją znowu zauważy, tym razem może nie chybić. Musi poczekać. Na co? Tego jeszcze nie wiedziała.

W końcu Kutera znudził się czekaniem i postanowił ruszyć za nią w pogoń. Lufa sztucera zniknęła, w zamian za to pojawiła się jego głowa i tułów. To była jej szansa. Zanim wyczołga się z tej nory, minie trochę czasu.

Wyszła zza drzewa i rzuciła się do ucieczki. Biegła pod górę i do przodu, byle tylko dostać się do ścieżki. Nie oglądała się za siebie, lecz brak odgłosów wystrzałów świadczył, że myśliwy, który na nią polował, nie zdołał się jeszcze złożyć do strzału. Gdy w końcu usłyszała kolejny huk, była już między drzewami i kula nie przeleciała nawet w jej pobliżu.

Dotarła w końcu do ścieżki i rzuciła się pędem w kierunku swojego samochodu. Kutera nie miał szans jej tu dogonić, zaprzestał też strzelania. Uciekła mu, uciekła. Dopadła wreszcie do samochodu. Kluczyki były w torebce, wystarczyło tylko nacisnąć.

Szczęśliwie drzwi się otworzyły. Wsiadła do środka, przemoczona, zdyszana i uwalana ziemią. Odpaliła silnik, ruszyła z mocnym szarpnięciem. Po chwili była już na drodze.

Wcisnęła gaz do dechy, wozem aż zarzuciło. Alarm niezapiętego pasa napięprzał jak oszalały. W dupie to miała, byle dalej. Droga była całkiem pusta. Zanim Kutera zdoła dotrzeć do swojego auta, będzie już naprawdę bardzo daleko.

Udało się, o ja pierdołę.

Zwolniła wreszcie i zapięła pasy. Ręce jej się trzęsły, więc tym mocniej zacisnęła je na kierownicy. Co dalej? Trzeba było opracować jakiś plan.

Mimo rozdygotania zrobiła przegląd bieżącej sytuacji. Nie udało jej się zdobyć żadnego istotnego dowodu, ale przynajmniej uszła z życiem, no i dowiedziała się, o co w tym wszystkim chodzi. Biorąc pod uwagę, że przed chwilą mogła zginąć, to naprawdę nie był zły wynik. Można wręcz powiedzieć, że zajebisty.

Odsunęła szyby, by nieco ochłodzić głowę. Miała ochotę wręcz wystawić ją przez okno. Dobrze, to zrobi w ten sposób: pojedzie teraz prosto do wojewódzkiej komendy i przekaże im to, co ma. Błysnie legitymacją, narobi rabanu i zażąda natychmiastowej interwencji i przeszukania pensjonatu „Damian”. W tym momencie przynajmniej jest pewna, w odróżnieniu od jeszcze dzisiejszego popołudnia, że coś tam faktycznie jest i że nie zrobi z siebie idiotki. Zanim to sprawdzą i się zorientują, że jest na urlopie, pojedzie tam z nimi i dopilnuje, by na pewno zeszli do podziemi. Jeśli przyjdzie im jednak do głowy, by zadzwonić do Prokuratury Okręgowej w Olsztynie i dowiedzieć się, czy jest tu formalnie umocowana, ona z kolei zadzwoni do Kostrzewskiej i ryzykując całą swoją pieprzoną karierę, zmusi ją, by wydała ustne pełnomocnictwa. Ma naprawdę dobre argumenty – wie w końcu, gdzie przebywa jedna z zaginionych osób, a prawdopodobnie również druga. Takiego czegoś nie da się zignorować, zresztą ona już dopilnuje, by to nie było możliwe. A gdy już wejdzie tam z policją, to będzie zupełnie inna rozmowa. Wybebeszy tę cholerną budę do gołych ścian i jeśli jest tam faktycznie zejście do piekła, znajdzie je. Mogą ją potem zawiesić, dać jej nagane, nawet wyrzucić z pracy, nie dba o to. Strzelano do niej dzisiaj, do jasnej cholery, nie zostawi tego tak.

Dojechała znowu do tych głupich robót drogowych. Zupełnie zapomniała, że one tu są. Światło zmieniło się na czerwone jak na złość akurat wtedy, gdy się tam pojawiła. Przed nią nie było jednak żadnego innego auta. Chrzanić to, pomyślała i dodała gazu. Nie będzie przecież tu czekać w samym środku lasu.

Nagle z lewej strony zza jakiegoś pojazdu stojącego na nieczynnym pasie ruchu i blokującego nim przejazd wyszła postać w roboczym ubraniu i zamachała czerwonym lizakiem. Wcisnęła klakson, lecz postać nie ustąpiła. Stała w tym momencie dokładnie naprzeciw jej maski, musiała się zatrzymać, by jej nie rozjechać.

Teraz już faktycznie wystawiła głowę przez okno.

- Co jest, człowieku? Życie ci niemiłe? - krzyknęła. - Przecież przed chwilą dopiero się zmieniło. Jestem prokuratorem, muszę przejechać. Proszę mnie przepuścić!

Z mężczyzną, który stał przed jej autem i nie miał najwyraźniej zamiaru się ruszyć, było jednak coś dziwnego. Wydawał się nie mieć twarzy. W ogóle. W ciemności, która zapadła już niemal całkowicie, błyskały tylko białka jego oczu.

Schowała z powrotem głowę do środka i włączyła długie światła, by lepiej go zobaczyć. Teraz już wiedziała, o co chodziło. Jego twarz porośnięta była sierścią.

Krzyknęła cicho i przez chwilę nie była w stanie się ruszyć. Szybko to jednak minęło. Przypomniała sobie postaci z opowieści Markiewicza. Trzeba było stąd spierdalać i to jak najszybciej.

Podniosła stopę, by wcisnąć ponownie pedał gazu. Jeśli ten owłosiony frajer nie ustąpi jej z drogi, to będzie jego problem. Nie zdążyła jednak jej opuścić.

Jakieś ręce otworzyły drzwi jej samochodu od strony kierowcy, potem wyciągnęły ją z auta. Ktoś ją przytrzymał i założył jej worek na głowę. Wszyscy mieli twarze pokryte szczecina.

Zanim ponownie, po raz trzeci dzisiejszego dnia, ogarnął ją nieprzenikniony mrok, zdołała jeszcze dostrzec dwie rzeczy. Sierść na obliczach tych ludzi była tak naprawdę zwierzęcymi skórami. Mieli założone na twarze zrobione z nich maski z wyciętymi otworami na oczy.

Druga rzecz zaś była następująca: pojazd, zza którego wyszedł pierwszy z nich, swoim ciemnym obrysem przypominał jakieś wielkie zwierzę. Działo się tak głównie dlatego, że wznosiło się nad nim coś, co wyglądało jak wyciągnięta w niebo szyja albo ogon skorpiona. Dokładnie taka, jaką opisywał Radek Markiewicz. Zrozumiała jednak, co to tak naprawdę jest. Nie był to żaden ogon, tylko zwisający na wyciągnięciu hak holowniczy. Gdy słyszała więc opowieść Markiewicza, nie tylko ze snem jej się ona skojarzyła, ale także właśnie z tym. Pojazd zaś należał do Pawła, jej dawnego kolegi z podstawówki.

Trudno powiedzieć, czy straciła przytomność. Raczej nie, ale to, co wydarzyło się potem, niezbyt dobrze zapadło jej w pamięć. Może chodziło o szok, może o jakąś reakcję obronną jej psychiki. Może po prostu o to, że miała worek na głowie, nic nie widziała, nikt też nic przy niej nie mówił, a kiedy gdzieś się przemieszczała, to ją niesiono.

Następną rzeczą, którą zapamiętała, było to, że ktoś kładzie ją na ziemi, przeszukuje kieszenie i torebkę, zdejmując worek z głowy i wychodzi, ale wciąż jest ciemno. Leżała tak potem jeszcze przez jakiś czas, zbytnio oszołomiona i otepiała tym, co się właśnie wydarzyło. Zresztą po co w zasadzie miałyby się ruszać? Przegrała i to możliwe, że definitywnie. Skala i konsekwencje tej porażki były właśnie tym, co ją przytłaczało. Przelicytowała i to zdaje się grubo. Nie miała już żadnych asów w rękawie.

W końcu jednak usiadła na podłodze. Jej mózg zaczął powoli znowu pracować. Nie była ranna ani związana. W pomieszczeniu – bo to chyba było pomieszczenie – w którym ją umieszczono, było ciemno, ale naprzeciw niej z niskiej długiej szpary przy podłodze przesączało się wątle światło. Wyglądało to na drzwi. Gdy przyjrzała się dokładniej, zobaczyła też drugą plamkę światła. I była to chyba dziurka od klucza. Dostyc duża, więc klucz, który do niej wkładano, również musiał być całkiem spory. Świadczyło to o tym, że i zamek, i drzwi były dosyć stare.

Wstała i podeszła do nich. Tuż nad dziurką była masywna, żeliwna kłamka. Nacisnęła na nią. Drzwi oczywiście były zamknięte. Chyba rzeczywiście słyszała zresztą wcześniej dźwięk przekręcanego klucza. Trudno się było spodziewać poza tym, by było inaczej.

Nachyliła się i przyłożyła oko do dziurki. Była naprawdę duża, więc całkiem sporo było też przez nią widać. Po drugiej stronie było w miarę jasno, ale też bez przesady. Zobaczyła mur z cegieł. I to w zasadzie tyle.

Wyprostowała się i odwróciła tyłem do drzwi. Stała tak, by nie zasłaniać swoją sylwetką tych dwóch rachitycznych źródeł światła, jakimi była szpara i dziurka od klucza. Pozwoliła zrenicom przyzwyczaić się do tych warunków. Powoli z mroku zaczęły się wyłaniać niewyraźne kształty pomieszczenia. Gdyby była lisem, widziałaby pewnie jeszcze więcej.

Znajdowała się w jakimś rodzaju sklepionej półokrągłej ceglanej komórki, z końcówką tonącą w mroku. Była ona niewiele szersza od tamtego tunelu, gdyby rozłożyła ręce, mogłaby dotknąć wyciągniętymi

palcami obydwu ścian. Tu, gdzie stała, nie było żadnych przedmiotów, dalej w ciemności widziała jakieś kształty. Podeszła tam ostrożnie.

Stały tam jakieś pakunki przykryte zakurzonym brezentem, stare metalowe meble wyglądające jak wyposażenie szpitala. Ze zdziwieniem natrafiła na przerdzewiały hełm. Sądząc po małych metalowych wypustkach po obu stronach, należał kiedyś do żołnierza Wehrmachtu.

Ściągnęła brezent z jednego z pakunków. Poczula w nozdrzach świdrujący kurz. Nie mogła się powstrzymać, kichnęła. Ten odgłos, tak zwyczajny, świadczący, że mimo wszystko wciąż żyje, podniósł ją w jakiś dziwny sposób na duchu.

Pod płachtą była jakaś skrzynia. Drewniana, wyczuła to pod palcami. Deski były chropawe, niewyglądzone. I sądząc po zapachu, na pewno dość stare.

Skrzynia była podłużna, miała mniej więcej półtora metra. Dość niska z kolei, najwyżej trzydzieści centymetrów wysokości. Była zamknięta, Seredyńska wyczuła pod opuszkami palców zardzewiałe łebki gwoździ. Co w niej mogło być? Nie wiedziała.

Dalsze oględziny przerwał jej głos dobiegający zza drzwi. Głos męski, w zasadzie dwa głosy. Na razie dalekie, lecz najwyraźniej się przybliżające. Toczyły rozmowę i to raczej dość gwałtowną.

Podeszła z powrotem do drzwi i nadstawiła uszu. Z początku nie rozumiała, o czym rozmawiają. Głosy odbijały się od ścian korytarza i zniekształcały. Pogłos sprawiał, że nie dało się odróżnić poszczególnych słów.

W miarę jednak jak ich właściciele się przybliżali, dźwięki zaczęły się układać w poszczególne wyrazy, choć na razie tylko pojedyncze i przedzielone niezrozumiałą samogłoskowo-spółgłoskową magmą. W końcu jednak mężczyźni najwyraźniej się zatrzymali i to chyba dość niedaleko. Musieli też stanąć w jakimś dobrym akustycznie miejscu, bo Seredyńska słyszała ich teraz o wiele lepiej.

Wstrzymała oddech, aby lepiej słyszeć.

– Nigdy nie zrozumieję, jak mogłeś wymyślić coś tak idiotycznie chorego! Znam cię czterdzieści lat, w życiu bym nie przypuszczał, że jesteś takim... – Pierwszy głos był gniewny, kipiał wprost tłumioną wściekłością.

– Kim? Świrem? Dewiantem? Zaręczam ci, że nie jestem ani jednym, ani drugim. – Z tego z kolei przebiegała rezygnacja, ale też jakiś rodzaj zapiekłej zaciętości. – Po prostu nigdy nie byłeś w mojej sytuacji, nie wiesz, do czego to może doprowadzić, jak takie coś wszystko zmienia.

Kutera, to był Kutera.

– Tysiące ludzi są w twojej sytuacji i jakoś nie urządzają więzienia w piwnicy, żeby ich popierdolony synalek nie czuł się samotny!

Tego głosu jeszcze nie była w stanie rozpoznać.

– Co się stało, to się nie odstanie, tak? Gdyby nie ta wścibska pizda z Warszawy, wszystko byłoby dobrze – odpowiedział Kutera.

– Co byłoby dobrze? Co byłoby dobrze?! I co byś zrobił? Trzymał tę biedną dziewczynę w tym lochu aż do jej śmierci?

– Była już prawie urobiona – odparł ponuro Kutera. – Jeszcze chwila i mogłaby zamieszkać z nami na górze. To zresztą ciągle moim zdaniem jest możliwe. Okazała się lojalna, stanęła po naszej stronie.

– Czy ty, kurwa, słyszysz, co ty w ogóle mówisz?! – Drugi głos zagotował się niemal ze złości. – Jeśli ją wypuścisz, jeśli jej pozwolisz chodzić normalnie po świecie, prędzej czy później zrozumie, że może się zerwać ze sznurka, a wtedy wszystko się wyda!

– Będziemy jej pilnować. – Głos Kutery stał się jeszcze bardziej ponury.

– Kto? Ty i twój sparaliżowany synek?

– Ja i Paweł.

Drugi głos prychnął z irytacji.

– No tak, bo zapomniałem jeszcze o nim. Jak tyś go w ogóle do tego wciągnął?

– Przysługa za przysługę – odparł Kutera. – Byłem dyskretny w dość istotnej dla niego kwestii.

– Nie chcę o tym nawet słyszeć. To i tak wszystko jest za dużo jak dla mnie.

Przez chwilę obaj mężczyźni milczeli. Słysząc było tylko ciężki oddech jednego z nich.

– Musimy to przerwać, Janusz, to jest jedyne rozwiązanie.

– Co przerwać? – spytał Kutera.

– To wszystko. Posprzątać ten cały syf. I oczywiście to ja jak zwykle muszę to zrobić.

– Niepotrzebnie do ciebie dzwoniłem – rzucił Kutera z rezygnacją.

– I co byś zrobił? Pozwolił jej uciec?! – Tamten drugi wyraźnie podniósł głos. – Gdybym nie wygrał przetargu na ten cholerny remont i gdyby nie było tam moich ludzi, ta suka już by dawno była w Olsztynie!

– Mogłem od razu zadzwonić do Pawła. Nie wiedziałem, że tam jest.

– A gdzie miał być? Zabierał akurat chłopaków do domu. Gdyby nie zbieg kilku naprawdę szczęśliwych okoliczności, bylibyśmy teraz w dość konkretnej dupie. – Usłyszała westchnienie. – Jesteśmy wszyscy teraz, Janusz, w to umoczeni, wszyscy. I to przez ciebie.

– Zawsze byliśmy – odpowiedział Kutera. – Nie pamiętasz? Po co to wszystko w ogóle powstało? Żeby nas chronić przed takimi sytuacjami. Więc chyba nie proszę o zbyt wiele.

- Zawiązaliśmy ten pakt, do przenajświętszej cholery, żeby chronić nas i nasze rodziny przed złem, którego nie dało się w inny sposób wyplenić. - W głosie drugiego, teraz już domyśliła się, że jest to Zagoński, zaczęła bulgotać wściekłość. - Nie po to, żeby wykorzystywać go do krycia takich... Nie wiem nawet, jak to nazwać... wyskoków!

- No i chuj - odparł Kutera upartym, choć zmęczonym głosem. - Ja go wykorzystywałem właśnie po to. Między oboma mężczyznami znowu zapadła cisza.

- Tamten drugi chłopak, Miłosz, też u ciebie jest? - spytał w końcu Zagoński.

- Też.

Znowu westchnienie.

- Mówiłeś, że oboje nie żyją. I że zginęli przez przypadek, gdy próbowałeś ich ukarać za to, co zrobili Damianowi. Rada uznała to za sprawiedliwe działanie, choć z niefortunnym skutkiem. Tylko dlatego cię chroniliśmy.

- No popatrz, jak daliście się nabrać.

Usłyszała sapanie i odgłosy przepychanki, jakby ktoś tam na kogoś próbował się rzucić. Wszystko to jednak bez jednego słowa. Po chwili dźwięki ucichły.

- Musimy to zakończyć - odezwał się po jakimś czasie Zagoński. Mówił już spokojniejszym tonem. - Zlikwidować ten problem. On obciąża i naraża nas wszystkich.

- W jaki sposób? - spytał Kutera. Także już był spokojny.

- A jak myślisz? - zachnął się Zagoński. - W taki sam, jak ten poprzedni.

- Nie ma mowy. To prawie moja synowa.

Odpowiedzią był krótki śmiech.

- Ty naprawdę w to wierzysz? Serio?! Jesteś jeszcze bardziej pieprznęty niż twój syn! To nie jest żadna twoja synowa, tylko dziewczyna, którą porwałeś i przetrzymujesz w swoim domu bez jej zgody. A my ci od dziś w tym pomagamy. Za to są solidne wyroki więzienia. Spytaj Niedźwiedzkiego.

- Nie pozwolę wam jej skrzywdzić - odparł Kutera z uporem. - Poza tym to byłoby niesprawiedliwe. Niezgodne z założeniami paktu.

- Sam je pogwałciłeś, idioto! - Zagoński znowu się wściekł. - Teraz już nie mamy wyjścia! Myślisz, że mi będzie łatwo z córką Wiktora? Był jednym z nas, nie pamiętasz? Trzech, kurwa, jebanych muszkietarów!

- Możemy ich wszystkich trzymać w tych piwnicach. Tak jak do tej pory. Nic się nie zmieni. Najwyżej będę kupował trochę więcej żarcia.

- To jakbyś trzymał pod podłogą niestabilną bombę. Taką, która może zabić nas wszystkich. Prędzej czy później to się wyda, Janusz. Ktoś się dowie albo jedno z nich ucieknie.

- Chłopak już na pewno nie ucieknie - stwierdził ponuro Kutera.

- O tym też nie chcę nic wiedzieć - odparł Zagoński. - No to jedna z nich. Dasz się omotać twojej niby synowej albo córka Wiktora cię przechytry. Ona jest sprytniejsza od ciebie, wykorzysta pierwszą nadarzącą się okazję. Tę sprawę trzeba rozwiązać raz na zawsze.

- Nie pozwolę wam skrzywdzić Sandry, rozumiesz? - Kutera podniósł głos. - Dwoje pozostałych sobie weźcie, w dupie ich mam. Z chłopaka i tak niewiele już zostało.

- Nie mów mi o tym, do chuja! Nie chcę o niczym wiedzieć! - Zagoński także się uniósł. - Poza tym dobrze wiesz, że to nie jest moja decyzja. Ani tym bardziej twoja. Zwołałem na dziś zebranie rady. Ona zadecyduje.

To zdaje się zakończyło rozmowę.

– Gdzie ona jest? – spytał Zagoński.

– Tam, za tamtymi drzwiami – odpowiedział Kutera.

Dało się słyszeć kroki. Zbliżały się.

– Gdzie jest klucz? – Głos Zagońskiego dobiegał tuż zza drzwi. Odsunęła się.

– Nie ma. – Kutera też musiał podejść bliżej. – Są zamknięte na zasuwę.

Usłyszała zgrzyt metalu trącego o metal. Cofnęła się jeszcze dwa kroki.

Drzwi otworzyły się z głośnym piskiem. Zobaczyła postać Zagońskiego. Spojrzał na nią.

– Jest tu jakieś światło? – spytał Kutere.

– Po co miałyby być? – odparł niewidoczny dla niej mężczyzna. – Żarówkę ostatni raz wymieniali Niemcy.

– To, do cholery, coś przynieś! – niemal krzyknął Zagoński. – I dwa krzesła.

Kutera wrócił po chwili. Przyniósł stare krzesło i myśliwski trójnożny, składany taboret.

– Lampki nie ma – powiedział. – Pogadacie sobie po ciemku.

– Kretyn – mruknął pod nosem Zagoński, gdy tamten już poszedł. Tych dwóch najwyraźniej niezbyt się lubiło.

Podał jej krzesło, sam rozłożył trójnóg.

– Siadaj – powiedział.

Seredyńska zrobiła to, co kazał. Zagoński usadowił się na taborecie.

Przez chwilę milczał, patrząc na nią. Widziała jego twarz w półcieniu, bo oświetlało ją tylko światło z korytarza.

– Przykro mi, że do tego wszystkiego doszło – zaczął. – Nie miałem pojęcia, co ten debil tu wyprawia.

Nie odpowiedziała.

Przygładził dłonią rzadkie, siwe włosy na czubku głowy.

– Niepotrzebnie się w to wszystko wplątałaś – powiedział. – Naprawdę niepotrzebnie. – Miał znużony, pełen smutku głos. – Ostrzegałem cię, żebyś się od tego trzymała z daleka.

– Zabiliście mi ojca – odparła. – Myślisz, że miałam wyjście?

Spojrzał na nią przeciągle.

– Nie my – odpowiedział. – Nie my go zabiliśmy.

– To kto? – spytała. Może się przynajmniej dowie przed śmiercią.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Znaleźliśmy go w lesie, kiedy był już martwy.

Czyli się nie dowie. Cudownie. Wszystko na nic. Umrze i nawet nie rozwiąże wcześniej najważniejszej sprawy w swoim życiu.

– To skąd to opóźnienie pogrzebu? – spytała. – Co takiego znalazł Lewczuk, że musiał do ciebie zadzwonić?

Uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

– Sporo wiesz, jak widzę – powiedział. – Wiktor mógłby być z ciebie dumny.

– Jakoś mi tego nie okazywał za życia, więc i teraz miałabym to w dupie – wyrzuciła z siebie. – Mów.

Uniósł do góry brwi.

– Ślady postrzału – odpowiedział. – To znalazł Lewczuk.

– Postrzału? – powtórzyła.

- Z broni śrutowej – wyjaśnił. – Zapewne dubeltówki.
- Czemu nie zauważyliście tego od razu? – spytała.
- Twój ojciec leżał na brzuchu – odparł. – Cała krew zebrała mu się na dole. Śrut ma niedużą średnicę, więc rany, choć było ich sporo, były niewielkie. Lewczuk ich nie zauważył, bo były ukryte...

- W plamach opadowych – dokończyła za niego.
- Właśnie.
- A ubranie? – drążyła. – Powinno być przecież zakrwawione.
- Twój ojciec leżał w błocie. Cały przód miał nim uwalany. Skąd mieliśmy wiedzieć, że jest tam też krew?

- Więc jak to odkryliście? – spytała.
- Lewczuk zostawił ciało twojego ojca tak jak było, włożył je po prostu do chłodni. Zbliżała się noc, więc chciał się nim zająć rano, w dniu pogrzebu. Lecz kiedy w końcu rozebrał twojego ojca, zobaczył ślady po śrucie. Teraz już było je widać.

- Plamy opadowe zblakły i przemieściły się pod wpływem grawitacji. No tak, to ma sens – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

- Wtedy zadzwonił do mnie.
- Nie na policję? – spytała.
- Tutaj wszyscy zawsze najpierw dzwonią do mnie – rzucił z przekąsem.
- Dlaczego wobec tego później nie zadzwoniliście na policję? – spytała. – Skoro to nie wy go zabiliście.
- Z dzisiejszej perspektywy to był chyba błąd – przyznał. – Twojego ojca znaleziono na terenie obwodu łowieckiego. Zginął postrzelony z broni myśliwskiej. Podejrzani byłiby wszyscy członkowie koła. Baliśmy się, że przy okazji śledztwa mogłyby wyjść różne rzeczy, które powinny pozostać w ukryciu.

- Niedźwiedzki by was nie krył? – spytała.
- Też jest członkiem tego koła, więc nie mógłby prowadzić tej sprawy.
No tak, oczywiście, nie pomyślała. On też jest członkiem koła.
- Dlatego doszliśmy wspólnie do wniosku, że lepiej będzie udawać, że nic się nie stało. I tak w sumie odkryliśmy to przecież przypadkiem. Twój ojciec zostałby pochowany i temat by się zakończył. Niestety, w mieszałaś się do tego ty. A teraz jest już jakby za późno. – Spojrzał jej prosto w oczy.

Zwalczyła strach, który ją nagle ogarnął. Nie chciała dać po sobie poznać, że słyszała jego wcześniejszą rozmowę z Kuterą.

- A Janiszewski? – spytała. – Mówił, że wezwaliście go do mojego ojca w dniu jego odnalezienia i robiliście wszystko, by wystawił kartę zgonu bez oglądania ciała. Dlaczego, skoro wtedy jeszcze nie wiedzieliście, że został zastrzelony?

Zagoński wzruszył ramionami.

- Z tego samego powodu, dla którego potem nie zawiadomiliśmy policji – odparł. – Nie chcieliśmy kłopotów. Trup w lesie to też dochodzenie. Znaleźliśmy go my, a nas wtedy nie powinno tam być. Kłusowaliśmy, mówiąc krótko. Polowaliśmy tam, gdzie nie można i na to, na co o tej porze roku nie wolno polować. Same kłopoty. Woleliśmy więc zawieźć twojego ojca od razu do Lewczuka i dopiero on nam powiedział, że potrzebna jest jakaś karta zgonu. Wszystko tego dnia szło nie tak. Więc ściągnęliśmy doktorka, żeby nam krył dupy. Nie zabranialiśmy mu wcale dostępu do zwłok, chcieliśmy po prostu załatwić sprawę szybko. Gdyby się postawił i powiedział, że chce je sobie obejrzeć, pozwolilibyśmy mu. Ale on się do tego nie palił. Wtedy zresztą wszystko wydałoby się prędzej i może uniknęlibyśmy tych wszystkich kłopotów. Za to mielibyśmy pewnie inne. Tak to już niestety bywa na tym świecie – zauważył filozoficznie. – Jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie, a tamto z kolei wymusza trzecie. I ani się człowiek obejrzy, a jest już w miejscu, w którym w żadnym razie nie chciałby być, i musi robić rzeczy, na które wcale nie ma ochoty.

ROZDZIAŁ 95

Zagoński wstał z taboretu. Zrobiło jej się niedobrze ze strachu. Czy to już? Nie, musi się jeszcze przecież zebrać jakaś rada.

– Nie jesteś głupia – powiedział. – Wiesz, co musimy teraz zrobić. Nie utrudniaj tego sobie i nam. Teraz to już naprawdę nie ma sensu.

– Dlaczego musicie? – spytała. – Jeśli jest prawdą to, co mówiłeś o śmierci mojego ojca, to grożą wam za to co najwyżej grzywny albo kilka miesięcy w zawieszeniu. Cały syf jest po stronie Kutery. Jeśli mnie teraz wypuścisz, powiem, zresztą zgodnie z prawdą, że mi pomogłeś się uwolnić. To on pójdzie do więzienia, nie ty. A zabójstwo prokuratora to już poważna sprawa. Nie popełniaj kolejnego błędu, który zaprowadzi cię w jeszcze gorsze miejsce, niż jesteś.

Popatrzył na nią ze smutkiem i powagą.

– Jednak nie wszystko rozumiesz – stwierdził. – Jesteśmy tu wszyscy ze sobą spleceni. Robiliśmy tu wcześniej wiele różnych rzeczy. Zatoniecie Kutery pociągnie na dno też resztę. Brzydzą się tym, co on zrobił, ale naprawdę nie mam innego wyjścia. Piękne projekty miewają czasem podłe skutki.

Odwrócił się w stronę drzwi.

– Poza tym nie śmierć, tylko zaginięcie – dodał jeszcze cynicznie.

Ruszył w kierunku wyjścia.

– Kiedy zbiera się rada? – rzuciła za nim szybko.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Dziś w nocy – odpowiedział. – Oczekuj rozstrzygnięcia za dwie, trzy godziny. Ale nie licz na jakiś cud. Będę rekomendował takie rozwiązanie. Jestem Wielkim Mistrzem i zazwyczaj się ze mną zgadzają.

Musiała się powstrzymać, by nie parsknąć śmiechem. I to pomimo grozy sytuacji. „Wielki Mistrz”, dobre sobie, pomyślała. Czyli miała rację.

– Żądam uczestnictwa w posiedzeniu rady – powiedziała stanowczym tonem. – Mam do tego prawo.

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Niby na jakiej podstawie? – spytał.

– Jestem córką członka założyciela – odpowiedziała.

– I co z tego? – Uśmiech wciąż nie schodził mu z ust.

– Według statutu miejsce przechodzi z ojca na syna, a w razie braku syna, na córkę – odpowiedziała z największą pewnością siebie, na jaką było ją stać.

Wyraz jego twarzy się zmienił.

– Skąd znasz statut? – spytał. – Ojciec ci powiedział?

Nic jej nie powiedział. Nawet się nie zająknął o żadnej głupiej radzie. Ale takie bzdury muszą się rządzić swoimi prawami. Dziedziczenie miejsca zaś wydawało się pasować do tej akurat wersji. Zresztą Damian chyba coś kiedyś wspomniał o czymś podobnym Radkowi.

– Tak – odpowiedziała. – Wiktor Seredyński. Jego miejsce jest teraz puste, prawda?

Popatrzył na nią z mieszaniną konsternacji i złości.

– Nie ma to znaczenia – odpowiedział. – Nie mam zamiaru się na to godzić. To niedorzeczne.

Znów chciał odwrócić się w stronę drzwi. Nie pozwoliła mu na to.

– Albo działacie według prawa i reguł – powiedziała – albo jesteście tylko bandą złoczyńców, zwykłą mafią. Kutera już nagiął zasady dla swoich celów. Chcesz być taki jak on?

Twarz Zagońskiego wykrzywił grymas wściekłości.

– Nawet tak ze mną nie próbuj, rozumiesz? – Zbliżył się do niej z groźbą w oczach.

Nagle za jego plecami niczym wywołany duch pojawił się Kutera. Zwróciła się więc do niego.

– Żądam uczestnictwa w posiedzeniu rady – powtórzyła, wstając. – Należy mi się miejsce po ojcu. Zagoński mi tego odmawia.

Na ustach Kutery zagościł mściwy uśmiezek.

– Ma do tego prawo, Wielki Mistrz – powiedział z wyraźnie słyszalnym przekąsem. – Sam ustalałeś te reguły.

Zagoński zmełł w ustach jakieś przekleństwo.

– Twoje postępowanie też będzie tematem jej posiedzenia – powiedział. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– W dupie to mam – odparł Kutera. – I to tak głęboko, jak wielkie jest twoje wyobrażenie o sobie.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Już dawno nie byli chyba przyjaciółmi.

– Tylko zwiąż ją dobrze – wycedził przez zęby Zagoński. – Przypominam, że jest sprytniejsza od ciebie. To nie jest specjalny komplement, bo o to nietrudno.

Odwrócił się i wyszedł.

– Nadęty dupek – rzucił za nim Kutera. – Wydaje mu się, że jest jakimś królem wszechświata. Próbował kiedyś startować na posła. Przegrał z kretesem. Za wysokie progi na jego nogi. Ale tu zachowuje się, jakby był *capo di tutti capi*.

Omiótł ją spojrzeniem.

– Zaraz coś znajdę – powiedział. – I pójdziemy. Przepraszam, że do pani strzelałem.

Wyszedł. Zasuwa w drzwiach zgrzytnęła. Znowu zrobiło się ciemno. Poczula się strasznie zmęczona. Oparła plecy o ścianę i osunęła się ku podłodze. Usiadła ze zgiętymi kolanami. Mur był zimny i wilgotny, tak jak ciągle jej spodnie. Nie przejmowała się tym znanadto. Wiele wskazywało na to, że może nie doczekać zapalenia płuc.

Czy było jeszcze coś, co mogła zrobić? Nic nie przychodziło jej do głowy. Nic a nic. Prócz tego dającego wątpliwą nadzieję, wymuszonego na Zagońskim wystąpienia przed tą ich głupią radą. Będzie tam jak czarownica przed trybunałem inkwizycji. Młoda kobieta poddana pod osąd kilku starych dziadów, którym się wydaje, że wiedzą wszystko i że mają władzę. Skażą ją na stos, kiwając ze smutkiem głowami.

Jeśliby podejść do tego wszystkiego racjonalnie i zdroworozsądkowo, powinno jej to w zasadzie się śnić. Gdyby opowiedziała o tym któremuś ze swoich warszawskich znajomych, uznałby, że konfabuluje. Trafiała do jakiegoś alternatywnego świata, który mógł powstać tylko w takim miejscu jak to. Można by się roześmiać, słysząc to wszystko. Tylko że jej akurat teraz nie było specjalnie do śmiechu.

Kuriozalne było też to, że w stworzeniu tego chorego, idiotycznego systemu miał udział jej ojciec. Był członkiem założycielem. Kimś, kto to wszystko wymyślił. O ja pierdołę, pomyślała. Co za syf.

Odruchowo przeczesła dłonią włosy. W którymś momencie musiała spaść jej gumka i teraz znowu były rozpuszczone. Podczas tego ruchu ręki musnęła coś łokciem. Spojrzała w tym kierunku. Była to ta skrzynia przykryta brezentem.

Stała tuż obok, na wysokości jej brzucha. Dotknęła jej i zaczęła wodzić palcami po ściankach. W jednej z nich, tej od strony muru, tuż przy podłodze, deski były zbutwiałe. Widocznie wilgoć, od której cegły ścian były aż mokre, przeniknęła do drewna i dokonała dzieła zniszczenia.

Spróbowała oderwać jedną z desek. O dziwo, udało się to bardzo łatwo. Nawet nie złamała sobie paznokcia. Wsadziła dłoń do środka. Wewnątrz coś było. Jakieś metalowe przedmioty. Nie za duże. Obłe. Z jakby obręczą pośrodku. Wyciągnęła jeden z nich. Przybliżyła do twarzy, żeby lepiej widzieć w tym nikłym świetle.

Metalowy przedmiot przypominał jajo. Większe nieco niż kurze, znacznie mniejsze niż strusie. Powiedzmy gęsie, chociaż w życiu nie widziała chyba gęsiego jaja. Na jego środku, nieco powyżej miejsca, gdzie Ziemia ma swój równik, biegł dookoła metalowy pierścień. Na końcu zaś, ale tylko z jednej strony, był niewielki metalowy cylinder. Na jego szczycie przychepione było kółko z grubego drutu. Jakby przedmiot ten służył do zawieszania.

Był to granat. Zapewne niemiecki. Zapewne z drugiej wojny światowej. Nie była może specjalistką od militariów, ale tego kształtu nie da się pomylić z niczym innym. Kółko, w które właśnie włożyła palec, było zawleczką. Prostym mechanicznym przedmiotem służącym do odpalenia ładunku w środku.

Natychmiast oblała się zimnym potem. Jeszcze moment i zawiesiłaby ten granat na palcu, żeby sprawdzić swoją pierwszą myśl. Obok w skrzyni było zapewne więcej takich cacek. Gdyby więc to zrobiła, Zagoński nie musiałby już zwoływać swojego zjebanego sądu.

Usłyszała ponowny zgrzyt zasuwy w drzwiach. Kutera wracał, by ją zwięzać i stąd zabrać. Niewiele myśląc, schowała granat do torebki, całe szczęście ciągle przewieszzonej przez jej ramiona. Zmieścił się idealnie, jakby był do niej stworzony. Potem dla niepoznaki przykryła z powrotem skrzynię brezentem i odsunęła się od niej na większą odległość.

Drzwi się otworzyły. Staął w nich Kutera. Trzymał w ręku krótki sznur. Na jego obu końcach widniały niewielkie druciane haki.

– Tylko to znalazłem – powiedział, jakby się usprawiedliwiał.

– W porządku. Nie wybrzydź – odparła. – Nie liczyłam specjalnie na profesjonalne kajdanki.

Podszedł do niej i stanął tuż nad nią. Wydawał się nieco zagubiony. Postanowiła wykorzystać tę pewną niezręczność, że póki on stał, a ona siedziała na podłodze, nie bardzo miał możliwość działania. Musiałby ją podnieść, używając do tego siły, lecz póki będą rozmawiać, raczej tego chyba nie zrobi.

– Miłosz też tu jest? – spytała. Spojrzała na niego z dołu.

Odwrócił wzrok, jakby był speszony.

– Tak – odpowiedział. – Jest.

– To jego była ta krew na bandażach?

Pokiwał głową.

– Jego.

Dziwna rzecz, sprawiał wrażenie, jakby trochę się tego wstydził.

– Co mu pan zrobił?

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

– Nie twoja sprawa – powiedział. – Zrobiłem to, co zrobiłem.

– Powiedział pan, że niewiele już z niego zostało. O co chodzi? – spytała. – Ten palec, który znalazł jego ojciec... – doznała nagłego olśnienia. – Obciął mu go pan.

Kutera skrzywił się, nie wiedziała, z irytacji, czy po prostu przypomniła mu coś, o czym nie lubił pamiętać.

– Mogłabyś się zamknąć? – powiedział. – Bo poszukam jeszcze czegoś na knebel...

Nachylił się, by ją podnieść.

– A mój ojciec? – spytała szybko. – Mógłby mi pan coś o nim powiedzieć? To prawda, że on także zakładał to wszystko?

Zatrzymał się w połowie ruchu.

– Musimy już iść – powiedział. – Szacowna rada już pewnie przebiera nogami.

– Nic się im nie stanie, jak trochę poczekają – odparła. – Nie wmoi mi pan, że nie miałby pan ochoty ich trochę zdenerwować.

Uśmiechnął się lekko. Pomysł mu się chyba spodobał.

– Poza tym skoro mam niedługo umrzeć – dodała – chyba mam prawo się tego dowiedzieć? Niech to będzie moje ostatnie życzenie...

Postarała się nadać swojemu głosowi melodramatyczny ton. Wyszło nawet nieco zbyt dobrze. Zdaje się, że naprawdę była przerażona.

Wyprostował się i spojrzał na nią przeciągle, jakby się zastanawiał. Idea ostatniej, wyjaśniającej wszystko rozmowy najwyraźniej do niego przemówiła. Starsi ludzie lubią opowiadać o swojej przeszłości i na to właśnie liczyła.

Rozkładany trójnóg ciągle tu stał. Usiadł na nim.

– Nie wygodniej ci będzie na krześle? – spytał.

Skorzystała z tego zaproszenia.

– W zasadzie rozpoczęliśmy to wszystko we trzech – zaczął. – Ja, twój ojciec i Zagoński. Wtedy to jeszcze nie miało takiej przesadzonej formy. Po prostu trzech przyjaciół, którzy zawiązali coś w rodzaju paktu mającego im pomóc w niespokojnych czasach.

– Dlaczego niespokojnych? – spytała.

Uniósł obie brwi do góry.

– Mieliśmy tu wtedy coś w rodzaju gangu – odpowiedział. – Lokalną grupę przestępczą. Kilku osiłeków lubiących wódę, wypasione fury, pieniądze i dyskoteki. Dorobili się na przemyśle zza wschodniej granicy, potem doszły do tego jeszcze domy publiczne i tirówki stojące przy drodze. Czuli się jak u siebie, płacili miejscowym gliniarzom i nikt im nie mógł podskoczyć. Wszyscy się na to godzili, my też, no bo co było robić? Tylko że w pewnym momencie poczuli się zbyt pewnie. W zasadzie już się z niczym nie kryli. Zaczęli miejscowe dziewczyny, córki, żony i matki. Widocznie za bardzo przyzwyczaili się do dziwek i uważali, że wszystkie kobiety są ich. Kilka razy też kogoś pobili. Był wśród nich pewien pojeb, któremu już kompletnie odbiło. Miał pistolet, jeździł kabrioletem i strzelał sobie przez okno. Nie do ludzi, tylko na postrach, po prostu tak, dla zabawy. My byliśmy myśliwymi, też mieliśmy broń, postanowiliśmy dać mu nauczkę. Tylko że ta nauczka wymknęła się nieco spod kontroli...

– Jak bardzo? – spytała.

– Koleś zginął. – Kutera wzruszył ramionami. – Niestety, nie od razu. Trafienie nie było czyste, zwierzyna uciekła w las. Zanim zdechł, zdążył opowiedzieć o wszystkim swoim kompanom. Ci więc postanowili się zemścić. Nie bardzo tylko wiedzieli na kim, bo byliśmy wtedy po raz pierwszy w maskach. Ja je wymyśliłem, uznałem, że tak będzie straszniej. Miałem akurat w domu skórę sarny i je z niej wyciąłem. Naprawdę nieźle to wyglądało i tamten koleś o mało się nie zesrał ze strachu.

Kutera uśmiechnął się pod nosem na to wspomnienie. Wyglądał teraz, jakby opowiadał zabawną historyjkę z wojska.

– No i się zaczęło – ciągnął dalej. – Tamci goście kompletnie już oszaleli. Bili ludzi, wywozili ich do lasu, jednego czy dwóch o mało nie zatłukli na śmierć. Wszystko po to, żeby dowiedzieć się, kto zabił ich kamrata. To zaś wiedzieliśmy tylko my, a żadnego z nas jakoś nie przyszło im do głowy przycisnąć. Na policję zupełnie nie mieliśmy co liczyć. CBS dopiero niedawno powstało w Warszawie i na takiej prowincji jak ta była pod tym względem kompletna masakra. Więc twój ojciec stwierdził, a Zagoński go poparł, że musimy coś z tym zrobić, jak wojna, to wojna, tylko że we trzech sami nie damy rady. Doprosiliśmy więc innych, myśliwych i nie tylko, tych, których mogliśmy być pewni, albo tych, którym tamci już coś złego zrobili, i zawiazaliśmy pakt. Bardzo uroczyście, z przysięgą na krzyż i przypieczętowany naszą krwią. To akurat wymyślił Zagoński. Zawsze miał skłonności do takich teatralnych głupot.

– Na czym polegał ten pakt? – spytała.

– Na tym, że nie cofniemy się przed niczym, by bronić nas i naszych rodzin, i że to, co zrobimy, ma na zawsze pozostać tajemnicą – odpowiedział Kutera. – A potem twój ojciec, który został naszym przywódcą, przedstawił nam plan. Mieliśmy zwabić tamtych gości do lasu i tam się z nimi rozprawić. I tak właśnie zrobiliśmy. Też był wtedy czerwiec, też tak gorący jak teraz. Poczekaliśmy tylko na zakończenie szkoły, żeby dzieci wyjechały na kolonie i wczasy, i rozpoczęliśmy akcję. Puściliśmy cynk, że to twój ojciec zabił tamtego kolesia, i byliśmy w gotowości. Gdy tamci się o tym dowiedzieli, przyjechali po niego. Twój ojciec tylko na to czekał, wsiadł w samochód i zaczął uciekać. Oni oczywiście za nim. Mieli lepsze samochody, ale twój ojciec od razu zjechał w las, gdzie takie rzeczy nie miały już znaczenia. Doprowadził ich w miejsce, gdzie myśmy już czekali. Mieli te swoje pistolety kupione od Ruskich i nawet ze dwa kałachy, ale to tak naprawdę byli amatorzy, jeśli chodzi o posługiwanie się bronią. My byliśmy myśliwymi, umieliśmy celnie strzelać, umieliśmy się maskować, mieliśmy lunety z celownikami optycznymi, no i byliśmy na swoim terenie. Nie mieli z nami żadnych szans. Strzelali na oślep, puszczały serie po drzewach, nie mieli wystarczających zapasów amunicji, tylko tyle co w magazynkach, więc prawie od razu je wystrzelali, a my waliliśmy do nich precyzyjnie, z daleka. Urządziliśmy sobie zawody strzeleckie, prawdziwe polowanie zbiorowe. Pokot był naprawdę piękny, ani jeden z nich nie przeżył.

Uśmiechnął się po raz kolejny. Jeszcze chwila i powie „to były czasy”, pomyślała.

– I co było dalej? – spytała.

Kutera wzruszył ramionami.

– A co miało być? – odpowiedział. – Zakopaliśmy ich w lesie, w takim podmokłym półbagienku, żeby nie było widać, jak potem groby się zapadną, i tyle. Jeszcze raz przysięgliśmy, że zachowamy milczenie, i rozjechaliśmy się do domów. A tamtych gości nikt nie szukał, uznano najwyraźniej, że pozabijali się nawzajem.

– Jeden z nich został w domu moich rodziców – powiedziała. – Żeby się zemścić także w inny sposób. – Teraz już przynajmniej wiedziała, dlaczego i za co. – Był na tyle głupi, że potem nie wyszedł. Może czekał na resztę, żeby też mieli w tym udział. Ojciec go zabił, kiedy wrócił.

Kutera pokiwał głową.

– Wiem, pomagałem mu go zakopywać w ogródku – stwierdził.

– A więc faktycznie tam było ciało – powiedziała. – Miałam rację. Co się z nim stało? – spytała.

– Wykopaliśmy je, kiedy odkryłaś grób – odparł. – W nocy. Rano, kiedy tam przyjechałaś, już go nie było. Kości spaliliśmy w ognisku w naszym miejscu spotkań. Zagoński urządził z tej okazji jeden z tych

swoich głupich obrzędów. Nazwał to odnowieniem paktu. To, co zostało, wyrzuciliśmy po prostu do rzeki.

Nie wszystko, kawałek kości miała wciąż w samochodzie. Ale nie powiedziała mu tego.

– Trzeba było od razu zakopać je wtedy w lesie obok tamtych – stwierdził z zadumą. – Ale byliśmy naprawdę już wykończeni, nie mieliśmy siły. To dlatego Zagoński chciał kupić twój dom. Żeby następnym właściciel się czegoś przez przypadek nie dogrzebał.

Teraz to ona pokiwała głową. Wszystko wskazywało na swoje miejsca.

– Co było dalej, wtedy, po tej strzelaninie? – spytała.

– Nic. – Wzruszył ramionami. – Co miało być? Każdy zajął się swoim życiem, nie rozmawialiśmy o tym, co się stało. Twój ojciec jakoś niedługo potem wyjechał. Zdaje się, że tuż po Nowym Roku. Nie mieliśmy wtedy już zbyt bliskich relacji. Tamto polowanie w lesie wszystko popsuło.

Tak, wszystko, zaiste. Pamiętała tamto lato. Kiedy wróciła z obozu żeglarskiego, jej rodzina wyglądała już inaczej. Atmosfera w domu była straszna. Rodzice nie odzywali się do siebie. Teraz zrozumiała, że to matka nie odzywała się do ojca. Pewnie uważała, że swoimi działaniami sprowokował to, co się stało. Jakiś czas później ogłosiła, że wyprowadzają się do Olsztyna. To był koniec jej dzieciństwa.

– Pakt jednak przetrwał wyjazd mojego ojca – powiedziała. – I przejął go Zagoński – bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Tak. – Kutera kiwnął głową. – Jakiś czas potem zwołał nas wszystkich ponownie i powiedział, że to, co się wydarzyło, złączyło nas na zawsze i że powinniśmy kontynuować nasze dzieło, gdyby w przyszłości pojawiły się kolejne zagrożenia, i żeby pilnować dochowania tajemnicy. Było nam ciężko po tamtej masakrze, zabiliśmy w końcu kilku ludzi i zakopaliśmy ich ciała w lesie, baliśmy się, że ktoś to w końcu odkryje, więc ten pomysł przyniósł nam jakieś pocieszenie. Nadał jakieś ramy i sens temu wszystkiemu. Zaczęliśmy się więc spotykać regularnie. Zagoński co jakiś czas wprowadzał nowe elementy, nowe zasady do paktu. Rozwiązywaliśmy różne problemy, nie zawsze zgodnie z prawem...

– I staliście się z biegiem czasu takim samym gangiem, z którym na początku walczyliście – dokończyła za niego.

Spojrzał na nią z ukosa. Potem się skrzywił w czymś w rodzaju uśmiechu.

– Coś może być w tym, co powiedziałaś – stwierdził. – Jak to powiedział Zagoński? „Piękne projekty miewają czasem brzydkie skutki”. Słyszałem to zza drzwi.

Zaśmiał się ochryple. Wyglądał teraz jak rasowy wariat.

– A potem nastąpił ten straszny, idiotyczny wypadek – zaczął znowu. – Mój syn został sparaliżowany. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to uczucie. Gdy ty już w zasadzie powoli zabierasz się z tego świata i widzisz, że twoje jedyne dziecko, przed którym miało być jeszcze całe życie, doznaje czegoś takiego. Kiedy mi opowiedział, gdy już oczywiście mógł, jak do tego doszło, nie mogłem sobie wprost znaleźć miejsca. Ale to on wszystko obmyślił. I to on wpadł na pomysł, żeby wykorzystać pakt do zatarcia śladów. Wtedy już różne rzeczy robiliśmy, nie zawsze bardzo szlachetne, więc nie było trudno ich przekonać. – Uśmiechnął się. – Wystarczyło trochę skłamać, trochę podkoloryzować i rada starców wszystko klepnęła. I gdybyś ty się nie przyplątała, nie byłoby problemu.

Zabrzmiało to niemal jak tekst ze *Scooby Doo*.

– No dobra, czas się chyba zbierać. – Klepnął się dłońmi po udach. – Mam nadzieję, że zadowolająco spełniłem twoje ostatnie życzenie.

Zastanawiała się od dłuższego czasu, czy miałyby szansę z nim wygrać, gdyby spróbowała walki. Był stary, a ona młoda i zwinna, lecz z drugiej strony żyłasty i wyglądający na silnego pomimo dość niskiej postury. Chyba jednak nie. Pokonałby ją bez problemu.

Wstał. Potem bezceremonialnie chwycił ją pod ramię.

– No dalej, pani prokurator – powiedział. – Zobaczysz dziś pani, jak to wszystko wygląda z drugiej strony.

Podniosła się i pozwoliła związać. I wtedy zrozumiała, czym jest ta krótka lina z hakami, którą właśnie skrepował jej dłonie na plecach. Była to linka służąca do zabezpieczania bagażu przed przesunięciem w bagażniku lub na dachu samochodu. Była elastyczna, jej rdzeń wykonany był z gumy. To znaczyło, że można ją rozciągnąć. Jej strażnik po raz kolejny pokazał, że jest amatorem.

Wyzwoliła jedną dłoń, potem drugą. Poczekała, aż Kutera się odwróci, żeby podnieść krzesło, które chciał najwyraźniej stąd zabrać. Potem szybko chwyciła myśliwski taboret i złożyła go jednym ruchem. Jego trzy nóżki wykonane były z metalowych rurek. Chwyciła je oburącz i uniosła ponad głowę.

Uderzyła nie za mocno, nie chciała go przecież zabić. Wystarczyło. Przewrócił się jak długi prosto na krzesło, które trzymał w rękach. Wybiegła szybko, nie oglądając się za siebie. Zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę.

Gdzie teraz? Korytarz biegł w obie strony i oba jego krańce niknęły w półmroku. Nie wiedziała ni cholery, gdzie jest i w którą stronę powinno być wyjście. Tam czy tam? Gdyby miała monetę, rzuciłaby nią. Nie było czasu, by zbyt długo się zastanawiać. Z prawej strony coś było słyhać. Nie ludzkie głosy, coś innego. Czy powinna tam biec, czy raczej od tego uciekać? Wybrała to pierwsze. Niedługo się przekona, czy ma szczęście, czy nie ma. I będzie to raczej ostateczny sprawdzian.

Ruszyła w tamtym kierunku. Korytarz zakręcał łagodnym półkolem. Mijała po drodze wiele drzwi, takich jak te, które przed chwilą zamknęła. Niektóre były otwarte, inne nie. Nie interesowało jej jednak, co jest za nimi. Nigdzie nie paliło się światło.

Nie biegła, starała się dość szybko, lecz w miarę cicho iść. Nasłuchiwała odgłosów, dźwięków, ludzkiej mowy. Głupio byłoby dać się znowu złapać teraz, kiedy się wreszcie wymknęła. Wpaść pełnym pędem na wychodzące zza rogu postaci w pokrytych sierścią maskach.

To, co słyszała na początku, teraz już zdaje się ucichło. Dochodziły ją szумы, nieokreślone dźwięki, coś, co równie dobrze mogło być zniekształconymi przez echo odbiciami jej własnych kroków i oddechów. Albo po prostu odgłosami generowanymi samoistnie przez tak wielką, składającą się z tylu zakamarków przestrzeń. Było niezwykle frustrujące, że nie wiedziała, gdzie tak naprawdę idzie, tym bardziej, że przecież uciekała i chciałaby biec jak najszybciej. Była jak Tezeusz uwięziony w labiryncie, który zgubił swoją nić Ariadny. I w każdej chwili mógł nagle trafić na Minotaura.

Być może to przez wynikające stąd zdenerwowanie nie dostrzegła od razu, że w korytarzu, którym szła, zaczęło się robić coraz jaśniej. Z pewnym zaskoczeniem odkryła nagle, że zza jednych z uchylonych drzwi bije dość jasne światło. Zatrzymała się gwałtownie i cała zamieniła w słuch. Nic konkretnego jednak nie usłyszała. Nic w każdym razie budzącego niepokój. Miała teraz wybór: zawrócić i spróbować innej drogi albo zaryzykować, pójść dalej i sprawdzić, co tam jest. Uznała, że bez sensu byłoby wracać. Tym bardziej, że zza drzwi nie dochodziły żadne odgłosy mogące zwiastować niebezpieczeństwo. Może po prostu Kutera zostawił tu włączone światło? Albo było tam wyjście, schody wiodące ku powierzchni ziemi...

Ostrożnie zaczęła iść do przodu. Dwa razy jeszcze zatrzymała się na wszelki wypadek. W końcu stanęła pod samymi drzwiami. Jakies dźwięki jednak zza nich dochodziły. Ciche bzyczenie – jakiegoś urządzenia albo przepalającej się świetlówki. Techniczny szum, jaki wydają czasem monitory lub komputery. I coś jeszcze, jakby ciężki, chociaż cichy oddech...

Po raz kolejny się zawahała. A jeśli ktoś tam jednak był? Ktoś, kto za chwilę, gdy tylko ją zobaczy, z powrotem ją zwiąże, tym razem znacznie mocniej? Wsłuchiwała się więc jeszcze raz w to, co ledwo słyszała. Nie, uznała, że nie mógłby to być oddech człowieka. Nikt, kto by siedział, leżał albo nawet spał, nie oddychałby w ten sposób. Dźwięk musiał być więc innej natury.

Powoli wyjrzała więc zza bezpiecznego muru. Zobaczyła pokój. Jego ściany były otynkowane i pomalowane na biało. Na przeciwległej ścianie stały mniej więcej metrowej wysokości szafki. Jasne i w miarę nowe, choć niewątpliwie proste i niezbyt drogie. Wyglądały na kuchenne, choć raczej nie była to kuchnia. Na ich blatach leżało wiele rzeczy. Jakies pudełka, butelki, różne przybory, których przeznaczenia z tej odległości nie była w stanie odgadnąć. To, na co zwróciła uwagę, to czystość i porządek. Rzeczy były ułożone, nie porozrzucane.

Żeby zobaczyć więcej, musiała pchnąć bardziej drzwi. Ostatni raz zwalczyła w sobie wątpliwość. Teraz już napędzała ją po prostu ciekawość. W tym pomieszczeniu nie było raczej schodów ani drzwi na zewnątrz. To, co zobaczyła, wyglądało jednak dość intrygująco.

Wyciągnęła dłoń i nacisnęła delikatnie na skrzydło. Dzięki Bogu zawiasy nie zaskrzypiały, ktoś zadbał, by je nasmarować. Drzwi jednak nie otworzyły się całkiem bezszelestnie. Czy jej się wydawało, czy odgłos, który wzięła pierwotnie za oddech, także przy okazji stał się nieco głośniejszy, a nawet przyspieszył?

Za późno było jednak, by próbować wyciągać z tego jakieś wnioski. Pchnęła drzwi jeszcze mocniej i postąpiła do przodu. Krok, potem drugi. Aż wreszcie weszła do środka. Nagle usłyszała krzyk. Krótki, urwany, kobiecy.

Po chwili zorientowała się, że to ona krzyknęła.

Pokój był w zasadzie czymś w rodzaju szpitalnej sali. Ukrytej w podziemiach, lecz całkiem dobrze wyposażonej. Przeróżne sprzęty stały pod jej ścianami. Niektóre nieużywane, niektóre podłączone do prądu.

Pośrodku niej stało łóżko. Białe szpitalne łóżko, z opuszczanymi bokami i regulowanym oparciem. Takie samo jak to w pokoju Damiana. Leżał na nim człowiek. Był do niego przypięty pasami. Jego lewa ręka obwiązana była bandażami. Nie cała, bo został z niej już tylko kikut.

Ale to nie dlatego krzyknęła. Prawa noga także była odcięta. Na niej z kolei nie było bandaża, choć widać było wyraźną i sądząc po kolorze, w miarę świeżą bliznę. Jego oczy zasłonięte były czarną, satynową maseczką, jakiej używa się do spania w zbyt jasnych pomieszczeniach. W ustach tkwił knebel – taki, jakiego używa się w erotycznych zabawach – uniemożliwiający mówienie, lecz nieodcinający oddechu. Był to jednak chyba zbytek ostrożności – człowiek ten nie wyglądał na zbyt przytomnego. Był rozpalony i spocony. Nawet z tej odległości było widać, że ma gorączkę.

Jeszcze jedno rozpoznała od razu: był to Miłosz Kuryłowicz, syn jej dawnego nauczyciela polskiego.

Wiele w życiu widziała, lecz czegoś takiego jeszcze nie. Patrzyła już na ciała pozbawione rąk i nóg, lecz były to ciała martwe. Oglądała ciała rozczłonkowane, pokawałkowane, pocięte, lecz nie należały one do żywych ludzi. I nie za życia tych ludzi tak je potraktowano.

Tu miała przed sobą ciało żywego człowieka. Nie zwłoki, które ktoś porąbał, żeby się ich pozbyć. To, na co patrzyła, nie było próbą ukrycia dowodów zbrodni, było zbrodnią samą. Zbrodnią niewyobrażalną, niemieszczącą się nawet w jej przywykłej do świadectw ludzkiego okrucieństwa głowie.

To dlatego właśnie krzyknęła. Gdy zrozumiała to wszystko. Ktoś obciął temu biednemu chłopakowi nogę, a potem, zapewne dość niedawno, rękę. Widziała już, skąd się wzięły zakrwawione bandaże, które trzymała w bagażniku swojego samochodu.

Podeszła bliżej. Przerażona, owładnięta grozą, ale jednocześnie w pewien sposób zafascynowana. Ogrom tego okrucieństwa przyciągał ją jak magnes. Zapomniała na chwilę, że sama jest w niebezpieczeństwie.

Ciało leżące na łóżku poruszyło się. Z jego zakneblowanych ust wydobył się nieokreślony dźwięk – ni to jęk, ni to jakieś zniekształcone słowo. Twarz, patrząca dotąd zasłoniętymi oczami w sufit, odwróciła się w jej stronę.

Cofnęła się mimowolnie, zdjeta nieoczekiwanym obrzydzeniem. Było to uczucie silniejsze od niej, silniejsze nawet od współczucia. Postać leżąca przed nią była w pewien sposób nieludzka.

– Mogę na niego patrzeć godzinami – usłyszała nagle nie wiadomo skąd.

Odwróciła się gwałtownie. Nikt za nią nie stał.

– To, można powiedzieć, jedna z moich ulubionych rozrywek. – Wiedziała już, skąd dochodziły te słowa. – Lepsza nawet niż obserwowanie tamtej głupiej dziewczyny.

Na przeciwległej do łóżka ścianie, tej, w kierunku której zwrócone były jego nogi, wisiał dość duży telewizor. Dokładnie taki sam, jak ten w pokoju na samej górze pensjonatu. Cały jego ekran wypełniała wielka twarz.

– Tak więc poznałaś już wszystkie poziomy piekła – usłyszała. – Szkoda, że nie mogę się tu zaśmiać. Tylko tej funkcji mi tu jeszcze brakuje.

Był to ten sam głos, który wcześniej rozmawiał z Sandrą. Sztucznie wygenerowany głos Damiana.

Jego nieruchoma głowa leżała na poduszce. Twarz przypominała zastygłą gipsową maskę. Tylko oczy wydawały się żywe. Były wielkie, powiększone przez zbliżenie i rozmiar ekranu. Patrzyły na nią.

Po raz pierwszy chyba w życiu nie wiedziała, co powiedzieć. To, co tu zobaczyła, otępiło ją, niemal sparaliżowało.

Oczy na ekranie przyglądały jej się uważnie, z ciekawością. I chyba z pewnym poczuciem wyższości. Choć mogło jej się to tylko wydawać. Mięśnie wokół nich były w końcu tak samo nieruchome, jak i cała reszta.

– Nic nie powiesz? – spytał głos. Choć jego ton wyprany był z emocji, mogłaby prawie przysiąc, że jest zawiedziony. – Nie imponuje ci rozmach mojego przedsięwzięcia?

– Jest chore – zdołała wreszcie z siebie wydusić.

– W pewnym sensie na pewno – zgodził się głos. – Ale też musisz przyznać, że bardzo pomysłowe.

– Nie mogłeś go po prostu zabić? – spytała przepelniiona grozą.

– Kara powinna być proporcjonalna do przewiny – odpowiedział. – Oko za oko, ząb za ząb, nie pamiętasz? A ja przecież wciąż żyję.

- Chcesz go doprowadzić do stanu, w którym sam jesteś - zrozumiała wreszcie. - Pozbawić wszystkiego, czego sam zostałeś pozbawiony...

- Czego on mnie pozbawił - sprecyzował. - I ona. Ale dla niej przewidziałem inną rolę. Bawię się nią w inny sposób. Nawet się cieszę, że tu w końcu dotarłaś. Brakowało mi kogoś, komu bym mógł o tym wszystkim opowiedzieć. Co to za dzieło, którym nie można się nikomu pochwalić?

- Nie proszciej byłoby mu złamać kręgosłup? - spytała. - Byłby sparaliżowany, jak ty.

- Wiązałoby się z pewnym ryzykiem - odparł. - Mógłby w wyniku tego zabiegu umrzeć. A tego byśmy nie chcieli. Pomysł opiera się w końcu na tym, że żyje, prawda?

- A ty możesz napawać się jego cierpieniem.

- Raczej słuszną i sprawiedliwą zemstą - powiedział. - Jego życie nadaje w pewnym sensie sens mojemu. Zabawne, nieprawdaz? To dlatego ja mogę obserwować jego, a on, kiedy mu się zdejmie tę opaskę, mnie. On żyje moim życiem, a ja jego. Dlatego musi żyć, chyba to rozumiesz. Nastęczyło nam to zresztą pewnych niespodziewanych trudności. Myślałem, że szybciej da się to wszystko załatwić. Ale po pierwszej amputacji o mało nie umarł. Nie jesteśmy w końcu przecież fachowcami. Ojciec uczył się wszystkiego z książek. Musieliśmy więc poczekać, aż dojdzie do siebie. Wypróbować nową procedurę na palcu u dłoni. Nauczyć się odpowiednio postępować. Dopiero, gdy dowiedzieliśmy się, co i jak, a on był z powrotem w dość dobrej formie, udało się obciąć całą rękę. Teraz znowu jest w kiepskim stanie. Taka amputacja to ogromne obciążenie dla całego organizmu. Ale w końcu mu się polepszy. A wtedy zajmiemy się drugą nogą. I tu znowu przydałby się śmiech. Może kiedyś jeszcze wprowadzą taką aktualizację.

- Jesteś nienormalny - powiedziała. Poczwała napływającą falę mdłości.

- Dziwisz się? - odpowiedział. - Spędzałaś kiedyś całe dni w jednym pokoju, bez najmniejszego ruchu, mogąc się tylko patrzeć w telewizor lub przypominając sobie, jak kiedyś wyglądało twoje życie? I analizując raz za razem, dzień za dniem sekwencję zdarzeń, która do tego doprowadziła? Nie? Polecam spróbować. Można naprawdę wymyślić wtedy niezwykle rzeczy i dojść do zaskakujących wniosków. Więc jeśli tylko ma się możliwość wprowadzenia tego w życie, to czemu by tego nie zrobić? Mam coś jeszcze do stracenia? Jak sądzisz? Więzienny oddział szpitalny nie będzie się wiele od tego różnił.

Dowiedziała się już chyba wystarczająco wiele. Szok powoli mijał, przypomniała sobie o ucieczce. Zaczęła wycofywać się w stronę drzwi.

- Idziesz już? - spytał głos. - O, jaka szkoda. Mam nadzieję, że wrócisz. Wiesz, że nie możemy cię stąd wypuścić?

- Mam spotkanie z jakąś radą - odpowiedziała. - Ale nie wiem, czy dotrę, bo mam inne plany. *A propos*, będą cię chyba chcieli pozbawić twoich zabawek... Ojciec ci nie mówił?

Odwróciła się i chciała wyjść. Nie zrobiła jednak tego. W otwartych drzwiach stał Kutera. Był czerwony, wściekły i miał w rękę zardzewiały bagnet.

- Zapomniałem zupełnie o tych skrzynkach - powiedział. - Ale gdy się ocknąłem, przypomniałem sobie o nich. Jak to walnięcie w łeb rozjaśnia czasem w mózgownicy... A tam, patrzcie, co znalazłem! Akurat żeby wcisnąć to w szparę i odsunąć zasuwę.

Tym razem związał ją już lepiej. Dodatkowym zabezpieczeniem było ostrze bagnetu, które czuła na plecach w okolicach nerek. Trzymał ją też swoją żylastą, kościstą dłonią za ramię. Nie miała raczej szans na ucieczkę.

Byli już w lesie. Droga trwała dosyć długo. Nic nie widziała, bo miała na głowie worek. Jej wcześniejszą część przejechała w jakimś samochodzie. Całe szczęście nie wrzucili jej do bagażnika.

Wreszcie stanęli. Ktoś jej ściągnął worek. Zobaczyła ognisko, to w tych ciemnościach najbardziej rzucało się w oczy. Zamrugała powiekami. Wokół niego siedzieli ludzie. Nie, nie ludzie. Postaci ze zwierzęcymi maskami na twarzach.

Była w starym pogańskim grodzisku. Tym, które odkryła podczas jednego ze swoich spacerów. Na drzewach rosnących w jego obrębie wisiały wypłowiałe czaszki zwierząt. W migoczącym świetle ogniska wyglądały teraz zupełnie inaczej. Cienie od rogów pełzały po ziemnym wale z tyłu.

Dwa siedziska były niezajęte. Jedno należało kiedyś do jej ojca, poznała to po jelenim trofeum zabranym z ich domu. Rogi z czternastoma odnogami prezentowały się naprawdę imponująco. Poczula coś w rodzaju dumy i to pomimo strachu.

– Długo cię nie było, bracie – powiedziała jedna z postaci. Po głosie poznała, że był to Zagoński. – Przyprowadź ją tu i zajmij swoje miejsce. Brat kandydat ją przypilnuje.

Kutera puścił ją, obszedł ognisko i usiadł. Też miał na sobie już maskę. Ktoś inny stanął za nią z tyłu. Poczula zapach męskich perfum.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj z trzech powodów – rozpoczął Zagoński. – Dwa są pilne, jeden załatwimy przy okazji. Tym ostatnim jest przyjęcie nowego członka do naszego bractwa. Brat kandydat okazał się lojalny i bardzo nam pomógł. Co prawda jego rola w sprawie, którą omawialiśmy przed waszym przyjściem, jest co najmniej równie kontrowersyjna, jak twoja, bracie – zwrócił się w kierunku Kutery – ale dzisiaj zmazał swoje winy. Rekomenduję więc, by dopuścić go do próby.

„Tak”, „tak”, „słusznie mówi”, rozległy się głosy zza masek. Brzmiało to i wyglądało równie śmiesznie, co przerażająco.

Tylko Kutera siedział dalej w milczeniu.

– Po prostu wie już za dużo i musicie go przyjąć – odezwał się wreszcie. – Dopiął swego, bo zawsze tylko o to mu chodziło. Z podobnych powodów nie możecie też wyrzucić mnie. Alternatywą byłaby seria morderstw, której nawet brat prokurator nie były w stanie zatuszować.

– Bracie! Upominam cię! – skarcił go Zagoński. – Przypominam, że nie używamy tu słów, które pomogłyby któregokolwiek z nas zidentyfikować.

– Przecież i tak doskonale wiemy, kto siedzi za tymi maskami. – Kutera wzruszył ramionami. – A ona – wskazał na Seredyńską – raczej nie zdąży już się wygadać. To będzie pewnie właśnie twoja próba, bracie kandydacie. Ale to dla ciebie w sumie nie pierwszyczna, prawda, Pawełku?

Postać za jej plecami poruszyła się nieznacznie.

– Chcecie wiedzieć, jak to było? – ciągnął dalej Kutera. – Myślę, że powinniście dowiedzieć się tego, skoro macie zamiar go przyjąć. Brat kandydat zabił kobietę, która była jego kochanką, zresztą żonę swojego nauczyciela. Chciała od niego, zdaje się, odejść, bo ruszyło ją sumienie. Więc ją udusił, a zwłoki wrzucił do naszego pięknego jeziora, gdzie leżą na dnie do tej pory. Tak, tak, kąpiecie się od wielu lat w wodzie zaprawionej trupem – dodał z mściwą satysfakcją. – To z tego powodu właśnie wyjechał do Ameryki. Bał się, że ktoś ją w końcu znajdzie. Ale tam też coś narozrabiał, chyba nawet zresztą to samo, więc uznał, że skoro tamta kwestia, że tak zażartuję, do tej pory nie wypłynęła, to bezpieczniej będzie mu

mimo wszystko tutaj. Tu przynajmniej nie groziło mu krzesło elektryczne. Dowiedziałem się tego przypadkiem i uznałem naiwnie, że będę go mógł dzięki temu kontrolować. To dlatego wciągnąłem go do swoich spraw. Ale on, cwana gapa, odbił się i wyszedł na tym lepiej ode mnie. Gdy go przyjmiecie do bractwa, będzie już zupełnie kryty. To jak, podoba wam się taki kandydat? Muszę przyznać, że jego profil dość mocno odbiega od kryteriów, które ustaliliśmy na początku przy naborze do bractwa.

Wśród siedzących wokół ogniska nastąpiło wyraźne poruszenie. Chyba nie była to wiedza powszechnie dostępna.

- I kto to mówi? - syknął wściekle Zagoński. - Mam ci przypomnieć, co zrobiłeś z tamtym biednym chłopakiem? Synem notabene dokładnie tego samego nauczyciela. Opowiadałem o tym członkom rady przed twoim przybyciem.

- Faktycznie trochę głupio wyszło z tym Miłozsem. - Kutera zaśmiał się nieprzyjemnie. - Najpierw matka, potem syn. Ale nic nie poradzę, że to właśnie on załatwił tak mojego Damiana. Kara była sprawiedliwa i nie mam zamiaru się z niej tłumaczyć.

W tym momencie w lesie za ich plecami rozległ się dziwny dźwięk. Ni to krzyk, ni to wycie, coś, co przypominało jakiś potępieńczy jęk. Wszyscy odwrócili głowy.

- Widzę, że ten problem też nie został jeszcze rozwiązany - skomentował z irytacją Zagoński. - Bracie łowczy, miałeś się tym zająć.

Oczy zebranych zwróciły się na jedną z postaci.

- Zwierzę jest ranne, ale zdołało uciec - dało się słyszeć zza maski. - Zniszczyliśmy za to jego leże. Jutro wrócę z moim psem i wytropię je po śladach posoki. Sprawa zostanie zakończona, obiecuję.

- Mam nadzieję - skomentował Zagoński. - Czas najwyższy tu posprzątać. Pozwoliliśmy, by niektóre rzeczy wymknęły nam się spod kontroli. Ta sytuacja zagraża paktowi i nam wszystkim.

Umilkł na chwilę. Potem odwrócił się całym ciałem w stronę siedzącego obok Kutery.

- Ty też, bracie, będziesz musiał zakończyć swoje nieodpowiedzialne działania - stwierdził stanowczym tonem. - Rada uznała, że najsprawiedliwszym rozwiązaniem będzie doprowadzenie ich do stanu, który pierwotnie nam przedstawiłeś jako prawdziwy. Pamiętasz to swoje kłamstwo? Dzięki naszej mądrej decyzji niedługo przestaniesz nim być.

Kutera nie odpowiedział od razu. Niemal widać było, jak gotuje w nim się złość.

- Nie mam zamiaru respektować ustaleń podjętych bez mojego udziału - rzucił wściekle. - Ja też jestem ciągle członkiem rady.

- Możemy powtórzyć głosowanie, jeśli chcesz, ale nic to nie zmieni - odparł spokojnie Zagoński. - Stosunek głosów był cztery do dwu. Z tobą będzie cztery do trzech.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko trzaski dobiegające z ogniska. Postanowiła wykorzystać jedyną kartę, jaka jeszcze została w jej talii. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie jest ona zbyt mocna.

- Żądam przyjęcia mnie w poczet rady - powiedziała donośnym głosem. - I uczestnictwa w głosowaniu.

Wszystkie maski zwrócone dotychczas w kierunku Kutery odwróciły się naraz w jej stronę.

- To jakiś kompletny idiotyzm - odparł lekceważąco Zagoński. - Nie mam zamiaru się do tego nawet odnosić.

- Dlaczego? - podchwycił Kutera. - Ma pełne prawo. Jako córka naszego drogiego brata założyciela dziedziczy po nim miejsce. Sam takie rzeczy ustalałeś, nie mów teraz, że nie masz zamiaru się do nich stosować...

Zagoński sapnął wściekle. W połączeniu z futrzaną maską, którą nosił na twarzy, wyglądało to dość komicznie.

- Jest jeszcze brat kandydat - zauważył. - Pamiętaj o nim. Jeśli go też przyjmiemy, on również będzie mógł głosować.

- Najpierw musicie przyjąć mnie - powiedziała. - Ja swoje miejsce dziedzicę, należy mi się ono z mocy prawa. Do tego nie potrzeba nawet głosowania. W zasadzie już jestem członkiem rady, od momentu, w którym upomniałam się o swoje miejsce. Wszystkie więc głosowania muszą odbywać się z moim udziałem.

Nie na darmo była prawnikiem. Umiała grać w takie gierki. Nawet jeśli ich zasady zostały wymyślone przez zadufanych w sobie idiotów.

Nie czekając na czyjąkolwiek odpowiedź, ruszyła pewnym krokiem w stronę miejsca swojego ojca. Podeszła jednak najpierw do Kutery i wyciągnęła w jego stronę związane na plecach ręce. Zgodnie z jej przewidywaniami przeciął węzeł.

Dopiero teraz zasiadła na trójkątnym siedzisku.

Patrzyła teraz na nich z ich własnej perspektywy. Była jedyną kobietą w tym męskim, geriatrycznym gronie. Zdawała sobie jednak sprawę, że to jeszcze nie koniec. Zagoński tak łatwo się nie podda. Postawiła go w trudnej sytuacji. Wykorzystała przeciw niemu jego własną broń. Nie może ot tak po prostu okazać, że wszystko, co im przez tyle lat wmawiał, co otaczał nimbem mistycyzmu i niemal świętości, jest przy pierwszych trudnościach wyrzucane do kosza. Straciłby wtedy twarz i autorytet. Ale to nie oznacza, że nie spróbuje innych metod.

Uznała, że nie powinna w tej sytuacji wypuszczać z rąk inicjatywy. Skoro udało jej się jakimś cudem wybić ich z rytmu, musi kontynuować tę strategię.

– Jako nowy członek rady zgłaszam wobec tego swój pierwszy wniosek – powiedziała. – Żądam wyjaśnienia okoliczności śmierci swojego ojca, brata założyciela, Wiktora Seredyńskiego. Mam dowody świadczące o tym, że został on zamordowany. Być może zabójca siedzi w tym kręgu. – Powiodła w teatralnym geście wyciągniętym palcem po siedzących wokół ogniska postaciach. – Jeśli tak jest, może zagrażać także innym członkom rady.

Jej przemowa zrobiła wrażenie. Zwłaszcza na pozostałych, dotychczas milczących uczestnikach zebrania. Nie byli doświadczonymi przestępcami, pierwszy raz w życiu byli w podobnej sytuacji. To, co się działo, zapewne już dawno ich przerosło. Tym razem, w odróżnieniu od tamtej strzelaniny z przeszłości, to oni byli amatorami. Miło jest czuć się ważnym, mieć iluzję znaczenia i władzy, ale gdy trzeba decydować o czyjejs śmierci, ryzykując przy tym więzienie, a być może nawet i własne życie, robi się już znacznie mniej przyjemnie.

Postanowiła to wykorzystać.

– Jakie to dowody? – spytał ktoś. Wydało jej się, że poznaje głos prokuratora Niedźwiedzkiego. Ale nie była tego pewna.

– Mój ojciec zginął zastrzelony z broni śrutowej – odpowiedziała. – Kto jeszcze ma do niej dostęp oprócz myśliwych z tego bractwa? – spytała retorycznie. – Zagoński ukrył to, co czyni go głównym podejrzanym.

Nieważne, że to być może wcale nie była prawda. Teraz chodziło jej wyłącznie o wprowadzenie zamieszania i podzielenie tych ludzi. Z podobnych powodów pominęła w swoim oskarżeniu Kutere.

– Bzdura! – zachnął się Zagoński. – Nie miałem w tym nic wspólnego. Znaleźliśmy go w lesie, kiedy już nie żył.

– Czyli potwierdza brat, że mój ojciec został zamordowany? – przyszpiliła go. – Pytanie brzmi, kto inny miałby powód, by to zrobić? – zwróciła się do pozostałych. – Oto wraca dawny założyciel i przywódca bractwa. Widzi, że jego ideały legły w gruzach. Że szlachetna idea pod przywództwem nowego lidera zamieniła się w swoją własną karykaturę. Że związek powstały z potrzeby samoobrony i założony przez przyjaciół przekształcił się w strukturę mafijną czyniącą zło, jak bandyci, z którymi kiedyś walczył. I oto ten dawny przywódca ginie. Komu to jest na rękę, pytam? Kto nie musi się teraz obawiać, że jego władza nie będzie już zagrożona? – Zawiesiła głos po tych słowach. Skoro bawili się tutaj w sąd, pobawi się w niego wraz z nimi. Tym bardziej, że w odróżnieniu od nich, miała naprawdę spore doświadczenie. – Is fecit, cui prodest – wypowiedziała dobitnie i z mocą. – Jeśli jest tu dziś z nami prokurator Niedźwiedzki, wie on doskonale, co ta łacińska sentencja oznacza. Ten uczynił, kto skorzystał. A kto na tym skorzystał? Zagoński. – Wyciągnęła oskarżycielsko palec w jego stronę. – Mamy świadectwa, że między nim a moim ojcem były kłótnie. Że stary przywódca po swoim powrocie spierał się z nowym. Wytykał mu zapewne niemal dyktatorskie rządy, wytykał mu przejście na stronę zła, udział w przestępstwach i narażanie w ten

sposób pozostałych członków rady na współodpowiedzialność karną, gdy jego nieczne występki w końcu się wydadzą. Musiał więc zginać, bo zagrażał tyranowi. Małemu, kieszonkowemu tyranowi, który ometał dobrych, porządných i statecznych obywateli i uczynił z nich narzędzia do realizacji swoich chorych ambicji. Dlatego mam do was, bracia, jeszcze jedno pytanie: czy chcecie dalej narażać się na więzienie, chroniąc tego człowieka? Słyszeliście tu dzisiaj straszne rzeczy. Słyszeliście o morderstwie, o ukrywaniu morderstwa, o porwaniu i ciężkim okaleczeniu niewinnego człowieka. Słyszeliście także o planowaniu kolejnych morderstw. Naprawdę chcecie być temu wszystkiemu współwinni? Jeszcze nie przekroczyliście tych czerwonych linii. Możecie się wycofać. I ocalić swoją wolność i dobre imię.

Piękna mowa oskarżycielska, pomyślała. Aż szkoda, że nie słyszała jej prokurator Kostrzewska. Oparta może na wątych podstawach i nieoparta dowodami, ale jakże płomienna i sprawna retorycznie. I jeszcze ten cytat po łacinie! To zawsze działa, zwłaszcza na ławników niebędących prawnikami. Gdyby nie okoliczności, mogłaby być z siebie zadowolona.

Zagoński jednak zadowolony nie był z tego na pewno. Aż wstał ze swojego miejsca.

– I co na to powiesz, Wielki Mistrzu? – Kutera zużył do wypowiedzenia tych dwóch słów chyba całą ironię świata. – Nas też pozabijasz, gdy wejdziemy ci w drogę?

– Ty akurat mógłbyś się zamknąć! – wyrzucił z siebie Zagoński. – Gdybyś nie porwał jego córki, Wiktor by nigdy tu nie wrócił. Pozbywając się go, uratowałem też twój tyłek!

– Zabiłeś go wcześniej, mam rację? – Kutera jakby go nie słuchał. – A potem ściągnąłeś tam mnie, żebyśmy go niby razem znaleźli. Zastanawiałem się nawet, co cię tak nagle naszło, żeby wyciągać mnie na polowanie i to w takie miejsce. Ale gdy Wielki Mistrz prosi, zwykły brat nie może przecież odmówić... I wiem! Przebrałeś go w swoją kurtkę! Była na niego za mała, na to też zwróciłem uwagę. Żeby nie było widać śladów po śrucie, prawda? Cwaniaczek z ciebie, Zagoński. Ale ona jest sprytniejsza także od ciebie. – Roześmiał się z satysfakcją.

Usłyszała to w końcu, potwierdzenie wszystkiego. Wiedziała wreszcie, kto zabił jej ojca.

– Słyszeliście wszyscy! – Ona też wstała. – Waszym przywódcą jest morderca! Człowiek, który nie wahał się uśmiercić własnego przyjaciela. A teraz chce również z was uczynić morderców.

– Musiałem to zrobić, bracia! – Zagoński już prawie krzyczał. – Powrót jej ojca zagrażał radzie, dziełu naszego życia! Wziąłem na barki ten ciężar, bo takie jest brzemie przywódcy! Gdyby Kutera nie uwięził jego córki, a ta stara pijaczka, matka Sandry, do niego ze wszystkim nie poleciała, nie musiałbym tego robić!

– Tłumacz się winni, a ty jesteś winny – odpowiedziała mu Sereżyńska. – Dlatego jako członek rady, wchodząc w prawa swojego zamordowanego ojca, żądam osądzenia tego człowieka i wydania na niego sprawiedliwego wyroku! – Po raz kolejny wyciągnęła w jego stronę palec.

– Dość tego – warknął wściekle Zagoński. Naprawdę przypominał teraz jakieś dzikie zwierzę. – Bracie kandydacie, ucisz ją!

Brat kandydat jednak nawet się nie poruszył. Było to nieco zaskakujące, on bowiem akurat powinien być raczej po stronie Zagońskiego.

– Jak zwykle wszystko muszę robić sam – wyszczał Zagoński i wyciągnął coś zza pazuchy swojej wojskowej kurtki z demobilu. W czarnym, oksydowanym metalu błysnęły odbłaski płomieni z ogniska. Poznała od razu, co to jest. Krótka myśliwska dubeltówka z odciętą kolbą i przyciętą lufą. Obrzyn.

– Zginiesz dokładnie w ten sam sposób, jak twój ojciec – wypowiedział z bardzo złym uśmiechem. – Mam nadzieję, że jesteś wzruszona.

Była już jednak na to przygotowana. Może nie dokładnie na to, ale wiedziała, że coś podobnego nastąpi. Od kilku chwil trzymała za plecami granat, który wyjęła ze swojej torebki. Teraz właśnie wyciągnęła z niego zawleczkę.

Do ilu powinna odliczyć? Chyba do trzech. Potem nastąpi wielkie bum. Pod warunkiem oczywiście, że tak stary granat w ogóle wybuchnie albo że dla odmiany nie wybuchnie wcześniej. Było to skrajnie niebezpieczne, lecz nie miała w tym momencie chyba lepszego wyjścia. Raz, dwa... Cholera jasna, teraz.

Dla lepszego efektu wycelowwała w ognisko. Potem rzuciła się do tyłu i rozpląszczyła na ziemi za drzewem, tym, do którego przybita była czaszka jelenia z jej domu. Wybuch jednak nie nastąpił. Zamiast niego rozległ się dziwny i dość głośny syk.

Uniosła twarz wtuloną dotąd w ściółkę. Z ogniska buchał mocny dym. To nic dziwnego w sumie, lecz było go naprawdę bardzo dużo. Po kilku sekundach cały teren starego grodziska zasnuwała nieprzenikniona, biała, rozświetlona tylko blaskiem ognia mgła.

Dopiero po chwili zrozumiała, co to mogło być. Granat, który wzięła ze starej skrzyni w podziemiach, nie był granatem obronnym, tylko dymnym. Nie wybuchł więc, tylko postawił zasłonę dymną. Dookoła rozległy się pokasływania. Wał ziemny otaczający miejsce zebrania sprawił, że dym z granatu nie miał się gdzie rozwiewać i skumulował się na dość małej powierzchni.

W tym momencie rozległ się strzał. Najpierw jeden, potem drugi. Usłyszała odgłosy śrucin uderzających w korę drzewa nad jej głową. To strzelał Zagoński, lecz całe szczęście nie bardzo widział w co.

Miała teraz chwilę, zanim zdąży przeładować. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do tyłu. Odgłosy za nią świadczyły, że w szeregach szacownego bractwa wybuchła panika. Dochodziły ją krzyki, przekleństwa, ktoś chyba nawet wpadł w ognisko.

Ona też nie była w wiele lepszym stanie. Oczy jej łzaawiły, dym tamował oddech. Wleciała z rozpędu na drzewo, poczuła na wardze krew. Teraz zupełnie już nie wiedziała, w którą ma stronę uciekać.

Zatrzymała się i oparła plecami o korę. Dostrzegła zarys ogniska. Przygasło mocno, może pod wpływem dymu, a może dlatego, że ktoś je niechcący rozrzucił. W jego nikłym, rozproszonym mgłą blasku zobaczyła jednak dwie postaci. Biły się najwyraźniej. Wyglądało to dość surrealistycznie.

Nagle jedna z postaci upadła, druga poleciała za nią. Buchnęły iskry, rozległ się wrzask bólu. Bójka jednak nie ustawała. Czarne sylwetki przewalały się po rozżarzonych węglach, zapamiętałe w swojej zwierzęcej wściekłości. Patrzyła na to, nie mogąc oderwać wzroku. Czuła się, jakby była w piekle i obserwowała zapasy demonów.

Splecione ciała wytoczyły się poza ognisko i zniknęły w ciemności. Przetarła oczy z łez, lecz mimo tego widziała już tylko czerwień dogasającego ogniska. Wszystko dookoła spowijał dym i mrok. Krzyki i nawoływania umilkły.

Nagle zobaczyła coś, co sprawiło, że niemal zwątpiła w swe zmysły. Szła ku niej postać, po jej twarzy pełzały płomienie. Chciała się cofnąć, lecz natrafiła plecami na pień. Była zbyt sparaliżowana strachem, by go po prostu ominąć.

Postać stanęła tuż przed nią. Poczuła swąd spalenizny. Jeden z demonów przyszedł po nią, jego ubranie się tliło. Twarz porośnięta sierścią żarzyła się w kilku miejscach. Płonąca szczecina wydzielala nieznośny, duszący smród.

- Chuj, wszystko chuj - powiedział w jej stronę demon. Usta miał popękane, zęby umazane krwią. W jego dłoni tkwił bagnet, zardzewiały, lecz także pokryty czerwienią. Tylko po nim poznała, że stoi przed nią Kutera.

- Zniszczyłaś wszystko, dziwko. To wszystko przez ciebie, suko. Po cholere tu przyjeżdżałaś? - Krople krwi poleciały i osiadły na jej skórze. Dopiero teraz dostrzegła, że pali się nie tylko sierść. Włosy na jego głowie szczeniały i również lekko się tliły.

Nie miała siły uciekać. To wszystko było zbyt straszne. Znów usłyszała, że krzyczy. Tym razem długo i głośno. Ręka z bagnetem uniosła się, zawisła nad nią jak kolec skorpiona. Za chwilę opadnie w dół i będzie na zawsze po wszystkim.

Krzyk przeszedł w ryk. Tym razem jednak to nie ona krzyczała. A już na pewno nie tylko, bo ona być może też. Brat demon Kutera musiał to również usłyszeć, bo jego ręka zamarła, a głowa zwróciła się w bok.

To stamtąd, z ciemności, coś tak potwornie ryczało. Jakby biegł na nich niedźwiedz i to śmiertelnie zraniony. Coś jej ten ryk przypominał, tylko nie wiedziała co. Kutera skierował w tamtą stronę ostrze

swojego bagnetu, lecz widać było, że on też jest zdezorientowany.

Nie na wiele mu się jednak zdała taka broń. Coś wybiegło z ciemności i z wielkim impetem uderzyło go w bok. Tuż pod ostrzem bagnetu, jakby staranował go szarżujący odyniec. Nawet nie zdążyła zauważyć co to, bo w tym samym momencie zniknęli w ciemnościach. Kuryłowicz, pomyślała. Tak, to musiał być on.

Rozejrzała się dookoła. Żarzące kłody i węgle dawały niewiele światła. Słysząc było różne odgłosy – jęki, trzaski, oddechy, odgłosy walki, przekleństwa – wszystko przemieszane już jednak i raczej dalekie.

Naraz coś błysło. I znowu. Tam, gdzieś za wałem, więc nie widziała źródła. Korony drzew nad jej głową lizwały snopy światłości. Tunele światła jak laser przebijające mgłę.

– Chodź. – Ktoś ją chwycił za ramię. Spojrzała. Znowu maska z sierści. Krzyknęła, próbując się wyrwać, uścisk był jednak dość mocny. Sylwetka męska, wysoka. O wiele wyższa niż oni. Głos także wydawał się młodszy. Ta sama woń perfum co wcześniej, przy ognisku. Paweł? Tylko nie to.

Poczuła, że gdzieś ją ciągnie. Był za nią, pchał ją przed siebie. Nie była w stanie się oprzeć, nie miała też czym się obronić. Czyżby naprawdę był to już koniec? Po tej tak długiej walce? Ten mężczyzna zawlecze ją gdzieś i zabije. Była jedynym świadkiem.

Wyszli za wał, w powietrzu nie było tyle dymu. Stroboskopowe światła migały niemal z każdej strony.

– Już dobrze – powiedział. – W porządku. Jesteśmy tutaj bezpieczni.

Stanęli. Ciężko dyszała. A więc nie umrze, nie dziś.

Odwrócił ją w swoją stronę. Zdjął maskę, lecz było zbyt ciemno. Widziała tylko dość bladą podłużną plamę twarzy.

– Nic pani nie jest? – zapytał.

Głos nie należał do Pawła, choć był jej jakoś znajomy. Omiótł ich strumień światła. Wiedziała już, co to jest. Latarki.

Ktoś nawet owinął ją kocem. Zwyczajnym, nie srebrną folią. Minęło już trochę czasu, odkąd tu siedziała. Wokoło kręcili się ludzie. Widziała ich w świetle reflektorów policyjnej terenówki. Niektórzy byli w mundurach. Inni siedzieli na ziemi. Ci drudzy mieli ręce skute na plecach. Dwoch czy trzech opatrzone rany.

Byli wśród nich Kutera i Zagoński, obaj w dość kiepskim stanie. Poznała także łowczego, Lewczuka i dwóch, których pamiętała z pogrzebu.

W końcu podeszła do niej kobieta. Szczupła, z prostymi włosami.

– Nieźle nam pani namieszała – powiedziała. – I przyspieszyła trochę operację. Ale dowiedziała się pani wielu rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia.

Nazywała się Weronika Stankiewicz i była podkomisarzem w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Olsztynie. Zdaje się, że dowodziła tą całą akcją.

– Co z Miłozsem i Sandrą? – spytała Seredyńska.

– Wysłałam tam swoich ludzi – odpowiedziała kobieta. – Karetka też już tam jedzie. Znajdą ich i przewiozą do szpitala. Pani też to by się przydało.

Podkomisarz była konkretna, życzliwa, profesjonalna. Seredyńska z miejsca ją polubiła.

– Dziękuję. Jutro muszę zameldować się w pracy. Inaczej szefowa mnie wyleje. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Pani szefową biorę na siebie. – Policjantka odwzajemniła uśmiech. – Prześlę jej taki raport, że jeszcze dostanie pani medal. Chciałabym mieć takiego prokuratora w Olsztynie.

Kiwnęła głową w rodzaju podziękowania.

– Skąd żeście wiedzieli? – spytała.

– Obserwowaliśmy tę okolicę od jakiegoś czasu. Zbyt wiele dziwnych rzeczy tu się działo. Choć skala tego, co pani odkryła, była dla nas naprawdę sporym zaskoczeniem. Zaczęło się od ojca Miłozsa. Chodził wszędzie i wszędzie był zbywany, my jedyni potraktowaliśmy go poważnie. Tylko że nie mieliśmy żadnych pomysłów, co mogło się stać z tym dwojgiem młodych ludzi.

– Czy sprawę prowadził prokurator Niedźwiedzki?

– Tak, to z nim współpracowaliśmy. – Policjantka skinęła głową.

– Skutecznie pozacierał kilka dość istotnych tropów – wyjaśniła. – To dlatego do niczego nie doszliśmy. Złapaliście go tu?

– Nie. Widziała go pani?

– Widziałam człowieka w masce. Wydaje mi się, że to był on – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Pewności jednak nie mam. Ale na pewno jest dość mocno w tę sprawę zamieszany. Radzę mu się przyjrzeć. Pewnie nie będzie łatwo udowodnić mu cokolwiek, ale warto spróbować. I na przyszłość na niego uważać.

– Zapamiętam to sobie – odparła kobieta. Ton głosu, jakim to wypowiedziała, świadczył, że prokurator Niedźwiedzki powinien zacząć się niepokoić. – W każdym razie postanowiliśmy przyjrzeć się bliżej temu, co się tu dzieje. Powołaliśmy grupę śledczą pod moim nadzorem. Chciałabym pani przedstawić jednego z jej członków.

Kiwnęła ręką i po chwili z ciemności wyszedł jakiś mężczyzna. Już po sylwetce poznała, że był to człowiek, który wyprowadził ją z grodziska. Dopiero teraz jednak zobaczyła jego twarz. Był to mistrz ceremonii, pracownik zakładu pogrzebowego.

– To jego pierwsza akcja pod przykrywką – powiedziała. – Bardzo na to nalegał. Dotychczas był raczej naszym konsultantem. Ale od kiedy został oficjalnie policjantem, o niczym już innym nie mówił.

– Trzeba się rozwijać – skomentował mężczyzna. – Ileż można siedzieć w papierach, tworzyć profile psychologiczne i patrzeć, jak inni działają. Wie pani, jakie to frustrujące?

Wiedziała. Większość prokuratorów działała właśnie w ten sposób. Tylko ją zawsze coś podkuszało, żeby łądować się w takie historie.

– To pan był bratem kandydatem? – spytała. – Co w takim razie z Pawłem?

– Siedzi już spokojnie w radiowozie – odpowiedziała policjantka. – Jego też mieliśmy na oku. Od jakiegoś czasu współpracował z nami. Policja z Ameryki ściga go w sprawie morderstwa. Zgodził się sypać, żebyśmy go tam nie odesłali. Tu dostanie najwyżej dożywocie, a tam zastrzyk z trucizny. To on dał nam cynk, że coś się będzie dziać.

– A Kuryłowicz? – spytała. Przypomniała sobie ryk bestii, która zaatakowała Kutereę. – Czy jego też tu nie było?

– Był – przytaknęła policjantka. – O mało nie zabił jednego z tamtych. – Wskazała głową na skutych mężczyzn. – Ledwo żeśmy go odciągnęli. Jest poważnie ranny, ale i tak pojechał do pensjonatu. Nie dało mu się tego wyperswadować.

Skinęła głową. Była strasznie zmęczona. Bolało ją niemal całe ciało.

– Swoją drogą w życiu o niczym podobnym nie słyszałam – skomentowała kobieta. – Prawdziwy gang starych dziadów. Najmłodszy ma ponad sześćdziesiąt lat. Strach pomyśleć, co by było, gdyby mieli jakąś większą władzę.

Z grubsza to samo, co teraz, pomyślała Seredyńska. Rządzili nimi w końcu zdziwaczali starsi ludzie. Nie powiedziała jednak tego, nie miała ochoty wdawać się w takie dyskusje. A już zwłaszcza w tej chwili. Była jej zimno, chciała się położyć.

Mężczyzna, którego poznała jako mistrza ceremonii, a który teraz okazał się policjantem, chyba to zauważył. Objął ją, zaprowadził do auta, pomógł usiąść na tylnej kanapie, a potem dokładnie okrył kocem.

Niemal tego nie zauważyła. Myślała teraz o ojcu. Ojcu, który ją zostawił, a potem zginął, żeby ratować inną, lepszą najwyraźniej córkę. Poczula złość, złość dziecinną. Dla tamtej wszystko, dla niej nic. W czym była gorsza od Sandry? Nigdy już nie chce jej widzieć.

– Wszystko w porządku? – usłyszała.

Podniosła wzrok. Mężczyzna ciągle stał przy samochodzie. Zaglądał z troską przez otwarte drzwi. Wydawał się naprawdę miły.

– Dziękuję bardzo za wyprowadzenie mnie stamtąd – powiedziała. – I za wezwanie kawalerii.

– Ratowanie kobiet z opresji to moje ulubione hobby – odparł z półuśmiechem. – Choć dotąd raczej nie bardzo mi to wychodziło.

– Jak się pan w ogóle nazywa? – spytała. – Chyba nikt do tej pory mi tego nie powiedział.

– Zygmunt – odpowiedział. – Zygmunt Rozłucki. Bardzo mi miło panią wreszcie oficjalnie poznać.

KONIEC

PODZIĘKOWANIA

Mojej żonie, Gabrieli – za to, że jest moją pierwszą czytelniczką, redaktorką, korektorką, recenzentką i menadżerem literackim, a także za to, że mnie wspiera, inspiruje i rozumie mój nałóg pisania.

Moim rodzicom – za to, że zaszczyli mi miłość do książek, a także za to, że nie muszę zmagać się przez nich z problemami, z którymi borykają się bohaterowie tej książki. Mojemu tacie zaś w szczególności za to, że zapoznał mnie z fascynującym i nie tak wcale mrocznym jak w tej powieści światem myśliwych.

Agacie Bomze – za to, że jest moim przewodnikiem po świecie prawa i prokuratury oraz zawsze cierpliwą i skłoną do pomocy konsultantką.

Mikołajowi Cieślakowi – za pomysł tytułowego kręgu w lesie.

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Rozdział 97

Rozdział 98

Rozdział 99

Rozdział 100

Rozdział 101

Rozdział 102

Rozdział 103

Podziękowania